

John Updike

Uciekaj, Króliku

Przełożyła Ariadna Demkowska-Bohdziewicz

Państwowy Instytut Wydawniczy 1988

Tytuł oryginału: Rabbit, Run

Opracowanie graficzne Waldemar Świerzy

Układ typograficzny Mieczysław Bancerowski

Copyright 1960 by John Updike.

This translation published by arrangement with Alfred A. Knopf, Inc.

Copyright for the Polish edition by Państwowy Instytut Wydawniczy. Warszawa 1988

ISBN 8306014197

Działanie łaski, zatwardziałość serca, okoliczności.

Pascal, Myśli (507)

Chłopcy grają w koszykówkę zawiesiwszy tablicę z koszem na słupie telefonicznym.

Nogi, krzyki. Skrzyp i chrzęst

gumowych podeszew na żwirze zaułka zdaje się wyrzucać chłopięce głosy wysoko w

wilgotne marcowe powietrze błękitniejące nad drutami. Z głębi uliczki nadchodzi

Królik Angstrom w swojej dwurzędówce, przystaje i patrzy, chociaż ma dwadzieścia

sześć lat i metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Królik, a taki wysoki? Lecz owal twarzy,

bladość niebieskich źrenic i nerwowy tik krótkiego nosa, gdy wtyka do ust papierosa,

częściowo tłumaczą to przezwisko nadane mu wtedy, kiedy też był chłopcem. Stoi i

myśli, jak tych dzieci wciąż przybywa, jak osaczają człowieka zewsząd.

Onieśmiela to chłopców, że tak stoi. Oczy zezują w jego stronę. Tu się gra dla siebie,

nie dla ludzi, nie dla takich, co chodzą po mieście w dwurzędowym garniturze koloru

kakao. W ogóle śmieszny im się wydaje dorosły facet idący ulicą. A gdzie jego

samochód? Papieros w ustach jeszcze pogarsza sprawę. M oże to jeden z tych, co

dają papierosy albo forszę, żeby pójść z nimi za fabrykę lodu? Słyszeli o podobnych

rzeczach, ale nie bardzo się boją; ich jest sześciu, on jeden.

Piłka, odbita od tablicy, leci nad głowami całej szóstki i ląduje u jego stóp. Łapie ją z krótkiego kozła z szybkością, która chłopców zaskakuje. Patrzą w milczeniu, gdy mrużąc jedno oko celuje przez błękitny obłok papieroso-

7

wego dymu - pociemniała nagle sylwetka, jak dymiący komin na tle wiosennego popołudniowego słońca; z rozważą rozstawia nogi, nerwowo obraca piłkę przy piersi - jedna biała rozczapierzona dłoń na wierzchu, druga pod spodem cierpliwie potrząsa piłką, zdaje się wymierzać trasę jej lotu w powietrzu. Paznokcie ma zarośnięte skórą. Nagle piłka jakby ślizgiem podjeżdża w górę po prawej klapie jego marynarki i w momencie gdy Królik ugina kolana, odrywa się od jego ramienia; wydaje się, że wcale nie trafi do celu, bo choć rzucona pod właściwym kątem, to jednak nie leci w stronę tablicy. Nie tam została skierowana. Przelatuje przez sam środek obręczy, muskając siatkę z wytwornym szeptem.

- Hej! - krzyczy Królik triumfalnie.

- Szczęście - mówi jeden z chłopców.

- Sztuka - odpowiada Królik i pyta: - Czy mogę pograć?

Zamiast odpowiedzi zgłupiałe, zaskoczone spojrzenia. Królik zdejmując marynarkę i starannie złożoną kładzie na czystej pokrywie pojemnika na śmieci. Za jego plecami znów zaczyna się szamotanina. Wkracza w sam środek i z dwóch słabych, dziecięcych dłoni o niedomytych kostkach wyłuskuje piłkę, już ją ma. I oto przenika go całego znane z dawnych czasów uczucie, że jest sprężysty jak napięty rzemień, u ramion rosną skrzydła. Jest tak, jak gdyby sięgnął wstecz poprzez lata i dotknął tej sprężystości ręką. Ramiona same się unoszą i gumowa piłka już płynie od czubka jego głowy w stronę kosza. Taki jest pewny siebie, że przymyka oczy, gdy piłka pada na ziemię, i tylko zastanawia się przez sekundę, czy istotnie przeszła przez obręcz nie musnąwszy siatki.

- No jak? Z kim gram? - pyta.

Wymiana miejsc bez słów i dwaj chłopcy zostają wysłani na jego stronę. Mają przeciw sobie pozostałych czterech. Chociaż Królik od razu ogranicza swoje szansę,

trzymając się w odległości około trzech metrów od kosza, to jednak siły pozostają nierówne, nikt nie zawraca sobie głowy liczeniem punktów. Pełne niechęci milczenie przygnębia Królika. Chłopcy porozumiewają się monosylabami, lecz w jego stronę żaden nie waży się rzucić słowa. Czuje ich obecność na wysokości swoich kolan, płaczą mu

8

się pod nogami, wściekli, rozjuszeni, próbują podstawić mu nogę, ale każdy z nich trzyma język za zębami. Królik nie chce takiego szacunku, chce im powiedzieć, że starzeć się to nic nadzwyczajnego, zwykła sprawa. Po dziesięciu minutach następny zawodnik przechodzi na drugą stronę i Królik Angstrom z jednym chłopcem mają przeciw sobie aż pięciu. Ten jeden to jeszcze malec, jeszcze nieśmiały, ale już w pełni panujący nad sobą, najlepszy z całej szóstki; ma na głowie włóczkową czapkę z dużym zielonym pomponem, zsuniętą na uszy - nawet na brwi-w której wygląda jak kretyn. Wrodzony talent. Widać to po jego instynktownym, swobodnym balansowaniu, po tym, że umie odczekać chwilę, zanim ruszy. Jeżeli dopisze mu szczęście, to z biegiem czasu będzie w szkole średniej świetnym zawodnikiem. Królik wie, jak to jest. Najpierw powolna wspinaczka w niższych klasach, a potem człowiek jest najlepszy i wszyscy mu biją brawo. Nie widzisz dobrze, bo ci pot spływa z czoła, ale słyszysz, że jest głośno dokoła twojej osoby, i to cię niesie, aż potem - nie żeby od razu o tobie zapomniano, nie to, po prostu wypadłeś z gry, i dobrze ci z tym, masz spokój, czujesz się wolny. Nie istniejesz, rozplynałeś się w tłumie, ale wciąż idziesz do góry, aż staniesz się dla takich chłopców częścią tego nieba dorosłych, co wisi nad nimi w mieście, i nie wiadomo dlaczego któregoś dnia lądujesz wśród nich, jakbyś spadł z chmury. Nie zapomnieli o nim; gorzej, nigdy o nim nie słyszeli. A przecież Królik znany był swego czasu w całym okręgu. W przedostatniej klasie liceum ustanowił rekord ligi B, który następnego roku sam pobił ustanawiając nowy, pobity dopiero w cztery lata później, dokładnie przed czterema laty.

Trafia rzucając piłkę jedną ręką, obiema, spod łokcia, mocno wsparty na nogach, ze skreću, w wyskoku i z miejsca. Piłka leci płasko, miękko. Nie stracił czucia w

dłojnach, wprawia go to w uniesienie. Czuje się wyzwolony z długotrwałego mroku. Ale ciało ma ciężkie i oddech krótki, to go złości. Kiedy tych pięciu smarkaczy, których ma przeciw sobie, zaczyna postękiwać i nie nadażać, a jeden z nich, przypadkiem przez niego potracony, podnosi się z twarzą umorusaną i opuszcza plac, Królik z lekkim sercem kończy grę.

9

- W porządku - mówi. - Wasz oldboj odchodzi. Trzy razy hurra.

Chłopcu z pomponem rzuca:

- Do zobaczenia, mój asie.

Czuje wdzięczność dla tego malca, który nie spuszcza z niego oczu pełnych bezinteresownego uwielbienia, gdy inni patrzą spode łba. Takie talenty z bożej łaski wiedzą, że wszystko jest sprawą wyczucia.

Królik zabiera swoją złożoną marynarkę i rusza biegiem. Biegnie do końca alejki. Mija opuszczoną fabrykę lodu z gnijącymi drewnianymi pochylniami na rampie. Pojemniki na śmieci, drzwi garaży, płyty z drucianej siatki, za nimi jak w klatkach płatanina łodyg i uschniętych kwiatów. Jest marzec. Miłość rozjaśnia powietrze. Wszystko zaczyna się od nowa; przez kwaśny posmak tytoniu Królik wyczuwa w tym powietrzu nową szansę, wyciąga z wypchanej kieszeni koszuli paczkę papierosów i w biegu rzuca ją do czyjegoś otwartego śmietnika. Błyska na chwilę zębami spod odsłoniętej górnej wargi - odruch zadowolenia z siebie. Dużymi zamszowymi półbutami z głośnym chrzęstem roztrąca grube ziarna żwiru w alejce. Biegnie. Skręca za rogiem i jest już na ulicy Wilbura w Sędziowskiej Górze, która jest przedmieściem Brewer, piątego co do wielkości miasta Pensylwanii. Biegnie pod górę. Mija blok okazałych kamienic - małych wartowni, z cegły i betonu, o wejściach ozdobionych barwionym i fazowanym szkłem i oknach pełnych doniczek z zielenią. Potem, w połowie drogi pod górę, za następną przecznicą, mija osiedle zbudowane za jednym zamachem w latach trzydziestych. Te drewniane domy wspinają się na wzgórze niby jeden ciąg schodów. Każdy bliźniak przerasta swego sąsiada o jakieś dwa metry, każde ostatnie piętro ma dwoje matowych okien szeroko rozstawionych, niby oczy jakiegoś zwierzęcia, a dach wyłożony jest płytami - żwir wtopiony w

smołę - o odcieniach od siniaka po gnój. Front każdego domu oszalowany jest deskami kiedyś białymi, teraz złazi z nich farba. Takich dwupiętrowych bliźniaków jest tuzin, w każdym po dwoje drzwi. Siódme drzwi są jego. Drewniane stopnie u wejścia zmurszały, pod schodkami, w błotnistym zagłębieniu,

10

rozpada się jakaś zagubiona dziecinna zabawka. Plastikowy pajac. Królik widział go tam przez całą zimę, ale myślał, że któreś z dzieci przyjdzie w końcu po swoją zgubę. Ciężko dysząc przystaje w przedsionku pozbawionym słońca. Nad jego głową pali się zakurzona żarówka - dzienne oświetlenie. Trzy blaszane skrzynki na listy wiszą p.uste nad brązowym kaloryferem. Zamknięte drzwi sąsiada mieszkającego na parterze zdają się patrzeć z głębi przedsionka z jakąś urazą. I ten zapach w powietrzu, zawsze taki sam, którego Królik nie potrafi zidentyfikować - czasem gotowanej kapusty, czasem wyziewów zardzewiałego paleniska, czasem jakiejś zgnilizny w ścianach. Idzie po schodach do swego mieszkania na samej górze.

Drzwi zamknięte. Ręka wsuwająca kluczyk do zamka drży rozdygotana po niecodziennym wysiłku i metal zgrzyta o metal. Otwiera drzwi i widzi żonę przed telewizorem w fotelu, ze szklanką "koktajlu babuni"; dźwięk jest ściszony.

- Jesteś! - mówi. - To dlaczego drzwi zamknięte?

Zerka na niego przez ramię niepewnym spojrzeniem ciemnych oczu zaczerwienionych od oglądania telewizji.

- Same się zatrzęsęły!

- Same się zatrzęsęły! - przedrzeźnia żonę, lecz mimo to pochyla się, żeby ucałować jej błyszczące czoło.

Jest nieduża, drobnej kości, skórę ma o odcieniu oliwkowym i mocno napiętą, jak gdyby wewnątrz tego małego ciała coś bezustannie wzbierało i walczyło z jego ciasnotą. Jeszcze wczoraj, myśli Królik, była ładna. Ale kiedy w kącikach warg pojawiły się dwie krótkie zmarszczki, usta jej stały się chciwe; włosy zrzedły i wciąż każą mu myśleć o ukrytej pod nimi czaszce. Te drobne oznaki upływającego czasu pojawiły się niespostrzeżenie, może jutro znikną i znowu będzie jego dziewczyną. Żartobliwym tonem próbuje przywrócić nastrój przeszłości.

- No i czego się tak boisz? Kto tu może się władować przez te drzwi? Errol Flyrin?

Nic nie odpowiada. Starannie rozłożywszy marynarkę,

11

Królik podchodzi do szafy i wyjmuje druciany wieszak. Szafa jest w saloniku i drzwi jej otwierają się tylko do połowy - przeszkadza stojący obok telewizor. Królik uważa, by nie wyciągnąć sznura z kontaktu po drugiej stronie drzwi. Janice - wyjątkowo niezręczna z powodu swego brzucha albo kiedy się upije - zaplątała kiedyś nogę w ten przewód i o mało nie ściągnęła telewizora na podłogę (sto czterdzieści dolarów); byłby się roztrzaskał na drobne kawałki. Szczęściem Królik go dopadł, kiedy się jeszcze chwiał w swojej metalowej k ołyszce i zanim Janice w panice zaczęła wierzgać nogą. Dlaczego się tak zachowała? Czego się bała? Będąc człowiekiem kochającym ład i porządek, zręcznie wsuwa końce wieszaka w rękawy marynarki i wyciągnąwszy długie ramię, wiesza ją na pomalowanej rurce obok innych ubrań. Zastanawia się, czy powinien wyjąć z kłapy znaczek funkcyjny, ale postanawia włożyć nazajutrz ten sam garnitur. Ma je tylko dwa, jeśli nie liczyć granatowego, który jest za ciepły na tę porę roku. Zamyka drzwi szafy. Wydają lekki trzask, lecz po chwili znowu rozchylają się na szerokość kilku centymetrów. Te zatrzaśnięte drzwi domu! To go jątrzy. Ręka mu drżała jak u starca, a ona tu siedzi i spokojnie słucha skrobania klucza w zamku. Odwraca się do niej i pyta:

- Wróciłaś, a gdzie wóz? Nie ma go przed domem.

- Stoi przed domem mojej matki. Zasłaniasz mi.

- Przed domem twojej matki? Coś wspaniałego! Zostawić go w takim zafajdanym miejscu.

- Co się tam dzieje?

- Gdzie? - Odsuwa się, żeby jej nie zasłaniać, i też patrzy.

Janice ogląda program muzyczny w wykonaniu "Myszkietarów" - dziecięcego zespołu, w którym Darlene jest tym razem kwiaciarką w Paryżu. Cubby policjantem, a ten najwyższy, piskliwy i głupio uśmiechnięty chłopiec - romantycznym artystą. On i Darlene, i Cubby, i Karen (przebrana za francuską damę, której Cubby jako policjant pomaga przejść przez ulicę) tańczą. Potem reklama: siedem cząstek

czekoladowego batonu wychodzi z opakowania i układa się w napis z siedmiu
12

liter: "Tootsie". Litery też śpiewają i tańczą. Wciąż śpiewając, chowają się z powrotem do opakowania, z którego wydobywa się piękne, miłutkie echo. A niech to! ... Widział to już pięćdziesiąt razy i tym razem flaki się w nim przewracają. Czuje wciąż przyspieszone bicie serca, w gardle go coś ściska. Janice pyta:

- Harry, masz papierosa? Moje się skończyły.

- Co? Nie. Wyrzuciłem po drodze do śmieci. Przestałem palić. - Dziwi się, że w ogóle można myśleć o paleniu, kiedy w żołądku piecze jak diabli.

Nareszcie Janice podnosi na niego wzrok.

- Wyrzuciłeś do śmieci! Niech ja skonam. Nie pijesz, teraz nie palisz. O co ci chodzi, chcesz zostać świętym?

- Sza!

Zjawił się duży "Myszkieter" Jimmy, dorosły mężczyzna, który ma przyprawione uszy, okrągłe i czarne. Królik śledzi go z uwagą, jest to ktoś, kogo szanuje. Może nauczy się od niego jakichś rzeczy przydatnych w pracy, która polega na demonstrowaniu pewnego urządzenia kuchennego w kilkunastu tanich domach towarowych dokoła Brewer. Robi to od czterech tygodni.

- Przysłowia powiadają, co ludzie robić mają - śpiewa Jimmy uderzając w struny swojej myszgitary - uczą, jak trzeba żyć, żeby lepszym Myszkieterem być!

Jimmy odkłada uśmiech i gitarę na później i przez szkło ekranu mówi człowiekowi prosto w oczy:

- Poznaj siebie, rzekł kiedyś, pewien stary mądry Grek. Poznaj siebie samego. Cóż to znaczy, chłopcy i dziewczęta? To znaczy: bądź tym, czym jesteś. Nie próbuj być Sally czy Johnnym, czy Fredem od sąsiadów, bądź sobą. Bóg nie chce, żeby drzewo było wodospadem albo żeby kwiat był kamieniem. Bóg każdemu z nas oddzielnie daje jakiś talent. - Janice i Królik odruchowo sztywnieją, oboje są chrześcijanami.

Imię boskie budzi w nich poczucie winy. - Bóg pragnie, żeby jedni zostali uczonymi, inni artystami, a jeszcze inni strażakami i lekarzami, i akrobatami w cyrku. I

każdemu z nas daje potrzebny do tego talent, pod warunkiem, że pracujemy nad jego

rozwojem. Trzeba pracować, chłopcy i

13

dziewczeta. A więc: poznaj siebie. Najpierw zrozum, do czego masz talent, potem pracuj nad jego rozwojem. To jest droga do szczęścia - Jimmy zaciska usta i mruży jedno oko.

To było dobre. Królik próbuje powtórzyć ten grymas ust, to mrugnięcie okiem, dobre, kiedy ma się za sobą publiczność, przeciw ukrytemu wrogowi, i daje się do zrozumienia, że czy to Walt Disney, czy firma "Magik", wszystko jest nabieraniem gości, ale - i w tym sęk - nabieraniem, które da się lubić. Wszyscy w tym tkwimy. Świat kręci się dzięki naciągaczom. Oszustwo to podstawa naszej gospodarki.

Oszczędzaj witaminy - hasło nowoczesnej gospodyni - realizuje najlepiej fenomenalny obieracz jarzyn "Magik".

Janice wstaje i zamyka telewizor w momencie, gdy na ekranie anonsują dziennik popołudniowy. Pozostawiona przez prąd ostra gwiazdka powoli zamiera.

- Gdzie jest mały? - pyta Królik.

- U twojej matki.

- U mojej matki? Wóz zostawiłaś u swojej matki, a dziecko u mojej. Jezu drogi, co ty wyrabiasz!

Janice prostuje się i jej ciężarny brzuch doprowadza go do wściekłości swoją natrętną wypukłością. Janice ma na sobie jedną z tych spódniczek na ciążę z głębokim wycięciem w kształcie litery U na brzuchu. Pod obrębką bluzki widać biały półksiężyc halki.

- Byłam zmęczona.

- Nic dziwnego. Ile tego wypijałaś? - wskazuje szklanekę po koktajlu. Na brzegu, gdzie piła, ślad cukru.

- Zostawiłam Nelsona u twojej matki - próbuje mu wytłumaczyć - po drodze do mojej. Miałyśmy jechać do miasta. Pojechałyśmy jej wozem, nasz zostawiłam, oglądałyśmy wiosenne sukienki na wystawach i mama kupiła sobie śliczną chustkę "Liberty" na wyprzedazy u Kroiła. Turecki wzór na lila tle. - Zawahała się speszona, wsunęła koniuszek języka pomiędzy dwa rzędy nieładnych zębów.

Królika ogarnia przerażenie. Janice, kiedy jest zbита z tropu, wprawia go w przerażenie. Marszczy brwi, oczy jej zapadają się głęboko, drobne nie domknięte usta zieją niemą szczeliną. Odkąd na jej błyszczących skroniach

14

zaczęły rzednąć włosy, często robi wrażenie, że stała się czymś kruchym i nieruchomym, posuwającym się tylko w jednym kierunku - coraz głębszych zmarszczek i coraz rzadszych włosów. Ożenił się względnie późno, mając dwadzieścia cztery lata, ona była dwa lata po maturze, zaledwie pełnoletnia; miała nieśmiałe, drobne piersi: gdy leżała, rozpląszczały się na żebrach tworząc miękkie wzniesienia zakończone guziczkiem. Nelson urodził się w siedem miesięcy po ich ślubie w kościele episkopalnym. Poród był długi, strach, który wówczas przeżył, wzmaga obecnie uczucie strachu i powoduje odruch tkliwości.

- Co kupiłaś?

- Kostium kąpielowy.

- Kostium kąpielowy! W marcu?

Janice przymyka na chwilę oczy, a on wie, że ogarniają powrotna fala zamroczenia alkoholem: jakie to wstrętne!

- Wydawało mi się, że w ten sposób prędzej będę mogła go włożyć.

- Co się z tobą dzieje, u licha ciężkiego? Inne kobiety lubią być w ciąży. Czym ty się różnisz, powiedz? Skąd się biorą te twoje idiotyczne kaprysy?

Janice otwiera brązowe oczy i okazuje się, że są pełne łez: łzy przelewają się przez dolne powieki i płyną po policzkach zarumienionych od doznanej krzywdy; patrzy na niego i z głębokim namysłem mówi:

- Łajdak.

Królik podchodzi do żony i - wzięwszy ją w ramiona - dojmująco czuje ją całą, jej gorący od łez oddech, nabiegłe krwią białka. W odruchu czułości ugina kolana, żeby biodrami dotknąć jej bioder, przeszkadza mu jednak jej duży brzuch, więc prostuje się na całą wysokość.

- W porządku - mówi. - Kupiłaś sobie kostium kąpielowy.

W schronieniu jego piersi i ramion Janice objawia nagle powagę, której się już po niej nie spodziewał.

- Nie uciekaj ode mnie, Harry. Kocham cię.

- I ja cię kocham. Uspokój się. Kupiłaś sobie kąpielowy, no i co dalej?

- Czerwony - mówi ze smutkiem, kołysze w jego ramionach. Lecz jej ciało, kiedy jest pijana, ma w dotknięciu jakąś niemiłą kruchość i obcość.

15

się na karku i ma plisowaną spódniczkę, którą można zdjąć przed wejściem do wody. Potem tak mnie rozboleły żylaki, że wypiliśmy na dole u Kroiła napój czekoladowy. Przerobili całą kawiarenkę, już nie ma tam baru. Ale nogi wciąż mnie boleły, więc mama podwiozła mnie do domu i powiedziała, że możesz zabrać później samochód razem z Nelsonem.

- Ciebie boleły! Akurat! Powiedz raczej: ją.

- Myślałam, że już będziesz w domu. Gdzie byłeś?

- Och, powyglądałem się trochę. Grałem w piłkę z chłopakami na ulicy.

Rozłączyli się.

- Chciałam się zdrzemnąć, ale nie mogłam zasnąć. Mama powiedziała, że wyglądam na zmęczoną.

- Powinnaś tak wyglądać. Tak wyglądają wszystkie nowoczesne panie domu.

- A tymczasem ty grasz sobie w piłkę, jakbyś miał dwanaście lat.

Ubodło go, że nie spostrzegła żartobliwej aluzji do praktyk sprzedawcy, który musi swoim klientkom podsuwać wzór nowoczesnej pani domu, żeby sprzedać towar - aluzji ironicznej, ale w gruncie rzeczy pełnej sympatii i współczucia. Trudno, nie ma rady: jest tępa.

- Czy siedzę w domu, czy nie, co za różnica, jeżeli oglądasz program dla dzieci poniżej lat dwóch?

- A kto mi tu przed chwilą kazał być cicho?

- Och, Janice - wzdycha Królik. - Chromolę to wszystko. Chromolę.

Patrzy na niego zupełnie przytomnie przez długą chwilę, w końcu mówi:

- Zrobię kolację. Jest pełen skruchy.

- Polecę po samochód i przywiozę małego. Biedne dziecko, myśli pewnie, że nie ma domu. Jakim prawem twoja matka uważa, że moja matka nie ma nic lepszego do roboty tylko niańczyć cudze dzieci?

Znowu oburza go jej tępota; nie rozumie, że ten Jimmy w telewizji potrzebny jest do pracy, wreszcie, kto tu utrzymuje cały dom, kto kupuje cukier do tych przeklętych "koktajli babuni"?

Janice przenosi się do kuchni zła, lecz umiarkowanie

16

zła. Powinna się obrazić na całego albo wcale, przecież powiedział to, co mówił już ze sto razy. Może nawet tysiąc razy. Powiedzmy - przeciętnie raz na trzy dni od roku 1956. W sumie - trzysta razy. Aż tak często? Więc dlaczego to zawsze taki wysiłek. Przed ślubem było łatwiej. Wtedy umiała wybuchnąć Jak to dziewczyna. Nerwy jak żywe włókna. Skóra jej pachniała świeżą bawełną. Korzystali z mieszkania jej koleżanki z pracy. W Brewer. Metalowe łóżko, tapeta w srebrne medaliony, widok na zachód na ogromne niebieskie zbiorniki ropy nad rzeką. Po pracy. Pracowali wtedy oboje u Kroiła, ona, w białym fartuszk z wyhaftowanym na kieszonce "Jan" (skrót imienia), sprzedawała cukierki i orzeszki, on od dziewiątej do piątej rozbijał młotkiem skrzynie i taszczył na piętro fotele i stoliczki z klonowego drzewa. Od wełny drzewnej piekły go oczy i nos swędziały. Brudne czarne pojemniki stojące półkolem za windą, podłoga usiana pogiętymi gwoździemi, jego ręce czarne i ten pedał Chandler napominający co godzina: "Umyj ręce, żeby nie brudzić mebli." Płynne mydło. Pian? miało szarą. Na jego dłoniach żółte odciski od używania żelaznego łomu. O pół do szóstej, po dniu ciężkiej harówki, spotykali się przy wyjściu, które zamykano na łańcuch, żeby nie wpuszczać więcej klientów; w przedsionku spotykali się pomiędzy dwoma parami drzwi, gdzie z płytkich bocznych gablot głowy lalek w kapeluszach z piórami i w sznurach różowych pereł podsluchiwały rozlegającą się echem - jak w studni - pożegnalną wymianę plotek. Wszyscy pracownicy Kroiła nienawidzili firmy, a jednak wychodzili powoli, jakby płynąc. Janice i Królik spotykali się w tym przedsionku o przyćmionym świetle i zielonej podłodze, niby w jakimś miejscu pod wodą, pchali jedyne drzwi nie

zamknięte na łańcuch, wychodzili na światło dzienne ani słowem nie przyznając, że idą tam, do tych srebrzystych medalionów, trzymając się za ręce, zmęczeni, ostrożnie, pod prąd śpieszących do domu tłumów, szli, żeby kochać się przy gasnącym świetle dnia, które wpadało poziomo przez okno. Wstydziła się go, kazała mu zamykać oczy, a potem kończył z dreszczem, gdy tylko w nią wszedł, w to wnętrze jak srebrny pantofelek, delikatnie ziarniste. Potem leżeli obok siebie na łóżku tej koleżanki, zagubieni po ostatecz-

17

nym dokonaniu; na ścianie srebro i złoto więdnącego dnia.

Przylegająca do saloniku kuchnia jest wąska, właściwie to tylko ciasne przejście pomiędzy różnymi urządzeniami, które były nowoczesne przed pięciu laty. Janice upuszcza na ziemię coś metalowego, patelnię albo garnek.

- Nie poparzyłaś się? - woła do niej.

- A ty jeszcze tu? - brzmi odpowiedź. Podchodzi do szafy i wyjmuje marynarkę, którą przed

chwilą tak starannie powiesił. Jest tu chyba jedyną osobą dbającą o porządek. Bo za nim, w pokoju, dziki bałagan

- szklanka z podłym osadem koktajlu na dnie, zapchana popielniczka chwiejąca się na oparciu fotela, sfałdowany dywan, niechlujny stos śliskich gazet, tu i tam poupychane części zepsutych dziecinnych zabawek, stercząca noga lalki, zmięty obrazek wycięty z opakowania płatków kukurydzianych, kłaki kurzu pod kaloryferem, wieczorny bezład i chaos - wszystko to lgnie do jego pleców niby coraz ciaśniejsza sieć. Zastanawia się, co robi najpierw: pójdzie po samochód, a potem po dziecko, czy odwrotnie

- najpierw po dziecko? Na to zresztą miałby większą ochotę. Ale będzie szybciej, jeżeli zacznie od pani Springer, bo mieszka bliżej. Przypuśćmy jednak, że baba czyha na niego w oknie i wyskoczy z domu, żeby nakłaść mu w uszy, że Janice się przemęcza? A któż by się nie zmęczył, włócząc się z tobą i próbując coś kupić, ty nieszczęsna sknero? Ty tłusta więdźmo. Stara cyganicho. Jeżeli przyjdzie z dzieckiem, może temu zapobiec. Królik myśli z przyjemnością o krótkiej

przechadźce z synem. Nelson, który ma dwa i pół roku, chodzi jak kawalerzysta krokiem sztywnym, upartym. Poszliby sobie pod drzewami w gasnącym świetle dnia, a tu proszę - proszę! - za rogiem stoi przy chodniku samochód taty. Ale to potrwa dłużej, dodając do tego gadanie matki - chytre aluzje do niezaradności Janice. Nienawidził takiego gadania. Może to tylko żarty z jej stroay, nie umiał jednak traktować matki lekko, za dużo w niej było jakiejś siły, przynajmniej dla niego. Lepiej byłoby najpierw pójść po samochód, a potem pojechać po dziecko. Ale to mu się nie uśmiecha.

18

Po prostu nie ma ochoty. Sprawa gmatwa się coraz bardziej, jest tak zawikłana, że budzi odrazę.

- I kup mi, kochanie, paczkę papierosów, dobrze? woła Janice z kuchni normalnym głosem, świadczącym, że wszystko mu wybaczyła, że wszystko jest po dawnemu. Królik sztywnieje, patrzy na swój bladożółty cień na białych drzwiach wiodących do hallu i czuje, że jest w pułapce. Tak, to pewne. Wychodzi.

Na dworze robi się ciemno i chłodno. Klony tchną wonią młodych, lepkich pączków, w szerokich oknach wszystkich saloników na ulicy Wilbura widać za srebrną plamą telewizora jarzącą się żarówkę w kuchni, jak ogień w głębi pieczary. Królik schodzi w dół. Dzień kurczy się w sobie. Królik raz po raz muska dłonią szorstką korę drzewa albo suchej gałązki żywopłotu, by uzyskać cichą odpowiedź materii. Na rogu, na przecięciu ulicy Wilbura z aleją Pottera, sterczy w półmroku skrzynka pocztowa wsparta o betonowy słupek. Wysoka rozgałęziona tablica z nazwami dwóch ulic, słup telefoniczny ze śladami słupolazów wznoszący swoje izolatory aż pod niebo, hydrant jak złoty krzew: cały gaj. Strasznie lubił wspinać się na takie słupy. Z podstawionych ramion kolegi człowiek dźwigał się w górę, by sięgnąć rękami wystających prętów, i potem jeszcze wyżej, tam gdzie słychać, jak druty śpiewają. Ich śpiew był przerażającym, nieruchomym szeptem. Zawsze kusił człowieka, żeby puścić twarde pręty i poczuć na plecach, jak przestrzeń ciągnie za nogi w dół i siada ci na kręgosłupie, gdy padasz. Pamięta, jak piekły w dłoniach drzazgi wbite pod skórę, gdy był już na szczycie. Pamięta wsłuchiwanie się w te druty, jak gdyby można było

usłyszeć, co mówią ludzie, czym jest cały ten tajemniczy świat dorosłych. Izolatory jak wielkie niebieskie jaja w gnieździe wiatru.

Gdy Królik idzie aleją Pottera, druty na swojej milczącej wysokości przebijają na przestrzał korpny pachnących klonów. Na następnym rogu, gdzie zwykle woda z fabryki lodu ściekała z szumem do kanału, aby pojawić się po drugiej stronie ulicy, Królik przechodzi przez jezdnię i idzie wzdłuż rynsztoka, gdzie kiedyś woda - spływając - pokrywała płytki skraj swego nurtu falującymi wstęgami zielonego śluzu, tylko czekającymi na to, żebyś się

19

poślizgnął i przewrócił, jeśli odważysz się tam stąpać. Królik pamięta taki wypadek, ale nie pamięta, jak w ogóle doszło do tego, że szedł po śliskiej krawędzi. Ależ tak. W szkole podstawowej chciał zaimponować dziewczynom. Lotta Bingaman, Margaret Schoelkopf, czasem June Cobb i Mary Hoyer - to z nimi wracał do domu. Margarecie często leciała krew z nosa bez żadnego powodu. Tak była pełna życia. Ojciec jej pił i rodzice zmuszali ją do chodzenia w wysokich sznurowanych bucikach nawet wtedy, kiedy już nikt takich nie nosił.

Skreca w wąską, wysypaną żwirem uliczkę, mija zakręt obok ślepej ściany małej wytwórni pudełek, w której pracują przeważnie kobiety w średnim wieku, mija murowaną fasadę hurtowni piwa i autentyczny stary wiejski dom, obecnie zabity deskami, przykład prymitywnej murarki z piaskowca o barwie indiańskiej skóry, jeden z najstarszych domów w mieście. Dominował kiedyś nad przestrzenią równą połowie tej, na której powstało całe Brewer, lecz z dawnej farmy pozostało tylko ogrodzone zniszczonym, rozwalonym płotem podwórze ze stosem zbutwiałego drewna w gąszczu brunatnych łądyg, gdzie w lecie zakwitną niepożądaną bujnością zielska, jakieś woskowate zielone różdżki i kępy mlecznych strączków o jedwabistych nasionach, i puszyste żółte główki, z których niemal kapie kwietny pyłek.

W ten sposób jest trochę wolnej przestrzeni pomiędzy starym wiejskim domem a lokalem Klubu Sportowego "Słońce", wysokim budynkiem z cegły o wyglądzie kamienicy czynszowej, postawionej przez pomyłkę w tym niechlujnym zaułku na

tyłach różnych zabudowań. Wejście wygląda groźnie wskutek dziwnego oszalowania z desek, wielkości wychodka, wznoszonego każdej zimy nad kamiennymi schodkami dla ochrony baru przed kaprysami pogody. Królik był w tym klubie kilkanaście razy. Ani śladu słońca w środku. Na parterze bar, na piętrze pełno stolików do kart, przy których stare przyki z miasta naradzają się strategicznym szeptem. Królikowi alkohol i karty kojarzą się z przygnębiającym rodzajem grzechu, grzechu, który ma brzydki oddech; poza tym przygnębiała go atmosfera rozpolitykowania. Jego stary trener koszykówki. Marty Tothero, zanim wyrzucono go z trza-

20

skiem z liceum, maczał palce w lokalnych aferach, prawdopodobnie mieszka w tym budynku i, jak mówią, wciąż rozrabia. Królik nie lubi rozróbek, ale swojego trenera lubił. Tothero był dla niego następną po matce osobą obdarzoną siłą.

Strachem napęła go myśl o starym trenerze, który się gdzieś tu przyczaił. Mija budynek klubu, mija warsztat samochodowy i opuszczony kurnik. Zmierza wciąż w dół, gdyż miasteczko Sędziowska Góra leży na wschodnim stoku góry o tej samej nazwie, której stok zachodni wznosi się nad miastem Brewer. Chociaż to małe miasteczko spotyka się z dużym miastem przy autostradzie okrążającej górę od południa i prowadzącej do odległej o osiemdziesiąt kilometrów Filadelfii, to jednak nigdy ze sobą się nie łączą, bo rozdziela je góra swoim szerokim zielonym grzbietem, długim na trzy kilometry, biegnącym z północy na południe; grzbietem posiekany przez kopalnie żwiru, cementarze i nowe osiedla, ale powyżej pewnej linii wciąż strzegącym około setki akrów swego lasu, którego chłopcy nigdy nie mogli zbadać do końca. Większą jego część przenikają odgłosy samochodów wspinających się na drugim biegu po malowniczej drodze. Lecz na długich połączeniach zapomnianego sosnowego lasu jego podłoże z głuszącego kroki igliwia ciągnie się coraz wyżej i wyżej, coraz dalej i dalej tunelami matowej zieleni i wydaje ci się, że z ciszy przeszedłeś w coś gorszego. A potem trafiasz na plamę słońca, której gałęzie nie starają się zakryć, albo na rozwaloną, pełną kamieni piwnicę, którą przed wiekami wykopał jakiś dzielny osiadły tu siłacz, i żywy strach cię oblatuje, jak gdyby ten inny znak życia mógł ściągnąć uwagę na ciebie i drzemiąca w drzewach groza

zacznie działać. Strach bije w tobie jak dzwon na alarm i nie możesz go wyłączyć, im głośniej dzwoni, tym szybciej biegniesz zgięty w pół, dopóki całkiem wyraźnie nie usłyszysz, jak przejeżdżający blisko samochód z chrypliwym zgrzytem zmienia biegi, i wśród sosnowych pni nie zamajaczą proste, białe słupy ogrodzenia. Wówczas - bezpieczny na czarnej powierzchni asfaltu - możesz wybierać, czy zejść w dół, do domu, czy powędrować w górę, do hotelu "Pod Szczytami", żeby zjeść czekoladowy baton i podziwiać widok miasta Bre-

21

wer rozciągniętego w dole niczym dywan, czerwonego miasta, gdzie się maluje drzewo, blachę, nawet cegłę na czerwono, doniczkę pomarańczowej róży na czerwono, miasta niepodobnego w swoim kolorze do żadnego innego na kuli ziemskiej, chociaż dla dzieci w tym okręgu jest to jedyny kolor, jaki może mieć miasto, każde, wszystkie.

Góra wcześniej sprowadza zmierzch do tego miasta i teraz, dokładnie parę minut przed szóstą, w wigilię wiosennego zrównania dnia z nocą, wszystkie domy i dachy fabryk kryte papą bitumiczną, i ulice równoległe do stoku leżą w cieniu spływającym głęboko w dolinę na uprawne pola we wschodniej stronie. Na granicy tego cienia okna w bliźniaczych rzędach małych parterowych willi jarzą się odbiciem zachodzącego słońca. Jedno po drugim, niby nagle wygaszone lampy, okna te ciemnieją, w miarę jak słońce odpływa: najpierw opuszcza osiedle i płową, grodzoną płotami ziemię czekającą siewu, i pole golfowe, które z daleka można by wziąć za długie pastwisko, gdyby nie żółte pasma piachu - zasadzki; potem obejmuje przeciwległe wzgórza i płonie na ich zachodnich stokach z popołudniową dumą. Królik przystaje na końcu uliczki, skąd otwiera się rozległy widok. Bywał kiedyś na polu golfowym jako chłopiec noszący kije.

Pchnięty nieokreśloną koniecznością pośpiechu skręca w lewo na ulicę Jacksona. Mieszkał tam przez dwadzieścia lat z rodzicami w dwurodzinnym murowanym domku na rogu ulicy. Połowa od strony narożnika należała do sąsiadów, Bolgerów, wraz z wąskim podwórkiem, którego pani Angstrom zawsze im zazdrościła. Okna Bolgerów zabierają całe światło, a my siedzimy w ciemnicy. Przeskoczywszy niski

żywoplot z berberysu i drut chroniący go przed dziećmi, Królik po kryjomu zbliża się do swego starego domu. Stąpa ukradkiem po trawie rosnącej między dwiema wybetonowanymi ścieżkami prowadzącymi do dwóch ceglanych ścian; za jedną było ich mieszkanie, za drugą - rodziny Zimów. Pani Zim, o dużych wyłupiastych oczach i sinej zwiotczalej skórze, od rana do wieczora krzyczała na swoją córką Carolyn, która była ładniejsza, niż ma

22

prawo być pięcioletnia dziewczynka. Pan Zim był rudy i miał grube wargi, ale w jego córce Carolyn to, co chude i grube, niebieskie i czerwone, zdrowe i nerwowe - wymieszało się we właściwych proporcjach. Jej przedwczesna uroda zdawała się zjawiskiem obcym - z Francji albo Persji, albo z nieba. Widział to nawet Harry o sześć lat od niej starszy i ślepy na dziewczęta. Przez cały dzień pani Zim krzyczała na Carolyn, a kiedy pan Zim wracał po pracy do domu, oboje krzyczeli na siebie godzinami. Zaczynało się od tego, że pan Zim stawał w obronie dziewczynki, ale później, jak słyszeli sąsiedzi, otwierały się w nim stare rany niby płatki wielolistnego kwiatu, który rozkwita nocą. Mama Angstrom mawiała, że pan Zim zamorduje panią Zim, czasem mówiła, że ta mała zamorduje ich oboje, kiedy będą spali. Trzeba przyznać, że w Carolyn byjo coś okrutnego; kiedy osiągnęła wiek szkolny, zawsze wychodziła z domu z uśmiechem na twarzy w kształcie serca i krokiem kołyszącym się beztrosko, jakby cały świat do niej należał, chociaż Angstromowie tylko co słyszeli, jak w czasie śniadania matka wymyślała jej histerycznym głosem, gdyż okna ich kuchni dzieliła odległość mniej niż dwóch metrów. Jak ten biedny człowiek może to wytrzymać? Jeśli Carolyn i jej matka nie przestaną się kłócić, to pewnego pięknego poranka obudzą się bez swojego żywiciela. Ale przepowiednie mamy Angstrom nigdy się nie sprawdzały. Kiedy Zimowie się wynieśli, to wszyscy razem, pan i pani, i Carolyn, załadowali się do furgonetki i zniknęli, zostawiając połowę mebli na chodniku obok ciężarówki należącej do firmy przewozowej. Pan Zim dostał pracę w Cleveland w stanie Ohio. Biedacy, nikt ich nie będzie żałował. A jednak żałowano. Sprzedali swoją połowę domu parze starych gorliwych metodystów i ten stary odmawiał koszenia trawy rosnącej pomiędzy jego częścią domu i Angstromów.

Pan Zim, który pod koniec tygodnia pracował w ogródku przy każdej pogodzie, jakby to była jego jedyna przyjemność w życiu, i wcale się nie dziwię, zawsze przystrzygał całą trawę. Stary metodysta robił to tylko na swojej połowie - jedno pchnięcie kosiarki, którą natychmiast wycofywał

23

na własną ścieżkę, a przecież równie dobrze mógł się przejechać po całym trawniczku, nie zostawiając innym takiego drobiazgu. Kiedy słyszę, jak ten stary dureń terkocze tą swoją kosiarką po ścieżce, to moje ciśnienie tak mi skacze, że mało nie pękną mi uszy. Matka zabroniła jemu i ojcu przystrzygać trawę przez całe jedno lato i na tym maleńkim skrawku ziemi pozbawionym słońca trawa wyrosła po kolana, a w niej kłosa podobne do pszenicy i dwa jaskry, aż wreszcie w sierpniu przyszedł jakiś człowiek z miasta i powiedział, że muszą skosić trawę, bo takie jest zarządzenie. Bardzo przepraszał. Harry wyszedł do niego na próg i powiedział: "Oczywiście, doskonale", ale wtedy mama Angstrom zjawiała się za jego plecami i spytała: "O co chodzi?" To jej grządka kwiatowa. W żadnym wypadku nie pozwoli tego zniszczyć. Będąc jej synem, Królik poczuł się potwornie zawstydzony. A ten człowiek obrzucił ją spojrzeniem, wyjął z tylnej kieszeni spodni podniszczony notes i pokazał zarządzenie. Upierała się, że to jej kwietnik. Człowiek ten przeczytał głośno, jaka grzywna jej grozi, i opuścił werandę. W sobotę, kiedy robiła zakupy w Brewer, tata wziął z garażu sierp i ściał wszystkie chwasty, a Harry przeciągnął kosiarką tam i z powrotem po trawniku, póki nie wyglądał tak pięknie jak u metodysty, chociaż miał odcień brązowy. Czuł się winnym, gdy to robił, i obawiał się, że po powrocie matki wybuchnie kłótnia. Bał się tych kłótni między rodzicami. Kiedy widział w ich twarzach gniew i zaciętość, kiedy z obu stron padały ostre słowa, było mu tak, jakby jakaś szklana szyba odcinała go od powietrza; robiło mu się słabo i chronił się w jakimś najdalszym kącie domu. Tym razem nie było walki. Ojciec zaskoczył go kłamstwem, zaskoczył podwójnie, bo kłamiąc mrugnął do niego porozumiewawczo. Powiedział, że metodysta wreszcie złamał się i skosił trawę. Matka uwierzyła, lecz nie była zadowolona. Do końca dnia i jeszcze przez cały tydzień utrzymywała, że starego sekciarza trzeba podać do sądu. Poniekąd uwierzyła, że naprawdę posiada

grządkę kwiatów. A ten kawałek pomiędzy ścieżkami ma niewiele więcej jak trzydzieści centymetrów szerokości. Przejście po takim pasku zieleni wydaje się Harry'emu

24

niebezpieczne jak chodzenie po murze. Cofa się aż pod oświetlone okno, stąpając ostrożnie, żeby podeszwa nie skrzypnęła o beton, staje na palcach i zagląda w jasny kąt kuchni. Widzi siebie samego siedzącego na wysokim krzeselku i chwytającego go nagle spazm dziwnej zazdrości. Mija. To jego syn tam siedzi. Szyja dziecka lśni niby jeszcze jeden czysty przedmiot obok filizanek i talerzy, i chromowanych gałek, i aluminiowych blach do ciasta na półkach wyłożonych ceratą. Błyszczą okulary matki, gdy wychyla się ze swego miejsca, wyciągając nad stołem zgięte tłuste ramię zakończone łyżką dymiącej fasoli. Twarz jej nie zdradza cienia niepokoju, który matka na pewno odczuwa, ponieważ nikt nie zjawia się po dziecko, przeciwnie, twarz ta, z nosem ostrym jak dziób, wyraża jedno tylko życzenie: żeby dziecko jadło. Wargi, ściśnięte wianuszkami białych zmarszczek, wygładzają się w uśmiechu; widocznie usta Nelsona, których Królik nie widzi, wchłonęły fasolę. Reszta siedzących przy stole wygłasza pochwałę; ojciec niewyraźnie, siostra piskliwie - w obydwóch głosach jest coś nieprzekonującego. Królik nie słyszy, co mówią, przeszkadza mu szyba i szum krwi w głowie. Ojciec, który właśnie wrócił z pracy, jest w niebieskiej koszuli poplamionej atramentem i gdy znika z jego twarzy wyraz uznania dla wnuka, wygląda staro: zmęczony i posiwiały. Skóra na szyi zwisa mu jak wór. Zęby, które sprawił sobie przed rokiem, zmieniły mu twarz - zapadła się co najmniej o centymetr. Miriam, wysztafiowana na piątkowy wieczór w złoto i dzęty, obojętnie nabiera ze swego talerza pełną łyżkę fasoli i podsuwa dziecku: wyciągnięciem swego smukłego, białego, obwieszzonego bransoletkami ramienia nad dymiący stół wnosi jakąś barbarzyńską nutę do tej sceny. Za mocno się maluje. Przy swoich dziewiętnastu latach równie dobrze wygląda i bez tych zielonych powiek. Stara się nie uśmiechać, bo ma wystające zęby. Duża, kędzierzawa głowa Nelsona przechyla się na jasnej szyjce i skrócona perspektywą rączka dziecka - plama różowości w tym obrazie - niepewnie sięga po łyżkę, chce ją wziąć. Tata nad

talerzem pęka ze śmiechu, uśmiech rozciąga wargi Mim i - niszcząc wyraz wyższości w jej spojrzeniu spod oka - zamienia ją w małą dziewczynkę, którą

25

Królik woził na kierownicy roweru; jej rozwiane włosy biły go po oczach, gdy pędzili w dół stromymi ulicami Sędziowskiej Góry. Mim pozwala Nelsonowi wziąć łyżkę, dziecko natychmiast ją upuszcza i krzyczy: "Lałem! Lałem!" Królik słyszy te słowa i rozumie. Znaczą: "Wylałem." Tata i Mim uśmiechają się, robią jakieś uwagi, lecz mama, zacisnąwszy usta, nieubłaganie wkracza ze swoją łyżką. Karmi tu jego syna, dom ten jest szczęśliwszy od jego domu. Królik robi krok do tyłu na betonowej ścieżce i przemierza z powrotem skrawek trawnika pogrążony w ciszy. Jego działania nabierają teraz charakteru szybkiej decyzji. Idzie po ciemku do następnej przecznicy. Skręca w ulicę Józefa, biegnie, przebiega jeszcze jedną przecznicę i oto jego samochód, niewłaściwie zaparkowany po drugiej stronie ulicy, wyszczerza do niego swój zderzak. Maca kieszeń i wpada w panikę. Gdzie kluczyk? Wszystko, co sobie umyślił, zależy teraz od tego, jak dalece Janice jest niedbała. Albo, kiedy wychodził, zapomniała mu dać kluczyk, albo nie pofatygowała się wyjąć go ze stacyjki. Próbuje zgadnąć, co jest bardziej prawdopodobne, i nie potrafi. Nie zna jej aż tak dobrze. Nigdy nie wiadomo, do czego jest zdolna. Ona sama tego nie wie. Tępa.

W dużym domu Springerów światło pali się nie od frontu, tylko z tyłu. W słodko pachnącym cieniu pod drzewami Królik stąpa ostrożnie na wypadek, gdyby starsza pani czekała w ciemnym saloniku, żeby mu powiedzieć, co o nim myśli. Przecina ulicę. Obchodzi wóz od przodu, forda, model 1955, którego stary Springer, ze swoim rudawym wąsikiem a la Hitler, sprzedał mu za równy tysiąc dolarów w roku 1957, ponieważ żyjąc z handlu używanymi samochodami, wstydził się - ten tchórz i łobuz - że wydaje córkę za kogoś, kto ma zaledwie buicka z 1936; kupił go w 1953 będąc w wojsku w Teksasie za sto dwadzieścia pięć dolarów. Stary wydusił z zięcia tysiąc dolarów, których chłopak nie miał, i to w sytuacji, gdy buicka można było wyreperować za osiemdziesiąt. Coś podobnego! Tacy ludzie sprawiedliwie zasługują na wszystko, co ich spotyka. Królik otwiera wóz od strony siedzenia pasażera, zżyma się na ostre skrzypnięcie sprężyny w drzwiczkach i szybko wsuwa

głowę do środka. Bogu niech będą dzięki! Pod przełącznika świateł i wycieraczki zarys ośmiokąta, zdradza obecność kluczyka. Kochana kretynka. Królik ws"z guje się za kierownicę i zamyka drzwiczki, nie zatit u jąc, byle tylko metal otarł się o metal. Front otynkowane" go domu Springerów wciąż jest nie oświetlony Nie wiadomo, czemu przypomina mu nagle opuszczona budkę z lodami. Włącza stacyjkę, silnik warczy i zaskakuje. Królik, nie chcąc zdradzić swojej obecności, barczo delikatnie naciska pedał gazu; motor, wyziębiony d'uśim stanem w chłodnym powietrzu wczesnej wiosny, przery wa i gaśnie. Serce w Króliku zamiera, w gardle czuje suchość słomy. Ale właściwie, co się stanie, do ucna ciężkiego, jeżeli ona wyjdzie z domu? Jedyna pdejrżana rzecz to brak dziecka, może wtedy powiedzie ze właśnie jedzie po małego. Byłoby to zresztą najb™zieJ logiczne. Lecz nie chce być krępowany przymusem k'am" stwa, nawet tak wiarygodnego. Leciutko wyciąga Saę ręcznego ssania, tyle co na czubek palca, i nowu zapuszcza silnik. Naciska pedał i rzuciwszy spojrzenie w bok widzi, że u Springerów zapala się światło w salonie, puszcza sprzęgło i ford gwałtownie odjeżdża od krawężnika.

Królik jedzie ulicą Józefa z niedozwoloną szybkością, skręca w lewo, lekceważąc znak "stop", i dalej UIC'4 Jacksona do miejsca, gdzie ta zbiega się z Cenram będącą równocześnie autostradą 422 do Filadelfii Stop. Nie chce jechać do Filadelfii; za elektrownią, na s ,aJu miasta, droga rozszerza się i tu Królik mógłby zavrólc ' objeżdżając górę, trafić w Brewer na wieczorny szczy' przed kolacją, ale nie chce nigdy więcej widzieć teS miasta - miasta doniczek z kwiatami. AutostJ'ac'a z trzypasmowej przechodzi w czteropasmową i ni? grozi mu zderzenie z innym wozem; wszystkie płyną oboK siebie jak niesione prądem kłody drzewa. Królik nstawia radio. Piękna Murzynka nuci bez słów, a potem giPiewa: "Nie ma dnia bez piosenki, och, nie ma dnia..." Czuje się wyprany ze wszystkiego - dobry byłby papieros, myśli, ale przypomina sobie, że rzucił palenie, a to już daje mu wrażenie czystości. Rozsiada się wygodnie za kierownicą, wyciąga ramię na oparciu drugiego siedzenia i dalej Jedzie mroczniejącą drogą prowadząc lewą ręką. "Łany kukurydzy... - wibruje głos Murzynki, ciemny i ciepły jak wnętrze wiolonczeli - rosnących traw... -

Krajobraz z obu stron drogi nurtuje, niby ptak w przeciągłym locie. - ... i nie wiesz sam, co, kiedy i jak." Tu dreszcz ekstazy przenika go aż po czubek głowy. Zapach wyschniętej gumy zdradza nadmierne ogrzanie powietrza i Królik przesuwając maleńką dźwignię ogrzewania na "średnie".

Potajemna miłość. Jesienne liście i coś jeszcze, czego tytuł przegapił. Muzyka do kolacji. Muzyka do gotowania kolacji. Przez Janice. Myśl z lękiem ucieka od obrazu czegoś skwierczącego na patelni, prawdopodobnie kotletów, od smutnie wrzącej wody z oczkami tłuszczu, od mrożonego groszku, który w kłębach pary traci swoje witaminy. Próbuje myśleć o czymś przyjemnym. Wyobraża sobie, że długim rzutem jednej ręki posyła piłkę prosto do kosza, lecz czuje, że stoi na skale i że zleci w przepaść, gdy tylko wypuści pilicę z rąk. Próbuje przywrócić obraz matki i siostry karmiących jego syna, ale we wtórnym widzeniu chłopiec płacze, czółko ma czerwone, usta szeroko otwarte, a oddech gorący. Coś jednak musi znaleźć w pamięci: tę wodę z fabryki lodu płynącą rynsztokiem, żółtawą, która oplatała drobnym nurtem kamienie, potem marszczyła się ukośnie, kołysała wątle nitki śluzu przyczepione do brzegów. Nagle w pamięci zjawia się Janice - drży na łóżku koleżanki w uchodzącym świetle dnia. Królik próbuje zamazać ten obraz obrazem Miriam, malej Mim na kierownicy jego roweru, na saneczkach, które ciągnie w górę ulicy Jacksona o zmierzchu - roześmiana dziewczynka w kapturku i on, starszy brat, i pada śnieg, i migoczą czerwone światła na kozłach, którymi służba miejska ogrodziła teren, i w dół, w dół, w mrok, aż zaświszczą płozy sanek na ubitym śniegu. Trzymaj mnie, Harry. Iskry spod płóz, gdy sanki wpadają na popiół rozsypany w dole dla bezpieczeństwa, i zgrzyt jak uderzenie jakiegoś wielkiego serca w ciemności. Jeszcze tylko jeden raz, Harry. Potem pójdziemy do domu, przyrzekam. Och proszę, Harry, tak cię kocham. Mała Minn ma siedem lat, nie więcej, i ciemny kapturek; ulica jest wyslizgana i wciąż pada śnieg. Biedna

28

Janice już pewnie się denerwuje i dzwoni do swojej albo do jego matki zdumiona, że kolacja stygnie. Ależ tępa. Przebacz mi.

Dodaje gazu. Zagraża mu rosnąca gmatwanina świateł. Jedzie w stronę Filadelfii.

Nienawidzi Filadelfii. Najbrudniejsze miasto na świecie, piją tam zatrutą wodę, czuć ją chemikaliami. Chce jechać na południe, w dół mapy, gdzie są gaje pomarańczowe i parujące rzeki, i bosonogie kobiety. Wydaje się to całkiem proste jechać całą noc do świtu, do rana, w południe zaparkować na plaży, zdjąć buty i zasnąć nad Zatoką Meksykańską. Obudzi się mając gwiazdy nad głową, w idealnym miejscu, w idealnym zdrowiu. Ale on jedzie na wschód, w najgorszą stronę, gdzie jest niezdrowo, gdzie smród i brud, i sadza, duszna dziura, w której człowiek nie może się ruszyć, żeby kogoś nie zabić. A jednak autostrada wciąga go coraz dalej i tablica przy drodze oznajmia: POTTSTOWN 2. Omal nie hamuje. Ale potem się zastanawia. Jeżeli jedzie na wschód, to południe ma po prawej ręce. I oto, jak gdyby świat tylko czekał, by służyć jego zamiarom, zjawia się zapowiedź szerokiej drogi na prawo: droga 100 WEST CHESTER WILMINGTON. Droga 100 - to brzmi znakomicie, najlepiej. Królik nie chce jechać do Wilmington, ale kierunek mu odpowiada. Nigdy nie był w Wilmington należącym do rodziny Du Pontów. Jak to jest, myśli, kiedy się śpi z taką Du Pont.

Nie ujechawszy nawet ośmiu kilometrów, czuje, że nowa droga jest częścią starej pułapki. Przy pierwszej okazji skręca w prawo. Na słupie drogowym odczytuje w świetle reflektorów numer 23. Dobry numer. Kiedy był w dziesiątej klasie, zdobył w meczu międzyszkolnym dwadzieścia trzy punkty dla swojej drużyny. Uczeń dziesiątej klasy i prawiczek. Drzewa oceniają tę węższą drogę.

Jakaś bosonoga Du Pont. Nogi prawdopodobnie brązowe, piersi malutkie, ptasie. Gdzieś nad basenem we Francji. A w jej nagości kryją się pieniądze, głęboko, miliony. O milionach zawsze się myśli, że są białe. Wchodzisz gładko, głęboko i jeszcze dużo zostaje. Czy te bogate to frygidy? Nimfomanki? Pewnie różne. Kobiety jak kobiety. Pradziad oszukiwał Indian z większym szczęściem niż inni, ale byłyby z tej samej gliny, nawet

29

gdyby żyły w slumsach. Jeszcze bielsze ciała na szarych materacach. Cudownie potrafią owinać się dokoła człowieka, kiedy się rozpalą. W przeciwnym razie to tylko tłusty ciężar. Śmieszne, że te namiętne często są ciasne i suche, a te leniwe wilgotne.

Chcą, żebyś nie wchodził, tylko trzymał się twarde, wysoko, na tej ich małej krawędzi. Żebyś pieścił długo. Potem wystarczy dotknąć. Poznajesz po skórze pod futerkiem - robi się wiotka jak na karku szczenięcia.

Droga 23 biegnie na zachód przez małe, skromne miasteczka Coventryville, Elverson, Morgantown. Podobają mu się wysokie, kanciaste domy farmerów przytroczone do drogi. Miękkie kredowe pobocza. W jednym miasteczku jarzy się światłem zajazd i Królik staje naprzeciw niego przed sklepem z żelastwem i dwiema pompami benzynowymi na ulicy. Wie z radia, że dochodzi pół do ósmej, ale sklep jeszcze otwarty, w oknie łopaty, siewniki, świder łyżkowy i siekiery niebieskie, pomarańczowe i żółte obok wędek i pęków rękawic do baseballu na sznurku.

Wychodzi do niego mężczyzna w średnim wieku, w wysokich butach, w letnich, opadających spodniach i w dwóch koszulach.

- Słucham pana - mówi kładąc nacisk na ostatnim słowie, jak kulawy na zdrowej nodze.

- Może mi pan nalać zwykłej do pełna? Mężczyzna zaczyna pompować, Królik wysiada i obchodząc samochód pyta:

- Jak daleko stąd do Brewer?

Farmer przestaje się wsłuchiwać w bulgot benzyny i spogląda nieufnie na Królika.

- Niech pan zawróci i tamtą drogą jest dwadzieścia pięć kilometrów do mostu. -

Wskazuje palcem.

Dwadzieścia pięć. Przejechał sześćdziesiąt pięć kilometrów, żeby się oddalić o dwadzieścia pięć.

Ale to wystarczyło, był już w innym świecie. Inaczej tu pachnie, pachnie czymś starszym, pachnie takimi dziurami i zakamarkami, do których jeszcze nikt nie zajrzał.

- A jeżeli pojedę prosto?

- To dojedzie pan do Churchtown.

- A co jest potem?

- New Holland. Lancaster.

30

- Ma pan jakąś mapę?

- Dokąd chcesz jechać, synu?

- Ja? Sam nie wiem.

- Dokąd chcesz dojechać?

Mężczyzna jest cierpliwy. Twarz ma ojcowską, ale jednocześnie chytrą i głupią.

Po raz pierwszy Harry zdaje sobie sprawę, że jest przestępcą. Słyszy, jak benzyna dosięga wlotu zbiornika, patrzy, z jaką troską ten farmer wyciska każdą kroplę, ani jednej nie pozwoli przez niedbalstwo rozlać się poza otwór, jak by to zrobiono w każdej miejskiej stacji. Tutaj nie marnuje się ani kropli benzyny. W tej części kraju prawo to nie duchy, tutejsze prawa są przesiąknięte zapachem ziemi. Bezsensowny strach krzepnie w całym ciele Królika.

- Sprawdzić olej? - pyta ten człowiek, odwiesiwszy szlauch z boku zardzewiałej staromodnej pompy z pomalowaną szklaną głowicą.

- Nie. Chwileczkę. Albo tak. Proszę. Dziękuję. Trzeźwieje. Przecież nic nie""zrobił, poprosił tylko o

mapę. Czemu ten przeklęty gnojarsz taki ostry, o co go podejrzewa? Zawsze ktoś gdzieś jedzie. Lepiej sprawdzić olej, bo nie zamierza zatrzymywać się, zanim zrobi pół drogi do Georgii.

- Niech pan powie, jak daleko na południe jest Lancaster?

- Jedzie pan na południe? Nie wiem. Droga będzie około czterdziestu kilometrów.

Olej w porządku. To pan ma zamiar jechać teraz do Lancaster?

- Tak, możliwe.

- Sprawdzić wodę?

- Nie. Jest w porządku.

- Akumulator?

- Na medal. To będzie wszystko.

Farmer zamyka z trzaskiem maskę i posyła Harry'emu uśmiech.

- Należy się za benzynę trzy dolary dziewięćdziesiąt, młody człowieku. - Wymawia te słowa tak samo z trudem, ostrożnie, kulawo.

Królik kładzie cztery jednodolarowe banknoty na dłoni twardej i chropowatej; paznokcie przypominają

stare łopaty dziwacznie powyginane od zużycia. Farmer znika w sklepie, może dzwoni na policję. Zachowuje się tak, jakby coś wiedział, ale skąd może wiedzieć? Królika aż swędzi, żeby wskoczyć do wozu i zwiać. Dla odzyskania spokoju przelicza pieniądze, które mu zostały w portfelu. Siedemdziesiąt trzy. Dziś był dzień wypłaty. Samo pomacanie palcami takiej forsy dobrze robi na nerwy. Farmer pogasił światła w sklepie i wraca z dziesięcioma centami, ale bez mapy. Królik wyciąga stuloną dłoń po resztę, mężczyzna wciska mu ją swoim szerokim kciukiem i mówi:

- Szukałem, ale mam w sklepie tylko mapę stanu Nowy Jork. A może chce pan jechać w tamtą stronę?

- Nie - odpowiada Królik i zmierza do samochodu. Przez zarost na karku czuje, że ten człowiek idzie za nim. Wsiada i zatrzaskuje drzwiczki tuż przed nosem farmera, który jednak nie znika, wetknął twarz - kawał mięsa - w otwarte okno, a nawet schyla się i próbuje wsunąć do środka cały łeb. Cienkie, wykrzywione wargi, górna z blizną aż pod sam nos, poruszają się z namysłem. Nosi okulary. Nauczyciel, psiakrew!

- Żeby się gdzieś dostać, to zanim się ruszy, trzeba wiedzieć, dokąd się chce jechać. Królik czuje zapaszki whisky. Odpowiada ze spokojem:

- Wcale tak nie uważam. - Na co wargi i okulary, i czarne włosy sterczące z podłużnych jak kropla nozdrzy nie wyrażają żadnego zdziwienia. Królik rusza z miejsca prosto przed siebie. Każdy, kto ci radzi, co masz zrobić, zalatuje alkoholem. Jedzie do Lancaster, ale j już nie jest mu tak przyjemnie i lekko na duszy. Od tego, że ten facet nic nie wiedział, że po prostu był półgłówkiem, okolica robi się ponura. Nie dojeżdżając do Churchtown, Królik mija w mroku dwukółkę amiszów - mignął mu zarys brodatego mężczyzny i kobiety w czerni, łyskających złowrogo oczami - para diabłów w cieniu, z konnym zaprzęgiem. Broda Amiszowie to odgałęzienie protestanckiej sekty mennonitów, wywodzących się od anabaptystów. Cechuje ich szczególny konserwatyzm i surowość obyczajów, ubierają się w ciemne samodziały własnego wyrobu, nie uznają zdobyczy nowoczesnej techniki, nie posyłają dzieci do szkół średnich. (Przyp. tłum.)

sterczy z tej dwukółki jak włosy z nozdrza. Królik stara się pamiętać, że ci ludzie prowadzą żywot bogobojny, że trzymają się z dala od wszelkich oszustw tego świata, od tego dwudziestowiecznego naciągania ludzi na witaminy, ale to jednak diabły - myśli - ryzykują życie wlokąc się z jednym przyćmionym światełkiem z tyłu, nienawidząc jego i jemu podobnych, właścicieli dużych samochodów z puszystym ogonem tylnych świateł. Co oni sobie wyobrażają? Nie może ich rozgryźć. Nawet nie zobaczył ich w lusterku. Minał i nic nie zostało. Tylko to jedno spojrzenie kątem oka na twarz kobiety - w kwadracie cienia wąską, zamgloną. Wysoka trumna wlecze się drogą w tempie zdychającego konia. Amiszowie zaharowują swoje zwierzęta na śmierć, wiedział o tym. To fanatycy. Rzną swoje baby w polu stojąc, w ubraniu, podnoszą im tylko czarne kiecki, pod którymi nic nie ma. Żadnych majtek. Fanatycy. Czyciele nawozu.

Żyzna ziemia zdaje się rzucać cień na niebo. Okolice rolnicza jest w nocy posepna. Królik oddycha z ulgą, kiedy przymglone światła jego wozu zlewają się ze światłami Lancasteru. Zatrzymuje się przed barem, którego zegar wskazuje cztery minuty po ósmej. Nie zamierzał nic jeść, zanim wydostanie się poza granice stanu. Bierze mapę ze stojaka koło wejścia i studiuje ją przy barze, zjadając trzy hamburgery. Jest w Lancasterze, otoczonym przez miejscowości o śmiesznych nazwach - Schwytny Ptak, Raj, Obcowanie, Wietrzna Góra, Maskota. Tym, co tam mieszkają, na pewno nie wydają się śmieszne. Jak Sędziowska Góra; człowiek się przyzwyczajają. Miasto musi się jakoś nazywać.

Schwytny Ptak, Raj - Królik powraca oczami do nazw zaznaczonych na mapie delikatnym drukiem. Wyrwałby się tam chętnie z oparów benzyny, które wypełniają wnętrze tego przydrożnego, tandetnego baru, lśniące plastykiem. Małe pulchne kobiety, psyzabawki na ulicy, cukierkowe domy w cytrynowych promieniach słońca. Ale nie, jego celem jest białe słońce południa jak ogromna poduszka na niebie. A z mapy wynika, że jechał bardziej na zachód niż na południe. Gdyby dostał mapę u tamtego gnojka, to prułby od razu na południe drogą numer 10. Teraz pozostało mu tylko skierować się prosto

w serce Lancasteru, znaleźć 222, jechać cały czas w dół do Marylandu i tam znaleźć jedynekę. Zapamiętał sobie z lektury "Saturday Evening Post", że jedynka, biegnąca z Florydy do Maine, to widokowo najpiękniejsza trasa na świecie. Prosi o szklankę mleka z kawałkiem szarlotki, kruchy wierzch posypany jest kruszonką, i bardzo słusznie dodano cynamonu. Matka zawsze dawała cynamon do szarlotki. Płaci rozmieniając dziesięć dolarów i wychodzi na parking z uczuciem zadowolenia. Hamburgery były grubsze i cieplejsze od tych w Brewer, a bułki chyba podgrzane. Sytuacja już się poprawia.

Prawie pół godziny zabiera mu przejazd przez Lancaster. Drogą numer 222 jedzie przez Refton, Hessdale, New Providence i Quarryville, przez Mechanics Grove i Unicorn, a potem długi odcinek nudny, zupełnie nie oznaczony, i dopiero w Oakwood dowiaduje się, że to już Maryland. W radio słyszy Nie chcę innych ramion, innych warg, Trzymaj się Lee, firma Rayco poleca przezroczyste plastikowe pokrowce na siedzenia samochodów; Gdyby mi nie zależało, w wykonaniu Connie Francis, potem reklama urządzenia, które automatycznie zamyka i otwiera drzwi garażu; Pędziłem do domu, żeby cię przeprosić i Znane mi uczucie, piosenki Mela Torme, następnie reklama szerokoekranowych telewizorów wytwórni Westinghouse, z automatycznym regulatorem ("Jeden ruch palca daje ci obraz ostry jak nóż"); Piosenkę włoskiego kowboja i Ach !, śpiewa Duane Eddy, po nich reklama pióra "Wierny kompan papieru" i znów piosenka Prawie dorosły, i reklama płukanki do włosów ujarzmiającej najgęstsze kędziory; Przejdźmy się i wiadomości (prezydent Eisenhower i premier Harold Macmillan rozpoczynają serię rozmów w Gettysburgu; tybetańskie oddziały walczą z chińskimi komunistami w Lhasie, nadal nie znane jest miejsce pobytu Dalaj Lamy, duchowego przywódcy tego dalekiego i zacofanego kraju; testator z Park Avenue powierza ćwierć miliona dolarów swojej pokojówce; jutro przyjdzie kalendarzowa wiosna), wiadomości sportowe ("Jankesi" pokonali drużynę "Braves" w Miami; ktoś tam z kimś zremisował w otwartym turnieju w St. Petersburg; wynil lokalnego meczu koszykówki), pogoda (słonecznie i względnie ciepło); Szczęśliwa harmo-

nijka, Na luzie, Kasa Oszczędności ubezpiecza na życie; Rocksville (ulubiony przebój Królika) i Obraz, którego żaden malarz nie namaluje, reklama "PrestoPiany" - ulepszony krem do golenia firmy Barbasol - stosuj codziennie, zapewni ci skórę bez skazy i zmiękczy coś tam; Różowe sznurowadła śpiewa Dody Stevens; poKm list o chłopczyku, który nazywa się Billy Tessman, jest ofiarą wypadku samochodowego i prosi o kartki albo listy; Petit Fleur, Fungo (wspaniale) i reklama "WoolTexu" - garniturów z czystej wełny; Zerwanie Manciniego, Każdy lubi tańczyć czacza, reklama "Modlitwy Pańskiej" - nazwa serwetek stołowych - i wspaniałego obrusu "Ostatnia Wieczerza"; Bicie mego serca, reklama pasty do podłogi "Błyskawiczny Błysk"; piosenka Weos i potem te same wiadomości od początku. Gdzie jest DaN Lama?

Zaraz za Oakwood Królik wjeżdża na drogę numer 1 - kioski z gorącymi parówkami i reklamowe tablice Całso, i przydrożne zajazdy, imitacje traperskich szałasów, działają nieoczekiwanie przygnębiająco. Im dalej jedzie, tym mocniej odczuwa istnienie jakiegoś wielkiego bałaganu w systemie znakowania dróg, bo wychodzi iflu naprzeciw nie Filadelfia, lecz Baltimore. Zatrzymuje się przy stacji benzynowej, żeby kupić zwykłej za dwa dolaryW istocie chodzi mu o jakąś inną mapę. Rozkłada 'fl i studiuje przy automacie z cocacola, w świetle padającym z wystawy zazielenionej stosami puszek płynnego wosKu

Problem leży w tym, żeby dostać się na zachód, omijając drogę

BaltimoreWaszyngton, która jak dwugłowy pies strzeże nadbrzeżnej trasy wiodącej na południeW każdym razie nie chce jechać nad wodą, wymarzył sobie, że pojedzie prosto w rozłożysty, miękki -? brzuch kraju i swoją tablicą ze znakami z północy zaskoczy światle pola bawełny.

Teraz znajduje się gdzieś tutaj. Jadąc dalej drogą numer 23, skręci w lewo - nie, w prawo, do góry, ale tam droga zawraca z powrotem do Pensylwanii; będąc jednak tutaj, w Shawsville, może wybrać tę wąziutką, niebieską, nie numerowaną. Potem zjedzie niżej i wróci na numer 137. Skręci pod kątem ostrym w numer 482, następnie 31. Całym ciałem czuje ostry pęd na wirażu. Wpada na

czerwoną linię oznaczoną numerem 26, a stamtąd - na drogę numer 340. Też czerwoną. Pędzi przed siebie i nareszcie wie, dokąd chce jechać. Z górnego prawego rogu mapy, z północnego wschodu, biegną równolegle trzy czerwone drogi na południowy zachód; można niemal wyczuć, jak gładko prześlizgują się przez doliny Appalachów. Wystarczy dostać się na jedną z tych autostrad i rano człowiek zjedzie jak z pochylni prosto w błogi nizinny kraj bawełny. Tak. Z chwilą gdy znajdzie się na tym szlaku, może się otrząsnąć z myśli o bałaganie, który zostawił za sobą.

Wręcza dwa dolary za benzynę młodemu, wysokiemu Murzynowi i czuje nagle przedziwną chęć objęcia i uściskania tego giętkiego, leniwego ciała tonącego w luźnym kombinezonie. Tu, na południu, powietrze jest już nagrzane. Ciepło wiruje w brunatnych i fioletowych lukach pomiędzy światłami stacji i księżycem. Zegar w oknie wystawowym, wiszący nad zielonymi puszkami z płynnym woskiem, wskazuje dziesięć minut po dziewiątej. Cienka czerwona wskazówka ze spokojem omiata cyfry, jakby wygładzała drogę Królikowi, który wskakuje do swojego forda i w jego nagrzanym, dusznym wnętrzu zaczyna nucić. Każdy lubi tańczyć czacza.

Z początku śmiało pruje naprzód. Przez wzgórza i doliny, przez miasta i pola, i mylące skrzyżowania o syrenich głosach, pilnując się mapy rozpostartej na siedzeniu i numerów dróg i walcząc z pokusą skręcenia na oślep na południe. Zwierzęcym instynktem czuje, że jedzie na zachód.

Kraj staje się dzikszyszy. Droga omija wielkie jeziora i biegnie przez las. W górnym skraju przedniej szyby druty telefoniczne bezustannie smagają gwiazdy. Muzyka w radio powoli zamiera; stygnie młodzieżowy rock i przechodzi w stare standardy, piosenki rewiowe i pokrępowiające przeboje z lat czterdziestych. Królik wyobraża sobie małżeńskie pary wracające samochodem po kolacji i kinie do nianiek zostawionych przy dzieciach. Potem te melodie przestają płynąć jak ścięte lodem, miejsce ich zajmuje prawdziwa nocna muzyka, pianina i wibrafony wznoszą wysokie, kruche struktury oktaw, dźwięk klarnetu przebiega po nich jak dreszcz po stawie, saksofony w

36

kółko powtarzają swoje ósemki. Królik mija Westminster. Dojazd do Frederick trwa

całą wieczność. Skreca w trzysta czterdziestą i przejeżdża przez rzekę Potomac. Około północy, czując senność, zatrzymuje się na kawę w przydrożnej knajpie. Różni się tutaj czymś od reszty klientów, chociaż nie potrafiłby tej różnicy dokładnie określić. Oni też ją wyczuwają i patrzą na niego twardo, oczy mają jak metalowe pinezki wbite w białe twarze - młodzi ludzie w wiatrówkach z błyskawicznym zamkiem, po trzech w boksie z jedną dziewczyną, dziewczyny o pomarańczowych włosach wiszących jak morskie wodorosty, albo byle jak przytrzymanych spinkami złotymi niby pirackie klejnoty. Przy barze pary w średnim wieku, w płaszczach, wyciągają szyje do słomek tkwiących w szarej, musującej mieszance lodów waniliowych z wodą sodową. W milczeniu, jakie zapadło po jego wejściu, przesadna uprzejmość znużonej kobiety za kontuarem wzmagą w nim poczucie odmienności. Cichym głosem zamawia kawę i żeby zapanować nad niemiłym uczuciem w żołądku, wbija oczy w brzeg filiżanki. Myślał i czytał, że Ameryka, jak długa i szeroka, jest wszędzie taka sama. Zastanawia się: czy to ci ludzie są dla mnie obcy, czy cała Ameryka?

Na dworze jest rześko. Królik wzdryga się, słysząc kroki za plecami. To tylko para kochanków, trzymając się za ręce, spieszy do swego samochodu; ich splecione dłonie w ciemności jak skacząca rozgwieżdżona morska. Samochód z Zachodniej Wirginii. Wszystkie samochody mają takie tablice rejestracyjne, z wyjątkiem jego. Po drugiej stronie drogi lesiste zbocze opada w dół i ponad wierzchołkami drzew widać przeciwny stok jak wycięty z tektury i oparty o lekko spłowiałe, niebieskie prześcieradło. Z niesmakiem siada do swojego forda, ale duszne wnętrze samochodu to jego jedyne schronienie.

Jedzie przez gęstniejącą noc. Droga dłuży się, że można oszaleć - za każdym zakrętem niezmordowanie wyrasta przed jego światłami czarna ściana. Asfaltowa nawierzchnia czepia się opon. Zdaje sobie sprawę, że policzki mu płoną ze złości. Jest wściekły od chwili, gdy opuścił ten przydrożny bar pełen syren. Tak wściekły, że suchość policzków wyczuwa w ustach, za to nos ma mokry.

panowania na zakręcie, gdy dwa prawe koła grzęzną na miękkim poboczu. Wyprowadza wóz z powrotem na drogę, ale wciąż pozwala, by wskazówka szybkościomierza wycykłała się na prawo od dozwolonej szybkości.

Zamyka radio. Muzyka nie jest już rzeką, która go niesie z prądem, zamiast tego mówi głosem miast i głaszcze po głowie śliskimi rękami. Lecz w ciszę, która zapadła, Królik zabrania wtargnąć myślom. ?Jie chce myśleć, chce zasnąć i obudzić się z głową na piasku. Do północy zdążył przejechać tylko tyle! Ależ idiota z niego, kretyn, ciężki dureń! Połowa nocy zmarnowana.

Krajobraz nie chce się zmienić. Im dalej, tym bardziej przypomina okolice Sędziowskiej Góry. Tak samo zaniedbane pobocza, tak samo sfatygowane tablice z reklamami tych samych artykułów. Bóg wie, kto i kiedy zechce to kupić. Na górnej krawędzi jego świateł nagie gałązki drzew też tworzą podobną siatkę. Nawet wydaje się teraz gęstsza.

Wzbiera w nim zwierzęcy protest przeciwko tej jeździe na zachód. Sprzeciw umysłu też trwa. Jedyne sposob, żeby dojechać gdziekolwiek, to podjąć decyzję - dokąd? - i jechać.

Zgodnie z mapą powinien skrócić w lewo czterdzieści pięć kilometrów za Frederick, i właśnie tyle przejechał, więc widząc szeroką drogę po lewej ręce, pomimo wewnętrznego sprzeciwu skręca w nią, chociaż nie jest oznakowana. Nie musi być, na mapie jest zaznaczona tylko cienką linią. Wiadomo, że to skrót. Królik pamięta, że kiedy zaczął trenować z Martym Tothero, uparcie nie chciał wykonywać rzutów wolnych znad głowy, ale w końcu okazało się, że trener ma rację. I tak jest ze wszystkim - słuszna droga wydaje się z początku niesłuszna. Żeby wypróbować naszą wiarę.

Droga jest szeroka i przez wiele kilometrów budzi zaufanie, ale nagle przychodzi odcinek pełen łąt, potem wzniesienie: droga pnie się do góry i zwęża. Nie zwęża się faktycznie, ale w sposób naturalny kurczy się pobocze, z obydwu stron naciera las.

Pnąc się mozolnie w coraz ostrzejszych skrętach, droga niespodziewanie, bezzadne-
38

go uprzedzenia, gubi swoją asfaltową powłokę i wije się po ziemi. Teraz już Królik

wie, że źle wybrał, ale boi się zatrzymać wóz i zawrócić. Ostatnie światła jakiegoś domu zostawił za sobą o wiele kilometrów stąd. Kiedy próbuje wyminąć grzywę chwastów, kłujące jeżyny drapią mu lakier karoserii. Reflektory wyłapują z ciemności pnie drzew i niskie konary - nic więcej. Umykające cienie cofają się jak pająki w pajęczynę gąszczu, w czarne jądro lasu, i Królik boi się, że jego sondujące światła zbudzą jakąś bestię albo ducha. Wspiera szybkość modlitwą, modli się, żeby droga się nie urwała, pamiętając, że na Sędziowskiej Górze nawet najbardziej zarosnięta ścieżyna, najbardziej zapomniana dróżka w końcu schodzi w dolinę. Swędzą go uszy; działa na nie wysokość wzniesienia.

Nagrodą za modlitwę jest oślepienie. Na dalekim zakręcie najpierw drzewa wyskakują jak płomień, a potem wynurza się jakiś samochód i z zapalonymi światłami szosowymi pędzi prosto na niego. Królik ześlizguje się do rowu i rozjarzony samochód, jak śmierć bez twarzy, przelatuje z szybkością dwukrotnie większą od jego szybkości. Dłużej niż minutę Królik jedzie w oburzającym tumanie kurzu tego łobuza. Lecz łagodzi jego gniew dobra wiadomość, że ta droga dokądś prowadzi. I rzeczywiście, po krótkim czasie Królik dojeżdża do jakiegoś parku. Światła jego samochodu wyławiają zielone śmietniczki z napisem ZAPRASZAMY, drzewa rzedną po obydwu stronach i odsłaniają kanciaste stoły, pawilony i ustępy. Widać też opływowe sylwetki samochodów, kilka z nich zaparkowanych tuż przy drodze, pasażerowie ukryci w głębi, niewidoczni. A więc ta niesamowita droga jest ścieżką zakochanych. Jeszcze około stu metrów i koniec.

Łączy się ona pod kątem prostym z gładką, szeroką szosą, nad którą jak ciemna chmura wisi górską ścianą. Jeden samochód rwie prosto na północ. Inny - na południe. Znaków brak. Królik przesuwa lewarek na luz, zaciąga ręczny hamulec, zapala górne światło i studiuje mapę. Ręce i kolana mu drżą. Ze zmęczenia nie może zebrać myśli, w oczach ma piasek; musi być już pół do pierwszej albo później. Leżąca przed nim szosa jest pusta.

39

Zapomniał numerów dróg, które przejechał, i jak nazywały się miasta, które minął. Pamięta Frederick, ale nie może go znaleźć na mapie, i w porę zdaje sobie sprawę, że

szuka na zachód od Waszyngtonu, gdzie przecież nie był. Tyle tych czerwonych linii i niebieskich linii, długich nazw małych miasteczek, jakieś kwadraty i koła, i gwiazdy. Przesuwa wzrok na północ, lecz rozróżnia tylko prostą, kropkowaną linię granicy między Pensylwanią i Marylandem. Linia MasonaDixona. Staje mu nagle przed oczami klasa, w której się o tym uczył, rzędy wrosłych w podłogę pulpitów, lakier pełen blizn, mleczna czerń tablicy i wzdłuż przejścia ciasne szeregi zadków usadowionych w alfabetycznym porządku. Oczy mu zapadają, patrzą bezmyślnie. W głowie bije przerażająco powoli jakiś zegar, miękkie, rzadkie uderzenia, jak odgłos fal na brzegu, do którego chciał dojechać. Ostatnim wysiłkiem skupia uwagę i zamglony wzrok kieruje znów na mapę. I natychmiast skacze mu do oczu Frederick, lecz gdy próbuje określić pozycję tego miasta, znów traci je z oczu i czuje taką wściekłość, że boli go garbek na nosie. Wszystkie nazwy rozplývają się. Widzi całą mapę naraz - sieć czerwonych i niebieskich linii i gwiazd, sieć w którą wpadł, nie wiadomo jakim sposobem. Gniecie mapę w garściach i rwie na kawałki. Z westchnieniem rozpaczy wyrywa z niej duży trójkąt i rozdziera go na połowę, i już spokojnie składa kawałki jeden na drugim, i znowu drze na połowę i tak dalej, aż pozostają mu strzępy, które ugniata w kuleczkę. Opuszcza okno. Wyrzuca kulkę, która rozpada się i zmięte skrawki papieru wzlatują nad dach samochodu jak skrzydła oderwane od ciała. Podkręca okno korbką. Całą winę zwała na tego farmera w okularach i w dwóch koszulach. Śmieszne, jak mu ten facet zalał za skórę, nie może wygnać go z myśli ani tej jego kołtuńskiej pewności siebie, poniekąd - solidności. Natknął się tam na niego i wciąż się

Linia Masona Dixona wytycza granice między Pensylwanią a Marylandem. Ustalona pre brytyjskich astronomów i geometrów Charlesa Masona i Jeremiasha Dixona w latach 1763-1767 dla rozstrzygnięcia sporu granicznego pomiędzy rządami tych dwóch kolonii stanowiła aż do wojny domowej 1861-1865 granice między stanami wolnymi a niewolniczymi i jeszcze dzisiaj w potocznym znaczeniu dzieli w Stanach Północ od Południa. (Przyp. tłum.)

40

natyka, płacze mu się drań pod nogami jak za długie sznurowadło albo jakiś patyk.

Ten człowiek kpił sobie z niego słowami, powolnymi ruchami spracowanych rąk, może nawet włochatymi uszami - w jakiś sposób całym swoim ciałem wyrażał kpinę z tych ulotnych, nie sprecyzowanych nadziei, dzięki którym Harry czuje chwilami grunt pod nogami. Pomyśl, dokąd chcesz jechać, zanim tam ruszysz. Zupełnie nie o to chodzi, a jednak niewykluczone, że tych parę słów to może być właśnie to. W każdym razie, gdyby Królik zawierzył swemu instynktowi, byłby teraz w Południowej Karolinie. Szkoda, że nie ma papierosa, łatwiej byłoby odgadnąć, co teraz instynkt mu podpowiada. Postanawia zdrzemnąć się w samochodzie na parę godzin.

Jednakże za jego plecami z lasu zakochanych rusza jakiś wóz, światła zataczają koło i gniotą go w kark. Zatrzymał się na samym środku drogi, żeby spojrzeć na mapę. Musi teraz ruszyć z miejsca. Odczuwa bezmyślny strach, że go dogonią. Światła tego drugiego wozu wzbierają we wstecznym lusterku, wygląda ono jak filiżanka pełna ognia. Królik przekręca kluczyk, włącza pierwszy bieg i zwalnia ręczny hamulec. Wyskakuje na szosę, instynktownie skręca w prawo na północ.

Droga do domu jest łatwiejsza. Jedzie bez mapy i na resztkę benzyny, ale jak na skinienie czarodziejskiej różdżki zjawia się blisko Hagerstown całonocny "Mobilgas" i zielone światła zaczynają wskazywać drogę do autostrady pensylwańskiej. Muzyka w radio jest teraz kojąca, liryczna, nie przerywana reklamami, dociera najpierw z Harrisburga, potem z Filadelfii i tworzy wiodący go promień. Przełamał barierę zmęczenia, wkroczył w płaski, obojętny świat, w którym nic nie jest ważne. Ostatni kwadrans meczu koszykówki przenosił go zwykle w taki świat, już nie biegało się za piłką dla wyniku, jak ludzie sądzili, ale dla siebie i jakby z rozpędu. Liczyłeś się ty i czasem piłka, kosz i wysoko jego obręcz, idealnie okrągła ze swoją śliczną spódniczką z siatki. Byłeś ty, tylko ty i ten krąg z falbanką i raz sięgał ci - zdawało się - do ust, to znów tkwił daleko, oporny i obcy, i mały. Tłum wydawał się głupi, że klaskał albo jęczał z powodu tego, co ty już wcześniej czułeś w palcach, nawet w

41
ramionach gotowych do rzutu albo -jeśli już o to chodzi - w oczach. Będąc bardzo podniecony, Królik potrafił odróżnić pojedyncze nitki w sznurkach siatki na obręczy.

Ale na początku wieczoru, kiedy biegałeś po boisku dla rozgrzewki i widziałeś, jak kibice z całego miasta szturchają się łokciami, jak dziewczęta prowadzące chóralny doping błaznują z co przystojniejszymi nauczycielami, wtedy cały ten tłum ludzi był w tobie - w twojej wątrobie, płucach, żołądku. Przychodził na każdy mecz taki jeden tłuścioch, który dosłownie podbijał serce Królikowi. Ścisnęło go w dołku, kiedy słyszał: Hej, ty, strzelec! Magik! Strzelaj! Strzelaj! Królik wspomina go teraz z czułością; dla tego faceta był swego rodzaju bohaterem.

Przez cały poranek, przez te wczesne godziny tak czarne, muzyka brzmi bez przerwy i znaki drogowe nie zawodzą. Mózg Królika staje się słabowitym, ale czujnym kaleką, któremu tę muzykę i informacje topograficzne dostarcza gromada jakichś gońców przebiegających długie korytarze. Jednocześnie cała powierzchnia ciała robi się nienormalnie wrażliwa, jakby myślał skórą. Kierownica jest cienka w jego rękach jak bicz. Wystarczy lekki ruch, by poczuł sztywny obrót jej wału przekazywany na drążki układu i toczenie się łożysk w zapieczętowanych tunelach smaru. Światelka odbłaskowe na słupkach na poboczu kuszą do myślenia o młodych kobietach z rodu Du Pont: całe ich sznury snują się na wytwornych przyjęciach w tunikach obszytych cekinami, pod spodem są właściwie gołe. Czy bogate dziewczyny to frygidy? Nigdy się nie dowie.

Zastanawia się, dlaczego teraz jest tyle znaków przy drodze, a tak mało ich było, gdy wyjeżdżał. Oczywiście, nie wiedział wtedy, dokąd jedzie. Skręca z autostrady na szosę do Brewer i przejeżdża przez miasteczko, gdzie po raz pierwszy kupił benzynę. Gdy wjeżdża na drogę z tablicą BREWER 16, widzi po przekątnej, po drugiej stronie głównej ulicy, pompy benzynowe tego gnojka i w ciemnych oknach wystawy pojedyncze odbłaski łopat i wędek. Bije z tego okna zadowolenie. Powietrze zabarwia lekki odcień lawendy. Fala muzyki w radio rozbija się o zapowiedzi ciepłej pogody i ceny produktów rolnych.

42

Wjeżdża do Brewer od południa i widzi miasto w mglistym, zadymionym brzasku wschodzącego dnia jako stopniowe zwielokrotnienie domów wśród przydrożnych drzew, a potem bezdrzewny" ugór zajęty przez przemysł, fabryki butów i butelek i

parkingi różnych spółek handlowych, i tkalnie zamienione na wytwórnie części elektronicznych, i chore na elefantiazę zbiorniki ropy wznoszące się nad wysypiskiem śmieci na bagnie, a jednak niższe od błękitnego zarysu góry, z której grzbietu Brewer spływa niby ciepły dywan utkany na jednym wątku: o odcieniu cegły. Nad górą bledną gwiazdy.

Przejeżdża przez most Pędzącego Konia i jest wśród znajomych ulic. Skręca w Warrena, mijając południowy kraniec miasta, i wjeżdża na drogę numer 422, blisko parku miejskiego. Okrąża górę w towarzystwie kilku sapiących ciężarówek z przyczepami. Pomiędzy ich kołami jarzy się wschód słońca - rozgnieciona cząstka pomarańczy nad dalekim wzgórzem. Gdy skręca w lewo w ulicę Jacksona omal nie ociera się o cysternę z mlekiem, stojącą prawie na samym środku jezdni. Jedzie dalej ulicą Jacksona, mija dom rodziców i skręca w wąski zaułek. Chłodna, różowa bladeść zabarwia nagle budynki. Przejeżdża obok starego kurnika, obok milczącego warsztatu samochodowego i parkuje wóz naprzeciw Klubu Sportowego "Słońce", parę kroków od obitego deskami wejścia, gdzie musi go zauważyć każdy, kto wychodzi. Z nadzieją spogląda w górę na okna trzeciego piętra, ale nie ma w nich światła. Tothero, jeśli tam jest, to jeszcze śpi.

Królik układa się do snu. Zdejmuje marynarkę i przykrywa się nią jak kołdrą. Ale światła przybywa, legowisko Królika na przodzie wozu jest za krótkie a kierownica uwiera go w ramię. Nie kładzie się z tyłu, ponieważ rozbroiłoby go to do reszty; chce być zdolny do jazdy w ciągu sekundy, gdyby zaszła konieczność. Poza tym nie chce spać za mocno, by nie przegapić wyjścia starego trenera.

Leży więc skurczony we dwoje, nie wiedząc, co zrobić ze stopami, i patrzy przez kierownicę i przednią szybę na odnowiony, płaski, świeży błękit. Jest sobota i niebo ma tę sobotnią rozległość i jasność, i nijakość, którą Królik pamięta z lat chłopięcych, kiedy w sobotnie poranki niebo

43

było dla niego pustą tablicą czekającą na wyniki jakichś długich gier, które niebawem miały się zacząć.

Uliczką przejeżdża samochód, Królik przymyka oczy i ciemność pod powiekami

wibruje nieprzerwanym szumem samochodów z minionej nocy. Znowu widzi lasy, wąską drogę, ciemny gaj pełen samochodów, a każdy z milczącą parą w środku. Znowu myśli o celu swojej podróży - położyć się na piasku o świcie nad Zatoką Meksykańską - i szorstkie siedzenie fotela, na którym leży, wydaje się poniekąd tym piaskiem, a szum budzącego się miasta szumem morza.

Nie wolno mu przeoczyć Tothera. Otwiera oczy i próbuje dźwignąć się ze swego twardego posłania, na którym czuje się jak na marach. Czy za żadnym razem nic mu się nie uda? Niebo jest bez zmian.

Niepokoją go okna jego wozu. Unosi się na łokciu i sprawdza wszystkie po kolei. Tuż nad głową odkrywa szczelinę, starannie domyka okno i wciska wszystkie zapadki zamków. Poczucie bezpieczeństwa daje mu jakiś beznadziejny rodzaj odprężenia. Przysuwa twarz do szpary pomiędzy siedzeniem i oparciem. Obrót ciała wpycha kolana w twarde pionowe oparcie, dokuczliwość, która go na chwilę otrzeźwia. Gdzie spał jego syn, zastanawia się, co robiła Janice, gdzie szukali go jej i jego rodzice? Czy zawiadomili policję? Myśl o policji na sekundę go przygnębia.

Minioną noc, którą pozostawił w tym miejscu, widzi jako sieć rozmów telefonicznych i pospiesznych odwiedzin, sznury łąz i potoki słów; białe niepokojące wątki, tkane przez całą noc, zbladłe już teraz, ale wciąż istniejące; niewidzialną siecią rozciągniętą ponad stromymi ulicami, a w środku tej sieci leży on, bezpieczny w zamkniętym na cztery spusty samotnym legowisku.

Bawełna i mewy w półmroku i jej sposób odczuwania rozkoszy na łóżku koleżanki, nigdy już taka nie była na własnym. Ale zdarzały się dobre chwile: Janice wstydziła się swojej nagości nawet w pierwszych tygodniach po ślubie, a tymczasem pewnego wieczoru, wszedłszy nieoczekiwanie do łazienki, zobaczył lustro okryte parą i Janice, po prysznicu, pijaną i zadowoloną. Wycierała się leniwie małym niebieskim ręcznikiem, bezwstydnie wy-

44

piąwszy zadek jaskraworóżowy od gorącej wody, krągłe, kobiece, pulchne pośladki. Odwróciła się i roześmiała na widok jego twarzy, i podniosła ramiona, żeby go pocałować, cała różowa od pary, z tą swoją delikatną szyją i śliskim karkiem. Królik

układa się wygodniej, pamięć wraca w swoje ciemne łożysko; kark śliski, wygięcie pleców uległe, oboje na kolanach, spleceni ze sobą w pozie, jaka im się nigdy nie zdarzyła. Nagle uderza goleniem w klamkę, ból dziwnie łączy się z odgłosem uderzeń metalu o metal w dalekim warsztacie samochodowym. Zaczął się dzień pracy. To już ósma? Rozpoznaje upływ czasu po obrzmieniu spierzchniętych warg. Robi skręt i siada, okrywająca go marynarka spada na podłogę i oto w obryzganej przedniej szybie widzi postać swego trenera. Tothero odchodzi, jest już za tym starym wiejskim domem. Królik wyskakuje z wozu, wkłada marynarkę i biegnie za nim.

- Panie Tothero! Hej, panie Tothero!

Głos mu się łamie, stępał długo nie używany.

Mężczyzna odwraca głowę i zaskakuje go swoim wyglądem. Duży, zmęczony karzeł. Jakby go ktoś skrócił: wielka łysiejąca głowa, sportowa marynarka w jaskrawą kratę, pod tym krótkie, grube nogi w za długich niebieskich spodniach, które harmonijką opadają zygzakowato na buty. Królik przyhamował i zbliża się powolnym krokiem; boi się, że to pomyłka.

Lecz Tothero odzywa się tak, jak powinien:

- Harry, cudowny Harry Angstrom.

Wyciąga do niego rękę, drugą chwyta jego ramię w żelazny uścisk. Królik pamięta, że on zawsze miał zwyczaj dotykać rozmówcy. Tothero stoi, nie zwalniając uścisku, i patrzy na niego z łajdackim uśmieszkiem. Ma krzywy nos i jedno oko szeroko otwarte, drugie do połowy zasłonięte opadającą powieką. Twarz z biegiem lat coraz bardziej mu się wykrzywia. Łysieje nierówno: wyszczotkowane pasma siwych i ciemnoblonde włosów nie zakrywają ciemienia.

- Potrzebuję rady - mówi Królik i zaraz się poprawia: - Prawdę mówiąc, to potrzebuję miejsca, żeby się wyspać.

Tothero milczy, zanim odpowie. W takich milczeniach

45

jest jego wielka siła. Zwyczajem trenerów odczekuje dłuższą chwilę, by słowa nabrały wagi. W końcu pyta:

- Co się stało z twoim domem?

- Hm... nie ma go.

- Co masz na myśli?

- Było okropnie. Uciekłem. Naprawdę.

Znów pauza. Królik mruży oczy, razi go odbicie słońca od asfaltu. Boli lewe ucho. I zęby z tej strony też za chwilę mogą rozboleć.

- Dorosły człowiek tak nie postępuje - mówi Tothero.

- Nie mogłem wytrzymać.

- Z jakiego powodu?

- Nie wiem. Mara żonę alkoholicką.

- A próbowałeś jej pomóc?

- Oczywiście. Tylko jak?

- Czy piłeś razem z nią?

- Nie, nigdy. Nie z:noszę alkoholu, nie smakuje mi - odpowiada gorliwie, dumny, że może zakomunikować staremu trenerowi, iż nie zaszkodził swemu ciału.

- Może trzeba było - mówi Tothero po chwili. - Może gdybyś dzielił z nią tę przyjemność, potrafiłaby zapanować nad sobą.

Królik, oślepiiony słońcem, otepiały ze zmęczenia, nie pojmuje, o co chodzi.

- To Janice Springer, prawda? - pyta Tothero.

- Tak. Jest głupia jak but. Naprawdę głupia.

- Harry, to bardzo nieładnie mówić tak o kimkolwiek.

Królik potakuje, ponieważ Tothero zdaje się być pewny swego zdania. Zaczyna odczuwać własną słabość pod ciężarem pauz, które robi ten człowiek. Wydają się dłuższe niż dawniej, jak gdyby Tothero również czuł ich ciężar. I znowu tknięty lękiem Królik podejrzewa, że staremu trenerowi umysł zmętniał. Zaczyna od początku:

- Myślałem, że może mógłbym się przespać parę godzin gdzieś w klubie. Jeżeli nie, to pojedę do domu. Walę się z nóg.

Ku jego uldze Tothero energicznie zabiera się do działania. Bierze go za łokieć, kieruje z powrotem na ścieżkę, mówi:

- Tak, oczywiście, Harry, wyglądasz strasznie. - Ręka trenera trzyma ramię Królika z nieustępliwością metalu i Królik, popychany, ma wrażenie, że kość przedramienia przebito mu gwoździem. Jakiś element szaleństwa w tym żelaznym uścisku pomniejsza jego krzepiące działanie. Również głos trenera, dobitny teraz, szybki i wesoły, zbyt mocno kontrastuje z mglistym stanem ducha Harry'ego. - Poprosiłeś mnie o dwie rzeczy - mówi Tothero. - Dwie rzeczy. O miejsce do spania i o radę. A więc, Harry, dam ci miejsce do spania pod warunkiem, pod warunkiem, Harry, że kiedy się wyśpisz, to długo i poważnie, poważnie, mówię, porozmawiamy o twoim kryzysie małżeńskim. Już teraz powiem ci jedno: nie tyle się martwię o ciebie, znam cię dostatecznie dobrze, żeby wiedzieć, że zawsze padasz na cztery łapy, Harry; nie tyle się martwię o ciebie, ile o Janice. Ona nie ma twojej koordynacji ruchów.

Obiecujesz?

- Jasne. Obiecuję, ale co?

- Obiecuję, Harry, że pomyślimy obaj, jak jej pomóc.

- Dobra. Tylko coś mi się zdaje, że. nie potrafię. To znaczy, ona mnie aż tak nie obchodzi. Owszem, obchodziła, ale to się skończyło.

Są już przy murowanych stopniach i drewnianym oszalowaniu chroniącym wejście. Tothero otwiera drzwi własnym kluczem. Lokal jest pusty, milczący bar mroczny, a małe, okrągłe stoliki, pozbawione obecności siedzących przy nich ludzi, wyglądają lichy. Świetlne reklamy nad barem nie palą się, neonowe rurki i pozłotka wyglądają martwo. Tothero mówi trochę za głośno:

- Nie wierzę w to. Nie wierzę, że najlepszy z moich chłopców wyrósł na takiego potwora.

Potwór. Słowo to zdaje się z głośnym tupotem podążać za nimi po schodach, gdy wchodzi na pierwsze piętro.

- Spróbuję pomyśleć, kiedy się prześpię - odpowiada Królik ze skruchą.

- W porządku. Właśnie o to nam chodzi.

Co on ma na myśli mówiąc m y? Nikogo nie ma przy stolikach. Słońce rzuca płowe kwadraty na brunatną, spuszczoną roletę nad niskim kaloryferem czarnym od

kurzu., Na wąskich deskach nagiej podłogi znaczą się ścieżki wydeptane przez bywalców klubu.

Tothero prowadzi go do drzwi, których progu Królik nigdy nie przekroczył. Wchodzą na poddasze po stromych schodkach - jest to rodzaj przybitej drabiny; w prześwitach między jej stopniami widać druty izolacji i fragmenty niechlujnej stolarki. Na szczycie drabiny - światło.

- Oto moja rezydencja - mówi Tothero, macając niespokojnie klapy kieszeni swojej marynarki.

Okna małego pokoiku wychodzą na wschód. Przez dziurę w roletcie wsuwa się długi nóż słońca, celując w nie zasłane połowe łóżko pod boczną ścianą. Druga roleta jest podciągnięta. Pomiedzy oknami stoi coś w rodzaju szafki, sprytnie zrobionej z sześciu skrzynek po piwie związanych drutem. W tych sześciu skrzynkach mieszczą się koszule w celofanie z pralni, złożone podkoszulki i kalesonki, skarpetki zwinięte parami, chusteczki do nosa, wypucowane buty i w skórę oprawiona szczotka z wetkniętym grzebieniem. Na dwóch grubych gwoździach kilka wieszaków ze sportowymi marynarkami w krzyczących, wesołych kolorach. Gospodarność trenera kończy się na dbałości o własne ubranie. Podłoga jest usiana kłakami kurzu.

Wszędzie walają się różnego rodzaju gazety i magazyny ilustrowane, od "National Geographic" aż po powieści kryminalne dla młodzieży i komiksy włącznie.

Pomieszczenie zajmowane przez trenera jest wydzielone ze strychu, który stanowi rodzaj magazynu czy graciarni - widać tam plansze do zapisywania wyników turnieju w bezika, stoły bilardowe, jakieś drewniane i metalowe beczki i połamane, wyplatane krzesła, zwój kolczastego drutu, stroje do baseballu na wieszakach zaczepionych o rurę; biegnie ona pomiędzy dwiema ukośnymi belkami i zasłania światło padające z dalekiego okna w kącie.

- Gdzie tu jest toaleta? - pyta Królik.

- Na dole, Harry. Entuzjizm starego trenera wygaś; Tothero zdradza pewne zakłopotanie. W toalecie Królik słyszy nad głową niespokojne kroki starego, lecz po powrocie nie stwierdza żadnych zmian. Łóżko wciąż jest nie posłane.

ATothero czeka i Królik czeka, a po chwili zdaje sobie sprawę, że Tothero chce zobaczyć, jak on się rozbiera; rozbiera się więc i w podkoszulku i slipach wsuwa się do rozbabranej, letniej pościeli. Obrzydliwa myśl: wejść do barłogu starego, ale wrażenia są dobre; nareszcie można się wyciągnąć, czuje się bliskość solidnej, zimnej ściany, samochody, które może właśnie jego szukają, słysząc gdzieś daleko w dole. Wykręca szyję, żeby powiedzieć coś do trenera, i zaskoczony jest samotnością. Trzasnęły drzwi od strychu, przycichają kroki na schodach, potem odgłos klucza na dole w drzwiach wejściowych, jakiś ptak krzyczy pod oknem i aż tu dobiega słaby klangor warsztatu samochodowego. Nieprzyjemne, że ten stary tak stał i patrzył, lecz Królik jest przekonany, że to nic poważnego. Tothero zawsze był znany jako dziwkarz, a nie pedał. Skąd to przyglądanie się? Nagle już wie. To przenosi w przeszłość. Przecież on całe lata stał i przyglądał się, jak chłopcy się przebierali w szatni. Po rozwiązaniu tej zagadki napięte mięśnie Królika rozluźniają się. Widzi znów ową parę ze splecionymi rękami biegnącą przez parking tego baru w Zachodniej Wirginii i czuje wielki żal, że to nie on miał się dobrać do tej dziewczyny, dziewczyny z rozpuszczonymi włosami jak wodorosty. Ruda? Tam też? Dziewczyny w Zachodniej Wirginii pewnie są zylaste i ordynarne, i takie same śmieszki jak młode kurwy w Teksasie. Słodko przeciągały słowa, jakby się z nim droczyły. Ale miał wtedy dziewiętnaście lat. Szedł tą ulicą z Hanleyem i Jarzyło, i Shambergerem, obcisłe spodnie khaki odbierały mu spokój, we wszystkie strony ciągnęła się równina z horyzontem nie wyżej jego kolan, a wewnątrz domów widać było rodziny na kanapie, przed telewizorem, jak kury na jajach. Jarzyło, wariat, rechotał. Królik nie chciał wierzyć, że to ten dom. Kwiaty w oknie, prawdziwe, żywe, niewinne kwiaty w oknie. Najchętniej zawróciłby i uciekł. Kobieta, która podeszła do drzwi, z całą pewnością mogłaby w telewizji reklamować ciasto w proszku. Powiedziała jednak: "Wejdźcie, chłopcy, nie trzeba się wstydzić, wejdźcie i bawcie się dobrze"; zaprosiła ich tonem tak macierzyńskim, że weszli, a one już tam były, mniej, niż myślał, porozsiadane w salonie na fałszywych antykach z rzeźbio-

nieśmiałość; po prostu zwyczajne baby, może robotnice, nawet trudno było powiedzieć, że młode, twarze im błyszcząły dziwnie jak od światła neonów. Zasypały żołnierzy uwagami jak garścią kurzu, na co oni parskali śmiechem, zbici w gromadkę, zaskoczeni i oniemiaли. Ta, którą wziął - raczej ona go wzięła, podeszła i dotknęła, bluzkę miała zapiętą tylko na dwa guziki, licząc od dołu - na piętrze spytała go swoim chrapliwym, przesłodzonym głosem, czy chce mieć światło zapalone, czy zgaszone, a kiedy ze ściśniętego gardła wydusił "zgaszone", zaśmiała się i potem raz po raz uśmiechała się, leżąc pod nim i pracując ciałem, żeby mu dogodzić, i nawet przemawiała życzliwie: "Dobrze jest, kochanie. Dobrze to robisz. O, tak. Miałeś już lekcje." Więc kiedy było po wszystkim, stwierdził z przykrością po zmarszczkach w kącikach jej ust i bezwzględności, z jaką odmówiła poleżenia przy nim, tylko się podniosła, usiadła na brzegu metalowego łóżka i patrzyła przez ciemne okno na nocne, zielone niebo Teksasu, że jeśli chodzi o nią, to cały czas udawała. Rozzłościły go jej nieme plecy, na których w żółtobiałym świetle rysował się jaśniejszy ślad po wiązaniu kostiumu kąpielowego; chwycił za okrągłe ramię i brutalnie ją odwrócił. Mroczne kontury jej ciężkich piersi zwisały tak swobodnie i bezbronne, że odwrócił oczy. Powiedziała mu prosto do ucha: "Kochanie, nie zapłaciłeś za dwa razy." Sama słodycz! To o n a była pieniądzem. Z oddali dobiega stłumiony klangor warsztatu. Pociesza go, upewnia, że jest bezpieczny w tym ukryciu, że kiedy on się ukrywa, inni wykuwają świat młotem, i ku tym odcieleśnionym dźwiękom serce jego zwraca się w mroku gestem miłości.

Sen ma płytki, przelotne wizje. Drgawki w nogach. Lekko porusza wargami przy poduszce. Zamknięte powieki drżą, gdy przewracając gałkami oczu śledzi przebieg sennego widzenia. Poza tym jest jak nieżywy, nikt mu nic nie może zrobić. Nóż słońca na ścianie nad jego głową sunie powoli w dół, kraje mu piersi, zamienia się w monetę na podłodze i znika. Budzi się nagle w cieniu, bladoniebie-

50

skimi źrenicami bada nieznane płaszczyzny, szukając źródła ludzkich głosów. Głosy dobiegają z dołu, a łoskot sugeruje, że przesuwiają tam meble, tupią, polują na niego. Lecz oto rozlega się znany gardłowy bas, to Tothero, i dokoła tego trwałego ośrodka

krystalizują się inne dźwięki; o piętro niżej gra się w karty, pije, wygłupia wśród towarzyskiej paplaniny. W gorącym zagłębieniu łóżka Królik odwraca twarz do chłodnego towarzysza - ściany - i z czerwonego stożka świadomości zsuwa się z powrotem w sen.

- Harry! Harry!

Głos ten zdaje się potrząsać go za ramię, targać za włosy. Królik odwraca się od ściany, zezuje w górę ku znikającemu słońcu. Tothero siedzi wśród cieni, mroczna sylwetka pełna jakiegoś niepokoju. Jego brudnomleczna twarz pochyła się do przodu, przecięta ukośną blizną uśmiechu. Zalatuje od niego zapachem whisky.

- Harry, mam dla ciebie dziewczynę!

- Świetnie. Dawajcie ją tu.

Stary śmieje się z zakłopotaniem. Co ma na myśli?

- Czy to Janice?

- Już po szóstej. Wstawaj, Harry, spałeś rozkosznie jak niemowlę. Idziemy.

- Dlaczego? - Chciał zapytać: dokąd?

- Cośżeś, Harry. Trzeba coś zjeść. Zjeść. Wstań, chłopcze. Czy nie jesteś głodny?

Głód. Głód. - Zwariował stary. - Och, Harry, ty nie potrafisz zrozumieć, co to jest głód starego człowieka, jesz i jesz i nigdy to, co naprawdę chciałbyś zjeść. Nie potrafisz tego zrozumieć. - Tothero podchodzi do okna i wygląda na uliczkę, w mdłym świetle jego tępy profil wydaje się ołowiany.

Królik odrzuca koce, przerzuciwszy gołe nogi przez brzeg łóżka, przeciąga się w pozycji siedzącej. Widok własnych ud, równych, czystych, przywraca ład zmałym myślom. Włosy na nogach, niegdyś delikatne blade runo, ciemnieją i gęstnieją. Jak zarost. W nos bije woń spoconego od snu ciała.

- Co z tą dziewczyną?

- Co? Ano właśnie. Dobra dupa! - wykrzykuje Tothero jednym tchem i w szarym świetle przy oknie twarz mu się nagle zapada; chyba sam jest zaskoczony

51

faktem, że powiedział tak nieoczekiwanie ordynarne słowo. Ale jednocześnie obserwuje Królika, jakby go poddał jakiejś próbie. Upewniony co do jej wyniku,

poprawia: - Nie. Mam znajomą, znajomą w Brewer, można by nawet powiedzieć, że to moja dziewczyna, stawiam jej czasem kolację. Ale nic poza tym, niewiele więcej. Harry, jesteś taki niewinny.

Królik zaczyna się bać - stary trener gada od rzeczy.

- Chyba najlepiej będzie - mówi wstając w bieliźnie

- jak sobie pojadę. - Kłaki kurzu na podłodze przylepiają się do jego gołych podeszew.

- O, Harry! Harry! - wykrzykuje Tothero z przejęciem. W jego głosie jest mieszanina bólu i przywiązania. Podchodzi i obejmuje Królika ramieniem. - Ty i ja jesteśmy z jednej gliny! - Duża, krzywa twarz zwraca się ku niemu z żarliwą ufnością, ale Królik nie rozumie. Pamięć dawnych zasług trenera skłania go jednak do słuchania. - Ty i ja wiemy, co się liczy, my wiemy... - I właśnie w tym miejscu, dotknąwszy sedna sprawy, Tothero urywa; widać, że sobie podpił. - My wiemy - powtarza - i cofa ramię. Królik mówi:

- Myślałem, że porozmawiamy o Janice, kiedy się wyśpię. - Podnosi z podłogi spodnie i wkłada. Pogniecione. Martwi go to i przypomina, że uciekł z domu - ryzykowna decyzja. I znów czuje ściskanie w dołku i w gardle, jakby się tam wszystko kurczyło i fałdowało.

- Porozmawiamy, porozmawiamy - mówi Tothero

- z chwilą gdy zostaną wypełnione towarzyskie zobowiązania. - Pauza. - Chyba że chcesz teraz wracać? Musisz mi to powiedzieć.

Królik przypomina sobie szparę jej bezmyślnie nie domkniętych ust, drzwi szafy wiecznie uderzające o telewizor.

- Nie. Za Boga.

Tothero nie posiada się z radości; to ze szczęścia zrobił się taki gadatliwy.

- Doskonale, doskonale. Ubierz się. Nie możemy jechać do Brewer nie ubrani. Może chcesz czystą koszulę?

- Chyba nie będzie na mnie dobra.

- Nie będzie? A jaki nosisz numer, Harry?

- Czterdziesty.

- Tak jak ja. Mój numer. Dokładnie taki sam. Masz krótkie ręce jak na swój wzrost. To wspaniale, Harry. Nie potrafię ci powiedzieć, co to dla mnie znaczy, żeś przyszedł do mnie, kiedy szukasz pomocy. Ile to lat - mówi zdzierając celofan z koszuli wyjętej z szafki, którą zrobił ze skrzynek po piwie. - Ile to lat... Tylu chłopców przechodziło przez moje ręce i zniknęło na zawsze. Nigdy nie wracają, Harry, nigdy nie wracają. Królik patrzy na swoje odbicie falujące w lustrze. Jest zaskoczony, że koszula pasuje jak ulał. Różnica między nimi musi polegać tylko na długości nóg. Tothero przygląda się jego ubraniu i papie jak matka dumna ze swego syna. Mówi do sensu teraz, gdy minęła kłopotliwa konieczność wyjaśnienia, co będą robić. - Serce się we mnie raduje, Harry - powiada - kiedy widzę młodość przed lustrem. Jak dawno, Harry, ale powiedz prawdę, jak dawno nie bawiłeś się? Jak dawno?

- Zabawiłem się tej nocy - odpowiada Królik. - Pojechałem do Zachodniej Wirginii i z powrotem.

- Spodoba ci się moja pani, wiem, że ci się spodoba. Kwiatuszek z miasta. Petunia - ciągnie Tothero. - Przyjedzie z dziewczyną, krórej nie znam. Powiedziała, że gruba. Mojej pani cały świat wydaje się gruby, ale jak ona je, Harry! Apetyt młodości. Świetnie wiążesz krawat, wy, młodzi, znacie sposoby, których ja się nigdy nie nauczyłem.

- Nic nadzwyczajnego. Podwójny węzeł.

Królik czuje, że ubranie przywraca mu spokój. Przebudzenie cofnęło go w jakiś sposób do świata, od którego uciekł. Brakowało mu natrętnej obecności Janice, dziecka i jego krzykliwych żądań, własnych ścian. Zastanawiał się nad tym, co zrobił. Lecz teraz zniknęły te refleksje - powierzchowny odruch - i do głosu dochodzą głębsze instynkty, które mówią mu, że ma rację. Wszędzie dokoła siebie czuje wolność jak tlen. Tothero to wir powietrza, ten klub, ulice miasta to schody i drogi otwarte w kosmos. Tak doskonała jest ta wolność, taką ma trwałą konsystencję, tak całkowicie wchłonęła zgiełk świata, gdy uwolnił się od niego jedną decyzją niby pociągnięciem cyngla, że wszystkie drogi zdają się jednakowo dobre, każdy ruch

będzie dla jego skóry jak pieszczota i nawet jeden atom jego szczęścia nie dozna uszczerbku, jeśli Tothero powie, że pójda spotkać się z dwiema kozami zamiast z dziewczynami i nie w Brewer, tylko w Tybecie. Wiąże krawat z najwyższą uwagą, jak gdyby linie jego węzła wraz z kołnierzykiem koszuli trenera i jego własną krtanią tworzyły ramiona jakiejś gwiazdy, które po zawiązaniu krawata rozciągną się aż po granice kosmosu. To on jest Dalaj Lamą. W jego pole widzenia jak chmura wkracza Tothero, podchodząc do okna.

- Czy mój samochód wciąż tam stoi? - pyta Królik.

- Twój wóz jest niebieski. Tak. Wkładaj buty.

- Ciekaw jestem, czy ktoś go zauważył. Słyszał pan może, co mówią na mieście, kiedy spałem? - Bo w nieogarnionej pustce swojej wolności Królik pamięta, że są na niej skazy: dom, żona, ich mieszkanie - skrzepy niepokoju. Wydaje się rzeczą niemożliwą, żeby upływ czasu rozpuścił te skrzepy tak szybko, lecz w odpowiedzi trenera jest nadzieja.

- Nie, nie słyszałem. - I dodaje: - Ale, oczywiście, nie byłem tam, gdzie mogli o tobie mówić.

Złości Królika, że Tothero interesuje się jego osobą jedynie jako towarzyszem wesołej zabawy.

- Powinienem iść dzisiaj do pracy - mówi znacząco, jakby ganiąc starego. - Sobota to ważny dzień.

- Co robisz?

- Demonstruję w tanich domach towarowych kuchenne urządzenie do obierania jarzyn, które się nazywa "Magik".

- Szlachetna misja - mówi Tothero i odwraca się od okna. - Świetnie, Harry.

Nareszcie się ubrałeś.

- Ma pan tu grzebień? Muszę skorzystać z toalety. Pod ich nogami mężczyźni w klubie "Słońce" rechoczą

na całe gardło - rozbawił ich jakiś głupi kawał. Trzeba będzie przejść pomiędzy nimi, myśli Królik, i pyta:

- Czy wszyscy muszą mnie widzieć, proszę pana?

Tothero jest niezadowolony jak kiedyś w czasie treningu, kiedy chłopcy rozrabiali pod koszem zamiast ćwiczyć porządnie.

- Czego ty się boisz, Harry? Tej biednej Janice Springer? Przeceniasz ludzi. Nikt się nie przejmuje tym,

54

Ico robisz. A teraz zejdziemy na dół, i tylko nie marudź mi za długo w toalecie, dobrze? A gdzie jest podziękowanie za to, co dla ciebie zrobiłem i robię? - I wyjąwszy grzebień ze szczotki do włosów podaje go Harry'emu.

Bojąc się splamić swoją wolność jakąś konwencjonalną formułą wdzięczności, Królik rzuca przez zaciśnięte zęby:

- Dziękuję.

Schodzą na dół. Wbrew zapewnieniom Tothera, wszyscy mężczyźni - starzy przeważnie, ale nie bardzo starzy, stąd widok ich zniekształconych ciał jest tak odrażający - z ciekawością patrzą na niego. Tothero jak idiota przedstawia go wszystkim, powtarzając:

- Fred, to mój najlepszy chłopak, król strzelców, Harry Angstrom. Pewnie pamiętasz to nazwisko z prasy; dwa razy pobił rekord okręgu, raz w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym, a potem własny rekord w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym, wspaniały wyczyn.

- Co ty powiesz, Marty?

- Harry, to prawdziwy zaszczyt.

Z uśmiezkiem ponurym jak ich usta, karmią bezbarwne, bystre oczy widokiem obcego przybysza i odebrane - kwaśne - wrażenie będą potem przetrawiać w swoich wstrętnych, ciężkich żołądkach macerowanych piwem. Królik widzi, że mają starego trenera za durnia, i wstydzi się przyjaciela i siebie samego. Chowa się w klozecie. Z sedesu złazi farba, umywalkę poplamiały rdzawe łzy gorącej wody, która kapie z kranu. Ściany są tłuste, wieszak na ręcznik pusty. Jest coś przerażającego w wysokości małego sufitu - kwadratowy metr metalu z delikatnie wytłoczonym wzorem pokrywają pajęczyny, w których uwięzły białe zwłoki jakichś owadów. Nastrój przygnębienia rośnie, grozi pełnym bezwładem. Królik wychodzi i

przyląca się do trenera, który utyka i dziwnie wykrzywia twarz - opuszczają to miejsce jak we śnie. Fakt, że Tothero wsiada do jego samochodu, Królik odczuwa jak obrazę, obcy najazd. Trener jak we śnie nie przestaje zadawać pytań, a Królik wsuwa się za kierownicę i odnowiony kontakt rąk i nóg z pedałami i deską rozdzielczą czyni go znowu panem sytuacji. Na mokro wyszczotkowane włosy sztywno sterczą mu na głowie.

Pyta ostro trenera:

55

- A więc uważa pan, że powinienem pić razem z Janice?

- Rób, co ci serce dyktuje - odpowiada Tothero. - Serce jest naszym jedynym doradcą. - Zmęczony głos starego trenera brzmi jak z oddali.

- Do Brewer? Nie ma odpowiedzi.

Królik jedzie uliczką do alei Pottera, gdzie kiedyś ściekała woda z fabryki lodu.

Bierze zakręt w prawo, z dala od ulicy Wilbura, na której mieszka, skręca jeszcze dwa razy, jest na Centralnej przechodzącej w autostradę, którą jedzie do Brewer. Na lewo ziemia opada w wąwóz, którym płynie w dole spokojna wstęga Rzeki Pędzącego Konia, na prawo jarzą się stacje benzynowe, kolorowe żaróweczki mrugają na drutach, samochody dają znać o sobie światłami. W miarę jak przeredza się miasto, rozwiązuje się język starego trenera.

- Co do tych pań, z którymi mamy się spotkać, to nie mam pojęcia, jaka jest ta druga, ale wiem, Harry, że okażesz się dżentelmenem. Jedno ci gwarantuję: polubisz moją przyjaciółkę. To nadzwyczajna dziewczyna, Harry, wszystko się przeciw niej sprzymięło od samego urodzenia, ale zrobiła nadzwyczajną rzecz.

- Co?

- Wzięła się w garść. Czy nie o to chodzi, Harry, żeby się wziąć w garść? Wielkie dla mnie szczęście, wielkie - mówię to z pokorą - taki subtelny, bo jest subtelny, związek z dziewczyną.

- Taaak?

- Czy wiesz, że młoda kobieta ma włosy na każdej

części ciała?

- Nie zastanawiałem się nad tym. - Brudna strużka niesmaku zalewa mu gardło.

- Zastanów się - mówi Tothero. - Pomyśl o tym. To są małpy, Harry. Kobiety to małpy.

Oświadcza to z taką powagą, że zmusza Królika do śmiechu. Tothero też się śmieje i przysuwa bliżej.

- A jednak kochamy kobiety, prawda? Harry, dlaczego je kochamy? Jeśli znajdziesz odpowiedź, to rozwiążesz zagadkę życia. - Trener kręci się na siedzeniu, zakłada 56

nogę na nogę, przekłada, nachyla się i klepie Królika po ramieniu, potem odchyła się w bok i wygląda przez okno, i znów się odwraca, żeby go poklepać. - Jestem bardzo brzydki. Kogoś takiego można się naprawdę brzydzić. Harry, coś ci powiem. - Będąc trenerem zawsze człowiekowi coś mówił. - Moja żona twierdzi, że wzbudzam obrzydzenie. Ale czy wiesz, kiedy to się zaczęło? Zaczęło się od jej skóry. Pewnego dnia na wiosnę, w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim albo czwartym, było to w czasie wojny, nagle ni stąd, ni zowąd jej skóra zrobiła się ohydna. Wyglądało to, jakby ktoś zeszył razem skórki tysiąca jaszczurek. Zeszył niezdarnie. Możesz sobie wyobrazić? Czuło się, że to jest pokawałkowane, rozumiesz? Coś strasznego. Słuchasz mnie, Harry? Nie słuchasz? Zastanawiasz się, dlaczego do mnie przyszedłeś.

- Martwi mnie to, co pan powiedział rano o Janice.

- Janice! Nie mówmy o takich kretynkach jak Janice Springer. Harry, chłopcze, noc się zaczyna. Nie czas na litość. Prawdziwe kobiety spadają nam z drzew. - Imitując ruchami rąk spадanie, dodaje: Plip, plip, plip. plap!

Założywszy nawet, że ten człowiek to wariat, ciekawe, co będzie dalej. Królik parkuje samochód przy alei Weisera i tam zastają dziewczęta przed chińską restauracją.

Czekające pod szkarłatnym neonem, mają delikatność kwiatów; czerwony blask aureolą otacza ich puszyste włosy. Królikowi idącemu po chodniku, serce rwie się do

nich. Są już we czworo. Tothero przedstawia Margaret:

- Margaret Kosko, Harry Angstrom, mój najlepszy uczeń, przyjemnie mi, że mogę zapoznać ze sobą dwoje tak wspaniałych młodych ludzi. - Stary trener zachowuje się dziwnie nieśmiało, wyczuwa się w jego głosie, że chciałby odkaszląć.

Po reklamie, jaką jej zrobił Tothero, Królik ze zdumieniem patrzy na Margaret - druga Janice: ta sama skondensowana szarość, takie uparte małe nic.

- To jest Ruth Leonard - mówi Margaret ledwie otwierając usta - a to Marty Tothero i... jak ci na imię?

- Harry albo Królik.

- Królik! Oczywiście - wykrzykuje Tothero. -

57

Tak cię chłopcy nazywali. Zupełnie zapomniałem. - Kaszle.

- Bardzo duży królik - stwierdza Ruth. Wydaje się tęga w porównaniu z Margaret, ale nie za

tęga. Przy kości. Wysoka. Ma tępe, niebieskie oczy w kwadratowo wyciętych oczodołach. Biodra jej rozpychają sukienkę, pod którą - nawet gdy stoi - rysuje się fałda brzucha. Ciemnorude włosy związane w kok z tyłu głowy. Za nią liczniki parkingu ze swoimi czerwonymi jęzorami cofają się szeregiem wzdłuż krawężnika, a u jej stóp, ściśniętych paskami lawendowych sandałów, cztery kwadratowe płyty chodnika łączą się w literę X.

- Tak się tylko zdaje - mówi Królik.

- To samo ze mną - mówi Ruth.

- Rany, jaki jestem głodny - zwierza się Królik wszystkim obecnym, byle coś powiedzieć. Nie wiadomo dlaczego, poczuł nagle dreszcze.

- Jeść, jeść - mówi Tothero, jakby wdzięczny za przypomnienie. - Dokąd chcą pójść moje małe?

- Może tutaj? - proponuje Harry.

Ze sposobu, w jaki patrzą na niego obydwie dziewczyny, widzi, że chcą, aby objął komendę. Tothero drepcze w kółko bokiem jak krab i wpada na jakąś przechodzącą parę w średnim wieku. Jego twarz wyraża takie zdumienie z powodu zderzenia, a on

sam z taką przesadą zaczyna przeproszać, że Ruth wybucha śmiechem. Jej śmiech brzmi na ulicy jak garść drobnych monet rzuconych na chodnik. Słyszając ten śmiech, Królik doznaje uczucia odprężenia; przestrzeń między muskularni na piersi jakby się wypełniła ciepłym powietrzem. Tothero pierwszy pcha się w oszklone drzwi, Margaret idzie za nim; Ruth bierze Królika za ramię i mówi:

- Znam cię, chodziłam do liceum w West Brewer, ukończyłam je w pięćdziesiątym pierwszym.

- Mój rocznik. - Podoba mu się, że dotknęła ręką jego ramienia, i że są w tym samym wieku, jakby w szkołach na przeciwległych krańcach miasta nauczyli się tych samych rzeczy i zdobyli takie same poglądy na życie. Poglądy z roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego.

- Ogrywaliście nas - mówi Ruth.

58

- Mieliście nędzną drużynę.

- Wcale nie. Chodziłam z trzema chłopakami z tej drużyny.

- Z trzema naraz?

- Poniekąd.

- No tak. Wyglądali na zmęczonych.

Na to ona znów się śmieje, rozrzucone dzwoniące monety, chociaż Królik wstydzi się tego, co powiedział; jest taka dobroduszna, a wtedy może nawet była ładna. Ma teraz niedobrą cerę. Ale gęste włosy - to też coś znaczy.

Młody Chińczyk w podniszczonej płóciennej marynarce zastępuje im drogę przy oszklonym kontuarze, za którym siedzi Amerykanka w kimonie i liczy przetarte banknoty.

- Proszę, ile osób?

- Cztery - mówi Królik, skoro Tothero milczy. Nieoczekiwany, wielkoduszny gest Ruth, która ściąga

z siebie krótki biały płaszczyk i podaje go Królikowi; miękki moher w supelki. Ruch jej ciała wznieca zapach perfum.

- Cztery, tak jest. Proszę tędy - i kelner prowadzi ich do czerwonego boksu.

Lokal przerobiono niedawno na chińską restaurację, zostały jeszcze na ścianie różowe widoczki z Paryża. Ruth stąpa niezbyt pewnie; Królik widzi z tyłu, że jej stopy ślizgają się lekko w sieci lawendowych rzemyczków, a poźółkłe pięty sterczą poza podeszwy sandałków. Ale szerokie pośladki ani drgną i ładnie spływa z nich błyszcząca sukienka. Opina też zgrabną talię, podobnie jak skóra - rysy jej twarzy. Ostry trójkąt dekoltu odsłania ładne, pełne, blade plecy. U wejścia do boksu Królik potracają całym ciałem, czubek jej głowy sięga mu do nosa. Drażniący zapach jej włosów kłóci się z wonią tanich perfum za uszami. Doszło do zderzenia, ponieważ Tothero wprowadza Margaret do boksu z całym ceremoniałem, krasnoludek u wejścia do swojej pieczary. Stojąc i czekając Królik myśli z uniesieniem, że przechodzący ulicą widzą go teraz przez okno z kobietą, jak on widział ostatniej nocy mężczyzn w knajpie w Zachodniej Wirginii. Wydaje mu się, że to on jest tym przechodniem, że

59

zagląda do środka i zazdrości sobie i kobiecie, która jest z nim. Ruth, schylona, wsuwa się w głąb boksu. Skóra na jej ramionach lśni, potem przygasa w cieniu. Królik również siada i czuje ją obok siebie, jej poruszenia, jej wiercenie się na nowym miejscu, jakby mościła sobie gniazdo.

Stwierdza, że wciąż trzyma jej płaszcz. Blade, bezwładne runo śpi na jego kolanach. Nie ruszając się z miejsca, wyciąga rękę i wiesza płaszczyk na haku nad swoją głową.

- Dobrze jest mieć długie ręce - mówi Ruth. Zagląda do swojej torebki i wyciąga paczkę Newportów.

- Pan Tothero twierdzi, że mam krótkie ręce.

- Gdzie poznałeś tego typu? - Ruth mówi tak, że Tothero może usłyszeć, jeśli nadstawi ucha.

- To nie żaden typ. To mój dawny trener.

- Chcesz? - Chodzi o papierosa. Królik waha się.

- Rzuciłem palenie.

- A więc powiadasz, że ten typ był twoim trenerem? - Ruth wzdycha. Wyciąga papierosa z turkusowej paczki Newportów, wsuwa go pomiędzy pomarańczowe wargi i ze ściągniętą brwią skupia wzrok na siarczanym łebku tekturowej zapalniczki; zapala ją z dziwną kobiecą niezdarnością, trzymając z daleka od siebie i zginając w palcach. I to dopiero za trzecim potarciem.

Margaret mówi:

- Ruth.

- Typ? - pyta Tothero z krzywym, wymuszonym uśmiechem na swojej zwiędłej rozlanej twarzy wyglądającej niezdrowo. - Owszem, jestem ciemny typ, stary podejrzany typ siedzący pomiędzy księżniczkami.

Margaret, nie słysząc w jego słowach zaczepki, nakrywa dłonią dłoń Tothera, leżącą na śliskim stole, i bezbarwnym głosem oświadcza uroczyście:

- Nie jesteś żaden typ.

- A co się dzieje z naszym młodym wyznawcą Konfucjusza? - Tothero rozgląda się i podnosi wolne ramię, a kiedy kelner podchodzi, pyta: - Czy w tym lokalu podaje się napoje alkoholowe?

- Przynosimy je z sąsiedztwa - odpowiada kelner.

60

Zabawne, że u Chińczyków brwi nie sterczą, tylko wydają się wkleśnięte.

- Podwójna whisky - mówi Tothero. - A co ty, moja droga?

- Daiquiri - odpowiada Margaret; brzmi to jak żart.

- A wy, dzieci?

Królik spogląda na Ruth. Na jej twarz pokrytą pomarańczowym pyłkiem. Włosy, te włosy, które na pierwszy rzut oka wydawały się ni to szare, ni blond, nie spłowiałobrazowe, są faktycznie różnokolorowe, czerwone i żółte, i brunatne, i czarne, każdy włos mieni się w świetle całą gamą barw jak u psa.

- E, do diabła - mówi Ruth - chyba też daiquiri.

- Trzy - zamawia Królik myśląc, że daiquiri będzie jak sok z limony z wodą sodową. Kelner recytuje: - Trzy daiquiri, jedna podwójna whisky z lodem - i odchodzi. Królik pyta Ruth:

- Kiedy są twoje urodziny?
- W sierpniu. Dlaczego?
- Moje w kwietniu. Jestem górą.
- Jesteś.

Zgadza się jakby wiedziała, co on czuje: że nie można panować całkowicie nad kobietą, która jest starsza.

- Jeżeli rozpoznałaś mnie - pyta - to dlaczego nie rozpoznałaś pana Tothera? Był trenerem naszej drużyny.

- Kto by tam patrzył na trenerów? Przecież nie ma z nich żadnego pożytku, prawda?

- Nie ma pożytku? W drużynie szkolnej liczy się przede wszystkim trener, mam rację?

- Liczy się przede wszystkim zawodnik, Harry - odpowiada Tothero. - Nie można zrobić złota z ołowiu.

- Oczywiście, że można - mówi Królik. - Kiedy pierwszy raz wyszedłem na boisko, nie wiedziałem, gdzie mam głowę, a gdzie łokieć.

- Owszem, wiedziałeś, Harry, wiedziałeś. Nie musiałem cię niczego uczyć. Po prostu dałem ci biegać. - Mówiąc to Tothero wciąż rozgląda się dokoła. - Byłeś jak młoda sarna z dużymi nogami.

- Jak dużymi? - pyta Ruth. Królik odpowiada:

61

- Numer dwanaście, a ty?

- Mam małe nogi. Malutkie. Tycie, tyciusieńkie.

- A mnie się zdawało, że nie chcą się zmieścić w pantoflach-Królik odchyła głowę i lekko się zgina, żeby zajrzeć pod stół, w podwodny zmierzch, gdzie jej łydki w skrócie wyglądają jak ryby. Zmykają natychmiast pod siedzenie.

- Nie zagłądaj tam, bo wypadniesz z boku - mówi Ruth najeżona, i tak jest dobrze. Kobiety lubią, żeby się z nimi drażnić. Nigdy się do tego nie przyznają, ale lubią, to fakt.

Kelner przynosi trunki i nakrycia - papierowe serwety i sztucce pozbawione połysku. Kładzie nakrycie przed Margaret i gdy zaczyna nakrywać dla Tothera, ten odejmuje

od ust szklaneczkę z whisky i mówi śmielszym, energiczniejszym tonem:

- Sztuńce? Do orientalnych potraw? Nie macie pałeczek?

- Pałeczki? Tak.

- Pałeczki dla wszystkich - zarządza Tothero. - Kiedy jesteś w Rzymie...

- Moich proszę nie zabierać! - krzyczy Margaret i zagarnia dłonią brzęczące sztucce, gdy kelner po nie sięga. - Nie chcę żadnych pałeczek.

- Harry i Ruth? - pyta Tothero. - Co wolicie? Limonowaty posmak rzeczywiście góruje w koktajlu

nad cierpkim smakiem przezroczystego alkoholu.

- Pałeczki - mówi Królik basem, zachwycony, że może dokuczyć Margaret. - W Teksasie nie tknęliśmy metalem kurczenia hu p'uej.

- Ruth? - Tothero zwraca się do niej z ostentacyjną pokorą.

- Och, chyba tak. Jeżeli ten naiwniaczek potrafi, to ja też. - Gasi papierosa i sięga po następny.

Kelner odchodzi niby panna młoda z bukietem niepotrzebnych sztucców. Margaret, osamotniona w swoim wyborze, czuje się nieswojo. Królik jest zadowolony: ta dziewczyna jest plamą na jego szczęściu.

- Jadłeś chińskie potrawy w Teksasie? - pyta Ruth.

- Przez cały czas. Daj papierosa.

- Przestałeś palić.

62

- Zaczynam. Daj mi dziesięć centów.

- Dziesięć centów! Odwal się.

Zbędny pośpiech, z jakim odmówiła, sprawia mu przykrość, robi wrażenie, jakby dziewczyna była nastawiona na zysk. Dlaczego sądzi, że on chce ją okraść? Z czego to wnosi? Królik zanurza rękę w kieszeni marynarki, wyciąga drobne, wybiera dziesięć centów i wrzuca monetę w mały selektor barwy kości słoniowej, który żarzy się łagodnie na ścianie obok ich stolika. Sięgając poprzez nią, tuż koło jej twarzy, przewraca stronicę ze spisem tytułów i w końcu naciska B i 7, Rocksville, Pensylwania.

- Chińskie restauracje w Teksasie - mówi - mają najlepsze chińskie dania w całych Stanach Zjednoczonych, z wyjątkiem Bostonu.

- Słuchajcie wielkiego podróżnika - mówi Ruth. Daje mu papierosa. On wybacza jej te dziesięć centów.

- A więc uważasz, że trenerzy nic nie robią - zagaja Tothero z powagą.

- Są niepotrzebni.

- No, no - wtrąca Królik. - Wolnego.

Kelner wraca z pałeczkami i dwoma spisami potraw. Królik jest rozczarowany pałeczkami, są plastikowe, a nie drewniane. Papieros ma gryzący smak, zupełnie jakby był zrobiony ze słomy. Gasi papierosa. Nigdy więcej.

- Wszyscy zamówimy po jednym daniu, a potem będziemy się dzielić - mówi do nich Tothero. - Kto co lubi?

- Wieprzowina w słodkokwaśnym sosie - zamawia Margaret.

Jedno trzeba jej przyznać - wie, czego chce.

- Harry?

- Nie wiem.

- I to mówi nasz wielki znawca chińskiej kuchni? - dziwi się Ruth.

- Tu są angielskie nazwy, a ja przyzwyczailem się do chińskich.

- Nie zgrywaj się i powiedz, co jest dobre.

- Daj mi spokój.

- Nigdy nie byłeś w Teksasie - oświadcza Ruth. Pamięta tę obcą ulicę pozbawioną drzew i ten dom

63

daleko od śródmieścia, i zieloną noc wstającą nad prerią, kwiaty w oknie.

- Właśnie że bytem.

- Co robiłeś?

- Służyłem Wujowi.

- Och, w wojsku. To się nie liczy. Wszyscy moi znajomi odsługiwali wojsko w Teksasie.

- Niech pan zamówi to, co według pana jest dobre - zwraca się Królik do Tothera.

Zirytowany tym, że Ruth zna tylu chłopców, co służyli w wojsku, usiłuje dosłyszeć ostatnie takty piosenki, na którą wydał dziesięć centów; docierają do niego w tym chińskim lokalu jakby z kuchni tylko urywki melodii tak podnoszącej go na duchu minionej nocy w samochodzie.

Tothero zamawia potrawy, a kiedy kelner odchodzi, próbuje przemówić do Ruth. Jego wąskie wargi są mokre od whisky.

- Trener... - mówi - zadaniem trenera jest przyczynić się do rozwoju trzech rzeczy, jakie nam dano w życiu: umysłu, ciała i serca.

- I krocza - dodaje Ruth.

Margaret nieoczekiwanie wybucha śmiechem. Nie, myśli Królik, człowieka naprawdę ciarki przechodzą.

Młoda niewiasto, wyzwalaś mnie na pojedynek, więc należy mi się z twojej strony trochę uwagi - mówi Tothero tonem uroczystym.

- Gównu - mówi cicho Ruth i spuszcza oczy. - Nie pouczaj mnie.

Uraził ją. Nozdrza jej bieleją, twarz pod niedbałym makijażem ciemnieje.

- Pierwsze, głowa. Strategia. Większość chłopców przychodzi do trenera koszykówki po zaprawie w zaułkach i nie ma żadnego pojęcia o tym, jak wygląda elegancki mecz grany na boisku z dwoma koszami. Czy mam rację, Harry?

- Jasne. Nie dalej jak wczoraj...

- Drugie... Pozwól mi skończyć, Harry, i potem możesz mówić ... drugie to ciało.

Doprowadzić chłopców do kondycji. Żeby mieli mocne nogi. - Zaciska pięść leżącą na gładkim blacie stołu. - Twarde. Biegać. Biegać. Biegać. Biegać w każdej minucie, jak długo te nogi są na

64

boisku. Nigdy dość biegania. Po trzecie - kciukiem i palcem wskazującym wyciera ślinę zebraną w kącikach ust - serce. I tutaj przed dobrym trenerem, którym ja, moja pani, na pewno starałem się być, a niektórzy twierdzą, że byłem, stoi najważniejsze zadanie. Dać chłopcom wolę pokonania samego siebie. Zawsze wołałem to niż wolę zwycięstwa, ponieważ nawet w klęsce może się kryć wielkie osiągnięcie. Żeby czuli świętość tak, chyba to dobre słowo - świętość sportowego wyczynu. Tego, że się

daje z siebie wszystko. - Tothero ryzykuje pauzę i wygrywa, mierząc wzrokiem każde z nich po kolei, zmusza do milczenia. - Chłopiec, który dzięki trenerowi ma serce do walki, nigdy, w najgłębszym sensie tego słowa, nie zawiedzie w wielkiej grze, jaką jest życie - mówi na zakończenie. - A teraz niech pokój Pana naszego et cetera... - Pociąga ze szklanki, w której pozostały już tylko kostki lodu grzechoczące głośno, gdy przechyla szklankę do ust.

Ruth zwraca się do Królika i pyta, ze spokojem zmieniając temat:

- Co robisz? Królik śmieje się.

- Wątpię, żebym jeszcze coś robił. Dziś rano miałem iść do pracy. Ja... hm... trudno to właściwie wytłumaczyć. Demonstruję taki kuchenny przyrząd, obieracz do jarzyn "Magik".

- Jestem przekonany - mówi Tothero - że kiedy zarząd twojej firmy zasiada na swoim dorocznym zebraniu i stawia pytanie: "Kto najwięcej przyczynił się do propagandy naszych wyrobów w społeczeństwie", to Harry Królik Angstrom jest na czele listy.

- A co ty robisz? - pyta z kolei Królik.

- Nic - odpowiada Ruth. - Nic. - Kiedy popija daiquiri, opuszcza zatuszczone niebieskie powieki jak kotarę. Trochę zielonego refleksu pada z kieliszka na jej brodę.

Zjawiają się chińskie potrawy. Rozkoszna ślinka napływa Królikowi do ust.

Rzeczywiście nie jadł tego od czasu, kiedy był w Teksasie. Uwielbia chińską kuchnię, nie ma w niej obrzydliwych śladów zabijania zwierząt; upiorny kawałek krwawej wołowiny czy mięsistego ku-

65

rzego trupa został przemielony przez maszynkę, zniszczony, i wraz z jarzynami, które nic nie czują, tworzy coś zielonego i pulchnego, co budzi apetyt: odpowiada jego potrzebie niewinności. Palony cukier spiętrzony na dymiącym stosie ryżu. Każdy z nich dostaje taką porcję i Margaret ze szczególnym pośpiechem paprze swój ryż kawałkami mięsa w glazurze. Wszyscy jedzą z apetytem. Twarze ich nabierają barwy i siły nad talerzami z ciemną wieprzowiną, słodkim groszkiem, kurczęciem, gęstym słodkim sosem, krewetkami, orzechami wodnymi i Bóg wie czym jeszcze.

Rozmowa ożywia się.

- On był wspaniały - mówi Królik o swoim trenerze. - Był najlepszym trenerem w naszym okręgu. Bez niego byłbym niczym.

- Nie, Harry, nie. Zrobiłeś dla mnie więcej niż ja dla ciebie. Dziewczęta, on w swoim pierwszym meczu zdobył dwadzieścia punktów.

- Dwadzieścia trzy - poprawia Harry.

- Dwadzieścia trzy! Wyobraźcie sobie! - Dziewczęta jedzą bez przerwy. - A pamiętasz, Harry, te rozgrywki stanowe w Harrisburgu. I Dennistown, i tego małego fenomena.

- Mały grzdyl- mówi Harry do Ruth. - Nie więcej jak metr pięćdziesiąt siedem wzrostu i brzydki jak mała. I do tego bardzo nieczysto grał.

- No, ale znał swoją robotę - mówi Tothero - znał swoją robotę. Harry spotkał równego sobie.

- A potem podstawił mi nogę, pamięta pan?

- Zgadza się - przyznaje Tothero. - Zapomniałem.

- Ten gnój podstawił mi nogę i całym ciałem walnąłem o matę. Gdyby nie wyłożyli ścian matami, byłbym się zabił.

- Czy coś się potem stało, Harry? Czy dołożyłeś mu, jak należy? Zupełnie zapomniałem o tym zajściu. - Tothero mówi z ustami pełnymi jedzenia, a mściwość, z jaką pyta o zemstę, jest obrzydliwa.

- Ależ skąd - odpowiada Królik spokojnie. - Nigdy nie faulowałem. Sędzia widział tego gnoja, to był jego piąty faul, więc go wykluczyli. Potem pobiliśmy ich na głowę. Coś gaśnie w twarzy Tothera, cała więdnie.

66

- To prawda, nigdy nie faulowałem. Nigdy tego nie robił. Harry był zawsze idealistą. Królik wzrusza ramionami.

- Nie musiałem.

- Jeszcze jedna rzecz jest dziwna w tym chłopcu - mówi Tothero do obydwu kobiet. - Nigdy nie był kontuzjowany.

- Nieprawda. Kiedyś zwichnąłem sobie rękę w nadgarstku - poprawia go Królik. - To,

co mi rzeczywiście wtedy pomogło, mówił pan...

- Co jeszcze zaszło w czasie tych rozgrywek? Przeraza mnie fakt, że tego nie pamiętam.

- Co jeszcze? Potem? Potem było Pennoak, zdaje mi się, i nic tam się nie działo. Dali nam lanie.

- Naprawdę? A może to myśmy ich pobili?

- Ależ skąd! Świetna drużyna. Mieli pięciu dobrych zawodników. A my? Chyba tylko mnie. Mieliśmy Harrisona, był na medal, ale po tej kontuzji odniesionej w rugby nigdy już nie wrócił do formy.

- R o n n i e Harrison? - pyta Ruth. Królik jest zaskoczony.

- Znasz Harrisona? Był to znany dziwkarz.

- Nie jestem pewna - odpowiada dziewczyna ze spokojem.

- Taki niewysoki facet, kędzierzawy. Trochę kuleje.

- Nie, nie znam - mówi Ruth. - Zdaje mi się, że nie.

- Z przyjemną dla oka zręcznością włada pałeczkami, trzymając drugą dłoń zwiniętą na podolku.

Królika zachwyca jej pochylenie głowy, wygięcie grubej prostej szyi, uniesienie szerokich ramion, a wszystko po to, aby objąć wargami kawałek czegoś tam, co we właściwy sposób zostało przytrzymane pałeczkami; zabawne, że pulchne kobiety mają tak delikatny dotyk, Margaret łapczywie pakuje jedzenie do ust tępym, wygiętym widelcem.

- Nie, nie wygraliśmy - potwierdza Tothero i woła:

- Kelner!

Gdy kelner przychodzi, Tothero prosi o następną kolejkę tych samych drinków.

67

- Nie, nie dla mnie, ja dziękuję - mówi Królik. - Dość już wypilem. Starczy!

- Bo ty jesteś duże cnotliwe dziecko, prawda, ty... ty...

- mówi Margaret.

Wciąż nie wie, jak on ma na imię. Boże, jak on jej nienawidzi.

- Zacząłem mówić, że to, co -jak pan powiedział - naprawdę mi pomogło - zwraca się

Królik do Tothera

- to nauka trzymania piłki oburącz, ledwie dotykając kciukami. Na tym polega cały sekret, naprawdę, trzymać piłkę tylko czubkami palców przed sobą, mieć takie uczucie, jakby już była w powietrzu, że się już człowiekowi wymyka. - I pokazuje rękami, jak się to robi.

- Och, Harry - mówi Tothero ze smutkiem - umiałeś rzucać, kiedy do mnie przyszedłeś. Dałem ci tylko wolę zwycięstwa. Ambicję, żeby prześcignąć samego siebie.

- A wie pan, który był mój najlepszy występ? - pyta Królik. - Mój najlepszy występ to nie ten przeciwko Allenville, kiedy zdobyłem czterdzieści punktów, nie. To było wcześniej, w niższej klasie, pojechaliśmy dość wcześnie w sezonie na sam kraniec okręgu, żeby grać z taką śmieszną wiejską szkołą; we wszystkich sześciu klasach było ich około setki. Jak to się nazywało? Ptasie Gniazdo? Coś takiego. Pamięta pan?

- Ptasie Gniazdo? - dziwi się Tothero. - Nie pamiętam.

- Zdaje mi się, że graliśmy z nimi tylko ten jeden raz. Mała, śmieszna sala gimnastyczna, publiczność siedziała na scenie. Taka nazwa, co coś znaczy.

- Ptasie Gniazdo - powtarza Tothero zmartwiony. Trzepie palcami za uchem.

- Wilga! - krzyczy Królik, nie posiadając się z radości. - Wilga! Małe, dość rzadko zabudowane miasteczko, było jeszcze ciepło, jeszcze się widziało z autobusu na polach zboże w stogach jak wigwamy. W całej szkole zalatywało jabłecznikiem, pamiętam, jak pan z tego żartował. Powiedział mi pan, żebym się nie przejmował, że przyjechaliśmy tylko na trening i nikt nie oczekuje, że spróbujemy ich zmiażdżyć.

- Masz lepszą pamięć niż ja - mówi Tothero. Kelner

68

wraca, trener bierze swoją szklanę prosto z tacy, nie czekając, aż zostanie mu podana.

- A więc - ciągnie Królik - wyszliśmy na boisko i tych pięciu gospodarskich synalków rzuca się tu i tam, i z miejsca zdobywamy piętnaście punktów, i już jestem spokojny. A na scenie siedzi ze trzydziestu widzów i nie jest to rozgrywka ligowa, więc nie ma co się przejmować, i mam to śmieszne uczucie, że wszystko potrafię,

kręcę się, biegam, podaję piłkę i nagle wiem, rozumie pan, wiem, że stać mnie na wszystko. Druga połowa i rzucam jakieś dziesięć razy, zawsze celnie, i piłka wcale nie dotyka obręczy, tylko wpada do środka jak kamień w studnię. A te wiejskie matolki uwijają się z całych sił, oblewają się potem, mają tylko dwóch na zmianę, ale nie jesteśmy w tej samej lidze, więc to nie takie ważne, i nawet jedyny sędzia wychyla się, żeby pogadać z ich trenerem, który siedzi na scenie. Wilga. Tak. A potem przychodzi ich trener z dzbanem jabłeczniaka do szatni, gdzie się wszyscy przebieramy, i po kolei pijemy... Nie pamięta pan? - Zastanawia go i jednocześnie budzi chęć do śmiechu fakt, że nie potrafi innym przekazać tego, co sam uważa za niezwykle. Pochyla się nad talerzem. Tamci już skończyli i zabierają się do picia.

- Tak, mój ty ktosiu, całkiem miły z ciebie lalusz - mówi do niego Margaret.

- Nie słuchaj tego, Harry - mówi Tothero. - Gada jak dziwka.

Margaret uderza go w twarz; rękę leżącą na stole podrywa nagle i ukosem trafia go prosto w usta, ale bez plaśnięcia.

- Touche - mówi Ruth. Głos ma obojętny. Cały incydent rozgrywa się tak cicho, że Chińczyk sprzątający talerze nie podnosi wzroku i zdaje się nic nie słyszeć.

- Idziemy - oznajmia Tothero i próbuje wstać, ale zawadza biodrem o brzeg stołu i nie może się wyprostować, jak grubas. Po uderzeniu został mu skurcz warg, na który Królik nie może patrzeć; ma wyraz tak dwuznaczny i niewyraźny - mdląca mieszanina brawury i wstydu i, co gorsza, dumy albo mniej niż dumy, zarozumiałości. Z tym niesamowitym grymasem Tothero pyta:

- Idziesz, moja droga?

69

- Sukinsyn - odpowiada mu Margaret, ale jednak wstaje. Jej małe, twarde jak orzech ciało wysuwa się z boksu i dziewczyna spogląda przez ramię na stół, czy nie zostawiła papierosów albo torebki. - Sukinsyn - powtarza i jest coś ładnego w tym, że z opanowaniem mówi to słowo. Wydają się teraz oboje z Totherem spokojniejsi, zdecydowani i jakby nieustępliwi.

Królik zaczyna wysuwać się zza stołu, ale Tothero twardo kładzie mu dłoń na ramieniu - dotknięcie trenera, które Królik tak często czuł siedząc na ławce, tuż przed

klapnięciem w zadek posyłającym go na boisko.

- Nie, nie Harry. Ty zostaniesz. Po jednej na głowę. Nie przejmuj się tą przykrą sceną.

Czy mógłbym pożyczyć twój wóz?

- Cooo? A jak ja się stąd wydostanę?

- Słusznie, masz rację. Wybacz, że zapytałem.

- Nie... Chciałem powiedzieć, że może pan wziąć, jeśli pan chce. - Prawdę mówiąc, wcale nie ma ochoty pozbywać się samochodu tylko w połowie należącego do niego. Tothero to rozumie.

- Nie, nie. To był szalony pomysł. Dobranoc.

- Ty tłusty, stary łajdaku! - mówi do niego Margaret. Tothero zerka na nią spod oka, potem niepewnie spuszcza wzrok.

Margaret ma rację, Harry zdaje sobie sprawę, że Tothero jest otyły; jego twarz przypomina balon, z którego ucieka powietrze. Obraca do Królika ten balon pełen - zdawałoby się - jakiejś treści nieokreślonej jak woda.

- Dokąd pójdziesz? - pyta.

- Och, proszę się nie przejmować. Mam pieniądze. Wezmę pokój w hotelu - odpowiada Królik. Po tym jak odmówił przysługi staremu, pragnie, żeby Tothero poszedł sobie.

- Drzwi mego domu są otwarte. Jest tam tylko jedno składane łóżko, ale możemy wziąć materac.

- Nie, proszę mnie posłuchać - odpowiada Królik poważnie. - Uratował mi pan życie, ale nie chcę być ciężarem. Dam sobie radę. W każdym razie, brak mi słów wdzięczności.

70

- Pogadamy innym razem - obiecuje Tothero. Ręka mu drży, błądzi niezdecydowanie i opada na biodro Margaret.

- Mogłabym cię zabić - mówi Margaret u jego boku i oboje odchodzą.

Wyglądają z tyłu jak ojciec z córką; mijają kontuar z kelnerem szepczącym coś do tej Amerykanki i znikają za szklanymi drzwiami, przez które Margaret przechodzi pierwszą. Jest w tej scenie element czegoś automatycznego: dwie drewniane figurki

barometru wchodzą i wychodzą.

- Boże, jak on okropnie wygląda - mówi Królik.

- A kto wygląda inaczej? - pyta Ruth.

- Ty na pewno tak nie wyglądasz.

- Chociaż tyle jem, chcesz powiedzieć.

- Nie, posłuchaj mnie, masz kompleks na punkcie swojej tuszy. Nie jesteś gruba.

Jesteś proporcjonalnie zbudowana.

Ruth śmieje się, milknie, patrzy na niego, znów się śmieje i ściskając go za ramię mówi:

- Króliku, jesteś miłosiernym dżentelmenem.

To, że użyła jego imienia, łaskocze jego ucho niepokojącym ciepłem.

- Za co ona go uderzyła? - pyta, chichocząc z obawy, że jej ręka, która spoczywa na jego przedramieniu, swawolnie szturchnie go w bok. W uchwycie tej ręki czuje się zapowiedź takiej możliwości.

- Ona lubi ludzi bić. Kiedyś mnie uderzyła.

- No, może zasłużyłaś na to.

- On też - mówi Ruth i kładzie obie ręce na stole. - Lubi, żeby go bić.

- Znasz go? - pyta Królik.

- Słyszałam, co o nim mówiła.

- To jeszcze nie znaczy, że go znasz. Ta dziewczyna jest tępa.

- Prawda? Jest bardziej ograniczona, niż możesz sobie wyobrazić.

- Och, mogę, mogę. Ożeniłem się z jej bliźniaczką.

- Ach, więc żonaty.

- A co z tym Harrisonem? Znasz go?

- Co ma Ronnie Harrison do tego, że ty jesteś żonaty?

71

- Byłem. I wciąż jestem.

Królik żałuje, że zaczęli o tym mówić. Jakiś wielki, ogromny ciężar uciska mu nagle serce. Jak wtedy, gdy był dzieckiem i zdarzyło się, że pod koniec sobotniego wieczoru, kiedy wracał skądś do domu, uderzyła go myśl, że tylko te drzewa, ten

chodnik to jedyne i prawdziwe życie. ?

- Gdzie ona jest?

Jeszcze gorzej. Gdzie może być Janice?

- Pewnie u swoich rodziców. Uciekłem wczoraj wieczorem.

- Ach, tak. Więc to tylko wychodne. Wcale nie porzuciłeś żony.

- Chyba jednak tak.

Kelner przynosi na talerzu sezamki. Królik bierze jedno ciasteczko, na próbę, przekonany, że będzie twarde, i jest zachwycony, że roztapia się w ustach jak miękka rozciągliwa galaretka w osłonie ze słodkich ziarenek.

Kelner pyta:

- Czy wyszli już przyjaciele?

- W porządku, ja zapłacę - odpowiada Królik. Chińczyk unosi swoje wklęsnięte brwi, roztapia się cały w uśmiechu i odchodzi.

- Jesteś bogaty"? - pyta Ruth.

- Nie. Biedny.

- Czy naprawdę pójdziesz do hotelu? - oboje biorą po kilka sezamek. Jest ich może ze dwadzieścia na talerzyku.

- Chyba tak. Opowiem ci o Janice. Nigdy nie miałem zamiaru rzucić żony, dopiero w chwili kiedy to zrobiłem zupełnie nagle wydało mi się to oczywiste. Ma sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu. Skórę raczej smagłą.

- Nie chcę o niej słyszeć - mówi Ruth ze zdecydowaniem; jej włosy o różnych odcieniach nabierają jednolitego ciemnego tonu, gdy odrzuca w tył głowę i zezuje na lampę u sufitu. W świetle korzystniej wyglądają niż twarz; z jednej strony nosa widać kilka małych krosteczek na skórze, drobne wypukłości pod pudrem.

- Nie chcesz-mówi Królik. Ciężar spada mu z serca. Jeżeli się tym nikt nie przejmuje, to dlaczego on ma

72

się przejmować? - Okay. O czym będziemy mówić? Ile ważysz?

- Prawie sześćdziesiąt osiem kilo.

- To nie dużo, Ruth. Waga lekkośrednia. Nie żartuję. Po co masz mieć same kości. Każdy kilogram twego ciała jest bezcenny.

Królik mówi, żeby ją uszczęśliwić, ale coś w jego słowach budzi jej czujność.

- Spryciarz z ciebie, prawda? - pyta podnosząc pusty kieliszek na wysokość oczu.

Kieliszek jest płaską czarką na krótkiej nóżce, w jakiej podaje się lody na urodzinowym przyjęciu. Odbite w nim światło bladymi łukami obejmuje jej twarz.

- O swojej wadze też nie chcesz mówić. Hm! - Królik wsuwa do ust jeszcze jedną sezamkę i czeka, aż pierwszy skurcz gardła minie wraz z pierwszym smakiem galaretki. - No to spróbujmy tego: "Pani jest potrzebny, pani Ameryko, fenomenalny obieracz jarzyn "Magik". Nie niszczy witamin. Eliminuje zbędne tłuszcze. Wystarczy założyć tę plastikową rurkę, dokręcić śrubę i może pani utrzeć marchewkę i' naostrzyć mężowi ołówki. Pożytek wielostronny."

- Dość. Nie wygłupiaj się.

- Okay.

- Bądźmy grzeczni.

- Okay. Ty zaczynaj.

Ruth wsuwa sezamkę do ust i patrzy na Królika, zabawnie uśmiechając się pełnymi ustami, kąciki warg ma opuszczone, w oczach wyraz nieopisanej pokory i uległości; z taką miną żuje sezamkę, przełyka, niebieskie oczy robią się okrągłe, łapie oddech, żeby zrobić jakąś uwagę - tak sądzi Królik - i parska mu śmiechem prosto w twarz.

- Czekaj - prosi Ruth - spróbuję jeszcze raz. - I znowu topi spojrzenie na dnie swojego kieliszka, i namyśla się, a po tym wszystkim nie potrafi zrobić nic lepszego, jak powiedzieć: Nie idź do hotelu.

- Muszę. Powiedz mi, który jest dobry. - Czuje instynktownie, że dziewczyna zna się na hotelach. Tam gdzie jej szyja przechodzi w ramię, jest płytki biały dołek i w tym dołku jego uwaga zwiija się w kłębek i odpoczywa.

73

- Są drogie - mówi Ruth. - Jak wszystko. Nawet moje małe mieszkanko dużo kosztuje.

Gdzie masz to małe mieszkanko?

- Och, parę ulic stąd. Na ulicy Letniej. Na piętrze, nad doktorem.
- Mieszkasz sama?
- Tak. Moja przyjaciółka wyszła za męża.
- Więc zostało ci na głowie całe komorne do zapłacenia, a nic nie robisz.
- Niby co masz na myśli?
- Nic. Sama powiedziałaś, że nic nie robisz. Ile kosztuje?

Dziewczyna patrzy na niego z ciekawością i z czujnością, którą spostrzegł jeszcze na parkingu.

- Mieszkanie - powtarza.
- Sto dziesięć miesięcznie. Poza tym muszę płacić za światło i gaz.
- I nic nie robisz?

Ruth topi spojrzenie w kieliszku i kołysząc szkło w dłoniach, wywołuje odbicie światła na jego krawędzi.

- O czym myślisz? - pyta Królik.
- O niczym. Zastanawiam się.
- Nad czym?
- Czy masz dość rozumu.

W tejże minucie, nie drgnawszy nawet, już wie, skąd wiatr wieje. A więc to tak; nie był pewien.

- Coś ci powiem - oświadczają. - Mógłbym dać trochę na konto tego komornego, co ty na to?
- Niby dlaczego?
- Z dobrego serca - mówi Królik. - Dziesięć?
- Potrzebuję piętnaście.
- Na światło i gaz. W porządku. W porządku.

Nie jest pewny, co teraz robić. Siedzą nad pustym talerzem po piramidzie sezamek. Zjedli wszystkie. Kelner, który podszedł do nich, jest tym zaskoczony, oczy jego w ciągu jednej sekundy biegną od talerza do Królika i do Ruth. Rachunek wynosi dziewięć dolarów sześćdziesiąt centów. Królik płaci dziesięć i do tego jeszcze jednego dolara, a obok rachunku kładzie dziesięciodolarowy i pięciodolarowy

banknot. Przelicza pieniądze pozostałe w portfelu; trzy dziesiątki i cztery jednodolarówki. Kiedy

74

podnosi wzrok, pieniędzy przeznaczonych dla Ruth nie ma już na stole. Wstaje, sięga po jej miękki płaszczyk i podaje go dziewczynie. Jak duża zielona ryba jego zdobycz, Ruth, dźwiga swoje ciało, wynurza się z boksu i obojętnie pozwala się ubrać.

Królik przelicza w myśli. Dwadzieścia dwa centy za kilo. Nie licząc kolacji. Bierze rachunek, zanoszą go na kontuar i daje dziesięć dolarów. Dziewczyna rozmienia banknot, marszcząc brwi; przerażająca pustka jej oczu podkreślona jest starannie tuszem. Fioletowa prostota kimona kłóci się z kędzierzawą głową - po trwałej ondulacji - i uróżowaną, płaską, po amerykańsku kwaśną twarzą. Wydaje mu resztę na różowej, kratkowanej podstawce. Królik, śmignawszy dłonią nad srebrnymi monetami, dorzuca do nich dolara i kiwa głową Chińczykowi, który stoi wyprostowany na baczność obok kasjerki.

- Dzięki najuprzejmiejsze, dzięki najuprzejmiejsze szanownemu panu. - Ale jego wdzięczność nie trwa nawet do ich wyjścia. Gdy kierują się w stronę szklanych drzwi, Chińczyk, zwrócony do kasjerki, kończy swoje opowiadanie głosem cienkim jak fujarka, starannie modulowanym: - ... i wtedy ten drugi drań mówi: "Ależ, człowieku, to przecież..."

I z tą Ruth Królik wychodzi na ulicę. Po prawej, u podnóża góry, błyszczą serce miasta: migotliwość światła, neonowy zarys jakiegoś buta, orzecha, cylindra; ogromny słonecznik na łodydze z zielonego neonu - wysokiej na pięć pięter, przy ścianie jakiegoś budynku - symbolizuje "Słonecznikowe Piwo", żółty środek wygląda jak drugi księżyc. Na następnej ulicy z pośpiechem dzwoni monotony dzwonek, szlabany przy torach jak dwa długie noże z czerwonymi końcami opadają tnąc delikatną masę neonowych światła i ruch na ulicy powoli zamiera, ustaje.

Ruth skręca w lewo, w stronę ciemnego masywu Sędziowskiej Góry, i Królik idzie za nią po stromym, skrzypiącym pod nogami chodniku. Pochyły asfalt jest ukrytym potwierdzeniem, nieoczekiwanym echem istnienia tej ziemi jeszcze przed założeniem miasta. Dla Królika

chodnik, po którym stąpa, to cień świetlistej przezroczystości daiquiri. Jest mu wesoło i podskakuje, żeby iść krok w krok z dziewczyną, którą pokochał. Ona patrzy w górę, w stronę hotelu "Pod Szczytami", który dodaje swoją prymitywną konstelację do gwiazd świecących nad Sędziowską Górą. Idą oboje w milczeniu, za ich plecami dyszy i sapie pociąg towarowy przejeżdżający przez skrzyżowanie.

Królik już wie: ona go teraz nie lubi, jak ta kurwa w Teksasie.

- Powiedz - odzywa się - czy byłeś kiedy na samym szczycie?

- No pewnie. Samochodem.

- Jako mały chłopiec - mówi Królik - wchodziłem na górę od drugiej strony. Tam jest taki ponury las i pamiętam, że kiedyś trafiłem na stary dom, był to po prostu wykop w ziemi i kupa kamieni, pewnie jakiś pionier miał tam swoją farmę.

- A ja byłem na szczycie tylko jeden raz, samochodem, z jednym napalonym facetem.

- No to gratuluję - powiedział przygnębiony żalospną nutką, którą pokryła szorstkością.

Zła, że się odsłoniła, Ruth mówi:

- Co mnie obchodzi ten twój pionier.

- A dlaczego nie? Przecież jesteś Amerykanką.

- Ja? Mogłabym być równie dobrze Meksykanką.

- Niemożliwe. Jesteś na to za duża.

- Świnia jesteś, wiesz.

- Cicho, dziecino - Królik otacza ramieniem jej pełną kibić - uważam, że można mnie lubić.

- Nie do mnie z tą gadką.

Ruth skręca w lewo, wymykając się z jego uścisku. Są na ulicy Letniej. Ceglane fronty domów tworzą tu jedną długą ścianę. Numery nad każdym wejściem umieszczone są pod półkolistym oknem z mrożonego szkła. W jabłkowym i pomarańczowym świetle ze sklepiku spożywczego mającą za rogiem ulicy sylwetki kilkorga bawiących się dzieci. Duże magazyny zagrażają takim sklepikom, zmuszają do pracy przez całą noc.

Królik otacza Ruth ramieniem i prosi:

- Rozchmurz się, mała, bądź grzeczna. - Chce jej

76

pokazać, że opryskliwością go nie odstraszy. Chciałaby, żeby się zadowolił wyłącznie jej pełnym ciałem, ale on pragnie kobiety całej, lekkiej jak piórko.

Ku zdumieniu Królika ramię Ruth powtarza gest jego ramienia i obejmuje go w pasie. Ale niewygodnie tak iść, więc przy narożnych światłach zwalniają uścisk.

- Czy nie polubiłaś mnie choć trochę w restauracji? - pyta Królik. - Za to, co robiłem, żeby stary Tothero dobrze się poczuł? Że mówiłem mu, jaki był wspaniały?

- Mówiłeś, jaki ty byłeś wspaniały, tylko to słyszałam.

- Bo ja też byłem wspaniały. To fakt. Teraz już jestem do niczego. Ale byłem dobry.

- A wiesz, do czego ja byłam dobra?

- Do czego?

- Do kuchni.

- Inaczej niż moja żona. Biedactwo.

- Pamiętasz, jak nas uczyli w niedzielnej szkółce, że każdy, kogo Pan Bóg stworzył, do czegoś się nadaje. Ja się nadawałam do kuchni. Jezu drogi, myślałam, że będę iprawdę świetną kucharką.

- A nie jesteś?

- Nie wiem. Jadam tylko na mieście.

- To przestań jeść na mieście.

- To należy do mego zawodu - mówi Ruth i tym imyka mu usta.

W myślach nie kojarzy jej z tym zawodem. Boi się lysleć w ten sposób. Bo byłaby - w kategoriach miłości czymś nieobjętym.

- Jesteśmy na miejscu.

Ruth mieszka w domu z cegły, jak wszystkie inne po ichodniej stronie ulicy. Po drugiej stronie majaczy w Dwietrze niby szara kurtyna w świetle latarni fasada dużego kościoła. Wchodzą do domu przez drzwi z półkolistym oknem z mrożonego szkła. W przedsionku vidać rząd dzwonków pod mosiężnymi skrzynkami na y, lakierowany stojak na parasole, gumową matę na aarmurowej posadzce i dwoje

drzwi, na prawo z matowym szkłem, i drugie, naprzeciw wejścia, ze szkłem zbrojonym, za którymi Królik widzi wysłane gumowym

77

chodnikiem schody. Do tych drzwi Ruth wsuwa klucz, na drugich Królik czyta: dr med. F. X. Pelligrini, wyryte na złotej tabliczce.

- Stary lis - mówi Ruth i prowadzi go na górę. Mieszka o piętro wyżej, na końcu wyłożonego linoleum

korytarza, od strony ulicy. Królik stoi za jej plecami, kiedy dziewczyna ze zgrzytem wpycha klucz do zamka. Nagle, w zimnym świetle ulicznej latarni, wpadającym przez cztery liche szybki pobliskiego okna - niebieskie szybki tak cienkie, że zdawałoby się pękną za pociśnięciem palca - Królik czuje, że drży: najpierw drżą pod nim nogi, potem dreszcz przebiega po plecach. Klucz trafia do zamka i Ruth otwiera drzwi.

Gdy wreszcie przestąpili próg i ona wyciąga rękę do kontaktu, on tę rękę odpycha, odwraca dziewczynę i całuje. Oblęd: chce ją zgnieść, to coś, co mieści się w nim pod żebrami, podwaja i jeszcze raz podwaja potrzebę uścisku, zwykłego uścisku bez miłości, tej miłości, która pieści skórę, nie, nie myśli o ich skórze, pożąda jej serca, chce je wgnieść w swoje własne, żeby ją pocieszyć, dodać otuchy. W podobnym objęciu Ruth odruchowo sztywnieje. Mała wilgotna poduszciczka leniwej uległości - jej wargi, które powitały jego usta, stają się suche i twarde i kiedy wreszcie może poruszać głową i uwolnić rękę, płaską dłonią odchyła mu brodę, jak gdyby chciała całą głowę wypchnąć do hallu. Palce jej zaciskają się i długi paznokiec kaleczy mu delikatną skórę pod okiem. Puszcza ją. O mały włos nie wydrapała mu oka; zabolowało go w karku.

- Wynoś się! - woła Ruth z tą swoją puciołowatą, zmiętą twarzą, brzydką w świetle padającym z hallu.

Królik jednym ruchem nogi zatrzaskuje drzwi.

Nie wyrzucaj mnie - mówi. - Musiałem cię uścisnąć. - Widzi w ciemności, że Ruth boi się, wyczuwa to instynktownie w jej dużym ciemnym ciele, jak czuje się językiem dziurę po wyrwanym zębie. Nastrój chwili każe nie ruszać się. Bez powodu chce mu

się śmiać. Tak bardzo nie przystają do siebie, jej strach i to, co on wie o sobie; wie, że nie chce jej zrobić nic złego.

- Uścisnąć! - wybucha Ruth. - Powiedz raczej: zabić.

78

- Tak cię kocham przez cały wieczór - mówi Królik. - Musiałem sobie jakoś ulżyć.

- Jakoś! Wiem, jak wy to robicie: jedno strzyknięcie i po wszystkim.

- Nie, nie będzie tak - obiecuje.

- Wolę, żeby tak było. Chcę, żebyś sobie poszedł.

- Nieprawda.

- Każdemu z was się zdaje, że jest wspaniałym kochankiem.

- Ja na pewno - uspokajają. - Znam się na miłości. Pchnięty działaniem alkoholu i wezbranego nasienia

robi krok naprzód, zataczając się.

Chociaż Ruth się cofa, to jednak nie dość szybko, by nie czuł, że ognisko strachu już w niej wygasa. Pokój, w którym stoją, jest mały; widzi przy świetle padającym z okna, że na całe umeblowanie składają się dwa fotele, tapczan i stół. Ruth przechodzi do drugiego, trochę większego pokoju, w którym stoi podwójne łóżko. Roleta w oknie, do połowy spuszczone, rzuca cień na obydwie podgłówki.

- Dobrze - mówi ona - możesz tam wejść.

- A ty dokąd?

Ręka jej spoczywa na klamce jakichś drzwi.

- Tutaj.

- Chcesz się tam rozebrać?

- Tak.

- Nie rób tego. Ja ciebie rozbiore. - Zaniepokojony znalazł się znów koło niej i dotyka jej ramienia.

Unikiem uwalnia się od jego dotknięcia.

- Lubisz rozkazywać.

- Proszę cię. Proszę.

Głos jej nabrzmiewa irytacją.

- Muszę iść do -? k1 o.
- Ale wyjdź ubrana.
- Muszę też zrobić coś innego.
- Nie rób. Znam to. Nienawidzę tych rzeczy!
- Przecież nawet tego nie czujesz.
- Ale wiem, że tam jest. Jak gumowa nerka albo coś takiego.

Ruth śmieje się.

- Ale wybredny! Sam się tym zajmiesz?

79

- Nie. Jeszcze gorzej tego nienawidzę.
- Posłuchaj. Nie wiem, co sobie obiecujesz za twoje piętnaście dolarów, ale ja muszę uważać.
- Jeżeli masz zamiar faszerować się różnymi przyrządami, to oddaj mi moje piętnaście dolarów.

Dziewczyna próbuje mu się wywinąć, ale tym razem Królik trzyma mocno ramię, którego dotknął.

- Słuchaj no - mówi ona - co ty sobie wyobrażasz, czy jesteśmy małżeństwem, że się tak rządysz?

I znów oblewa go przezroczysta fala.

- Tak, bądźmy - odpowiada głosem, którego prawie nie słyhać, i zanim zdążyła poruszyć zwisającymi bezładnie ramionami, on klęka u jej stóp i całuje to miejsce na palcu, gdzie mogłaby być obrączka. Skoro jest już tak nisko, zaczyna odpinać rzemyki jej sandałków. - Dlaczego wy, kobiety, chodzicie na wysokich obcasach? - pyta i uwalnia jej stopę; Ruth musi chwycić go za włosy, żeby nie upaść. - Czy was to nie boli? - Rzuca sandał, lepką siatkę, przez próg do drugiego pokoju i robi to samo z drugim. Stopy ustawione płasko na podłodze przywracają równowagę ciała. Królik obiema rękami szybko masuje jej nogi pomiędzy grubą kostką i mocną twardą łydką. Masuje nerwowo.

- Przestań - mówi Ruth głosem lekko napiętym ze strachu przed upadkiem, bo jego ciężar pęta jej nogi. - Chodź do łóżka.

Królik wyczuwa zasadzkę.

- Nie - mówi wstając. - Włożysz ten latający talerzyk.
- Nie, nie włożę. Słuchaj, i tak nie będziesz wiedział, czy to zrobię, czy nie.
- Na pewno będę. Jestem bardzo wrażliwy.
- O rany, daj mi się przynajmniej wysiusiać.
- No to idź, wszystko mi jedno - zgadza się, ale nie pozwala jej zamknąć drzwi łazienki.

Ona siada, jak to robią kobiety, schludnie, plecy wyprostowane, broda opuszczona, kolana związane elastycznymi majteczkami, i czeka na szepczący strumyczek. W domu razem z Janice próbował nauczyć Nelsona korzystania z toalety i teraz - zabawne - oparty o próg ma ochotę, jakby z wyżyn ojcostwa, ją pochwalić. Jest 80

taka porządna: sięga pod sukienkę kawałkiem papieru w kolorze cytryny, poprawia garderobę i przez jeden słodki ułamek sekundy cała ta intymna i delikatna mozaika pończoch i podwiązek, jedwabiu i futerka, i miękkiego ciała wystawiona jest na widok.

- Grzeczna dziewczynka - mówi Królik i prowadzi ją do sypialni.

Za nimi wzbiera i szumi woda w kanalizacji. Ruth, zaskoczona jego energią, porusza się z pewną sztywnością. Drżąc na nowo, również onieśmielony, zatrzymuje ją w nogach łóżka i szuka zamka sukienki. Znajduje na plecach rząd guzików, których nie umie odpiąć; nieporadnie przekłada ręce.

- Daj, ja to zrobię.
- Zostaw. Gdzie ci się tak spieszy? Masz się cieszyć. To jest nasza noc poślubna.
- Wiesz co? Ty chyba jesteś stuknięty.

Obraca ją szybkim ruchem i znów czuje głębokie pragnienie, żeby ją pocieszyć, uspokoić, dodać odwagi. Dotyka jej umalowanych policzków. Wydaje mu się mała, gdy spogląda z góry na chmurne płaszczyzny jej mocnej, okrytej cieniem twarzy. Dotyka wargami jednego oka, delikatnie, żeby dać znać, że tej nocy nie będą się śpieszyć, żeby wargami wysłuchać nieśmiałego bicia pulsu na wypukłości jej powieki. Troskliwie i w imię sprawiedliwości - boi się, że go wyśmiej - całuje także

drugie oko, potem, podniecony myślą o własnej czułości, cierpliwie przebiega ustami jej twarz, skubiąc, liżąc, aż wreszcie Ruth czuje łaskotki, śmieje się i odpycha go od siebie. On zamyka ją w swoich ramionach, przyciskając do piersi, i pochylony wbija się zębami w pulchny dołek pod obojczykiem. Ruth sztywnieje, boi się, że ją ugryzie, ręce jej uderzają go po ramionach, lecz on trwa przy jej niemej krtani, z zębami odsłoniętymi w nagłym, milczącym krzyku, którym woła, że nie ciała pragnie, nie tej maszyny, lecz jej, jej samej.

Chociaż nie padły żadne słowa, ona to słyszy i mówi:

- Tylko nie próbuj odstawiać kochanka. Jesteś i pójdiesz.

- Nie mądrz się - odpowiada i chce ją uderzyć, ale

81

powstrzymuje rękę i zamiast tego proponuje: - Uderz mnie. Chcesz to zrobić, prawda? Wal śmiało.

- O rany! - mówi Ruth - to się zanosi na całą noc. On chwyta jej bezwładnie zwisające ramię i kieruje na

siebie, lecz ona rozluźnia pięść i trafia go bezboleśnie w policzek. - Takie rzeczy musi robić biedna Maggie z tym starym łajdakiem, twoim przyjacielem.

- Nie mów o nich - prosi ją.

- Niech diabli wezmą wszystkich chłopów - Ruth ciągnie dalej - albo sami biją, albo chcą, żeby ich bić.

- Nie ja, przysięgam. Ani jedno, ani drugie.

- No to rozbierz mnie i dość tego pieprzenia w bambus.

- Pięknie się wyrażasz, nie ma co - mówi Królik i wzdycha przez nos.

- Najmocniej przepraszam, jeśli uraziłam szanowne uszy. - Ale w jej głosie metalicznie pobrzmiwa nikły ton ustępstwa.

- Wcale nie przepraszasz - mówi Królik i bardzo rzeczowo schyla się i chwyta sukienkę za dolny obrąbek. Oczy nawykłe do ciemności widzą, że jest z zielonego materiału. Ciągnie sukienkę do góry; ona unosi ramiona, na chwilę głowa jej grzęźnie w wycięciu dekoltu, lecz uwalnia się rozzłoszczonym gestem psa broniącego swego kęsa, i zdjęta sukienka ześlizguje się z niej prosto w jego bezwładne i ciepłe dłonie.

Jednym ruchem odrzuca sukienkę na majaczka.ce w kącie krzesło. - Mój Boże - zachwyca się Królik - jaka ty jesteś śliczna. - W srebrzystej halce dziewczyna wygląda jak duch. Przy ściąganiu sukni przez głowę rozluźnił się węzeł jej włosów. Pochyla poważną twarz, szybko wyjmując szpilki. Ciężkie zwoje włosów rozsypują się. Wszystkie kobiety wyglądają w haleczkach jak panny młode.

- Akurat - odpowiada Ruth. - Gruba jak beczka.

- Nic podobnego - mówi Królik. - Śliczna. - I już jest przy niej, bierze ją na ręce - góra cukru, którego ziarnka błyszczą w oczkach nylonowej halki - niesie i kładzie na łóżko. - Prześliczna!

- Dźwignąłeś mnie - mówi Ruth. - To cię wykończy.

82

Ostre światło pada prosto na jej twarz, fałdki skóry na szyi wydają się czarne. Królik pyta:

- Czy mam zasłonić okno?

- Proszę. Widok jest przygnębiający. Podchodzi do okna i wychyla się, żeby zobaczyć, co

miała na myśli. Po drugiej stronie ulicy jest tylko kościół, szary, dostojny, budzący zaufanie. W jego różowym oknie widać nie pogaszone światła i ten krąg czerwieni, fioleto i złota błyszczy w nocy nad miastem, jakby ktoś wybił dziurę w realnym świecie, żeby ujawnić rozjarzoną wspaniałość ukrytej za nim abstrakcji. Królik czuje wdzięczność dla twórców tego ornamentu i opuszcza roletę z poczuciem winy.

Odwraca się szybko do Ruth - śledzi go wzrokiem ukryta pośród cieni, które również robią wrażenie szpar na jakiejś popękanej powierzchni. Na wypukłości jej biodra leży srebrny półksiężyc-cieżar jej ciała Królik czuje jak zapach.

- Co dalej? - Zdejmuje marynarkę i rzuca ją. Uwielbia zrzucać z siebie rzeczy i to uczucie, że rośnie jego nagość, w miarę jak części ubrania lecą w powietrzu. -

Pończochy?

- Tylko ostrożnie. Żeby nie puściło oczko.

- Lepiej zrób to sama.

W pozycji siedzącej, z irytującą zręcznością kota o miękkich łapach, dziewczyna

wyzwała się z elastycznej sieci gumek, jedwabiu i bawełny. Zsunawszy z nóg pończochy, zwija je starannie w kłębek i wtyka w szczelinę pomiędzy materacem a nogami łóżka, potem nieoczekiwanie kładzie się na wznak i unosi biodra, żeby ściągnąć pasek z podwiązkami i majteczki. Równie nieoczekiwanie Królik kryje twarz w małym lasku o korzennym zapachu, gdzie znalazł się poza wszelkimi wymiarami, i w sferze mroku, gdzie kobieta z całą swoją czułością i wrażliwością jest jakby tuż za rogiem, odległa o centymetry. Gdy prostuje się klęcząc, Ruth na łóżku jest dla niego całym niewiarygodnym ładem, podwinięta haleczka - śnieżną północą.

- Tyle tego - mówi.

- Za wiele.

- Coś ty? Dobra jesteś.

83

Podsuwa zgiętą dłoń pod jej gorący kark, unosi ją i ściąga przez głowę haleczkę, która ześlizguje się z płynną łatwością; ubranie samo spada z kobiety, kiedy chce być rozebrana. Chłodne wgłębienie, które wyczuwa ręką na jej karku, łączy się w jego myślach z płytkim cieniem na skórze jej pochyłych ramion. Całuje tę przestrzeń. Gdzie skóra bielsza, tam chłodniejsza. Jego twarda broda natrafia na sztywny staniczek.

- Pozwól mi - szepcze Królik, kiedy Ruth zgina ramię, żeby rozpiąć staniczek.

Sadowi się za jej plecami. Ona siedzi prosto, grube nogi złożone w scyzoryk, plecy symetryczne jak wielka waza. Małe, prawie niewidoczne haftki trudno odpiąć; Ruth ściąga łopatki. Napięty lasteks puszcza. Plecy dziewczyny prostują się i wyginają w łuk. Ruth wzrusza ramionami, żeby strząsnąć staniczek z ręki, poza brzeg łóżka, drugą ręką, tą od strony Królika, mocno przyciska pierś, żeby jej nie zobaczył. Ale on widzi pierś przez chwilę, sutkę i lśnienie ciężkiej masy. Odsuwa się i siedząc na brzegu łóżka, napawa oczy widokiem dziewczyny, która przyciskając jedną pierś ramieniem, drugą chce zakryć dłonią; błyszczy pierścionek na palcu. Jej skromność jest dla niego nagrodą, świadczy o jej wrażliwości. Całym ciężarem wspiera się na wyprostowanym ramieniu. Brzuch jest kałużą cienia, cień między okrągłymi udami

zamienia się w czerń. Światło ogarnia prawą stronę jej ciała, gdy obraca się .całe nieruchome; bezruch jest obroną przed jego wzrokiem. Tkwi w tej pozie długo, rażąc jego oczy swoją bielą. Królik wzdryga się, gdy znieruchomiały kształt wydaje głos:

- A co z tobą?

Jest wciąż ubrany, nawet w krawacie. Kiedy układa spodnie na krześle, dbając o to, żeby zachowały kanty, ona wsuwa się do pościeli. Staje nad nią w bieliźnie i pyta:

- Czy teraz naprawdę nie masz nic?

- Przecież mi nie pozwoliłeś.

- Daj pierścionek. - Pamięta ten błysk.

Ruth wysuwa rękę i Królik ostrożnie ściąga z palca, przez wystającą kostkę, gruby tombakowy pierścionek, który wygląda jak pamiątka ze szkoły. Opuszczając rękę, Ruth muska jego wypięte z przodu slipki firmy Jockey.

84

Królik spogląda na nią z zastanowieniem. Przykryta jest aż po brodę, leżące na wierzchu blade ramię jest lekko wygięte jak wąż.

- Nic nie masz na sobie?

- Tylko skórę - mówi Ruth. - Chodź już. Włóż.

- Chcesz mnie?

- Nie pochlebiaj sobie. Chcę mieć to wszystko za sobą.

- Masz jeszcze na twarzy skorupę.

- No, wiesz! Jesteś bezczelny!

- Ja cię tylko bafdzo kocham. Gdzie jest myjka?

- Nie chcę mieć umytej twarzy, do diabła z tym! Królik idzie do łazienki, zapala światło, znajduje myjkę

i moczy ją pod kranem. Wyżyma i gasi światło. Gdy przechodzi przez pokój, Ruth śmieje się na łóżku.

- Co się stało? Z czego się śmiejesz?

- Wyglądasz w tych gatkach naprawdę jak królik. Myślałam, że tylko dzieci noszą takie slipki.

Mierzy wzrokiem swój podkoszulek i elastyczne slipki, zadowolony i jeszcze bardziej podniecony. Gdy wymawia jego imię, on to czuje jak fizyczne dotknięcie. Ona w nim widzi kogoś. Kiedy przykładła mięsistą szmatkę do jej twarzy, twarz wykrzywia się i stawia opór, jak buzia Nelsona, ale dzięki ojcowskim doświadczeniom on ma na to sposób. Wyciera jej czoło, oczyszcza nozdrza, przeciąga myjką po policzkach i w końcu, gdy cała wije się ze złości, nawet po ustach, rozgniatując na wargach słowa protestu. Gdy wreszcie pozwala jej ręką zwyciężyć i odsuwa myjkę. Ruth wytrzeszcza na niego oczy, nic nie mówi i zamyka powieki.

Kiedy klęczał przy łóżku zajęty jej twarzą, przycisnął wrażliwe jądro swej miłości do brzegu materaca i teraz wbrew jego woli ułało się kilka kropel, jak śmietanka wypchnięta przez zamarzające mleko ponad szyjkę butelki. Odsuwa się od kontaktu z materacem; wprawiająca go w zakłopotanie, nieśmiała seria drgań powoli zamiera. Królik wstaje i przyciska ręczniczek do własnej twarzy jak człowiek, który szlocha. Cofa się w nogi łóżka, rzuca szmatkę w kierunku łazienki, ściąga bieliznę i z głową wciągniętą w ramiona daje nura w pościel. Pochłania go długa, ciemna przestrzeń pomiędzy prześcieradłami.

85

Pieści ją tak samo, jakby pieścił żonę. Po ślubie, gdy Janice nie wykazywała już takiej wrażliwości, musiał ją pieścić; zaczynał od głaskania pleców. Ruth poddaje się ze znużeniem, gdy każe jej położyć się na brzuchu. By wzmocnić siłę rąk, siada na jej pośladkach i nie zginając ramion, przekazuje ciężar całego ciała kciukom i dłoniom, masującym szerokie mięśnie i odporne kości w okolicy kręgosłupa. Ruth wzdycha i kręci głową na poduszce.

- Nadałbyś się do łaźni tureckiej.

Królik dobiera się do jej karku, wysuwając palce aż ku szyi, gdzie dobrze ukrwione naczynia poddają się jak trzciny, końcami kciuków masuje jej ramiona, czubkami palców sięga po górne, gładkie jak porcelana, granice jej wezbranych piersi. Powraca do masowania pleców, wreszcie bołą go przeguby dłoni i zsuwa się ze swojej syreny prawdziwie znużony i senny, jakby ukołysany morzem. Naciąga koce aż po oczy jej i

swoje.

Janice wstydziła się jego wzroku, podobnie i Ruth rozpala się dopiero w ciemności. Królik nie unosi drżących powiek, choć ona niespokojnie przeży się u jego boku. Ręką szuka go, usiłuje złowić jak rybę, wtedy pod zaciśniętymi powiekami zjawia się czerwień. Widzi niebiesko, gdy jedną ręką rozwiera mu szczęki i nachyla jego głowę ku swoim ciężkim piersiom. Śliczne kochane okrągłości, ciężkie: między nimi perfuma. Smak - słony i kwaśny - wraca do gardła wraz ze śliną. Ruth opada z powrotem na plecy - drogocenny podniecający dotyk dłoni urywa się - wyginając ciało podsuwa nową, chłodną skórę. Brutalnym ruchem podsuwa mu do ust drugą pierś, suchą, pokrytą pyłkiem, który się rozpuszcza. On szuka jej teraz otwartymi oczami i widzi jej twarz - delikatną maskę - spoglądającą w dół ze spokojem, z czułością; zamyka oczy, żeby karmić się nią dalej; ręką przerzuconą przez całą szerokość jej ciała znajduje gdzieś w dole pęknięty strąk, rozchyloną fałdę, prostą i bezkształtną. Ona kręci się, odwraca plecami i wpycha mu swoje pośladki w brzuch i uda. Wkraczają w strefę lenistwa. On chce, żeby czas ciągnął się jak najdłużej, do granic wytrzymałości. Ona, wetknawszy rękę między uda, gładzi go końcami palców. Wyciąga nogę, on

86

chwyta jej piętę. W miarę jak zagłębiają się w siebie, rośnie w nim niecierpliwość - pomimo wszystkich usiłowań ciała ich nie łączą się w jedno ciało. Jest bezgranicznie śmiały teraz, kiedy w tym szukaniu ma w niej sojusznika; wszędzie napotykają jakąś ścianę. Ciało nie ma głosu, by mogło wyśpiewać swoją pieśń. Zniecierpliwienie ustępuje, czuje ją teraz we krwi, jak się czuje zapach czegoś słonego pod powiekami, czuje wilgotny ucisk i to, jaka jest mała, gdy cała garnie się do jego rąk - jej oddech, skrzypiące sprężyny łóżka, przypadkowe plaśnięcie ciała o ciało i ból u nasady wyschniętego języka - wszystko to zapisuje się własną barwą.

Niby szturchnięcie łokciem we wrażliwe miejsce odbiera jej ochryply głos:

- Teraz?

Jakby ze słabości osuwa się na kolana pomiędzy jej rozchylone nogi i z jej pomocą ich ślepe lędźwia się zwierają. Coś smutnego w tym zwarciu. Zaciska się mocno,

coraz mocniej. Wsparty na ramionach unosi się nad nią pełen obawy - w tym momencie najczęściej sprawiał zawód Janice, kończąc za prędko. Lecz czy to krążący w nim alkohol, czy to, że ułało mu się kilka kropel wcześniej, jego miłość zwleka w jej gorącym wnętrzu. Kryje twarz na jej szyi, w gęstwinie jej włosów. Cienkie, cienkie ramiona obejmują go i przewracają. Ruth wyrasta ponad niego. Od wysokich gładkich ramion w dół jest jednym długim, stromo wzniesionym, jasnym podbrzuszem.

- Hej! - szepcze Królik z pochwałą w głosie.

- Hej! - ona mu odpowiada.

- Jesteś śliczna.

- Pracuj dalej.

Rozdrażniony wnika w nią głębiej i nie dość na tym - dłonią zadziera jej szczękę, wsuwa palce do ust, aż wygina się jej śliska szyja. Ona - jakby ją gniewnie odepchnął - pada na plecy, pociąga go za sobą i teraz znów leży na niej, pierś na piersi, a ona wyciągniętą ręką dotyka ich splątanego futra, w jej ciężkim oddechu brzmi coś ostrego. Rozwiera szeroko uda, potem obejmuje jego pośladki i rozchyła się jeszcze szerzej, tak szeroko, jakby chciała - Królik boi się, choć to niemożliwe - wyrzucić 87

się całym wnętrzem na wierzch; mięśnie i wargi, i kości tam w dole, wypięte, przywierają do niego jakąś nową anatomią jakiegoś innego zwierzęcia. Wydaje mu się przezroczyście: widzi jej serce. Ona go trzyma udami, przewraca na bok i opadająca fala jej podniecenia ożywia jego miłość i dumę. A więc jest pierwsza i czeka na niego, gdy on przejęty najwyższą czułością, drżąc, odnajduje raz po raz dotknięciem kciuka łuk jej brwi. Morze jego nasienia wzbiera i przerywanym szlochom wlewa się w cichy kanał. Przy każdym dreszczu jej usta uśmiechają się do jego ust, nogi skrzyżowane na jego plecach powoli osuwają się w dół. Pyta go po chwili:

- W porządku?

- Jesteś śliczna.

Zabiera swoje nogi i strząsa go z siebie jak górę piasku. On patrzy na nią i wydaje mu

się, że w cieniach na jej twarzy czyta. smutny wyraz przebaczenia, jak gdyby wiedziała, że w owej chwili uwolnienia, nierozłącznie związanej z miłością, zdradził ją doznając uczucia rozpacz. Natura jak matka prowadzi cię za rękę, a gdy tylko otrzyma swoją drobną zapłatę, zostawia z niczym. Spocona skóra ziębnie; Królik podciąga do góry skłębione w nogach koce.

Z głową na poduszce mówi obojętnie:

- Byłaś piękna - i dotyka jej tam, gdzie jeszcze wciąż ocieka wilgocią; uniesienie opada w niej wolniej.

- Zapomniałam - mówi.

- Zapomniałaś czego?

- Że też mogę to mieć.

- Powiedz, jak to jest?

- Och, tak jakby człowiek gdzieś się zapadał.

- Gdzie?

- Nigdzie. Nie umiem o tym mówić.

Całuje jej wargi: nie jej wina. Ruth leniwie przyjmuje jego pocałunek, potem w spóźnionym przyływie czułości łaskocze go językiem w brodę.

Objąwszy ją ramieniem w pół, Królik układa się do snu przy jej boku.

- Czeka, ja muszę wstać.

- Zostań.

88

- Muszę iść do łazienki.

- Nie. - Trzyma ją mocniej.

- Lepiej, żebyś mnie puścił, wiesz.

- Nie strasz mnie - szepcze i przytula się do niej mocniej.

Udem nakrywa jej uda, ciężarem przyciska ciepło. Wspaniała rzecz te kobiety, na żarłocznym łonie taki przyjemny tłuszcz. W łagodnym odpływie sił chciałby z powrotem poczuć żar swoich łądzwi, którego nie żałował. Najlepszy przyjaciel w łóżku - zerżnięta kobieta. Brzuch jak micha. Och, i jak jeszcze! Kiedy wlała na niego, to jakby dzwon wielkiej, niebieskiej konwalii nakrył mu członka. Mógł ją

skaleczyć, ściskając jej szczękę. Budzi się na tyle, by poczuć własny suchy oddech świszczący spomiędzy otwartych warg, i to, że ona wytoczyła się spod jego nóg i ramienia.

- Przynieś mi szklankę wody - mówi.

Staną przy łóżku - obfita nagość - i odchodzi do łazienki spełnić swój obowiązek. Właśnie to odpycha go od kobiet; traktują same siebie jak starą powłoczkę. Rurka do rurki i zmywają brud po mężczyźnie, oburzające, doprawdy! Krany krzyczą. Im bardziej trzeźwieje, tym bardziej jest przygnębiony. Z wgłębienia w poduszce gapi się na poziomy skrawek kościelnego witraża, widoczny spod rolety na oknie. Dziecinna kolorowość witrażowych szkieł zdaje się być jedyną pociechą, jaka mu została.

Światło spoza zamkniętych drzwi łazienki barwi powietrze w sypialni. Odgłosy chlapania są takie same, jakie dobiegały z łazienki rodziców, kiedy jako dziecko budził się, zdając sobie sprawę, że przyszli już na górę i wkrótce pogasną światła w całym domu, i że następnie czeka go dopiero widok poranka. Śpi, kiedy - jak najada w świetle księżycy - Ruth, wymyta, skrada się z powrotem na miejsce u jego boku, niosąc szklankę wody.

Jemu tymczasem śni się, że razem z matką, ojcem i jakimiś innymi osobami siedzi przy kuchennym stole. W ich starej kuchni. Jakaś dziewczyna wyciąga bardzo długie ramię obciążone bransoletką, przekręca rączkę drewnianego pudła z lodem i Królika owiewa zimne

89

powietrze. Otworzyła drzwi kwadratowej groty, a w niej siedzi blok lodu, i oto ma ten blok tuż przed oczami, przechylony na bok, bo już topnieje, ale wciąż duży, jego metalicznie ciemną masę dzieli biały rowek znaczący każdy blok w fabryce lodu spuszczonej z taśmy. Królik nachyla się bliżej, prosto w zimny oddech lodu; chłód pachnący cynową blachą kojarzy mu się z metalowymi ścianami tej groty i zebrowaniem jej spodu o delikatnej szarości nosorożca, dotkniętej tą samą chorobą, na którą cierpi linoleum. Nachylony tak blisko, widzi, że pod wodnistą skórą biegną setki czystych, białych żyłek, cienkich jak linie kapilarne liścia, jak gdyby lód był

również zbudowany z żywych komórek. A jeszcze dalej w głębi - i to jest tak niesamowite, że jawi mu się jako ostatnia rzecz - jakaś strzępiasta chmura, gwiazda zrodzona z eksplozji, sam jej środek miga niepewnie, ale proste i długie promienie biegną z jądra bladości, ukośnie jak ślady startej z tablicy kredy. Pordzewiałe żebra, na których leży lód, tańczą mu w oczach jak szczerzone w uśmiechu zęby. Ogarnia go strach: ta bryła jest żywa.

- Zamknij drzwi - mówi matka.

- Nie ja otwarłem.

- Wiem.

- To ona.

- Wiem. Ty jesteś grzeczny chłopiec, nikomu nie dokuczasz.

Dziewczyna przy stole grymasi nad jedzeniem, matka odwraca się i z przerażającą gwałtownością rugają. Trwa to bez końca, bez sensu, w kółko to samo, nieprzerwany potok słów jak głęboki, wewnętrzny krwotok. Ale krew ucieka z niego; współczucie dla dziewczyny rozciąga mu twarz w coś białego i płaskiego jak duży talerz.

- Dziwka, nie może jeść porządnie jak dziecko - mówi matka.

- No, no - woła Królik i wstaje, żeby bronić siostry. Matka wycofuje się z jakimś szyderczym słowem na

ustach. Są teraz w wąskim przejściu pomiędzy dwoma domami; tylko on z

dziewczyną, a jest nią Janice Springer. Próbuje jej wytłumaczyć, jak jest z matką.

Janice potulnie wtulona w jego ramię; obejmując dziewczynę dostrzega, że oczy jej nabiegły krwią. Chociaż twarzami daleko są od

90

siebie, czuje jej oddech gorący od łez. Są za miastem na wydeptanym placu, za miejską halą rekreacyjną w Sędziowskiej Górze, dokoła zielsko, potłuczone butelki; przez ścianę słyhać muzykę z głośnika, Janice jest w różowej sukience balowej i płacze. Otepiały powtarza jej, co mówił matce, że jej w gruncie rzeczy chodziło o niego, Janice nie przestaje jednak płakać i straszna rzecz się dzieje, bo jej twarz zaczyna się rozpływać, powoli złazi skóra z kości, ale pod spodem nie ma żadnych kości tylko jakaś topniejąca masa; podstawia stulone dłonie z myślą, by zebrać to i z

powrotem przylepić, i gdy to spada płatami w jego dłonie, powietrze bieleje od krzyku i okazuje się, że to on krzyczy.

Ta biel to światło; blask słońca na poduszce razi oczy, odbija skazy szyb okiennych na spuszczonej roletce. Pomiedzy nim i oknem leży ta kobieta zwinięta w kłębek pod kocem. Jej włosy w słońcu to rozciągnięte na poduszce pasma czerwieni, brązu, złota, bieli i czerni. Uśmiechając się z ulgą, Królik unosi się na łokciu i całuje jej masywny miękki policzek, podziwia sprężystą fakturę skóry. Widzi na niej blad różowe pasma - niedokładnie wytarł jej twarz w ciemności. Wraca do pozycji, w której spał, lecz spał za dużo w ostatnich godzinach. Jak gdyby szukając wejścia do innego snu, wyciąga rękę do jej nagiego ciała, tak blisko, i wędruje dłonią w górę i w dół po szerokich wypukłościach, ciepłych jak świeżo upieczone ciasto. Zwrócona jest do niego plecami, nie widzi jej oczu. Dopiero kiedy z ciężkim westchnieniem przeciąga się i odwraca w jego stronę, może się przekonać, że ona już nie śpi.

I wtedy znowu kochają się w porannym świetle, z chmurnymi ustami, jej piersi rozplaszczają się na wystających żebrach. Wklęsnięte sutki - brunatne pączki, trójkąt włosów - zabarwiona piana. Prawie za dużo tej nagości: jego rozkosz wydaje się skromna wobec bogactwa tej wspaniałej skóry, i zastanawia się, czy Ruth udaje. Mówi, że nie, że było inaczej, ale dobrze. Rzeczywiście dobrze. Królik wraca pod koce, podczas gdy ona drepcze po pokoju na bosaka, ubiera się. Śmieszne, że najpierw wkłada staniczek, a dopiero potem majtki. Wciąganie majtek uświadamia mu istnienie jej nóg jako oddzielnych

91

rzeczy, coś grubego, różowego jakby płynie wirującym ruchem w dół, zwięża się przy kostkach. Nogi nabierają jedna od drugiej różowego światła w czasie tego dreptania po pokoju. Fakt, że pozwala przyglądać się, pochlebia mu i dodaje pewności. Oswoili się.

Głośno biją kościelne dzwony. Królik przesuwa się na jej stronę łóżka, skąd patrzy na starannie ubranych ludzi wchodzących do kościoła po drugiej stronie ulicy, tego samego kościoła, którego oświetlone okno ukołysało go do snu. Wyciąga rękę i podnosi trochę roletę. Okno, które było różowe, jest teraz ciemne, a ponad kościołem,

ponad Sędziowską Górą, płonie słońce na niebieskiej fasadzie. Rzuca cień dzwonnicy na ziemię i w tym cieniu, niby na chłodnym negatywie, widać kilku mężczyzn z kwiatami w butonierkach; stoją plotkując, gdy tymczasem zwykle owieczki tego stada, z pochylonym czołem, płyną do środka kościoła. Ludziom tym przyszedł do głowy śmiały pomysł opuszczenia domu i przyjscia tutaj, żeby się modlić; podoba się to Królikowi, dodaje otuchy, skłania do zamknięcia oczu i pochylenia głowy, ale nieznacznie, żeby Ruth tego nie zauważyła. Pomóż mi Panie Jezu. Przebacz mi. Prowadź mnie. Pobłogosław Ruth, Janiee, Nelsona, moją matkę i ojca, państwa Springerów i nie narodzone jeszcze dziecko. Przebacz Totherowi i wszystkim innym. Amen.

Trzeźwieje, otwiera oczy i stwierdza:

- Sporo ludzi chodzi do tego kościoła.
- Niedzielny poranek - mówi Ruth. - Chce mi się rzygać w każdy niedzielny poranek.
- Dlaczego?
- Faj! - Dziewczyna odyma wargi, jak gdyby odpowiedź już znał. Zastanawia się przez chwilę widząc, że on leży i patrzy z powagą w okno, wreszcie mówi: - Miałam tu kiedyś takiego faceta, co obudził mnie o ósmej rano, bo o wpół do dziesiątej uczył w szkółce niedzielnej.
- Ty w nic nie wierzysz?
- W nic. Chcesz powiedzieć, że ty wierzysz?
- No... chyba tak. - Razi go jej szorstkość i pewność siebie, zastanawia się, czy powiedział jej prawdę. Jeśli skłamał, to znaczy, że wisi w środku jakiejś pustki, i ta

92

myśl draży go i przyprawia o drżenie serca. Po drugiej stronie ulicy, chodnikiem, mijając domy ze starej cegły, idzie kilka osób w swoich najlepszych ubraniach: czy czują grunt pod nogami? Te ubrania, ten niedzielny strój - myśli Królik bezradnie - przecież to widomy znak niewidzialnego świata.

- Jeżeli wierzysz w Pana Boga, to co tu robisz? - pyta Ruth.

- A bo co? Myślisz, że jesteś szatanem albo jakim innym diabłem?

Ruth, z grzebieniem w ręce, nieruchomieje na moment, potem wybucha śmiechem.

- No to wierz sobie w Pana Boga, jeśli ci z tym dobrze.

Ale on domaga się odpowiedzi.

- Dlaczego w nic nie wierzysz?

- Chyba żartujesz.

- Nie żartuję. Czy choćby na sekundę nie wydaje ci się to oczywiste?

- Że jest Pan Bóg? Wprost przeciwnie. Zawsze wydaje mi się oczywiste, że go nie ma.

- No więc, jeżeli Bóg nie istnieje, to dlaczego istnieje wszystko inne?

- Dlaczego? Nie ma żadnego "dlaczego". Po prostu istnieje. - Ruth stoi przed lustrem i przeciągając grzebieniem po włosach, lekko unosi górną wargę: tak robią kobiety na ekranie.

- A ja wcale nie myślę o tobie - mówi Królik - że po prostu tu jesteś.

- Słuchaj no, może byś się tak ubrał zamiast leżeć i prawić mi kazanie.

To, że się obróciła, żeby mu to powiedzieć i ruchem głowy odrzuciła włosy, działa na niego.

- Chodź tu - prosi. Podnieca go myśl, żeby to zrobić, kiedy kościoły są pełne ludzi.

- Nie - mówi Ruth. Czuje się naprawdę dotknięta. Jego wiara w Boga wymierzona jest przeciw niej.

- Już mnie nie lubisz?

- A czy to dla ciebie ważne?

- Wiesz, że tak.

- Wynoś się z mojego łóżka.

93

- Pewnie jestem ci winien następnych piętnaście dolców.

- Nic mi nie jesteś winien! Wynoś się do diabła!

- Co? Mam cię zostawić zupełnie samą?

Rzuca to niby żartem - na co ona sztywnieje ze zdumienia - szybko wyskakuje z łóżka, zgarnia swoje ubranie, daje nura do łazienki i zamyka za sobą drzwi.

Wyszędłszy stamtąd w bieliźnie, zgrywa się dalej: - Już mnie nie lubisz - i ze smutkiem rusza w stronę spodni starannie złożonych na krześle. Kiedy zniknął z

pokoju, zdążyła posłać łóżko.

- Wystarczająco cie lubię - mówi Ruth zajęta wygładzaniem kapy.

- Wystarczająco do czego?

- Wystarczająco.

- A za co mnie lubisz?

- Za to, że jesteś większy ode mnie. - Naciąga kapę w drugim końcu łóżka. - Wiesz, mało się nie wścieknę za każdym razem, kiedy te małe kobietki, o których każdy myśli "słodkie maleństwa", zagarniają wszystkich dużych chłopów.

- Coś w nich jest, w tych małych - łatwiej się do nich dobrać.

- Chyba masz rację - odpowiada Ruth ze śmiechem. Królik podciąga spodnie i zapina pasek.

- Powiedz, za co jeszcze mnie lubisz? Dziewczyna patrzy na niego.

- Mam ci powiedzieć?

- Powiedz.

- Że nie rezygnujesz. Na swój głupi sposób wciąż walczysz.

Słucha tego z rozkoszą; przenika go uczucie prawdziwej przyjemności, wydaje się sobie kimś ogromnym i szczyrzy zęby w uśmiechu. Ale ponieważ Królik ma we krwi amerykański odruch skromności, wyraz "czego to ja nie potrafię" szybko znika z jego twarzy, która wykrzywia się w znajomy sposób. Ruth rozumie.

- Tothero, biedny stary drań - mówi. - I do tego to naprawdę drań.

- Wiesz co - proponuje Królik - pójdę coś kupić i zrobisz lunch.

94

- No, no, czy masz zamiar tu zamieszkać?

- Dlaczego"? Umówiłaś się?

- Nie. Nie mam nikogo.

- No to o co chodzi? Powiedziałaś wczoraj, że lubisz otawać.

- Powiedziałaś, że kiedyś lubiłam.

- Jeżeli lubiłaś, to lubisz i teraz. Co mam kupić?

- Skąd wiesz, że sklep jest otwarty?

- A nie jest? Oczywiście, że jest. Te małe sklepiki zarabiają dopiero w niedzielę,

kiedy supermarkety są zamknięte. - Królik podchodzi do okna i wygląda na róg ulicy. I rzeczywiście drzwi sklepu otwierają się i jakiś człowiek z gazetą wychodzi na ulicę.

- Masz brudną koszulę - słyszy za plecami.

- Wiem. - Odchodzi od okna. - To jest koszula Tothera. Muszę zdobyć coś z ubrania.

Ale najpierw pójść po jedzenie. Co kupić?

- A co lubisz?

Wychodzi zadowolony. Dobra dziewczyna. Ma to do siebie, że jest dobra. Wiedział o tym w momencie, kiedy zobaczył ją stojącą przy liczniku na parkingu. Jej dobroduszość można było poznać po miękkim zaokrągleniu brzucha. Z kobietami jest tak: człowiek wiecznie się z nimi zderza, bo chcą zupełnie innych rzeczy - to inna rasa. Albo uległe jak rośliny, albo twarde jak kamień. W całym świecie zieleni nie ma nic tak dobrego jak kobieca dobroduszość. Ma uczucie, że chodnik razem z nim podskakuje, tak lekko biegnie się mu w tej brudnej koszuli do sklepiku. A co lubisz? Ma ją w ręku. Wie, że ją ma.

Przynosi osiem parówek w celofanie, paczkę mrożonej fasoli, mrożone frytki, litr mleka, słoik dżemu, chleb z rodzynkami, okrągły ser w czerwonym celofanie i na szczycie torby torcik Mamy Sweitzer. Wszystko razem kosztuje dwa dolary czterdzieści trzy centy. Wyjmując to z torby w swojej małej zaniedbanej kuchence, Ruth mówi:

- Niewybredny z ciebie stołownik.

- Myślałem o kotletach baranich, ale miał tylko parówki, salami i mielonkę w puszcze.

Gdy ona gotuje w kuchni, on wędruje po pokoju i

95

odkrywa na półeczce pod stołem, obok fotela, rząd kryminałów w wydaniu kieszonkowym. Ten facet w Foy Hood, który spał na sąsiedniej pryczy, wiecznie czyta takie rzeczy. Ruth pootwierała okna i chłodny marzec dzień wydał mu się jeszcze chłodniejszy, gdy przypomniał sobie żar Teksasu. Wiatr wydyma w jego stronę firanki z wyblakłego kretonu w groszki; ich przezroczysta tkanina delikatnie się napina, gdy Królik sztywnieje przejęty jeszcze piękniejszym wspomnieniem: domu, kiedy był dzieckiem, szelestu niedzielnych gazet w przeciągu na podłodze, po

południu, i matki pobrzękującej w kuchni garnkami; kiedy skończy, zabierze ich wszystkich - tatę i jego, i małą Miriam - na spacer. Z powodu dziecka nie pójda daleko, parę ulic, może do starej kopalni żwiru, gdzie znajduje się zamarzająca w zimie sadzawka, teraz rozlany staw na kilkanaście centymetrów głęboki, który podwaja wysokość brzegów odwróconym odbiciem skał w swoim przepastnym lustrze wody. Ale wystarczy zrobić jeszcze parę kroków dalej wzdłuż brzegu, a pod innym kątem odbija się w wodzie słońce; znika złudzenie odwróconych skał, przesycona światłem powierzchnia stawu wydaje się nieruchoma jak lód. Królik ściska mocno rączkę Mim.

- Hej? - woła Ruth - mam wspaniały pomysł. Pójdziemy po południu na spacer. Przejdziemy się.

- Chodzić? Cały czas chodzę.

- Pójdziemy na Sędziowską Górę.

Chyba jeszcze nigdy nie wszedł na sam szczyt od strony Brewer. Ogarnia go fala radosnej niecierpliwości i gdy w uniesieniu odwraca się od zeszywniałych, powiewem wiatru wydętych firanek, rozdzwaniają się kościelne dzwony.

- Tak, zróbmy to - woła w stronę kuchni. - Proszę cię! - Na ulicę wysypują się ludzie, wszyscy z zielonymi palmami.

Kiedy Ruth podaje jedzenie, Królik stwierdza, że jest lepszą kucharką niż Janice; tak jakoś podgrzała parówki, że nie popękały. U Janice zawsze zjawiały się na stole w kawałkach, poskręcane, jakby przeszły tortury. Jedzą w kuchni przy małym stoliku z ceramicznym blatem. Dotknięcie widelcem talerza przypomina mu uczucie chłodu

96

znane we śnie, gdy zbierał w dłonie rozpadającą się twarz Janice; psuje mu to smak pierwszego kęsa, zamienia i o w coś ohydneho - makabra! Mimo to mówi:

- Pyszne! - Ryzykuje następny kęs i jedząc odzyskuje apetyt.

Ceramiczny blat rzuca blady odbłask na twarz siedzącej przed nim Ruth; lśni jej szerokie czoło, a dwie krostki koło nosa wyglądają jak nie starte krople płynu. Zdając sobie sprawę, że przestała być atrakcyjna, je szybko drobnymi kęsami, z pokorą.

- Hej! - rzuca Królik.

- Co jest?
- Wiesz, że mój samochód wciąż jest zaparkowany na ulicy Wiśniowej.
- Nie szkodzi. W niedzielę nie ma opłat.
- Tak, ale jutro będą.
- To go sprzedaj.
- Co takiego?
- Sprzedaj wóz. Uprościsz sobie życie. Od razu zrobisz się bogaty.
- Nie... To znaczy... Och, myślisz o sobie. Słuchaj no, mam jeszcze trzydzieści dolarów, dam ci to zaraz. - Sięga do tylnej kieszeni spodni.
- Nie. Nie. Nie o t y m myślałam. W ogóle o niczym nie myślałam. Coś mi się wylęzło w tej mojej głupiej głowie.

Ruth jest zakłopotana, szyja jej pokrywa się plamami, a w nim budzi się współczucie; pomyśleć tylko, jaka ładna mu się wydała wczoraj wieczorem.

- Widzisz - wyjaśnia - ojciec mojej żony handluje używanymi samochodami i kiedy się pobraliśmy, sprzedał nam ten wóz z dość dużą zniżką. Więc do pewnego stopnia jest to samochód mojej żony, a ponieważ ma dziecko, to myślę, że powinna też mieć ten wóz. A poza tym mówisz, że mam brudną koszulę, więc jeśli mi się uda, muszę zabrać moją garderobę. Pomyślałem sobie, że po lunchu mógłbym podjechać do domu, zostawić samochód i zabrać ubrania.

- A jeżeli ona jest w domu?

- Nie ma jej. Jest u swojej matki.

- Coś mi się zdaje, że byłbyś zadowolony, gdybyś ją zastał w domu - mówi Ruth.

Królik zastanawia się nad tym: wyobraża sobie, że otwiera drzwi i oto Janice siedzi w fotelu z pustą szklanką przed telewizorem, a on czuje ulgę, jakby się w nim coś w środku przełamało, jakby przełknął kęsek stojący w gardle, ulgę na widok jej twarzy całej, nienaruszonej, z tą jej wieczną upartą tępotą.

- Nie, nie chciałbym - odpowiada. - Ja się jej boję.

- To widać - mówi Ruth.

- Ona ma w sobie coś takiego... - stwierdza Królik - że jest groźna.

- To biedactwo, które porzuciłeś? Prędzej bym powiedziała, że ty jesteś groźny.

- Nieprawda.

- Och, zgoda. Uważasz, że jesteś króliczkiem. - Tę uwagę robi tonem drwiny i nie wiadomo dlaczego, z pewną irytacją. - A co zrobisz ze swoimi ubraniami? Jak to sobie wyobrażasz?

Ach, więc o to chodzi: obawa, że sprowadzi się do niej.

- Przyniosę tutaj - przyznaje otwarcie. Ruth wzdycha głęboko, ale nic nie mówi.

- Tylko na jedną noc - prosi. - Mam nadzieję, że nie jesteś dziś zajęta.

- Może. Nie wiem. Prawdopodobnie nie.

- No to świetnie. Słuchaj, kocham cię.

Ruth wstaje, żeby zabrać ze stołu nakrycia, i z kciukiem na talerzu wbija wzrok w sam środek białego blatu. Ciężko potrząsa głową.

- To nie wróży nic dobrego.

Stoi oparta o stolik i jej szerokie biodra w moherowej brązowej spódniczce rysują się jak masywna i symetryczna podstawa potężnej kolumny. Serce jego rwie się ku tej mocnej kolumnie, ogarnia go uczucie odnowionej miłości, ale nie odważa się podnieść oczu, żeby zbadać jej twarz.

- Nic na to nie poradzę - mówi. - Za to ty jesteś dla mnie dobrą wróżką.

Zjada trzy kawałki torciku Mamy Sweitzer, pozostała w kącie ust okruszyna spada na jej sweter, kiedy w kuchni, na pożegnanie, całuje jej piersi. Zostawiają przy zmywa-
98

niu naczyń. Samochód czeka na niego na ulicy Wiśniowej tajemniczo nieruchomy w chłodnym, wiosennym powietrzu - wydaje mu się, że ten samochód to część jego domu, oddzielona i zatopiona przy krawężniku, że po odpływie nocy wyłonił się błyszczący na piasku, lekko przechylony, lecz nie tknięty, gotowy do podróży po przekręceniu kluczyka. Pod ubraniem, brudnymi pogniecionym, Królik czuje swoje ciało czyste, szczupłe, lekkie. Jest kochany. Samochód bezpiecznie pachnie gumą, kurzem i nagrzaną w słońcu blachą. Pochwa do noża, którym jest on sam. Najkrótszą drogą przejeżdża przez oszołomione niedzielą miasto, wśród łagodnych rzędów swojskiej cegły, werand o poręczach z chłodnego drzewa. Objeżdża wielki stok Sędziowskiej Góry; jej zbocze, tuż nad szosą, obsypane jest żółtawą zielonością

młodych liści; wyżej czarna linia roślin wiecznie zielonych tworzy wraz z niebem horyzont. Zmienił się widok, odkąd tu był ostatnim razem. Wczoraj rano niebo pokrywała sieć rozwleczonej przed świtem obłoków; był wyczerpany i zmierzał w sam środek tej sieci, jedynie tam widząc szansę odpoczynku. Teraz południe nowego dnia wypaliło chmury i odbite w przedniej szybie niebo jest puste i zimne, a on czuje przed sobą pustkę, niebieskooką pustkę Ruth, nicość tego, co mu o sobie powiedziała, nicość, w którą ona wierzy. Serce człowieka wędruje zawsze przez takie puste niebo.

Nastrój opanowania wali się w gruzy, gdy Królik wjeżdża pomiędzy znajome domy Sędziowskiej Góry. Staje się ostrożny, nerwowy. Skręca w ulicę Jacksona, w Pottera, w Wilbura, próbuje z zewnętrznych oznak wydedukować, czy jest ktoś w jego mieszkaniu. Brakuje elektrycznego światła, które wszystko by wyjaśniło; jest biały dzień. Żadnego samochodu przed domem. Królik dwukrotnie przejeżdża przed swoim domem, wykręcając szyję, wypatruje twarzy w oknie. Lecz okno jest wysoko, przez zamglone szyby nic nie widać. Ruth myliła się; on wcale nie chce spotkać Janice.

Na samą myśl o takim spotkaniu robi mu się słabo i gdy wysiada z samochodu, blask słońca omal nie zbija go z nóg. Wchodzi po schodach i nawet ich stopnie zdają się hamować swoimi wrębami jego niespieszne, pełne strachu

99

wchodzenie do góry. Stuka do drzwi, gotów do ucieczki. Z drugiej strony drzwi cisza. Stuka raz jeszcze, nasłuchuje, wyjmuje klucz z kieszeni.

Mieszkanie, choć puste, tak jest pełne Janice, że Królik zaczyna drżeć; widok fotela przed telewizorem podcina mu kolana. Widok zepsutych zabawek Nelsona na podłodze mąci mu w głowie. Wszystko, co mieści się w czaszce - szare komórki, chrząstki uszu, aparat wzroku - jakby poruszone z miejsca, zaczyna mu przeszkadzać; zbiera mu się na łzy albo kichnięcie, sam nie wie. Salonik pachnie kurzem. Rolety spuszczone. Janice zawsze je spuszcza po południu, żeby osłonić ekran telewizora przed blaskiem słońca. Ktoś próbował tu sprzątać - zniknęły jej popielniczki i pusta szklanka. Królik kładzie klucz od mieszkania i kluczyki od samochodu na skrzynce

telewizora; pomalowany brązową farbą metal imituje słoje drzewne. Gdy otwiera drzwi szafy, klamka uderza o telewizor. Zniknęły niektóre jej sukienki.

Zamierza sięgnąć po swoje ubranie, ale zamiast tego odwraca się i wędruje w stronę kuchni, zastanawiając się nad słuszością swego postępowania. Widzi wygniecioną powierzchnię ich łóżka w przesączonym świetle słońca. Nigdy nie było dobre.

Prezent jej rodziców. Na toalecie parę flakonów i nożyczki do paznokci, i szpulka białych nici z igłą, i kilka metalowych spinek do włosów, i książka telefoniczna, i nieduży budzik ze świecącymi cyframi, i wyrwany z jakiegoś pisma przepis, z którego nigdy nie skorzystała, i naszyjnik z drewnianych paciorków rzeźbionych na Jawie, który jej kupił na gwiazdkę. Pod ścianą, niepewnie oparte, stoi duże owalne lustro, przyniesione od jej rodziców, kiedy tamci urządzali sobie od nowa łazienkę; zawsze zamierzał powiesić to lustro na ścianie nad jej toaletką, ale nigdy nie mógł się zdobyć na kupienie odpowiednich haków. Na parapecie okiennym szklanka, do połowy napelniona przestała wodą, rzuca zakrzywione odbicie słońca w to miejsce, gdzie powinno wisieć lustro. Obok trzy równoległe, długie kreski wydra pane na tynku. Czynie? Kiedy? Za zasłanym łóżkiem widać biały trójkąt posadzki w łazience; tamta chwila, kiedy wzięła prysznic, jej pośladki zaczerwienione od pary, to chętnie uniesienie ramion, żeby go pocałować, mokre

100

kosmyki włosów pod jej pachami. Skąd ta nagła ochota w niej, a potem w nim?

W kuchni odkrywa dziwne niedopatrzenie; pozostawione na patelni wieprzowe kotlety trupio zimne, pokryte ściętym tłuszczem, wrzuca je do papierowej torby pod zlewem i zeskrobuje łąpatką resztki zakrzepłego tłuszczu. Torba z ciemnymi, brązowymi plamami na dnie zalatuje mdłym zapaszkiem zgnilizny. Zastanawia się. Śmietnik jest na dworze, nie ma ochoty na dwie wyprawy. Postanawia machnąć na wszystko ręką. Puszczą wrzącą wodę do zlewu i wstawia patelnię, żeby odmiękła. Parujący wrzątek wydaje szept jak w grobie.

Poganiany strachem, zabiera z szuflady czyste spodenki, podkoszulki i skarpetki, z innej szuflady trzy koszule w celofanie i niebieskich pudłach, parę wypranych spodni z trzeciej, wyjmując z szafy dwa garnitury i jedną sportową koszulę. Drobniejsze

rzeczy zawija w te garnitury, aby mieć poręczny tłumok do niesienia. Poci się jak przy ciężkiej pracy. Z tłumokiem w ramionach, który podpira uniesionym udem, jeszcze raz przebiega oczami całe wnętrze. Meble, podłoga, tapety zdają się powleczone tym samym mrokiem co jego twarz. W pokojach pachnie tak, jakby się tu stało coś dziwnego, i Królik z ulgą wychodzi. Drzwi zatrzasnęły się za nim nieodwołalnie. Klucz został w środku.

Szczotka do zębów, maszynka do golenia, spinki do mankietów. Buty. Schodząc, na każdym stopniu przypomina sobie, czego zapomniał. Spieszy się, zbiega z tupotem. Omal nie uderza głową o palącą się na czarnym sznurze żarówkę w przedsionku. Jego nazwisko na skrzynce do listów woła za nim; litery wypisane niebieskim atramentem gonią niemym krzykiem. Wynurzając się na światło słoneczne, czuje się śmieszny, jak jeden z tych tajemniczych złodziei z ostatnich stron gazet, który zamiast pieniędzy i srebra zabiera emaliowaną miednicę, dwadzieścia rolek tapety albo zawiniątko ze starą garderobą.

- Dzień dobry panu.

Mija go sąsiadka, panna Arndt, w lawendowym kapeluszu, w którym chodzi do kościoła, z palmą w zaciśniętych dłoniach.

101

- O, dzień dobry pani, jak zdrowie? - Panna Arndt mieszka o trzy domy dalej; wszyscy podejrzewają, że ma raka.

- Doskonale - odpowiada panna Arndt. - Doskonale. - I stoi w blasku słońca, oszołomiona jego wspaniałością, płaskimi stopami odruchowo opierając się pochyłości chodnika.

Bardzo powoli przejeżdża jakiś zielony samochód. Panna Arndt zastępuje drogę Królikowi, przyjaźnie zaskoczona, jakby wdzięczna za coś, być może za to, że stoi na tym pochyłym chodniku, jak mucha, która idąc po suficie zatrzymuje się, żeby podziwiać samą siebie.

- Co pani powie na taką pogodę? - pyta Królik.

- Wspaniała, wspaniała. Niedziela Palmowa zawsze jest niezawodna. Czuję, jak krążą soki w moich nogach. - Śmieje się, on jej wtóruje.

Panna Arndt jakby wrosła w nagrany chodnik między pierzastymi cieniami dwóch młodych klonów. Nie wie o niczym, upewnia się Królik.

Ponieważ wbiła spojrzenie w jego ramiona, wyjaśnia potrząsając swoim tobołkiem.

- Zabrałem się do wiosennych porządków.

- To dobrze - mówi panna Arndt z zaskakująco ironicznym grymasem. - Wy, młodzi małżonkowie, łatwo dajecie się zaprząć do roboty. - A potem, odwróciwszy się od niego, stwierdza zaskoczona: - O, jedzie do nas jakiś duchowny!

Zielony wóz zawrócił i jeszcze wolniej podjeżdża środkiem ulicy. Z przerażeniem, które podwaja ciężar jego bagażu, Królik zdaje sobie sprawę, że wpadł. Daje susa z ganku.

- Muszę lecieć - rzuca pannie Arndt, która głośno zastanawia się:

- To nie jest pastor Kruppenbach.

Jasne, że to nie Kruppenbach; nie zna nazwiska, ale wie, o kogo chodzi. To ktoś z Kościoła episkopalnego, do którego należą Springerowie z powodu towarzyskich ambicji starego durnia; dawniej byli protestantami. Królik nie może biec szybko.

Musi zapierać się piętami przy każdym kroku, stromą powierzchnię chodnika zasłania mu niesiony na brzuchu toboł. Byle tylko dojść do zaułka.

102

Jedyna nadzieja, że pastor nie wie na pewno, czy to on.

Królik czuje za sobą skradanie się zielonego samochodu; chce rzucić swój toboł i zwiewać. Wystarczyłoby dolecieć do starej fabryki lodu. Ale to dopiero następna przecznica. Czuje, że Ruth, która pomyśla już naczynia, czeka na niego za górą. Błękit za błękitem i pod błękitem. Niby rekin tnący swoim łbem ciche fałdy wody zielony tłotnik pruje fale powietrza, które uderzają Królika pod kolana. Im szybciej idzie, tym mocniej to czuje. Dobiega go z tyłu załamujący się głos:

- Bardzo przepraszam, czy pan Harry Angstrom? Czując własną podłość, jak przy mówieniu kłamstwa,

Królik odwraca się i półszepem potwierdza:

Tak.

Jasnowłosa młody mężczyzna, z szyją ujętą w biel, zatrzymuje samochód ukośnie do

chodnika, energicznie zaciąga ręczny hamulec i wyłącza silnik, parkując w ten sposób wóz po niewłaściwej stronie ulicy i krzywo. Zabawne, jak duchowni ignorują przepisy drogowe. Królik pamięta, że syn Kruppenbacha szalał po mieście na motocyklu. Wydawało się to pewnego rodzaju bluźnierstwem.

- A ja jestem Jack Eccles - mówi ten pastor i bez powodu śmieje się przy ostatniej sylabie. Biała kreska przylepionego do ust, nie zapalonego papierosa i jej powtórzenie - biała koloratka - tworzą razem komiczny obrazek w oknie samochodu. Pastor wysiada z oliwkowozielonego czterodrzwiowego buicka, model 1958, i wyciąga do Królika rękę; Królik musi odłożyć swój toból na trawnik oddzielający chodnik od krawężnika.

Eccles ściska mu dłoń żarliwie, z wprawą i mocno. Królik czuje się przez chwilę niczym w objęciach duchownego, z których - myśli z lękiem - nigdy się już nie wyzwoli. Jest w pułapce; zaczynają się wyjaśnienia, słowa żalu, modlitwy, pogodzenia - wszystko to rośnie przed nim jak wilgotne ściany; aż mu ciarki po plecach chodzą. Czuje w swoim zdobywcy upór i wytrwałość.

Pastor jest mniej więcej w jego wieku, może trochę starszy, i o wiele niższy, ale krzepkiej budowy; pod czarną marynarką wyczuwa się coś w rodzaju zbędnej w tym

103
zawodzie muskulatury. Pastor stoi przed nim, lekko skuliwszy ramiona. Ma krzaczaste rudawe brwi, które zrastają się pod zatroskaną zmarszczką u nasady nosa, a mała, blada, wystająca broda wygląda jak gałka wetknięta pod usta. Pomimo stropionego wyglądu wyczuwa się w nim coś przyjaznego i głupawego.

- Dokąd pan idzie? - pyta pastor.

- Ja? Nigdzie. - Uwagę Królika przyciąga jego ubranie, które tylko udaje czarne. W rzeczywistości jest granatowe, skromne, lecz eleganckie, z lekkiej ciemnogramatowej wełny. Z gorsem czy śliniakiem, czy jak to się tam nazywa, czarnym jak sadza.

Usiłuje utrzymać papierosa pomiędzy wargami i jego śmiech zmienia się w parsknięcie. Pastor maca poty swojej marynarki.

- Ma pan może zapalki?

- Przykro mi, ale ja nie palę. Przestałem palić.

- No to jest pan lepszy ode mnie. - Milknie i zamyśla się, potem spogląda na Harry'ego, unosząc zdziwione brwi, pod którymi oczy wydają się okrągłe i blade jak szkło. - Czy mogę pana podwieźć.

- Nie, skądże znowu. Proszę się mną nie przejmować.

- Chciałbym z panem pomówić.

- Naprawdę? Pastorowi na tym zależy?

- Tak. Bardzo.

- No to trudno. - Królik bierze swój toból, obchodzi buicka od przodu i wsiada.

Wnętrze pachnie słodkawo plastykiem, jak zwykle w nowych samochodach. Wciąga głęboko ten zapach, który koi nieco jego strach. - Chodzi o Janice?

Eccles potakuje ruchem głowy, zerkając w tylne lusterko, ponieważ cofa się od krawężnika. Górną wargę ma dłuższą, oczy podkrążone fioletem zmęczenia.

Niedziela to dla niego ciężki dzień.

- Jak ona się czuje? Co zrobiła?

- Dzisiaj wydaje się o wiele przytomniejsza. Przyszła rano z ojcem do kościoła.

Jadą ulicą. Eccles nie dodaje nic więcej, mrugając, patrzy w przednią szybę. Wtyka zapalniczkę w deskę rozdzielczą.

- Tak sobie myślałem, że będzie u rodziców - mówi Królik. Zaczyna go już trochę irytować, że pastor

104

nie bierze na zwierzenia, nie poucza; jakby nie wiedział, co do niego należy.

Zapalniczka wyskakuje. Eccles przykładają do papierosa, zaciąga się i wraca do rzeczy.

- Jasne, że kiedy nie wrócił pan po pół godzinie, adzwoniła do pańskich rodziców i poprosiła teścia, żeby

przywiózł małego do domu. Pański ojciec, o ile wiem, ogromnie ją uspokoił,

powiedział, że prawdopodobnie coś pana zatrzymało. Przypomniała sobie, że wrócił

pan późno do domu z powodu gry w koszykówkę gdzieś na ulicy, pomyślała, że mógł

pan tam wrócić. O ile wiem, jański ojciec przeszedł się nawet po mieście w

poszukiwaniu jakiegoś meczu.

- A gdzie był stary Springer?

- Nie dzwoniła do nich. Zadzwoiła dopiero o drugiej nad ranem, kiedy przypuszczalnie straciła wszelką nadzieję, biedne dziecko. - Te dwa słowa wymówił izem i zabrzmiały jak wyświechtany banan.

- Dopiero o drugiej? - pyta Harry. Litość chwyta go za serce, dłonie obejmujące tobolek z ubranie zaciskają się, jakby chciały pocieszyć Janice.

- Około drugiej. Była już wtedy w tak okropnym stanie, pijana i w ogóle, że jej matka zadzwoniła do mnie.

- Dlaczego do pastora?

Nie wiem. Ludzie dzwonią do mnie. - Eccles nieje się. - I powinni tak robić, to ich podtrzymuje na iuchu. W każdym razie podtrzymują mnie. Zawsze łysiałem, że pani Springer mnie nienawidzi. Od miesięcy ie była w kościele. - Gdy po tym żarcie pastor odwraca twarz do Królika, zagadkowy grymas unosi jego brwi i otwiera usta.

- Około drugiej nad "ranem?

- Między drugą a trzecią.

- O, cholera! Przykro mi. Nie miałem zamiaru wyciągać pastora z łóżka.

Pastor z irytacją potrząsa głową.

- Nie o to chodzi.

- Ale mnie jest okropnie przykro.

- Naprawdę? To budzi nadzieję. A więc... hm... jakie są pańskie plany?

- Nie mam żadnych planów. Gram ze słuchu.

105

Zaskakuje go śmiech Ecclesa, przychodzi mu do głowy, że pastor jest znawcą takich właśnie spraw: rozbitych domów, zbiegłych małżonków i że "gram ze słuchu" zabrzmiało pastorowi jak coś nowego. To pochlebiające; Eccles umie pochlebić.

- Pańska matka rna ciekawy pogląd - mówi Eccles. - Uważa, że pańska żona i ja ulegamy złudzeniu, jakoby pan uciekł. Mówi, że na coś takiego to pan jest o wiele za dobrym chłopcem.

- Ta sprawa zajęła pastorowi trochę czasu, co?

- Tak. To i jeden nieboszczyk wczoraj.

- Ojej! Bardzo mi przykro.

Krażyli powoli, bez celu, po znajomych ulicach; raz" minęli fabrykę lodu, innym razem skrzyżowanie, z którego widać dolinę.

- Jeżeli pastor naprawdę chce mnie podwieźć - mówi Królik - to proszę jechać do Brewer.

- A nie zawieźć pana do żony?

- Na miłość boską, nie! To znaczy... osobiście nie przypuszczam, żeby to przyniosło coś dobrego, a pastor?

Przez dłuższą chwilę wydaje się, że pastor go nie usłyszał, patrzy w szybę dużego samochodu, który toczy się z cichym pomrukiem. Harry widzi jego czysty, znużony profil. Bierze oddech, żeby powtórzyć pytanie, ale Eccles mówi:

- Tylko pod warunkiem, że chce pan, żeby to przyniosło coś dobrego.

W ten prosty sposób sprawa wydaje się zamknięta. Jadą aleją Pottera do szosy. Na słoneczne ulice wyległy już dzieci, niektóre jeszcze w swoich ubrankach z niedzielnej szkółki. Małe dziewczynki w różowych sukienkach, ściśniętych w talii i sterzących na boki. Wstążki w tym samym kolorze co skarpetki.

Eccles pyta:

- Co takiego ona zrobiła, że pan ją rzucił?

- Poprosiła, żebym jej kupił paczkę papierosów. Wbrew oczekiwaniom Eccles wcale się nie śmieje;

chyba puścił mimo uszu jego słowa jako bezczelne, przekraczające granice przyzwoitości. A przecież tak było.

- To prawda - mówi Królik. - Poczulem nagle, że

106

staram się na siłę utrzymać cały ten bałagan, który ona robi... miałem takie uczucie, że jestem oblepiony połamanymi zabawkami, pustymi szklankami... miałem po dziurki od nosa telewizji, spóźnionych kolacji i tak dalej, i że z tego nie ma wyjścia. Aż nagle strzeliło mi do głowy, że wyjście jest, i to łatwe, po prostu wziąć i wyjść z domu, i niech wszystko diabli wezmą. I to się okazało łatwe.

- Na niecałe dwa dni.

- Och. Przypuszczam, że prawo...

- Nie wybiegałem myślami aż tak daleko. Pańska teściowa zaraz o tym pomyślała, ale pańska żona i pan Springer stanowczo się temu sprzeciwiają. Sądzę, że z różnych powodów. Żona sprawia wrażenie osoby obezwładnionej. Chce, żeby nikt nic nie robił.

- Biedactwo. To zupełna idiotka.

- Dlaczego pan tu jest?

- Bo pastor mnie złapał.

- Mam na myśli: co pan robił przed swoim domem?

- Przyszedłem po bieliznę i ubranie.

- Schludne ubranie tak dużo dla pana znaczy? Po cóż dbać o przyzwoitość w tej dziedzinie, jeśli tak łatwo się ją depcze w innej?

Oj, niebezpiecznie jest mówić, myśli Królik: słowa wracają w postaci haczyków i sideł.

- Zostawiłem jej także samochód.

- Dlaczego? Czy nie jest panu potrzebny w tej ucieczce?

- Po prostu pomyślałem sobie, że samochód jej się należy. Jej ojciec sprzedał go nam tanio. W każdym razie nie przyniósł mi szczęścia.

- Nie? - Eccles gniecie papierosa w popielniczkę i sięga do kieszeni po następny.

Okraczają górę na najwyższym odcinku drogi, gdzie stok wznosi się zbyt stromo i zbyt stromo opada, żeby mógł tam stanąć dom czy stacja benzynowa. W dole ciemno połyskuje rzeka. - Gdybym to ja miał porzucić moją żonę - mówi - wsiałbym do samochodu i jechał tysiące kilometrów przed siebie. - Tak spokojnie jest to powiedziane ponad bielą koloratki, że brzmi niemal jak rada.

- I tak właśnie zrobiłem! - krzyczy Królik, zachwycony faktem, że tyle mają ze sobą wspólnego. - Dojecha-

107

łem aż do Zachodniej Wirginii. Potem pomyślałem: niech to wszyscy diabli, i zawróciłem. - Nie powinien przeklinać, czemu to robi? Może, żeby odgradzić się od tego człowieka w czerni, który tak niebezpiecznie go pociąga.

- Czy wolno spytać, dlaczego?

- Och, sam nie wiem. Z powodu różnych rzeczy. Wydało mi się, że będę bezpieczniejszy w miejscu, które znam.

- A nie wrócił pan po to, żeby zaopiekować się żoną? Też pomyśl! Królika zatkało.

- Mówi pan o tym wrazeniu wiecznego bałaganu - ciągnie dalej Eccles - czy zamieszania. A pan sądzi, że u innych młodych małżeństw jest inaczej? Do jakiego stopnia jest pan wyjątkiem, jak się panu zdaje?

- Pastor pewnie myśli, że na to nie ma żadnej odpowiedzi? Ale jest. Kiedyś mi się coś udało. Grałem pierwszorzędnie w koszykówkę. Naprawdę pierwszorzędnie. A jeżeli człowiekowi coś się udaje pierwszorzędnie, wszystko jedno co, to już nie ma serca do tego, co wychodzi gorzej. A to, co miałem z Janice, mój Boże, takie to małe było, takie liche.

Zapalniczka wyskakuje. Eccles zapala papierosa i szybko kieruje wzrok na drogę. Są już na przedmieściu Brewer.

- Czy wierzy pan w Boga? - pyta. Przeszedłszy już rano podobną próbę, Królik odpowiada bez wahania:

- Tak.

Eccles zerka na niego ze zdumieniem. Mruga bogato urzęsioną powieką, ale nadal pokazuje swój jednooki profil, nie odwraca twarzy.

- Czy wobec tego myśli pan, że Bóg chce, aby pan kazał cierpieć swojej żonie?

- I ja zadam pytanie. Czy pastor sądzi, że Bóg chce, żeby wodospad stał się drzewem?

Pytanie, które powtórzył za Jimmym, brzmi śmiesznie. Królik zdaje sobie z tego sprawę, złości go, że Eccles przyjmuje je z prostotą, smutnie zaciągając się dymem. Zdaje sobie sprawę, że cokolwiek powie, będzie przyjęte taką samą zmęczoną smugą dymu; słuchanie to przecież jego zawód. Duża jasna głowa pastora wydaje się napcha-

108

na mieszaniną drogocennych cudzych sekretów i namiętnych pytań, jakby jakaś papka, której nic, chociaż jest taki młody, nie doda barwy. Po raz pierwszy Królik

czuje do niego niechęć.

- Nie - mówi Eccles po namyśle. - Ale przypuszczam, że Bóg pragnie, żeby małe drzewko stało się dużym drzewem.

- Jeżeli pastor chce mi powiedzieć, że nie jestem dojrzały, to właśnie tego nie żałuję, bo o ile wiem, być dojrzałym to to samo, co być martwym.

- Ja sam jestem niedojrzały - chwali się Eccles. Nie. Królik nie da się na to złapać. Odrzuca piłeczkę.

- W każdym razie nie mam zamiaru wracać do tej nieszczęsnej małej pijaczki, nawet jeżeli pastor bezgranicznie jej współczuje. Nie wiem, co w niej jest. Od lat nie wiem. Wiem tylko, co jest we m n i e. Bo tylko to mam. Czy pastor wie, co robiłem, żeby utrzymać ten cyrk? Reklamowałem w najtańszych sklepach kawałek blachy za trzy centy - niech ją gęś kopnie - nazywa się "Magik" i jest to niby taki fenomenalny, nowoczesny obieracz do jarzyn.

Eccles wybuchą śmiechem, brwi jego wyrażają ogromne zdumienie.

- To mi przynajmniej wyjaśnia, skąd w panu ten talent oratorski.

Sarkastyczny śmiech brzmi naturalnie, ustawia każdego z nich na właściwym miejscu. Królik czuje się pewniej.

- Chciałbym teraz wysiąść - mówi.

Są na ulicy Weisera i jadą w stronę wielkiego słonecznika, który w dzień jest martwy.

- A nie podwieźć pana tam, gdzie się pan zatrzymał?

- Nigdzie się nie zatrzymałem.

- W porządku. - Z odcieniem chłopięcej złości Eccles zatrzymuje wóz przed hydrantem pożarowym. Zahamował z werwą, w bagażniku coś zaklekotało.

- Wóz się pastorowi rozlatuje - zauważa Królik.

- To tylko kije do golfa.

- Pastor gra w golfa?

- Słabo. A pan? - Pastor jest wyraźnie ożywiony, zapomina o żarzącym się w jego palcach papierosie.

109

- Kiedyś nosiłem kije.

- Czy mogę zaproponować partyjkę golfa? - Otóż i haczyk!

Królik wysiada, przyciskając do piersi swój toból jak wielką piłkę, staje na krawężniku i przestępuje z nogi na nogę, zadowolony, że jest wolny.

- Nie mam kijów.

- Łatwo je pożyczyć. Ja bardzo proszę. Poważnie - mówi Eccles wychylając się z samochodu. - Trudno mi znaleźć partnera. Wszyscy pracują z wyjątkiem mnie - śmieje się.

Królik wie, że powinien uciekać, ale opiera się tej pokusie - myśli o grze i o tym, że bezpieczniej jest nie tracić myśliwego z pola widzenia.

Eccles naciska.

- Obawiam się, że wróci pan do reklamowania tego "Magika", jeśli nie złapię pana szybko. Wtorek? Wtorek o drugiej. Czy mam przyjechać?

- Nie. Przyjdę do pastora do domu.

- Słowo?

- Tak. Ale lepiej nie polegać na moim słowie.

- Trudno, nie mam innego wyjścia. - Eccles podaje adres w Sędziowskiej Górze i żegnają się przy krawężniku. Mija ich idący chodnikiem stary policjant, który doświadczonym okiem zerka na zamknięte w niedzielę, uśpione fronty sklepów.

Myśli pewnie, że pastor żegna się z przewodniczącym swojej Grupy Młodzieżowej, który dźwiga toból starzyzny dla biednych. Harry szczyrzy zęby do policjanta i odchodzi iskrzącym się chodnikiem. Radość go rozpiera, Śmieszne, ale świat nie może człowiekowi nic zrobić!

Ruth wpuszcza go, trzymając w jednej ręce kryminał, oczy ma senne od czytania.

Włożyła inny sweter. Włosy jej wydają się ciemniejsze. Królik rzuca swój toból na łóżko.

- Czy masz wieszaki?

- Słuchaj no, ty chyba naprawdę wyobrażasz sobie, że masz tu gniazdko.

- Mam ciebie - odpowiada. - Mam ciebie i słońce, i gwiazdy.

I takie ma uczucie, ściskając ją w ramionach. Jest ciepła

i ciężka w jego ramionach, ale nie jest przyjazna, o nie! Mdły zapach mydła bije go w nos, coś wilgotnego ociera się o jego szczękę. Umyła włosy. Szesała je do tyłu, widać ciągnące się od czoła ciemniejsze pasma równiutko wygładzone grzebykiem. Czysta, jest czysta, duża czysta kobieta. Królik przytyka nos do jej czaszki, aby chłonąć ten skromny, lecz wyraźny zapach. Myśli o niej nagiej w strumieniach prysznic, z pianą mydła na luźno spadających włosach, z szyją pochyloną pod biczem wody.

- Rozkwitłaś dzięki mnie - mówi.

- Och, ty mój cudzie - odpowiada Ruth i odpycha się od jego piersi. A gdy on starannie wiesza swoje ubranie, pyta: - Oddałeś żonie samochód?

- Nikogo nie zastałem. Wślizgnąłem się i wyślizgnąłem po kryjomu. Zostawiłem kluczyki w mieszkaniu.

- I nikt cię nie przyłapał?

- Jeśli chodzi o ścisłość, to tak. Pastor kościoła episkopalnego. Podrzucił mnie z powrotem do Brewer.

- Więc jednak jesteś pobożny?

- Ja go o to nie prosiłem.

- Co mówił?

? - Nic ważnego.

- Jaki był?

- Dość okropny. Chichotał bez przerwy.

- Może dałeś mu powód?

- Mam z nim zagrać w golfa we wtorek.

- Żartujesz.

I - Nie, naprawdę. Powiedziałem, że nie umiem.

Ruth śmieje się, długo zanosi się śmiechem typowym dla kobiet, kiedy są podniecone i wstydzą się tego.

- Och, mój Króliczku - wykrzykuje, łapie oddech i kończy z czułością: - moje ty niewiniątko! Ty sobie tylko wędrujesz po świecie, prawda?

- Mówię ci, złapał mnie - upiera się Królik wiedząc, że z jakichś niejasnych

powodów wszelkie próby tłumaczenia ją rozbawią. - Ja nic nie zrobiłem.

- Biedaczek - mówi Ruth - po prostu każdy chce cię złapać.

Z utajoną, ale ogromną ulgą Królik zdejmuje z siebie brudy i wkłada czystą bieliznę, świeże skarpetki i lekkie beżowe spodnie. Maszynkę do golenia zostawił w domu,

111

ale Ruth ma damską, małą, którą goli sobie pachy, i ta służy teraz Królikowi. Wybiera wełnianą sportową koszulę, wiosną po południu dzień szybko stygnie, i wkłada z powrotem zamszowe półbuty. Zapomniał wziąć z domu drugą parę.

Ubrany oznajmia:

- Idziemy na spacer.

- Czytam - mówi Ruth ze swego krzesła. Niewiele jej brakuje do końca. Czyta książki schludnie,

nie wygina grzbietu, chociaż kosztują tylko trzydzieści pięć centów.

- Chodź. Wyjdźmy na powietrze. - Królik podchodzi i usiłuje wyrwać jej z ręki książkę, której tytuł brzmi: Śmierć w Oksfordzie. Co ją może obchodzić śmierć w Oksfordzie, kiedy tutaj ma jego, cudownego Harry'ego Angstroma.

- Poczekaj - błaga Ruth. Przewraca stronicę, przebiega oczami jeszcze parę zdań, w miarę jak książka powoli się unosi, wędruje wzrokiem w górę, wreszcie daje za wygraną i pozwalają sobie zabrać. - O Boże, ale ty się lubisz rządzić!

Królik zakłada stronicę wypaloną zapalką i patrzy na nagie stopy dziewczyny.

- Czy masz tenisówki albo coś w tym rodzaju? Nie możesz iść na obcasach.

- Nie mam. Och, jaka jestem śpiąca.

- Pójdziemy wcześniej do łóżka.

Na te słowa ona przewraca oczami i lekko wydyma wargi. Jest w niej ta wulgarność, której nie umie się pozbyć, już taka jest.

- Chodź - mówi Królik. - Nałóż jakieś pantofle na płaskich obcasach i wysuszemy ci włosy.

- Będę musiała pójść na obcasach. - Kiedy pochyla głowę, żeby zapiąć sandaalki, biała linia przedziałka we włosach wywołuje uśmiech na jego twarzy. Ta linia jest taka prosta jak urodzinowy przedziałek na głowie małej dziewczynki.

Idą na Sędziowską Górę przez miejski park. Nie wystawiono jeszcze koszy na śmiecie ani przenośnych metalowych ławek. Na betonowych ławkach z drewnianymi oparciami wygrzewają się, jak duże gołębie, starcy o

112

bujnych zarostach i w szarych ubraniach, które mają wielorakie odcienie gołębih piór. Drzewa w obłoku maleńkich liści omiatają cieniem na wpół gołą ziemię. Świeżo zasianą trawę na obrzeżach nie wygracowanych żwirowych alejek chroni sznurek przeciągnięty od kijka do kijka. Od strony pustej muszli koncertowej spływa ze stoku niezmienny powiew wiatru i w cieniu jest zimno. Wełniana koszula to był dobry pomysł. Gołębie, które kręcą łebkami jak automaty i drepczą na różowych nóżkach, wzbijają się nagle spod ich stóp i z szumem opadają za ich plecami. Jakiś włóczęga usiadł na ławce, żeby odetchnąć, wyciągnął na oparciu ramię i krzywiąc swoją dziobatą twarz, kicha delikatnie jak kot. Kilku wyrostków, po czternaście lat albo i mniej, pali i bije się pod zamkniętym barakiem koło pawilonu do zabaw; na żółtej drewnianej ścianie ktoś wymalował czerwoną farbą Tex i Josie, Rita i Jay. Skąd wzięli czerwoną farbę? Królik bierze Ruth za rękę.

Pozbawiona wody, ozdobna sadzawka przed muszlą dla orkiestry, upstrzona jest zaschłą pianą i błotem; idą ścieżką biegnącą równolegle do chłodnej krawędzi sadzawki, która milczeniem odpowiada na milczenie muszli koncertowej. Czołg z okresu drugiej wojny światowej, stanowiący teraz pomnik, kieruje swoje puste lufy na odległe korty tenisowe. Siatek tam jeszcze nie zawieszono, nie pobielono linii wapnem.

Drzewa ciemnieją, pawilony zsuwają się ze zbocza, Królik i Ruth idą przez górną część parku, w której nocą grasują różne typy, zostawiają prezerwatywy i banderole po czekoladowych batonach. Początek schodów jest niemal ukryty w gąszczu wielkich krzewów, którym pierwsze pączki nadają barwę ciemnego bursztynu. Dawno temu, kiedy piesze wędrówki należały do popularnych rozrywek, miasto zbudowało stopnie wiodące na szczyt góry od strony Brewer. Zrobione są ze smołowanych bali długości blisko dwóch metrów i ubitej na nich ziemi. Później te twarde zaokrąglone stopnie umocniono żelaznymi rurami, a ubitą ziemię posypano

pięknym niebieskim żwirem. Ruth wchodzi po nich z trudem. Królik widzi, że z wysiłkiem dźwiga w górę ciężar swego ciała - jej obcasy wbijają się w ziemię.

Wykrzywia je, zahacza

113

nimi o stopnie, cała się chwieje i wyciągnięciem rąk łapie równowagę.

- Zdejm pantofle - radzi jej.

- Żeby poranić nogi? Zwariowany pomysł!

- No to wracamy.

- Nie, nie - mówi Ruth - przeszliśmy już pół drogi.

- O, jeszcze do tego daleko. Zdejm pantofle. Ten niebieski żwir się kończy, dalej będzie ubita ziemia.

- Z kawałkami rozbitego szkła.

Jednakże nieco dalej Ruth zdejmuje pantofle. Widzi jej gołe białe stopy - unoszą się lekko, błyska żółta skóra na piętach. Poniżej zaokrąglonych łydek nogi w kostce są cienkie. Na znak wdzięczności Królik ściąga buty, chce razem z nią cierpieć, jeśli ona cierpi. Grunt jest gładko udeptany, ale wbite w ziemię kamyki uwierają jego podeszwy. Poza tym ziemia jest zimna.

- Ojej! O rany!...

- Chodź, chodź, żołnierzu - mówi Ruth - bądź dzielny.

Uczą się stąpać po trawie, która porasta krańce drewnianych bali. Część drogi wygląda jak wiodący w górę tunel, tak nisko wiszą nad nią gałęzie drzew. Gdzie indziej mają za plecami otwartą przestrzeń i mogą zajrzeć, ponad dachami Brewer, na dwudzieste piętro gmachu sądów, jedyne w mieście drapacza chmur. Na ostatnim piętrze wyrzeźbione pomiędzy oknami orły szeroko rozpościerają skrzydła. Dwie pary w średnim wieku, w kraciastych szalikach - amatorzy obserwowania ptaków - omijają ich schodząc w dół. Gdy tylko druga para znika za sękatym ramieniem dębu, Królik jednym skokiem dogania Ruth, całuje ją, obejmuje jej gorące ciało, zlizuje z jej twarzy słony pot, ale ta twarz pozostaje obojętna. Ruth uważa, że to nieodpowiednia pora. Jej jednotorowy kobiecy umysł jest całkowicie pochłonięty wspinaczką. Lecz na myśl o papierowobladych stopach tej dziewczyny z miasta,

która idzie boso po kamieniach, bo ją o to prosił, szloch targa jego sercem niespokojnie bijącym z wysiłku i cała przytula się do jej mocnego ciała, jakby osłabiony uczuciem żalu. Górą przelatuje samolot, wypełniając powietrze nagłym grzechotem.

- Moja królowa - mówi - mój dobry koń.

114

- Twój co?

- Koń.

Niedaleko szczytu wyrasta z góry stroma skała i tutaj zwolennicy nowoczesności zbudowali betonowe stopnie z żelazną poręczą, które - tworząc trzy zakręty w kształcie itery "Z" - prowadzą na wysypany szutrem parking hotelu "Pod Szczytami". Ruth i Królik wkładają z jowrotem obuwie i wspinając się po tych schodkach widzą, jak w dole miasto powoli się przed nimi rozplązcza.

Poręcze grodzą skraj przepaści. Królik chwyciwszy jedno białe pręśło nagrzane słońcem, które minęło już snit, patrzy w otchłań; strzelają z niej w górę kordny irzew. Przerażający widok zapamiętany z lat chłopięcych i to pytanie - jeżeli skoczysz, umrzesz czy wylądumiętko na tej zieleni jak na chmurach we śnie? Lamienna ściana skały wyrasta z dołu i sięga jego stóp, wężona w skrócie perspektywicznym jak nóż; pod nią ć szerokie zbocze z wątlým zarysem ścieżek, przyidkowych polanek i schodami, po których tu szli. Spojrzenie Ruth spod powiek spuszczonej, jakby zytała książkę, spoczywa na mieście. Ostry zarys jej soliczka ani drgnie w przejrzystym górskim powietrzu. "zy w jej żyłach płynie meksykańska krew? Powiedziała, to możliwe.

W porządku. Chciał, żeby tu przyszli oboje. Po co? Żeby zobaczyć miasto - rzędy domów dla lalek na skraju parku, potem jego ogromny rozlazły brzuch w kolorze doniczkowej czerwieni, upstrzony dachami z czarną sapą, migoczący lśnieniem samochodów i wreszcie roztopiony w różowej mgle, która zawisła nad daleką rzeką. Błyszczą w tej mgle zbiorniki ropy, przedmieścia rysują jak szal dokoła miasta. Ale środek tej panoramy wypełnia Brewer i Królik rozchyła wargi, jakby chciał ustami duszy wchłonąć smak prawdy o tym mieście, niby roztwór tajemnicy tak

rozrzedzony, że tylko wielka jego ilość może nam dać jakieś pojęcie o smaku. Od powietrza czuje suchość w ustach.

Pan Bóg dokucza mu przez cały dzień - najpierw drwiny Ruth, potem umykające spojrzenie Ecclesa - dlaczego uczono człowieka takich rzeczy, w które nikt nie

115

wierzy? Z tego miejsca wydaje się jasne, że jeśli istnieje podłoga, to istnieje sufit, że przestrzenią, w której żyjemy, jest cały kosmos. Ktoś umiera. Na tym wielkim obszarze zabudowanym cegłą ktoś umiera. Myśl ta przychodzi znikąd: zwykły rachunek statystyczny. Ktoś tam w jakimś domu, przy którejś z tych ulic, jeśli nie w tejże minucie, to w następnej umiera i Królikowi wydaje się, że serce tej płasko rozpostartej róży mieści się w owej nagle skamieniałej piersi. Szuka oczami tego miejsca; może uda mu się zobaczyć, jak poczerniała od raka dusza jakiegoś starca wspina się w błękicie niby małpa na sznurku. Królik natęży słuch, żeby usłyszeć spazm uwolnienia, w momencie gdy ta różowa zjawia u jego stóp wyrzeka się tego bytu. Cisza dzwoni w uszach. Sznury samochodów przesuwają się bezgłośnie, z jakichś drzwi wychodzi ktoś mały jak kropka. Co on tu robi, unosi się w powietrzu? Dlaczego nie jest w domu? Ogarnia go lęk i prosi Ruth:

- Obejmij mnie.

Wyświadcza mu tę uprzejmość obojętnie, przysuwa się o krok i ociera o niego biodrem. Przygarnawszy ją do siebie, czuje się lepiej. Brewer u ich stóp zdaje się nasiąkać ciepłem w ukośnych promieniach słońca. Czerwona szata tego miasta jakby się uniosła ponad wklęsnięcie doliny niby pierś, która nabiera powietrza. Brewer, matka stu tysięcy, schronienie kochanków, mądry, świecący się sztuczny twór. I w pełnym poczuciu bezpieczeństwa Królik pyta głosem rozpieszzonego dziecka, gdy przekornie wyraża wątpliwość.

- Czy naprawdę byłaś kurwą?

Ruth zaskakuje go - szorstkim ruchem uwalnia się spod jego ramienia i przysuwa niebezpiecznie blisko do poręczy. Mruży oczy, ściąga usta. Zaniepokojony Królik kątem oka łowi trójkę skautów szczerzących do nich zęby z drugiej strony asfaltowej drogi.

- Czy ty naprawdę jesteś drań? - pyta Ruth. Czując potrzebę ostrożności Królik odpowiada:

- Poniekąd.

- Jak tak, to dobrze. Zjeżdżają na dół Łutobusem.

116

W chmurny wtorek, po południu, Królik jedzie autobusem do Sędziowskiej Góry, gdzie na północnym krańcu miasta mieszka Eccles; przejeżdża przez swoją dzielnicę bezpiecznie, wysiada przy Świerkowej, i idzie śpiewając na głos: "Bo j a za Harrym wprost sz ale e ej ę..." Nie jest to początek piosenki, tylko ostatni wiersz, gdzie dziewczyna, powtarzając refren, kończy na wysokiej nucie "...eeeje!"

Królik czuje pełną równowagę ducha. Przez dwa dni on i Ruth żyli z jego pieniędzy i pozostało mu jeszcze czternaście dolarów. Co więcej, myszkując w toalecie Ruth tego ranka, gdy wyszła na zakupy, odkrył, że dziewczyna posiada mnóstwo pieniędzy w banku, ponad pięćset dolarów na koniec lutego. Raz byli na kręglach i cztery razy w kinie na filmach: Gigi, Dzwon, książka i świeca, Gospoda Szóstego Szczęścia i Na psa urok. Widział tyle odcinków filmu Na psa urok w Klubie Myszki Mickey, że ciekaw był całości. Było to jak oglądanie albumu z fotografiami, gdzie połowa twarzy jest znajoma. Tę scenę, w której rakieta przebija dach i Fred MacMurray ucieka z dzbankiem kawy, znał na pamięć.

Ruth była śmieszna. W kręgle grała okropnie; drepcząc podchodziła do linii i po prostu upuszczała kulę. Pach. Buch. W kinie, na Gigi, ile razy stereofoniczny głośnik ryknął za nimi niespodziewanie, Ruth odwracała głowę i mówiła "ciiii", jakby to ktoś na sali głośno rozmawiał. Na Gospodzie Szóstego Szczęścia za każdym pojawieniem się Ingrid Bergman na ekranie Ruth pochylała się do Królika i pytała szeptem: "Czy ona jest naprawdę kurwą?" Przygłębił go Robert Donat, który wyglądał okropnie. Wiedział, że aktor jest umierający. Pomyśleć tylko: człowiek wie, że umiera, i musi udawać mandaryna! Komentarz Ruth o filmie Dzwon, książka i świeca wczoraj wieczorem brzmiał: "Dlaczego właściwie nie ma nigdzie takich murzyńskich bębneków?" Przysiągł w duchu, że postara się o coś podobnego. Przed półgodziną, czekając na autobus na ulicy Weisera, zobaczył w oknie sklepu muzycznego, ile to

kosztuje: dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów. Przez całą drogę w autobusie wybija na kolanie jak na bębenku: "Boja za Harrym wprost s z a leee ję..."

117

Numer sześćdziesiąt jeden to duży dom z cegły, wykończony biało malowanym drzewem, z małą werandą imitującą grecką świątynię i kryty dachówką, która błyszczy jak łuska na dużej rybie. Z tyłu, za drucianym płotem, widać żółtą huśtawkę i piaskownicę. Jakieś szczenię skowyczy za płotem, gdy Harry idzie ścieżką. Trawa ma tę intensywną, połyskliwą zieloność zwiastującą deszcz, zieleń z kolorowych zdjęć. To wygląda za wesoło, myśli Królik, czyżby pastorzy nie mieszkali w zamkach krytych czarnym gontem? Ale mała tabliczka nad kołatką w kształcie ryby oznajmia grawerowanymi literami: PLEBANIA. Królik uderza rybą dwukrotnie i po chwili czekania - jeszcze dwa razy.

Jakaś mała fryga o zielonych cętkowanych oczach otwiera drzwi.

- O co chodzi? - pyta głosem, którym równie dobrze mogłaby powiedzieć: "Jak pan śmie?" Gdy unosi twarz, żeby ogarnąć jego wzrost, oczy jej powiększają się, odsłania się więcej jaskrawego białka, do którego przyklepione są źrenice koloru mchu.

Nie wiadomo dlaczego Królik od razu czuje, że jest panem sytuacji, czuje, że się jej podoba. Upstrzony piegami, mały zadarty nosek, wąski i blady pod siatką piegów, skóra gładka i jedwabista jak u dziecka, pomarańczowe szorty. Z uprzejmością graniczącą z arogancją Królik mówi:

- Cześć.

- Cześć.

- Czy wielbny Eccles jest w domu?

- Śpi.

- W południe?

- Nie kładł się przez większą część nocy.

- O, psiakość. Biedak.

- Czy zechce pan wejść?

- Sam nie wiem. Kazał mi tu przyjść. Naprawdę.

- Bardzo możliwe. Proszę, niech pan wejdzie. Prowadzi go, mijając hali i schody, do

chłodnego

pokoju o wysokim suficie i srebrzystych tapetach, z pianinem, akwarelami, mnóstwem książek na półkach wbudowanych w ścianę, z kominkiem i takim zegarem na kominku, który ma wahadło z czterema złotymi kulami i

118

podobno nigdy nie staje. Wszędzie dokoła fotografie w ramach. Meble ciemnozielone i czerwone, z wyjątkiem długiej, kremowobiałej kanapy o wygiętym oparciu i jkach. W pokoju pachnie chłodem. Z głębi domu płynie cieplejsza woń pieczonego ciasta. Kobieta zatrzymuje się aa środku dywanu i mówi:

- Niech pan posłucha.

Królik przystaje. Ciche stukanie, które również usłyszał, nie powtarza się.

- Myślałam - wyjaśnia ona - że smarkuła śpi.

- Pani tu jest do dziecka?

- Jestem żoną pastora - odpowiada i jakby na dowód tego siada pośrodku białej kanapy.

Królik zajmuje głęboki fotel naprzeciw niej. Obicie w kolorze śliwki; nagim przedramieniem czuje jego lekką szorstkość. Ma na sobie kraciatą sportową koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami.

- Och, przepraszam. - Jasne. Na jej gołych nogach, skrzyżowanych, widać niebieskie cętki nabrzmiałych żyłek. Twarz siedzącej nie jest taka młoda, jak mu się wydawała w otwartych drzwiach. Gdy kobieta odchyła do tyłu głowę, wyraźnie rysuje się podbródek. Przyjemny kociak. Drobne, jędrne piersi.

- Ile lat ma pani dziecko? - pyta Królik.

- Jest ich dwoje. Dwie dziewczynki, rok i trzy lata.

- Ja mam dwuletniego chłopca.

- Chciałabym mieć chłopaka - mówi ona. - Dziewczynki i ja mamy problemy z osobowością, jesteśmy za bardzo do siebie podobne. Wiemy dokładnie, co która myśli.

Ona nie lubi własnych dzieci? Królik jest wstrząśnięty: usłyszeć coś podobnego od żony pastora!

- Czy pani mąż to dostrzega?
- Och, uważa to za wspaniałe. Jack uwielbia, kiedy kobiety biją się o niego. Jego mały harem. Myślę, że chłopca to by się bał. Czy pan nie czuje się zagrożony przez syna?
- Przez dziecko? Co to, to nie. Ma dopiero dwa lata.
- Takie rzeczy ujawniają się wcześniej, niech mi pan wierzy. Antagonizm seksualny zaczyna się właściwie w chwili urodzenia.

119

- Nie zauważyłem.
- To dobrze. Pierwotny ojciec. Z teoriami Freuda jest jak z Bogiem: swoim działaniem nadajemy im sens.

Królik uśmiecha się, przypuszcza, że Freud ma pewien związek ze srebrzystymi tapetami i z akwarelą wiszącą nad jej głową - jakiś pałac nad kanałem. Klasa. Ona dotyka skroni czubkami palców, odrzuca w tył głowę, przymyka oczy i otwierając pełne usta wzdycha. Zaskakujące: widzi w niej w tym momencie drugą, tylko drobniejszą Ruth.

Cienki głos Ecclesa dziwnie donośnie brzmi w jego domu.

- Lucy - woła z góry - Joyce przyszła do mnie do łóżka!

Lucy otwiera oczy i oświadcza dumą:

- Widzi pan!
- Mówi, że jej pozwoliłaś - zawodzi dalej ten głos. przenikając przez poręcze schodów, przez ściany i warstwy tapet.

Pani Eccles wstaje i podchodzi do schodów. Pomarańczowe szorty pogniecione są na siedzeniu, krótkie nogawki odsłaniają prawie cały owal jej ud. Bielszych od kanapy; różowy rumieniec odcisnięty na skórze blednie.

- Nic podobnego nie mówiłam - woła do góry, jednocześnie delikatną dłonią obciąża szorty i wygładza je na pośladkach: z prawej strony jest kieszeń stębnowana czarną nitką. - Jack - woła dalej - masz gościa! Bardzo wysoki miody człowiek, który mówi, że go zaprosiłeś!

Słyszając, że o nim mowa, Królik staje za jej plecami i dodaje:

- Żeby grać w golfa.

- Żeby grać w golfa! - powtarza Lucy, krzyżąc.

- O Boże! - wzdycha głos na górze, potem odkrzykuje: - Jak się masz, Harry! Zaraz zejść.

- Mama powiedziała. Mama powiedziała - płacze na górze dziecko.

Królik rzuca w odpowiedzi:

- Dzień dobry.

Pani Eccles odwraca głowę zachęcającym gestem.

- Harry...?

120

Angstrom. Co pan robi, panie Angstrom?

- Właściwie to... jestem jakby bezrobotny.

- Angstrom. Ależ tak. Czy to nie ten, który zniknął? Zięć Springera?

- Zgadza się - odpowiada śmiało i w bezmyślnym odruchu, pięknie skoordynowanym, gdy ona po jego odpowiedzi odwraca się z wyrazem grzecznej odprawy, on jej bach! wymierza klapsa w ten wyzywający tyłeczek. Niemocno, dłonią skuloną, jako napomnienie, a jednocześnie dowód sympatii, celnie wymierzył klapsa w kieszeń.

Ona błyskawicznie odwraca się, żeby ochronić swoje pośladki. W oburzonej twarzy, do której nabiegła krew, piegi nabrzmiały jak ukłucia szpilką na bielszej przez kontrast skórze, a zimne, surowe spojrzenie jest tak sprzeczne z leniwą protekcyjną życzliwością, jaką on dla niej czuje, że Królik przygryza dolną wargę z żartobliwym wyrazem skruchy.

Ściany trzęsą się od nagłego łoskotu na schodach i Eccles z trudem hamuje tuż przed nimi, niemal tracąc równowagę; wpycha brudną białą koszulę w jasne, pogniecione, letnie spodnie. Jego głęboko osadzone oczy łzawią między bogato urzęsionymi powiekami.

- Przepraszam, wcale nie zapomniałem.

- Tak czy inaczej, dzień jest pochmurny - mówi Królik z mimowolnym uśmiechem. Jakżeż przyjemny w dotknięciu był ten tyłeczek, w sam raz jędrny i sprężysty, odbił

jego dłoń jak piłka. Przypuszczalnie ona powie o tym mężowi i będzie w tym domu skończony. To i dobrze. Sam nie wie, po co tu przyszedł.

Może by i powiedziała, ale mąż natychmiast zaczyna ją irytować.

- Och, jestem przekonany, że zdążymy zaliczyć dziewięć dołków, zanim się rozpadam - mówi do Królika.

- Jack, chyba nie będziesz znów grał w golfa! Mówiłeś, że masz tyle wizyt po południu.

- Załatwiłem je dziś rano.

- Tylko dwie. Byłeś u Freddy'ego Davisa i pani Landis. Wciąż ci sami, bezpieczni. A państwo Ferry? Mówisz o nich od pół roku.

121

- A cóż w nich jest takiego nadzwyczajnego? Nigdy nic nie robią dla kościoła. Pani Ferry przysłała na Boże Narodzenie i wyszła drzwiami koło chóru, żeby ze mną nie rozmawiać.

- Oczywiście, że nic nie robią dla kościoła, i właśnie dlatego powinieneś ich odwiedzić, wiesz o tym doskonale. Nie ma w nich nic nadzwyczajnego, tyle tylko, że od miesięcy myślisz wciąż o tym jej wyjściu bocznymi drzwiami i wszyskich tym zadręczasz. Jeżeli ona przyjdzie teraz na Wielkanoc, będzie to samo. A wiesz, co myślę? Myślę, że ty i pani Ferry doskonale się porozumiecie, oboje jesteście jednakowo dziecinni.

- Lucy, pan Ferry jest właścicielem fabryki obuwia, ale to nie znaczy, że oni są ważniejsi od tych wiernych, którzy w tej fabryce pracują.

- Och, Jack, jak ty mnie męczysz. Po prostu boisz się, żeby ci nie dali po nosie, i nie usprawiedliwiasz się cytatami z Pisma Świętego. Wszystko mi jedno, czy państwo Ferry chodzą do kościoła czy nie. Mogą nawet zostać Świadkami Jehowy.

- Świadkowie Jehowy przynajmniej robią to, w co wierzą. - Kiedy po tej szybkiej ripocie Eccles odwraca się do Harry'ego, żeby się konspiracyjnie roześmiać, gorycz paraliżuje jego śmiech, ściąga wargi na wąskich szczękach - odsłonięte zęby sterczą jak w trupiej czaszce.

- Nie wiem, co to ma znaczyć - mówi Lucy - ale kiedy mi się oświadczyłeś,

powiedziałam ci, co czuję, a ty powiedziałeś, świetnie, nic nie szkodzi.

- Zgadza się, ale tak długo, jak twoje serce otwarte jest na przyjęcie łaski - wyrzuca z siebie Eccles jednym tchem; od wysiłku czoło go pali, twarz płonie.

- Mamusiu, jajuż odpoczęłam -zaskakuje ich z góry nieśmiały, ale przenikliwy głosik.

U szczytu zasłanych chodnikiem schodów stoi mała dziewczynka o kasztanowatych włosach, w majteczkach i z napięciem czeka. Wydaje się Królikowi zbyt ciemna w porównaniu z karnacją rodziców i zbyt mroczna wśród cieni; wspięła się na palce, pulchne nóżki przypominają kawałki tłuszczu nadziane na dłuższe lodygi.

Rozdrażniona, drapie się i szczypie po gołej piersi. Zna odpowiedź matki, zanim ją usłyszy.

122

- Joyce, wracaj natychmiast do swego łóżka i z aśnij.

- Nie mogę. Za dużo hałasu.

- Krzyczymy jej tuż pod nosem - mówi Eccles do żony.

- To ty krzyczałeś o Łasce.

- Miałam straszny sen - mówi Joyce i z głośnym tupotem zaczyna schodzić ze schodów.

- Nic podobnego. Wcale nie spałaś - mówi pani Eccles, podchodząc do podnóża schodów, z ręką na gardle, jakby chciała powstrzymać swoje emocje.

- Co ci się śniło? - pyta Eccles. I - Że lew zjadł chłopczyka.

- To nie żaden sen - ucina krótko kobieta i zwraca się do męża: - To te okropne wiersze Belloca, które wiecznie jej czytasz.

- Prosi o nie.

- Są okropne. Dostanie od nich jakiegoś urazu.

- Joyce i ja uważamy, że są zabawne.

- Oboje macie perwersyjne poczucie humoru. Co wieczór Joyce pyta mnie o tego przeklętego konika Toma i co znaczy słowo "umierać".

- Powiedz jej, co znaczy. Gdybyś wierzyła, jak ja i Belloc, w istnienie rzeczy nadprzyrodzonych, to nie przygnębiałyby cię całkowicie naturalne pytania.

- Nie gładź, Jack. Jesteś okropny, kiedy zaczynasz gładzić.

- Jestem okropny, kiedy zaczynam siebie traktować serio, to chciałaś powiedzieć.

- Uwaga! Czuję, że ciasto się przypala - mówi Królik.

Ona patrzy na niego, przytomnieje, oczy jej zamieniają się w lód. Fakt, że w jej spojrzeniu jest pewien rodzaj chłodnego wezwania, cichy krzyk istoty otoczonej wrogami. Królik to wyczuwa, ale lekceważy, nieruchomym spojrzeniem celuje gdzieś ponad jej głowę i Lucy widzi tylko te wrażliwe nozdrza, które poczuły zapach ciasta.

- Och, gdybyś rzeczywiście zechciał traktować siebie poważnie rzuca Lucy mężowi i lśnienie jej gołych nóg już ginie w głębi ponurego hallu plebanii.

Eccles woła:

123

- Joyce, wróć do swego pokoju, włóż koszulkę i wtedy możesz zejść na dół.

W odpowiedzi dziecko, tupiąc głośno, schodzi o trzy stopnie niżej.

- Joyce, słyszałaś, co powiedziałem?

- Ty mi przynieś, taaaato.

- A niby dlaczego? Tatusź jest przecież na dole.

- Bo ja nie wiem, gdzie ona jest.

- Wiesz doskonale, na twojej szafce.

- Nie wiem, gdzie jest moja szafka.

- W twoim pokoju, kochanie. Wiesz dobrze, gdzie to jest. Włóż koszulkę, a pozwolę ci zejść na dół.

Ale Joyce jest już w połowie drogi.

- Boję się tego lwa - wzdycha z uśmiechem, którym zdradza świadomość własnej zuchwałości. Cedzi słowa z tą samą badawczą ostrożnością, jaką Królik spostrzegł w głosie jej matki, gdy dokuczała temu samemu człowiekowi.

- Nie ma tam żadnego lwa. Na górze jest tylko Bonnie, która śpi. I nie boi się.

- Aleja cię proszę, tatusiu. Proszę, proszę, proszę. - Jest już na dole, obejmuje i ściska kolana ojca.

Eccles wybucha śmiechem i żeby nie stracić równowagi, opiera rękę na główce dziecka podobnej do jego, okrągłej i o spłaszczonym czubku.

- No dobrze - mówi - poczekaj tutaj i porozmawiaj z tym zabawnym panem. - I skacze po schodach na górę z nieoczekiwaną sprawnością.

- Czy jesteś grzeczną dziewczynką, Joyce? - pyta Królik.

Dziecko wypina brzuszek i chowa głowę w ramiona, wyciskając tym ruchem gardłowy dźwięk - ghr. Potrząsa główką; Królik odnosi wrażenie, że Joyce usiłuje ukryć się za parawanem uśmiechów. Lecz nagle dziewczynka mówi z niespodziewaną stanowczością:

- Tak.

- A twoja marna jest greczna?

- Tak.

- Dlaczego? - Królik ma nadzieję, że pani Eccles słyszy to w kuchni. Odgłosy pospiesznej krzątaczki przy piecu ustały.

124

Joyce podnosi na niego oczy i -jak u owieczki w czasie strzyżenia - strach wykrzywia jej kąciki ust. Łzy wiszą w powietrzu. Drobnymi kroczkami biegnie w głąb hallu, tam gdzie poszła jej matka. Królik, od którego wszyscy uciekli, kręci się z niepokojem po hallu, próbując skupić uwagę na wiszących tam obrazkach. Widoki obcych stolic, jakaś kobieta w bieli pod drzewem, którego każdy liść obramowany jest złotem, pracowity szkic piórkiem - cegła po cegle - episkopalnego kościoła Św. Jana, z datą 1927 i zamaszystym podpisem Mildred L. Kramer. Na środku ściany, nad małym stolikiem, wisi fotografia jakiegoś starego piernika w koloratce, z pasmami białych włosów sterczących nad uszami, ze wzrokiem zapatrzonym w dal, jakby w samo serce istnienia. Wycięte z gazety ' poźółkłe zdjęcie w ramce ukazuje w dużym powiększeniu tego samego starego dżentelmena - z cygarem w ręku - który zanosi się śmiechem w towarzystwie trzech innych typów, również duchownych. Wygląda trochę jak Jack, ale jest cięższy i mocniejszej budowy. Trzyma cygaro w garści. Dalej jakaś kolorowa reprodukcja przedstawia cieślę, który pracuje w warsztacie przy blasku aureoli otaczającej głowę małego Jezusa; w szkłe, które chroni ten oleodruk, odbija się głowa Królika. Z korytarza wyraźnie zalatuje, ale czym? Jakimś rozpuszczalnikiem? Świeżą politurą? Kulkami na mole? Starymi tapetami? Królik

zastanawia się, "ten, który zniknął". Antagonizm seksualny zaczyna się właściwie w chwili woli urodzenia - a to dziwka, doprawdy. Ale pali się w niej jakieś przyjemne niskie światełko i oświetla te nogi. Jaskrawobiałe nogi. Na pewno ma małą, niespokojną szparkę i dopomina się o swoje. Niezły kąsek. Ponętne waniliowe ciasteczko. Czy ona chce tego, czy nie, kocha

te

Muszą tu być jakieś boczne schody, ponieważ następnie słyszy w kuchni głos Ecclesa, który namawia Joyce, żeby włożyła sweterek, pyta Lucy, czy ciasto się spaliło, nie wiedząc, że Królik jest blisko.

- Nie myśl, że to jest dla mnie przyjemność. To praca.

- Nie masz innego sposobu, żeby z nim porozmawiać?

- On jest przestraszony. Boi się.

125

- Kochanie, według ciebie każdy się boi.

- Ale on się boi nawet mnie.

- Prawdę mówiąc, to wlaź tu dosyć bezczelnie.

I oto odpowiednia pora, żeby powiedzieć: I dał mi klapsa w mój słodki tyłeczek, którego masz obowiązek bronić.

Co takiego? W twój słodki tyłeczek? Zamorduję tego łajdaka. Wezwę policję.

W rzeczywistości głos Lucy zamilkł na słowie "bezczelnie" i słysząc, jak Eccles mówi, że przyjdzie tenaten i gdzie są te nowe golfowe piłki? Joyce, jadłaś ciasteczko dziesięć minut temu, i na koniec "do widzenia" głosem, w którym zbyt łatwo zagoiły się ślady kłótni. Królik na palcach przebiega korytarz i opiera się o grzejnik przy frontowej ścianie, i tak go zastaje Eccles, kiedy wynurza się z kuchni, śmiesznie napuszczony jak młoda sowa.

Idą do jego samochodu. Deszcz wisi w powietrzu i lśniąca karoseria białka ma odcień woskowatej, tropikalnej zieleni. Eccles, zapaliwszy papierosa, rusza z miejsca i szosą 422 jadą na pole golfowe w dolinie. Zaciąga się głęboko parę razy i mówi:

' - A więc pańskie kłopoty nie mają właściwie związku z brakiem wiary?

- Słucham?

- Powracam do naszej poprzedniej rozmowy. Do wodospadu i drzewa.
- Prawdę mówiąc, ściągnąłem to od Myszki Mickey. Eccles śmieje się, zaskoczony; Królik spostrzega, że

kiedy pastor przestaje się śmiać, usta jego wcale się nie zamykają i dwa rzędy drobnych, cofniętych zębów czekają przez chwilę, żeby uniesione brwi opadły.

- A to mnie zatkało - przyznaje Eccles zamykając swoją jamę ustną, jakby zalotnie sprzężoną z brwiami. - Powiedział pan wtedy, że pan wie, co jest w panu.

Zastanawiałem się przez cały weekend, co to takiego. Może mi pan powiedzieć?

Królik niczego nie chce mu powiedzieć. Im więcej mówi, tym więcej traci. We własnej skórze jest bezpieczny, nie zamierza stamtąd wyjść. Ten typiek chce go wyciągnąć na zwierzenia, żeby się odsłonił i dał sobą

126

manipulować. Jednakże bezlitosny nakaz uprzejmości otwiera Królikowi usta.

- E, tam, nic wielkiego - mówi. - Tylko to... to wszystko, co jest. Nie uważa pastor? Eccles kiwa głową mruga oczami i jedzie dalej bez słowa. Na swój sposób jest bardzo pewny siebie.

- Jak się teraz czuje Janice? - pyta Królik. Pastora zaskakuje to, że Królik zmienił temat.

- Wpadłem tam w poniedziałek rano powiedzieć im, że jest pan w okręgu. Pańska żona była na podwórzu z pańskim synkiem i z jakąś starą przyjaciółką, niejaką panią... Foster? Fogleman?

- Jak wyglądała?

Doprawdy nie wiem. Z powodu jej okularów słonecznych. Lustrzane i w bardzo grubej oprawie.

- O, Peggy Gring. To idiotka. Wyszła za tego prostaka Morrisa Fosnachta.

- Fosnacht. Zgadza się. Wiedziałem, że to tutejsze nazwisko.

- Czy przed przyjazdem do nas pastor nie słyszał o dniu Fosnachta?

- Nigdy. W każdym razie nie w Norwalk.

- Pamiętam, że kiedy miałem... och, musiałem mieć chyba ze sześć albo siedem lat, bo on umarł w 1940 roku... to mój dziadek czekał na górze, żeby pierwszy zeszedł

na dół i nie był Fosnacht. Mieszkał wtedy z nami.- Chyba od wielu już lat nie myślał i nie mówił o swoim dziadku; kojarzy mu się teraz ze smakiem dobrego, wytrawnego wina.

- Jaka była kara za Fosnacha?

- Zapomniałem. W każdym razie coś nieprzyjemnego. Chwileczkę, pamiętam!

Jednego roku przyszedłem ostatni i rodzice czy też ktoś inny nabijali się ze mnie, a mnie się to bardzo nie podobało i płakałem, o ile dobrze pamiętam. W każdym razie z tego powodu staruszek nigdy przede mną nie schodził na dół.

- To był ojciec pańskiego ojca?

- Mojej matki. Mieszkał z nami.

- Pamiętam ojca mojego ojca :- mówi Eccles. - Przyjeżdżał z Connecticut i strasznie kłócił się z moim ojcem. Dziadek był biskupem w Providence i bronił

127

swego kościoła przed unitarianami tak gorliwie, że o mały włos sam nie został unitarianinem. Mówił o sobie, że jest darwinowskim deistą. A mój ojciec, przypuszczam, że na przekór dziadkowi, stał się bardzo ortodoksyjny; jakby należał do Kościoła anglikańskiego. Uwielbiał Belloc'a i Chesterton'a i właśnie on czytywał nam wiersze, które budzą, jak pan słyszał, taki sprzeciw mojej żony.

- O lwie.

- Tak. Belloc jest gorzki i ironiczny, a tego moja żona nie lubi. Nie może mu darować, że kpi z dzieci. Postawa psychologa. Dla psychologów dzieci to świętość. O czym to ja mówiłem? Aha, poza rozwodnioną teologią dziadek w swojej religijnej praktyce zachował pewną barwność i rygor, które ojciec zatracił. Dziadek uważał, że papa okropnie zaniedbuje swoje obowiązki, rezygnując z codziennej wieczornej modlitwy w gronie rodzinnym. Ojciec tłumaczył, że nie chce zanudzać dzieci Panem Bogiem w ten sam sposób, w jaki i jego nudzono, a poza tym, czy jest sens czcić Boga przyrody w salonie? "Chyba nie myślisz, że Bóg jest tylko w lesie?", pytał mój dziadek. "A co, ma być tylko za witrażem?" I tak dalej. Umieraliśmy ze strachu, ja i moi bracia, ponieważ te kłótnie z dziadkiem okropnie przygnębiały ojca. Wie pan, jak to jest z ojcami. Nie można się uwolnić od podejrzenia, czy mimo wszystko nie mają

racji. Mały zasuszony staruszek z wymową Jankesa, naprawdę bardzo kochany. Pamiętam, jak w czasie posiłków łapał nas za kolano brązową kościstą dłonią i skrzeczał: "Czy on cię nauczył wierzyć w piekło?"

Harry śmieje się; Eccles dobrze naśladuje starca, pasuje do niego starość.

- Nauczył? Wierzy pan?

- Tak, chyba tak. W piekło według Jezusa. Jako oddalenie od Boga.

- No to wszyscy jesteśmy mniej lub więcej w piekle.

- Nie sędzę. Wcale tak nie uważam. Nie uważam, żeby nawet najgorszy niedowiarek miał pojęcie, co to jest prawdziwe oddalenie od Boga. Ciemność absolutna. To, w czym żyjemy, można by nazwać - Eccles patrzy na Harry'ego i śmieje się - ciemnością w nas samych.

Dywagacje Ecclesa stępiły czujność Królika. Pragnie rac?"

wnieść coś z siebie w tę dzielącą ich przestrzeń. Podniecenie nową przyjaźnią, podniecające uczucie współzawodnictwa każe mu gestykulować rękoma zupełnie tak, jak gdyby myśli to były piłki wrzucane do kosza, i zmusza go do oświadczenia:

- Nie znam się na teologii, ale czuję wyraźnie, przynajmniej tak mi się zdaje, czuję, że gdzieś poza tym wszystkim - i szerokim gestem ogarnia widok z samochodu: z tej strony pola golfowego osiedle półpiętrowych domków, w połowie z cegły, w połowie z drewna, na małych, spychaczami wygładzonych podwórkach, każde z rowerem na trzech kółkach i wątlymi, trzyletnimi drzewkami, widok najpospolitszy w świecie - że poza tym wszystkim jest coś, co czeka, żebym to odkrył.

Eccles starannie gasi papierosa w samochodowej popielniczce.

- Oczywiście, każdy, kto się wałęsa, myśli, że czegoś szuka. Przynajmniej na początku.

Królik, który pragnął dać coś temu człowiekowi, uważa, że nie zasłużył na taką odprawę. Prawdopodobnie czegoś takiego potrzeba pastorom, żeby każdego sprowadzić do tych samych nędznych wymiarów.

- Wydaje mi się - mówi - że wobec tego pański przyjaciel Jezus wygląda dość głupio. Na dźwięk świętego imienia policzki Ecclesa pokrywają się różowymi cętkami.

- Jezus naprawdę powiedział, że święci nie powinni się żenić.

Zjeżdżają z szosy na kręty podjazd wiodący do klubu - dużego budynku z prefabrykowanymi płytami, z długim napisem na froncie: Tereny Golfowe w Kasztanowym Gaju, na początku i na końcu tego napisu znak firmowy Coca-Cola. Kiedy Harry przychodził tu jako chłopiec do noszenia kijów, klub mieścił się w baraku z desek, z piecykiem, w którym paliło się drzewem; były tam programy starych rozgrywek, dwa fotele, kontuar z cukierkami i wyłowione z bagna piłki golfowe, które pani Wenrich ponownie sprzedawała. Pani Wenrich prawdopodobnie już nie żyje. W ustach tej delikatnej uróżowanej wdowy, podobnej do lalki z białymi włosami, terminy sportowe brzmiały śmiesznie.

129

Eccles parkuje swojego Buicka na asfalcie i mówi:

- Zanim zapomnę... Królik, z ręką na klamce, pyta:

- Co?

- Chcesz mieć pracę?

- Jaką?

- W mojej parafii niejaka pani Smith ma około ośmiu akrów ogrodu koło domu, w stronę Appleboro. Jej mąż maniacko uwielbiał rododendrony. Nie powinienem go nazywać maniakem; był to niezwykle sympatyczny staruszek.

- Nie znam się na ogrodnictwie.

- Nikt się nie zna, tak twierdzi pani Smith. Dziś nie ma już prawdziwych ogrodników. Czterdzieści dolarów na tydzień.

- Dolara za godzinę. Raczej nędza.

- Ale będziesz miał nienormowane godziny pracy. O to ci właśnie chodzi, prawda? Żebyś miał czas prawić tłumom kazania.

Ten Eccles ma w sobie jednak coś nieprzyjemnego. On i Belloc. Bez tej koloratki na szyi za dużo sobie pozwala. Królik wysiada z samochodu. Eccles robi to samo; jego głowa wystaje ponad dach samochodu i wygląda, jakby leżała na talerzu. Porusza szerokimi ustami.

- Proszę się nad tym zastanowić.

- Nie mogę. Możliwe, że nawet wyniosę się gdzieś dalej.
- Ta dziewczyna cię wyrzuca.
- Jaka dziewczyna?
- No, jak jej tam? Leonard. Ruth Leonard.
- Ale z pastora spryciarz, jak babcię Kocham! - Któż to mu powiedział? Peggy Gring? Tothero puścił farbę? Bardziej prawdopodobne, że jego dziewczyna, jak jej tam na imię. Podobna do Janice. Nieważne, świat to sito, wszystko przecieka. -Nigdy o niej nie słyszałem - mówi Królik.

Głowa na talerzu tajemniczo uśmiecha się, objęta blaskiem słońca odbitym od metalu.

Maszerują zgodnie do murowanego budynku klubu. Po drodze Eccles robi uwagę:

130

- Dziwne jest to u was, mistyków, że tak często wasze małe ekstazy noszą spódniczki.
- No, wie pastor! Nie musiałem tu dzisiaj przychodzić.
- Wiem. Proszę mi wybaczyć. Jestem wyjątkowo przygnębiony.

Oświadczenie, w którym nie ma nic niewłaściwego, a jednak działa na wrażliwość Harry'ego jak głaskanie pod włos. Jest natarczywe. Brzmi jak: Ulituj się nade mną. Kochaj mnie. Zamyka mu usta, paraliżuje wargi. Kiedy Eccles płaci za niego, Królik z trudem zmusza się do podziękowania. Kiedy w wypożyczalni wybierają dla niego kije, jest tak obojętny i milczący, że piegowaty chłopak, który ich obsługuje, wytrzeszcza na niego oczy jak na jakiegoś półgłówka. Przebiega mu przez głowę myśl, że Eccles jest tu znany jako pederasta, a on uchodzi za jego nowego chłopca. Kiedy idą we dwójkę na miejsce, gdzie rozpoczną grę, czuje się jak dobry koń, którego marnują w zaprzęgu z kucykiem o miękkich kopytach. Z powodu obecności pastora - niższego wzrostem - Królik z całej siły uważa, żeby nie iść krzywo, nie przechylać się w jego stronę.

Piłka również to czuje, piłka, którą uderza kijem, wysłuchawszy kilku wskazówek. Leci w bok, obezwładniona przekornym podcięciem, i pada ciężko jak gruda gliny.

- Jeszcze nie widziałem tak świetnego początku - śmieje się Eccles - jeżeli to rzeczywiście twój pierwszy krok.

- Wcale nie pierwszy. Grałem trochę, kiedy nosiłem tu kije. Powinienem grać lepiej.
- Nie trzeba za dużo od siebie wymagać. Spójrz, jak ja to robię, i zaraz poczujesz się lepiej.

Królik odstepuje w tył i zaskoczony jest faktem, że pastor sprężysty w ruchach, gdy o nich nie myśli, zamachnął się teraz z komiczną sztywnością pięćdziesięciolatka, jakby miał ogromne brzuszysko, które krępuje mu ruchy. I jakby go kurcz złapał, uderza piłkę z boku. Piłka leci prosto, ale za wysoko i powoli, mimo to Eccles jest zachwycony. Podbiega do niej w podskokach. Harry sunie za nim ciężkim krokiem.

Grząska darń, świeża

131

jeszcze i mokra po niedawnej odwilży, zapada się pod jego dużymi zamszowymi butami. Jak na huśtawce: Eccles do góry, on na dół.

W dole, wśród pogańskich gaików i zielonych alejek pola golfowego, Eccles jest odmieniony. Ogarnięty jakąś bezmyślną wesołością. Śmieje się, tańczy, cmoka i pokrzykuje. Harry przestaje go nienawidzić, sam jest przecież okropny. Nieporadność daje o sobie znać jak wstydliva choroba i wdzięczny jest pastorowi, że ten nie ucieka od niego. W radosnym podnieceniu Eccles wybiega do przodu, ale wraca raz po raz nawet z odległości pięćdziesięciu metrów, żeby odnaleźć zgubioną przez Królika piłkę. Bo Królik dziwnie jakoś za każdym razem biegnie wzrokiem tam, gdzie piłka powinna trafić - na ten kawałek przyszczyżonej murawy gładkiej jak serwetka i nakłutej śliczną chorągiewką - a nie tam, gdzie naprawdę poleciała.

- Tu jest - mówi Eccles - pod tym korzeniem. Masz piekielne szczęście, Harry.
 - To musi być koszmar dla pastora.
 - Nic podobnego, nic podobnego. Świetnie się zapowiadasz. Nigdy nie grałeś, a przecież nie było takiej piłki, której przynajmniej nie dotknąłbyś kijem.
- To wystarczy. Królik celuje i mordercza siłą pragnienia, by piłkę wybić z dołka, sprawia, że kompletnie pudłuje.
- Jedyne błęd, jaki robisz, to to, że próbujesz wykorzystać swój wzrost - mówi Eccles. - Ale masz piękny naturalny rozmach.

Królik próbuje jeszcze raz, piłka opuszcza dołek i toczy się kilka metrów.

- Do piłki trzeba się schylać - mówi Eccles. - Wyobrazić sobie, że człowiek ma zamiar usiąść.

- Mam zamiar się położyć - oświadcza Harry. Czuje mdłości, mdłości aż do zawrotu głowy, wszystko dokoła wiruje, spokojne są dopiero wierzchołki drzew wypuszczających liście. Wydaje mu się, że pamięta, jak był już kiedyś tam wysoko. Ześlizguje się w kałuże, błądzi wśród drzew, nieuchronnie grzęźnie w jakiejś ohydnej mazi na brzegach toru.

132

Prawdziwy koszmar. Tylko na jawie rzeczy ożywione uciekają przed nim w poślizgach i podskokach. Z martwymi przedmiotami zawsze miał kontakt. Własne niesamowite partactwo wręcz oszołamia go; na wpół zamroczony umysł robi mu kawały, których osobliwość powoli zaczyna sobie uprzytamniać. Rozmawia w duchu z kijami, jakby to były kobiety. Lekka i cienka stal, a jednak poniekąd zdradziecka w jego rękach - to Janice. Uważaj, idiotko, uspokój się. Zaczynamy, uwaga! Kiedy rozcięte klapki kija wzbijają za piłką grudki ziemi i ramiona z rozmachem lecą do góry, myśli, że to Janice go uderzyła. Kretynka, ależ to kretynka! Chromolę ją, chromolę! Ze złości oblewa się cały potem i zewnętrzne doznania zdają się przesiąkać w głąb; czuje w środku kolące gałązki cierpkich jeżyn, kłują jak widelczyki, a na tych gałązkach wiszą, niby gniazda gąsienic, słowa, które się nigdy nie zużyją. Wali jak głupia, wali w ziemię - wrywa rozdartą, ziejącą brunatną dziurę - ziemia się wali. Kiedy używa drewnianego kija, myśli o Ruth. Śledząc jego ruchy, uchwyt i koniec upstrzony trawą, i ozdobny biały pasek, Królik myśli: Dobrze, skoro jesteś taka mądra, zaciska zęby i uderza z rozmachem. Bach! - jeżeli tak łatwo się poddała, to dalej ją! W trawie zostaje dołek, a piłka biegnie, podskakuje, podskakuje i chowa się w jakimś krzaku; biały ogon. Kiedy Królik podchodzi bliżej, to krzak - niech go diabli wezmą - jest jego matką. Królik unosi nastroszone gałęzie - spódnice - wściekły ze wstydu, ale ostrożnie, żeby nie połamać, a one biją go po nogach, gdy usiłuje przekazać swoją wolę twardej, nieustępliwej pelotce, która nie jest dokładnie nim samym, choć w pewien sposób jest, przez to, że stanowi ośrodek wszystkiego. Kiedy idzie w ruch siódmy metalowy kij, błagam cię, Janice, ten jeden raz, ręce ma

niezdarne, jakby je ktoś związał w łokciach, i piłka, którą śledzi, czując te porażone łokcie, niesamowicie powoli trafia w jeszcze okropniejsze chaszcze koloru khaki jak Teksas. Och, ty idiotko, idź do domu. Dom to dołek, a w górze niebo - w układzie jego nieszczęsnych wizji, nękających świadomość niemal

133

namacalnym nakładaniem się różnych warstw - łagodne szare, deszczowe niebo to jego dziadek.

Wśród tych sennych zmaganiań to na skraju, to w centrum jawi się, jak biała flaga przebaczenia, Eccles w swojej nieświeżej koszuli, krzykiem dodaje mu otuchy, macha ze środka zielonego pola, żeby zaprowadzić go do dołka.

Pole golfowe, jeszcze martwe po zimie, jest posypane czymś podobnym do soli - sztucznym nawozem? Piłka ślizga się, wzbijając w powietrze cząsteczki tego czegoś.

- Nie zniszcz swego kija - mówi Eccles. - Uderzenie musi być lekkie, ramiona sztywne. Odległość jest tutaj ważniejsza niż celność. Spróbuj jeszcze raz.

Kopnięciem odsyła mu piłkę. Harry musiał wykonać około dwunastu uderzeń, żeby dostać się tutaj, na czwarte pole, ale i tak irytuje go to, że ten zadowolony z siebie bubek pozwala mu powtórzyć strzał. No, teraz, kochanie, błaga swoją żonę, tam masz dołek duży jak wiadro. Dobrze jest.

Ale ona nie chce. Musi uderzyć jak w panice! Czego się zlekła? Piłka mija dołek w odległości prawie półtora metra. Podchodząc do Ecclesa, Królik mówi:

- Pastor nie powiedział mi, jak się czuje Janice.

- Janice? - Eccles z trudem odrywa uwagę od gry. Kocha wygrywać, myśli Harry; niszczy mnie.

- W poniedziałek robiła wrażenie, że jest w dobrym nastroju. Była na podwórzu z tą drugą kobietą i obydwie chichotały, kiedy przyszedłem. Musisz sobie zdać sprawę, że skoro się jakoś przystosowała do sytuacji, to prawdopodobnie z początku będzie się cieszyć, że jest z rodzicami. Tak zareaguje na twój brak odpowiedzialności.

- Jeśli chodzi o ścisłość - zgryźliwie odpowiada Harry kucając, żeby się przymierzyć do celnego uderzenia, jak to widział w telewizji - ona nie znosi swoich rodziców zupełnie tak samo jak ja. Może by nawet za mnie nie wyszła, gdyby jej się tak nie

spieszyło uciec od nich. - Tym razem też nie trafił; piłka omija dołek i zatrzymuje się o pół metra dalej. Niech to diabli!

Eccles opuszcza swój kij. Piłka toczy się i z głuchym stuknięciem ląduje w dołku.

Pastor ma w oczach iskierkę tryumfu.

134

- Harry - pyta głosem pełnym słodyczy, ale śmiało - dlaczego ją porzuciłeś? Jesteś przecież do niej bardzo przywiązany.

- Mówiłem już przecież. Chodzi o to, czego nie ma.

- Ale czego? Czy widziałeś to kiedyś? Jesteś pewien, że to w ogóle istnieje?

Królik musi teraz trafić z odległości pół metra i nie trafia. Podnosi piłkę drżącymi palcami.

- No, jeżeli pastor nie jest pewien, czy to istnieje, nie mnie proszę pytać. To wasze podwórko. Jeżeli pastor o tym nie wie, to nikt nie wie.

- Nie - odpowiada Eccles tym samym podniesionym głosem, jakim kazał swojej żonie mieć serce otwarte na przyjscie Łaski. - Chrześcijaństwo to nie szukanie tęczy. Gdyby to było to, o czym mówisz, musielibyśmy w kościele rozdawać opium. Nie próbujmy być Bogiem, tylko służyć Bogu.

Biorą swoje torby i idą za drewnianą strzałą wskazującą drogę. Eccles ciągnie swój wywód:

- Wszystko to zostało wyjaśnione przed wiekami w herezjach wczesnego Kościoła.

- Powiedziałem już, że wiem, co to jest.

- Co to jest, Harry? C o? Czy to jest twarde, czy miękkie? Niebieskie? Czerwone? Czy w kropki?

Harry stwierdza z przygnębieniem, że pastor naprawdę chce, żeby mu powiedzieć.

Zasłaniając się gadaniem: "wiem o tym więcej niż ty", i herezjami wczesnego Kościoła, naprawdę chce, żeby mu powiedziano, że to istnieje, że nie kłamie ludziom w każdą niedzielę. Jakby nie dość było, że Królik musi coś zrozumieć z tej wariackiej gry, to jeszcze ma na głowie tego obłąkańca, który dybie na jego duszę. Gorący rzemień worka uwiera go w ramię.

Eccles, zakłopotany, wpada w babskie podniecenie.

- Prawdą jest - mówi rozziewającym głosem - że jesteś potwornie samolubny. Jesteś tchórzem. Nie dbasz o to, co jest słuszne, a co niesłuszne; dla ciebie są ważne jedynie twoje najniższe instynkty.

Dochodzą do następnego stanowiska - kawałka gładkiego trawnika ze zgarbionym drzewem owocowym,

135

wyciągającym do nich zwarte garście nabrzmiąłych bladych pąków.

- Lepiej będzie, jeśli zacznę ja - mówi Królik - żeby pastor miał czas ochłonać. -

Serce w nim przycichło, pod wpływem gniewu bije umiarkowanie. Wszystko mu jedno, byle wyplątać się z tej hecy. Niechby się już rozpadało. Żeby nie patrzeć na

Ecclesa, kieruje wzrok na piłkę, która tak lekko spoczywa na małym podwyższeniu, że już wydaje się oderwana od ziemi. Królik najprościej w świecie bierze rozmach i

trafia piłkę grubym końcem kija. Odgłos uderzenia jest głęboki, krótki, zwarty, jakiego dotąd nie słyszał. Ruch ramion uniósł mu głowę i oto widzi swoją piłkę

zawieszoną daleko, księżycowoblada na tle przepięknego czarnego granatu

burzowych chmur - kolor jego dziadka - gęsto zalegających niebo na wschodzie.

Piłka oddala się jak po linijce. Trafiona: kula, gwiazda, plamka. Zawisła na chwilę i

Królik jest przekonany, że zastygnie w locie, lecz to złudzenie - moment wahania jest dla piłki punktem zwrotnym: niemal konwulsyjnym skokiem pokonuje ostatni odcinek przestrzeni i padając znika.

- To jest to! - krzyczy Królik, odwraca się do Ecclesa i z uśmiechem wyższości powtarza: - To jest to!

Słońce, księżyc, słońce, księżyc, czas płynie. Na gruntach pani Smith krokusy przebijają skorupę ziemi. Żonkile i narcyzy dobywają swoich trąbek. Wracają do życia trawy i dają schronienie fiołkom, a od mleczków i szerokolistnych chwastów szorstko pęcznieje nagle murawa. Kotlina śpiewa głosem płynących pokrętnie, niewidocznych strumyków. Grzędy kwiatowe, w obramowaniu z ukośnie kładzionych cegieł, najeżone są czerwonymi, tępyimi kolcami, z których będą peonie, a sama ziemia - zmatowiała, upstrzona kamykami, zrogowaciała, cała w niechlujnych łatach to suchej, to rozmokłej grudy - wygląda jak najstarsza, a pachnie jak najnowsza rzecz pod słońcem. W dymie osnuwającym ogród mgłą jarzą się złociste skudlone mydliny kwitnącej forsycji. Królik rzuca na stos i pali pokurczone łodygi,

zetlałą trawę, liście dębowe przechowane w ciemnych zakamarkach zimy, ścięte gałązki krzewów różanych zbite w kolącą masę, która nieznośnie czepia się nóg. Podpala te stosy tuż po przyjsciu, wśród pajęczyn rosy - mając oczy zaspane i smak kawy na podniebieniu - a tłą się jeszcze w wilgotnym powietrzu i mającą za nim jak duchy w półmroku, gdy odchodzi, chrzęszcząc krokami na wysypanym żwirem podjeździe Smithów. W autobusie do Brewer czuje przez całą drogę woń ciepłego popiołu.

Zabawne, w ciągu tych dwóch miesięcy nie musi obcinać paznokci. Dźwiga, nosi, kopie. Z torebek otrzymanych od starszej pani sieje rośliny jednoroczne -

137

nasturcje, maki, groszek pachnący, petunie. Przykrywanie nasion ziemią drobno rozkruszoną przez motykę sprawia mu ogromną przyjemność. Odizolowane, przestają należeć do niego. Jakie to proste: pozostawić rzecz samą sobie, a człowiek uwolni się od niej. Sam Pan Bóg skulił się w twardej drobinie takiego ziarenka i z własnej woli podda się kolejnym przemianom: wielkiemu powolnemu wchłanianiu wody, powietrza i krzemu; wszystko to człowiek pojmuje bez słów przy obracaniu w dłoniach obłego styliska motyki.

Gdy kończy się panowanie magnolii, lecz zanim jeszcze listeczki drzew innych niż klon urosną na tyle, by rzucać głęboki cień, wiśnie, dzikie jabłonie i w dalekim kącie ogrodu samotna śliwa zamieniają się w ogromne białe kule, których biel czarne członki drzew zdają się zbierać z wędrujących obłoków, żeby odrzucić po chwili i tak pobielić odradzającą się trawę, jakby nad nią przeszła przedziwna nawała konfetti. Pachnąca benzyną kosiarka zuje te płatki, trawnik je trawi. Zakwitają krzewy bzów przy zwalonym ogrodzeniu kortów tenisowych. Ptaki zlatują się do ptasiej kąpieli. Pewnego ranka Królika, zgiętego nad sierpem, zalewa fala perfum - za jego plecami wiatr, zmieniwszy kierunek, omiata pochyły, gęsty łąn kłujących konwaliowych liści, gdzie ostatniej ciepłej nocy dojrzały tysiące dzwoneczków; najwyższe gałązki mają wciąż gorzką, ciemną zieleń kantalupy. Jabłonie i grusze. Tulipany. I wreszcie, poprzedzone przez azalię, rozkwitają rododendrony we własnej osobie, z obfitością coraz większą w ostatnim tygodniu maja. Królik całą wiosnę czekał na ten moment

koronacji. Zaskoczył go ogrom krzewów, prawie drzew, nieraz dwukrotnie wyższych od niego, i ich mnogość. Posadzono je wzdłuż linii wyniosłych świerków o spadzistych ramionach; na strzeżonej przez świerki przestrzeni rosną rododendrony w kilkunastu wielkich prostokątnych kępach, każda jak bochen porowatego zielonego chleba. Krzewy były wiecznie zielone. Zygzakowate gałęzie i długie liście, rozczapierzone na wszystkie strony, budziły podejrzenie, że pochodzą z jakiegoś innego klimatu, z innej ziemi o mniejszej sile przyciągania. Pierwsze kwiatostany przypominały ów kwiat wetknięty za ucho wschod-

138

niej prostytutki na okładkach szpiegowskich powieści, które czyta Ruth. Ale gdy pojawiły się całe półkule zwartych bukietów, najłatwiej przywodziły mu na myśl kapelusze, w jakich tanie dziewczęta idą do kościoła na Wielkanoc. Zawsze pragnął i nigdy nie miał takiej dziewczyny, małej katoliczki z biednego domku, ubranej w tanią jaskrawą sukienkę; wydaje mu się, że w gąszczu ciemnych liści widzi jej twarz pod wyzywającym miękkim kapeluszem pięciopłatkowych kwiatów, że czuje zapach jej perfum, gdy mija go na betonowych stopniach katedry. Blisko, jakże blisko może dotrzeć do płatków. Stwierdzał, że pylniki wewnątrz każdego kwietnego kielicha znaczą jego krawędź dwoma wachlarzami piegów.

W tym szczytowym dla ogrodu momencie rozkwitu pani Smith wychodzi z domu i - wsparta na ramieniu Królika - defiluje przez całą plantację rododendronów swego zmarłego męża. Kobieta, niegdyś wysoka, skurczyła się i przygarbiła, a pasma czerni zalegającej w jej posiwiałych włosach wyglądają brudno. Ma ze sobą laskę, ale prawdopodobnie przez zapomnienie zawiesiła ją na przedramieniu i w takt jej drepczących kroków półkolista rączka laski kołysze się niby jakaś egzotyczna bransoletka. Pani Smith trzyma się swego ogrodnika w sposób następujący: on podsuwa zgięte prawe ramię, ona kładzie na nim swoje drżące przedramię i wspiera się na Króliku całym ciężarem, objawszy jego nadgarstek sękatymi, poźółkłymi palcami. Czepia się go jak dzikie wino czepia się ściany; jedno mocne szarpnięcie może je zniszczyć, lecz bez tego przetrwa wszystkie burze. Każdy krok jest dla niej wstrząsem, każde słowo wprawia w drżenie jej głowę. Nie dlatego, żeby wysiłek

mówienia był dla niej za duży, nie; jest podniecona rozmową i w tym podnieceniu marszczy nos, brzydko odsłania dziąsła, a cała jej twarz wykrzywia się jakby naumyślnie w zabawnym grymasie trzynastoletniej dziewczynki, która robi śmieszne miny, bo wie, że nie jest ładna. Energicznie zadziera głowę, żeby spojrzeć na Harry'ego, i nagle spękany błękit oczu w małych brązowych oczodołach, ściągniętych zmarszczkami niby sznureczkami, wzbiera uwięzionym tam życiem:

- Och, nie znoszę pani Holford - mówi - dla

139

mnie ta azalia jest jak spłowiała jedwabna włóczka. Harry uwielbiał te łososiowe kolory: - "Jeśli mam ochotę na czerwień - mówiłam mu - niech będzie czerwień: czerwona jak krew róża, jeżeli chcę coś białego, niech będzie to biel - wysoka biała lilia; i nie zawracaj mi głowy jakimiś odcieniami, łososiowym czy lilaróż - same nie wiedzą, jakie chcą być. Rododendron to przewrotna roślina - tak do niego mówiłam - ma swój rozum, więc daje ci wszystkiego po trochu." Żartowałam oczywiście. A jednak naprawdę mówiłam to, co myślałam. - Zaskoczona tym oświadczeniem, nieruchomieje na skraju trawnika i lustruje Królika bystrym wzrokiem: jej źrenice mają biel tłuczonego szkła w krążkach jaskrawego lazuru. - Tak myślałam, przysięgam. Jestem córką farmera, panie Angstróm, i wołałabym widzieć na tym kawałku ziemi lucernę. Mówiłam mu: "Dlaczego nie zasiejesz tu gryki, jeżeli już musisz grzebać w ziemi? Miałbyś coś z tego. Posiej pszenicę, upiekę chleb." I tak bym zrobiła. "Na co nam te wszystkie bukiety, skończą się i zostaną po nich paskudne liście, na które trzeba patrzeć przez cały rok? - mówiłam do niego. Dla jakiej ślicznotki sadzisz te rododendrony?" Był młodszy ode mnie, więc miałam prawo z niego żartować. Nie powiem, o ile młodszy. Po co tu stoimy? Kiedy taki stary człowiek jak ja stanie w miejscu, to już się nie ruszy. Uderza laską o trawę, znak dla niego, by podał jej ramię. Suną dalej kwiatową aleją. Nigdy nie sądziłam, że go przeżyję. Musiał być słaby. Jak wrócił z ogrodu do domu, to już tylko siedział. Córka farmera nie wie, co znaczy siedzieć.

Niepewny dotyk jej palców Królik przyrównuje do drżenia chwiejnych czubków świerkowych. Kojarzy te świerki z napisem "wstęp wzbroniony"; przyjemnie być pod

osłoną drzew.

- O! Tu nareszcie coś mamy. - Przystają na zakręcie i starszka wskazuje laską mały krzew okryty przejmująco czystą różowością. - To jest ta jego Bianchi - mówi pani Smith. - Oprócz niektórych białych, nazwy ich zapomniałam, zresztą wszystkie mają głupie nazwy, to jedyny rododendron, który wie, jaki chce być. Jedyny naprawdę różowy. Harry, jak go dostał, posadził pośród innych niby to różowych, ale wyglądały przy nim

140

tak brudno, że powyrywał wszystkie i dał swojej Bianchi za tło rododendrony purpurowe. Są tam przy niej, prawda? Czy to już czerwiec? - Wbiła w niego błędny wzrok, uścisk jej palców stężał.

- Nie wiem. Nie. Dzień Pamięci jest za tydzień, w sobotę.

- O, doskonale pamiętam dzień, w którym dostaliśmy ten głupi krzaczek. Był upał. Pojechaliśmy do Nowego Jorku, żeby odebrać to ze statku, i ulokowaliśmy na tylnym siedzeniu naszego packarda jak jakąś ukochaną ciocię albo coś w tym rodzaju. Przyszło to w dużej, niebieskiej, drewnianej skrzynce z jedyne miejsca w Anglii, gdzie pędzi się tę odmianę, a transport kosztował dwieście dolarów. Ktoś tam schodził co dzień do ładowni statku, żeby to podlewać. Upał i potworny ruch na drodze przez Jersey i Trenton, a ten mizerny krzaczek w swojej niebieskiej skrzynce rozparty na tylnym siedzeniu niby jakiś książę z bajki! Nie było jeszcze wtedy żadnych autostrad i do Nowego Jorku jechało się dobre sześć godzin. Kryzys szalał, a można było pomyśleć, że każdy bez wyjątku ma samochód. Przejeżdżało się przez Delaware w Burlington. Było to przed wojną. Kiedy mówię "przed wojną", to prawdopodobnie pan nie wie, o której wojnie myślę. Pewnie uważa pan tę koreańską awanturę za wojnę.

- Nie. Wcale nie. Dla mnie wojna to druga wojna światowa.

- Ja też tak uważam. Też tak uważam. Czy pan naprawdę pamięta wojnę?

- No pewnie! To znaczy, byłem już dość duży. Gmiotłem puszki po konserwach i kupowałem znaczki wojenne, i dostaliśmy za to nagrodę w szkole.

- Nasz syn zginął na wojnie.

- O! Współczuję.

- Był już niemłody, był niemłody. Miał prawie czterdzieści lat. Od razu został oficerem.

- A jednak...

- Wiem. Zawsze się myśli, że ginęli tylko młodzi.

- Tak. Zgadła pani.

- To była dobra wojna. Nie to, co pierwsza. To była nasza wojna, musieliśmy ją wygrać i wygraliśmy. Wszyst-

141

kie wojny są wstrętne, ale ta dała nam zwycięstwo, i dobrze się stało. - Pani Smith znowu wskazuje laską różowy krzew. Tego dnia, kiedy wieźliśmy ją z portu, nie miała oczywiście kwiatów, bo był środek lata, i uważałam to za głupotę, żeby wieźć coś takiego na tylnym siedzeniu jak... - zdaje sobie sprawę, że się powtarza, milknie na sekundę, potem ciągnie dalej - ...jak jakiegoś księcia z bajki. - W jej prawie przezroczystych niebieskich oczach czai się czujność; bada jego twarz, chce zobaczyć, czy on się uśmiechnie z powodu jej zaćmienia umysłu. Nie. Uspokojona kończy ostro: - Jest jedyna.

- Jedyna Bianchi?

- Tak. Jedyna. Nie ma takiej drugiej w całych Stanach. Nie ma. Takiej naprawdę różowej nie ma od Złotych Wrót aż po - bo ja wiem - aż po most Brooklyński, chyba tak się dziś mówi. Jedyna prawdziwa różowość w tym narodzie jest tu, przed naszymi oczami. Pewien hodowca kwiatów z Lancaster dostał kilka pędów, ale mu uszły. Prawdopodobnie zniszczył wapnem. Dureń. Grek.

Uczepiona jego ramienia rusza dalej z większą szybkością i cięższym krokiem.

Słońce jest wysoko i staruszka zapewne pragnie znaleźć się w domu.

Pszczoly pławią się w listowiu, zrzedzą ukryte ptaki. Pora liści bierze górę nad porą kwiecicia i ściany świeżej zieleni tchną nieuchwytną gorzką wonią. Klony, brzozy, dęby, wiązy i kasztanowce tworzą rzadki las, który wytycza dalekie granice ogrodu. Rododendrony porastające wilgotny, ocieniony tym gajem skraj murawy właśnie rozkwitają, ale niczym nie chronione krzewy na środku trawnika sieją już płatki

swoich kwiatów dziwnie schludnym rządkiem wzdłuż ścieżki.

- Nie lubię tego, nie lubię Ai mówi pani Smith, kuśtykając przy boku Królika tunelem tej przek witającej wspaniałości. - Owszem, cenię to, co piękne, ale wolałabym widzieć tu lucernę. Pewna kobieta - sama nie wiem, dlaczego mnie to irytuje: Horacy spraszał sąsiadów, żeby przychodzili i podziwiali ogród w porze kwitnienia, był jak dziecko pod wielu względami - więc ta kobieta, pani Foster, z małej pomarańczowej chatki z metalowym kotem na okiennicach, wiecznie mi' mówiła, a malowała

142

sobie usta aż pod sam nos - i z namiętą pogardą, która wstrząsa całym jej ciałem, imituje przesłodzony głos: - "Och, moja pani Smith, tak pięknie to chyba jest tylko w niebie!" Któregoś roku powiedziała jej, nie mogłam już wytrzymać i powiedziałam: "Jeżeli mam każdej niedzieli jeździć dziesięć kilometrów tam i z powrotem do kościoła episkopalnego Świętego Jana tylko po to, żeby po śmierci znów wylądować wśród rododendronów, to mogę sobie darować te przejażdżki, bo wcale nie nęci mnie niebo." Czy to nie okropne powiedzieć coś takiego? Stara grzesznica ze mnie, prawda?

- Słowo daję, nie wiem...

- Powiedzieć to biednej kobiecie, która starała się być uprzejma? Oczywiście Alma Foster głupia była jak but: żeby w jej wieku malować się jak jakaś smarkula! Nie żyje, biedaczka; umarła w zimie dwa albo trzy lata temu. Zna już prawdę, a ja jeszcze nie.

- Może to, co dla niej jest rododendronem, dla pani będzie lucerną.

- Ha, ha! Właśnie! Właśnie! Wie pan, panie Angstrom, tak mi przyjemnie...

Pani Smith zatrzymuje go w pół kroku i niezdarnie gładzi po ramieniu. W blasku słońca mały brunatny pejzaż jej twarzy unosi się ku jego twarzy i w spojrzeniu staruszki, poprzez niezdarną dziewczęcą zalotność i łzawe zadumanie, błyska ślad dawnej przenikliwości; Królik jest zażenowany, czuje ukłucie owej niedobrej siły, która pana Smitha wyganiała z domu do pozbawionych mózgu kwiatów.

- Pan i ja myślimy podobnie. Prawda, że tak jest? Prawda?

- Dobrze ci się powodzi, co? - pyta go Ruth.

W Dzień Pamięci wybrali się po południu na basen w zachodnim Brewer. Ruth wstydziła się wystąpić w kostiumie kąpielowym, ale gdy wyszła z szatni, wyglądała wspaniale, to fakt - mała główka w obcisłym czepku i majestatyczne ramiona. Stojąc w wodzie wyglądała jeszcze urodziwiej, ucięta w udach jak rzeźba. Pływała swobodnie, powoli biła wodę mocnymi nogami i wyrzu-

143

cała naprzód kształtne ramiona, plecy i pośladki czerniały pod zmaconą zielenią. W pewnej chwili znieruchomiała i unosząc się na powierzchni zanurzyła w wodzie twarz ruchem, od którego serce zabiło mu mocniej z obawy o jej bezpieczeństwo. Wypchnięte parciem wody pośladki Ruth rozbiły lustro wody i załśniły jak okrągła czarna wyspa - ostry kontur na tle falującym jak obraz w zepsutym telewizorze; rozparła go duma na widok tak okazały, a poczucie własności przeniknęło go zimnym dreszczem. Była jego, należała do niego, znał ją równie dobrze jak ta woda, obejmował całą, wszędzie, w każdym miejscu - jak woda. Kiedy odwrócona na plecy zamachnęła się ramionami do tyłu, woda uderzyła w nią z bulgotem, oblała cały przód kostiumu i omyła piersi; łuk jej zanurzonego ciała zeszytywniał; zamknawszy oczy płynęła na oślep. Dwóch małych chudzielców, taplających się w płytkim końcu basenu, umknęło z pluskiem na widok jej nadpływającej głowy. Przy wyrzuceniu ramion do tyłu musnęła jednego z nich i ocknęła się; przykucnęła uśmiechnięta i dla utrzymania równowagi miękkimi ramionami rozgarniała wodę, która wzburzyła się w zatłoczonym basenie. Powietrze musowało zapachem chloru. Czyste, czyste; pojął, co jest czystością. To, że nie czujesz na ciele żadnego dotyku, tylko powiew powietrza. Ona w wodzie, ona na trawie i na powietrzu. Głowa jej kołysała się na powierzchni jak piłka; dotarł do niego grymas jej twarzy. Cóż, nie był zwierzęciem wodnym, co mokre to dla niego zimne. Raz się zanurzył, ale teraz wołał pozostać na kaflowym brzegu basenu, moczyć nogi i wyobrażać sobie, że siedzące za nim licealistki podziwiają grę mięśni na jego szerokich barach; poruszył ramionami, poczuł żar słońca i napinanie się skóry na łopatkach. Ruth dobiła do końca basenu, gdzie było tak płytko, że barwną szachownicę dna widziało się na powierzchni wody. Wyszła po drabince, strząsając z siebie wodę wielkimi bladozielonymi kiściami.

Przeczołgał się na czworakach i położył z powrotem na kocu, aby - gdy ona wróci - widzieć ją nad sobą i niebo pomiędzy jej nogami, i wysoko, we wnętrzu ud, mokre, ciemne, skędzierzawione włoski. Zdarła z głowy czepek, potrząsnęła włosami i schyliła się po ręcznik. Woda z pleców

144

pociekła na ramiona. Patrzył, jak je wycierała, zapach trawy przebił się przez koc. Krystaliczne powietrze wibrowało krzykami. Ruth położyła się obok niego, zamknęła oczy i poddała się promieniom słońca. Jej twarz, widziana z tak bliskiej odległości, robiła wrażenie kompozycji dużych płaszczyzn skóry, z której słońce wycisnęło wszelką barwę wyjąwszy odcień żółtości, a ten jakby przydawał grubym rysom ciężaru jakiegoś minerału albo czystego, gładkiego kamienia wożonego z kopalni prosto do świątyń. Z tej monumentalnej Ruth wydobywają się słowa o podobnej skali, podobnego wymiaru - jak masywne koła toczące się ku jego uszom, jak nieme monety migoczące w świetle.

- Dobrze ci się powodzi.

- Niby dlaczego?

- Och. - Jej słowa docierają do niego jakby z lekkim opóźnieniem; widzi ruch warg, dopiero potem słyszy. - Pomyśl, czego ci więcej trzeba. Masz Ecclesa do grania w golfa co tydzień i do pilnowania twojej żony, żeby ci nie zrobiła jakiego kawału, masz te swoje kwiaty i masz panią Smith zakochaną w tobie. I masz mnie.

- Myślisz, że ona naprawdę się we mnie kocha?

- Wiem tylko tyle, co od ciebie. Mówiłeś, że tak.

- Nie. Czegoś podobnego nie mówiłem. Czy to możliwe?

t Nie trudzi się żadną odpowiedzią; w nastroju sennej błogości jej twarz wydaje się jeszcze większa. Kredowe światło - jak z jupiterów - kładzie się na jej opalanej skórze.

- Czy to możliwe? - powtarza Królik i szczypie ją w ramię, mocno. Nie chciał aż tak mocno; coś go rozzłościło, gdy dotknął jej skóry. Może to, że tak bezmyślnie się poddała.

- Auuu! Ty sukinsynu!

Ale nie rusza się z koca, bardziej zajęta słońcem niż jego osobą. Królik unosi się na łokciu i ponad jej nieruchomym ciałem spogląda na wiotkie sylwetki dwóch szesnastolatek, które stojąc piją pomarańczowy sok z kartonowych rożków. Jedna z nich, w białym kostiumie bez ramiączek, zerka na niego sarnim okiem, pociągając sok przez słomkę - nogi ma szczupłe i ciemne jak Murzy-

145

nka. Z dwóch stron płaskiego brzucha sterczą kościste biodra.

- Wszyscy bez wyjątku ciebie kochają - mówi nagle Ruth. - Ciekawa jestem, dlaczego?

- Bo już taki jestem. Do kochania - odpowiada.

- Akurat ty? Co w tobie jest nadzwyczajnego?

- Mistyka - mówi Królik. - Niosę ludziom wiarę. - Powtarza, co powiedział mu kiedyś Eccles. Ze śmiechem, chyba ironicznym. Nigdy nie wiadomo, co Eccles naprawdę myśli; to, co mówi, trzeba rozumieć, jak się chce. Właśnie te jego słowa Królik wziął sobie do serca. Nigdy by tak o sobie nie pomyślał. Nie ceni tego, co daje innym.

- Mnie przynosisz ból - powiedziała.

- Masz ci los! - Niesprawiedliwość: taki był dumny z jej pływania, tak ją kochał.

- Czemu ty, do cholery, wyobrażasz sobie, że nie musisz się o nic starać?

- Co cię ugryzło? Utrzymuję ciebie.

- Też mi gadanie. Mam przecież pracę.

To prawda. Wkrótce potem, jak zaczął pracować u pani Smith, Ruth dostała posadę stenotypistki w pewnym towarzystwie ubezpieczeniowym, które miało swoją filię w Brewer. Ucieszył się; niepokoiła go myśl, jak będzie spędzać popołudnia w czasie jego nieobecności. Wyznała, że nigdy nie było jej dobrze z tym jej sposobem zarabiania na życie, ale nie bardzo jej wierzył. Kiedy ją poznał, nie robiła wrażenia niezadowolonej.

- Rzuć to - mówi. - Nieważne. Siedź w domu i czytaj kryminałki przez cały dzień. Zarobię na ciebie.

- Zarobisz? Jeżeli jesteś taki ważny, to dlaczego nie dajesz nic żonie?

- A po co? Jej ojciec ma kupę forsy.

- Niezły z ciebie cwaniak! I to mnie wkurza. Czy nigdy nie myślisz, że trzeba będzie zapłacić jakąś cenę?

Ruth patrzy na niego surowo oczami przekrwionymi od wody. Osłania je ręką. Inne to już oczy, nie te, które poznał owej nocy przy parkingu - płaskie, blade tarcze jak u lalki. Błękit jej źrenic nabrał wewnętrznej intensywności i głębi, która wprawia go w zakłopotanie.

Bolą ją oczy, odwraca głowę, żeby powstrzymać łzy.

146

Jak tylko zacznie myśleć, zaraz zbiera się jej na płacz. Skłonność do płaczu to jeden z objawów. Boże! W pracy musi nagle wstać od maszyny, jakby miała biegunkę, i lecieć do klo, żeby się wypłakać. Stoi w tej przegródce i patrzy na sedes, i śmieje się z samej siebie, i ryczy, ale to tak, że mało jej serce nie pęknie. I ta wieczna senność. Boże drogi! Po lunchu jest zupełnie do niczego, tylko by się wyciągnęła, choćby i na linoleum w przejściu między Lilly Orff i Ritą Fiorvante, gdzie stary Honig, z tymi swoimi kaprawymi oczami, musiałby przez nią przechodzić. A jaki apetyt! Butelka napoju waniliowego, sandwich, potem pączek i kawa i jeszcze przy kasie musi sobie kupić baton czekoladowy. Po tym, jak się dla niego odchudzała i naprawdę straciła trzy kilogramy, w każdym razie jedna waga to wykazała. Dla niego! Udał jej się, nie ma co! Robić wszystko, żeby się odchudzić dla kogoś, kto przez swoją głupotę postarał się, żeby zgrubiała. Zgroza! Chociaż taki łagodny. Bo jednak był miły, pierwszy taki mężczyzna w jej życiu. Przynajmniej czuła, że dla niego istnieje, bo dla innych była tylko jeszcze jednym podniecającym obrazkiem, głowy mieli napchane pornografią. Boże! Z całej duszy nienawidziła tych obleśnych ust i tego chichotania, ale odkąd robi to z Harrym, to jakby im wszystkim wybaczyła, byli tylko w połowie winni, byli dla niej niby ściana, o którą się obijała wiedząc, że coś za nią jest, i nagle znalazła to z Harrym, i teraz wszystko, co było wcześniej, wydaje się nierealne. Ostatecznie nikt jej nic złego nie zrobił, nie zranił, nie skrzywdził, i kiedy próbuje sobie wszystko przypomnieć, to czasem jej się wydaje, że nie z nią się to działo, tylko z kimś innym. Wydawali się jak za mgłą albo jakby miała wtedy zamknięte

oczy, byli żalosni i niecierpliwi, chcieli czegoś, czego im żony dać nie chciały, może parę żołnierskich słów, może, żeby jęczeć albo zrobić to ustami. Naprawdę nie wiadomo, co oni w tym widzą? Czy to może być takie nadzwyczajne? Zresztą nie jest to gorsze od tego, co robią z twoimi piersiami, więc dlaczego im żałować, pierwszy był Harrison, była pijana w dechę, ale rano po przebudzeniu dziwił ją ten smak w ustach. Dziecinne przesady, to właściwie nie ma żadnego smaku, może przypomina morską wodę, trochę więcej z tym

147

pracy, niż oni prawdopodobnie myślą, kobiety zawsze pracują ciężiej, niż im się zdaje. A w dodatku chcą, żeby podziwiać, co oni tam mają. Naprawdę chcą. Wcale nie jest takie brzydkie, ale im się zdaje, że jest. Jeszcze kiedy była w szkole, dziwiło ją, że się tak straszenie wstydzą, i ta ich wdzięczność, kiedy ich się tam dotknęło, a jak szybko się rozniosło, że ona to robi. Czyżby każdy uważał się za potwora? Ale gdyby się tylko zastanowili, to by zgadli, że i ona była ciekawa, że mogła lubić tę ich inność, jak oni lubili jej, przecież na swój sposób nie byli tam brzydsi od kobiet, parę czerwonych fałd, mój Boże, cóż to w końcu takiego? Żadna tajemnica. I takie właśnie było jej wielkie odkrycie, że tam nie ma żadnej tajemnicy, po prostu coś sterczy, i zaraz każdy z nich czuje się jak król, a jeśli się z tym wszystkim pogodzić, to będzie przyjemnie, albo nie tak przyjemnie, w każdym razie była z nimi przeciw tym smarkułom w szkole, co kręciły się dokoła niej; na gimnastyce wyglądała jak idiotka w niebieskim dresie podobnym do niemowlęcych śpioszków; w dwunastej klasie nie chciała już tego nosić i dostała trójkę ze sprawowania. Nie cierpiała niektórych dziewczyn - córeczek różnych przedsiębiorców budowlanych albo drogistów. Brała odwet w nocy, używając sobie jak królowa, nawet nie wiedziały, że coś takiego istnieje. Zresztą - nic nadzwyczajnego, nie trzeba było nawet zdejmować sukienki, trochę tarcia przez ubranie, w ustach smak cebuli po hamburgerze z przydrożnego baru, w samochodzie tykanie grzejnika, bo robiło się chłodno i przez ubranie kończyli. Chyba niewiele czuli, mogli mieć tylko jakieś wyobrażenie, co to jest dziewczyna. I to wszystko. Czasem były pocałunki z jęczyzkiem, jej to specjalnie nie odpowiadało, niezdarne jęzory, trudno oddychać, ale w pewnej chwili, ni stąd, ni

zowąd, ich wargi sztywniały, usta rozchylały się, potem zwiotczałe zamykały się, i już wiedziała, że jest po wszystkim, że może przestać i lepiej się odsunąć, żeby nie splamić sukienki. Napisali jej imię na ścianach klozetu, mówiło się o niej w szkole. Doniósł jej o tym Allie, przez grzeczność. Ale z nim było przyjemnie; kiedyś, po szkole, słońce było jeszcze wysoko, pojechali boczną drogą, potem na jakiejś odludnej ścieżce stanęli w krzakach, skąd widać było

148

miasto i Sędziowską Górę, jedno i drugie majaczące w dali. Allie położył głowę na jej kolanach, podciągnęła sweter, rozpięła staniczek, delikatnie jak niemowlę dotykał jej cycuszków (kto je tak nazwał? nie Allie) wtedy już pojedrniałych i zaokrąglonych, wrażliwszych; jego wyczekujące wilgotne usta takie zadowolone i ślepe, i zawzięty szczebiot ptaków w słońcu nad ich głowami. Allie wypaplał. Zawsze musiał paplać. Wybaczyła mu, ale zmądrzała. Zaczęła ze starszymi; błąd - jeśli w ogóle - ale czemu nie? Czemu nie? Wciąż zadaje sobie to pytanie: błąd czy nie błąd? Męczy ją myślenie o tym po kąpieli, kiedy jest mokra i oczy pieką, poprzez tę czerwień pod powiekami usiłuje się cofnąć i zastanowić, czy popełniła wtedy błąd. Nie. Wiedziała swoje. Dla nich, tych starszych, młoda znaczyło to samo co ładna i nie spieszyło im się tak jak chłopcom. Gdzie tam! Niejeden taki facet to nawet zwlekał, pożał się Boże, jakby świat jeszcze czegoś takiego wspaniałego nigdy nie widział, a potem kłapa. Ale ten. Dziwak. Co w nim jest właściwie? Piękną ma tę swoją męskość - delikatną i nie obrzezaną; leży bokiem w puszystym runie, a potem jak miecz anioła wypełnia ją ciasno, ale tu chodzi o coś więcej i nie tylko o to, że jest jak mały chłopiec, że przyniósł jej murzyński bębenek, mówi takie miłe rzeczy, chodzi o to, że jednocześnie ma nad nią jakąś dziwną władzę; kiedy jest im dobrze razem, czuje, że nic przy nim nie znaczy, i pewnie o to chodzi, pewnie tego zawsze szukała. Czuć się przy mężczyźnie po prostu niczym. Tej pierwszej nocy, kiedy odezwał się do niej jakby z dumą "Hej!", nie była od tego, sama miała ochotę. Przebaczyła wtedy wszystkim, w jego twarzy wszystkie inne męskie twarze zlały się w jakąś rozmazaną plamę i wtedy poczuła, że poddaje się czemuś, co jest lepsze od niej. Ale mimo wszystko okazuje się, że on wcale nie jest taki inny, najpierw czepia się człowieka,

smutny i zakochany, a kiedy już ma to, czego chciał, odwraca się plecami i myśli o czymś innym. Mężczyźni nie przeżywają tego tak, jak musi to przeżyć kobieta. Robią to coraz szybciej i szybciej, jakby z przyzwyczajenia; teraz to on naprawdę się spieszy, kiedy domyśla się albo kiedy mu powie, że nie czuje podniecenia. Wtedy pozostaje tylko leżeć i poniekąd słuchać i w tym znaleźć jakieś

149

ukojenie, ale trudno potem zasnąć. Czasem w nocy stara się ją rozruszać, a jej się po prostu chce spać, czuje tam w dole taką ociążałość, że nic z tego; czasem chętnie by go odepchnęła, strząsnęła z siebie, krzyknęła: "Nie mogę, ty dumnie, czy nie wiesz, że jesteś ojcem!" Ale nie. Nie wolno jej tego mówić. Powie słowo i wszystko się skończy; nie miała okresu tylko jeden raz, może znów będzie miała za parę dni i okaże się, że wszystko w porządku. Kłopot miałyby straszny, to fakt, ale kto wie, czy nie byłaby z tym szczęśliwa. Na wszelki wypadek stara się jak może opychać czekoladą. Mój Boże, wcale nie jest pewna, czy nie chce tej ciąży dlatego, że o n tak chce, sądząc z jego zachowania, nie używa przeklętych prezerwatyw, tylko jak go Bóg stworzył. Kto wie, czy nie naumyślnie ściągnęła to na siebie, zasypiała mu pod pachą, żeby drań był zadowolony. Bo z nim było tak: kiedy spał, mogła wstać z łóżka i poleżeć do zimnej łazienki, byleby niczego nie widział i niczego nie musiał robić. Tak z nim było - myślał tylko o sobie i nie dbał o to, co będzie z innymi. I powiedz takiemu o czekoladzie i że wciąż jesteś śpiąca - nastraszy się i wyniesie razem z tym swoim fajnym czystym kutasem i swoją kochaną Bożą, i kochanym pastorem, z którym gra w golfa we wtorki. Najgorszy to właśnie ten pastor! Przedtem Królik przynajmniej wiedział, że źle postępuje, ale teraz - gdzie tam! Uważa, że jest Panem Jezusem i zbawi świat robiąc po prostu to, co mu strzeli do głowy.

Chciałyby się dostać do biskupa albo do kogoś takiego i powiedzieć, że ten ich pastor jest niebezpieczny. Nabił głowę biednemu chłopu czymś takim, czego nikt nie potrafi zrozumieć, i nawet teraz głos, który sączy się do jej ucha, miękki i pewny siebie, odpowiada na jej pytanie leniwie i wyniośle, i z tak niewzruszonym przekonaniem, że oburzona do żywego naprawdę płacze.

- Powiem ci coś - mówi Królik. - Kiedy uciekłem od Janice, zrobiłem interesujące

odkrycie. - A jej łzy przelewają się przez powieki i sól tych łez utrwała w ustach słony smak wody z basenu. - Jeżeli masz odwagę być sobą - mówi - to inni się z tym pogodzą.

150

Składanie krępujących wizyt to prawdziwa udręka dla Ecclesa, a przynajmniej myśl o tym obowiązku. Zwykle sen bywa gorszy od rzeczywistości; rzeczywistością rządzi Pan Bóg. Realna obecność ludzi zawsze jest do zniesienia. Pani Springer to pulchna, drobnokoścista brunetka w typie Cyganki. Jest w niej coś groźnego, tak samo jak w jej córce, z tym że zdolność budzenia niepokoju jest u matki cechą stałą, całkowicie sprzężoną ze strategią mieszczańskiego życia. U córki to coś płynnego, zbytecznego i równie niebezpiecznego dla niej jak dla innych. Eccles odczuwa ulgę stwierdziwszy, że Janice nie ma w domu; w jej obecności najdotkliwiej dokuczają mu poczucie winy. Pojechała z panią Fosnacht do Brewer na przedpołudniowy seans Pól żartem, pół serio. Ich dzieci, dwaj chłopcy, są na podwórku pani Springer. Prowadzi ona pastora przez cały dom na osłoniętą werandę, gdzie będzie miała chłopców na oku. Dom umeblowany jest dostatnio, lecz bez ładu i składu; w każdym pokoju jakby o jeden fotel za dużo. Żeby dostać się na werandę wychodzącą na podwórko, idą krętą ścieżką przez zatłoczone pokoje. Pani Springer prowadzi go powoli - obydwie nogi ma obandażowane w kostkach. Z trudem drobione kroki nasuwają przypuszczenie, że ma biodra ujęte w gipsowy gorset. Opuszcza się ostrożnie na poduszki bujanej ławeczki na werandzie i zaskakuje pastora śmiałym wyrzuceniem nóg, gdy bujak, podrywając się nagle, reaguje zgrzytem na jej ciężar. To zadarcie nóg zdaje się wyrażać zadowolenie; blade łyse łydki sterczą sztywno w powietrzu, półbuciki oderwały się na moment od podłogi. Są pomarszczone i wydęte, jakby się latami moczyły w wodzie. Eccles siada na ogrodowym krześle - zawilej konstrukcji z metalu i plastiku. Widzi przez siatkę Nelsona Angstroma i trochę starszego od niego Fosnacha bawiących się na słońcu w przenośnej piaskownicy. Eccles zamówił kiedyś taką samą; gdy nadeszła pocztą w długim tekturowym pudle, stwierdził z uczuciem upokorzenia, że nie potrafi jej złożyć; w końcu Henry, stary głuchy zakrystian, musiał to zrobić za niego.

- Cieszę się, że widzę pas'tora - mówi pani Springer. - Dawno pastora tu nie było.
- Chyba tylko trzy tygodnie - odpowiada Eccles.

151

Krzesło gniecie go w plecy, przyciska obcasami rurkę stanowiącą podstawę krzesła, żeby się nagle pod nim nie złożyło. - Miałem dużo zajęć: musiałem przygotować kilka klas do konfirmacji. Klub Młodzieżowy postanowił w tym roku założyć drużynę baseballową, no i cały szereg zgonów w parafii. - Poprzednie kontakty z tą kobietą nie nastroiły go do przeprosin. Posiadanie tak dużego domu razi jego arystokratyczne poczucie umiaru. Byłaby mu miłsza i czułaby się wygodniej, gdyby to była weranda jakiegoś skromnego drewnianego domku.

- Za skarby świata nie chciałabym mieć takiego zajęcia.

- Mnie ono całkiem odpowiada.

- Tak mówią. Słyszałam, że pastor coraz lepiej gra w golfa.

O Boże! A on wyobrażał sobie, że ta kobieta złagodniała. Wydało mu się przez chwilę, że siedzą na werandzie jakiegoś odrapanego biednego domku i że ona jest niedomagającą od lat grubą żoną robotnika, która nauczyła się brać życie takim, jakie jest. Bo na taką właśnie wygląda i kimś takim łatwo mogłaby zostać. Kiedy wychodziła za Freda Springera, prezentował się on zapewne mniej obiecująco niż Harry Angstrom, gdy poślubiła go jej córka. Pastor próbuje wyobrazić sobie, jak wyglądał Harry przed czterema laty; wcale nieźle: wysoki, przystojny, popularny w szkole, rozgarnięty - wybraniec losu. Jego pewność siebie musiała podbić Janice. Dawid i Michol. "Niech nie oszukuje jedno drugiego." Drapiąc się w czoło Eccles mówi:

- Grać z kimś w golfa to niezły sposób, żeby poznać człowieka. Bo właśnie tego próbuję, rozumie pani, poznać ludzi. Nie sądzę, żeby można było przyprowadzić do Jezusa kogoś, kogo się nie zna.

- No dobrze, ale co pastor wie o moim zięciu, czego ja nie wiem?

- Że jest dobrym człowiekiem, na przykład.

- Dobrym do czego?

- Czy człowiek musi być dobry do czegoś? - Zastanawia się: - Tak, sądzę, że tak.

- Nelson! Przestań w tej chwili! - Pani Springer sztywnieje na swojej bujanej kanapce, ale nie wstaje, żeby

152

zobaczyć, dlaczego chłopczyk płacze. Eccles, siedzący bliżej, widzi wszystko. Mały Fosnacht stoi przy huśtawce, trzymając dwie ciężarówki z czerwonego plastyku. Syn Angstroma, o parę centymetrów niższy, uderza go otwartą dłonią w pierś, nie odważając się przystąpić bliżej, żeby chłopca zbić porządnie. Młody Fosnacht z irytującą obojętnością durnia trzyma się mocno na nogach i spogląda na bijącą go rękę i na wykrzywioną twarz młodszego dziecka nawet bez uśmiechu zadowolenia, jak prawdziwy naukowiec, który beznamiętnie śledzi efekt swego eksperymentu. Głos pani Springer przenikliwym, twardym krzykiem przebija siatkę werandy:

- Czy nie słyszałeś? Powiedziałam, przestań się awanturować!

Nelson, odwracając twarzyczkę w stronę werandy, próbuje wyjaśnić: - Billy mi...

Billy... - Ale już sama próba opisanie niesprawiedliwości budzi w nim jakąś nieodpartą siłę, chłopczyk rusza z miejsca chwiejnym krokiem, jakby dostał cios w plecy, uderza złodzieja w pierś i - łagodnie odepchnięty - siada na ziemi. Przewraca się na brzuch i wije na trawie, wierzgając nóżkami. Z każdym skrzętem jego ciała ścisną się serce pastora; Eccles doskonale wie, że poczucie krzywdy budzi sprzeciw tak silny, że brakuje tchu i człowiekowi się zdaje, iż znajduje się w próżni, która rozerwie go na drobne kawałki.

- Chłopiec zabrał mu jego samochód - mówi Eccles do pani Springer.

- No to niech go sam odbierze. Musi się nauczyć. Nie mogę co chwila wstawać i lecieć do nich na tych moich nogach. Rozrabiają całe popołudnie.

- Billy. - Chłopczyk patrzy ze zdumieniem w stronę, z której dobiega głos mężczyzny. - Oddaj mu to. - Billy zastanawia się nad tą nową okolicznością i długo nie wie, co ma zrobić. - No, oddaj, proszę cię. - Chłopiec, przekonany, podchodzi wreszcie do Nelsona i pedantycznie upuszcza zabawkę na głowę szlochającego towarzysza zabawy.

Nowy ból wyzwała w gardle Nelsona ponowny wyraz żalu, stłumionego jednak widokiem zabawki, która leży na trawie tak blisko jego twarzy. Chłopczyk potrzebuje

dłuższej chwili, żeby zdać sobie sprawę, że przyczyna rozpaczy została usunięta, i jeszcze jednej chwili, żeby opanować wzburzenie. Razi drugi zanosi się szlochom już bez łez, i wydaje z siebie potężne, głębokie westchnienie, które mogłoby unieść z miejsca splechec przystrzyżonego trawnika i nawet samo słońce. Osa, która uparcie biła o siatkę, daje nurka, aluminiowe krzesło chwieje się pod pastorem; cały świat towarzyszy Nelstonowi w powrocie do równowagi.

- Nie wiem, dlaczego jest taki mazgaj - mówi pani Springer. - A może i wiem.

To chytre niedopowiedzenie intryguje pastora.

- Dlaczego?

Wątrobiane plamy pod jej oczami unoszą się, kąciki ust opadają w szacującym grymasie.

- No cóż, jest taki sam jak jego tatuś: rozpieszczony. Uważa, że powinien dostać od świata wszystko, czego chce.

- To raczej ten drugi chłopiec. Nelson chciał mieć tylko to, co jego.

- Tak, i przypuszczam, że jeśli chodzi o jego ojca, to pastor pewnie uważa, że wszystkiemu jest winna Janice.

Sposób, w jaki pani Springer wymawia "Janice", sprawia, że ta dziewczyna staje się bardziej konkretna, cenniejsza i ważniejsza niż żaloszny cień, który pozostał w pamięci Ecclesa. Zastanawia się, czy mimo wszystko pani Springer nie ma racji; czyżby przeszedł na drugą stronę?

- Nie, wcale tak nie uważam - odpowiada. - Uważam, że nic nie usprawiedliwia jego zachowania. Ale to nie znaczy, że nie miał do tego powodów, mam na myśli takie sprawy, nad którymi pani córka mogła po części panować. Wraz z moim Kościołem wierzę, że wszyscy jesteśmy odpowiedzialni za siebie i za innych. - Taka piękna maksyma, a smakuje mu jak kreda. Chciałby dostać coś do picia. Wiosna robi się coraz cieplejsza.

Stara cyganicha widzi jego niepewność.

- No cóż, łatwo tak mówić. Może nie tak łatwo myśleć to samo, kiedy się jest w dziewiątym miesiącu ciąży i z porządnej rodziny, a mąż puszcza się z jakąś zdzirą

parę kilometrów stąd i wszyscy uważają, że to jest śmieszne, jak nie wiem co.

154

Słowo "zdzira" zadźwięczało w jej ustach jak darcie czegoś na kawałki.

- Nikt nie uważa, że to śmieszne, proszę pani.

- Pastor nie słyszy tego, co mówią, a ja słyszę. Nie widzi pastor tych uśmieszków.

Nie dalej jak przedwczoraj jedna baba miała czelność powiedzieć mi prosto w oczy, że jeżeli ktoś nie potrafi utrzymać męża przy sobie, to nie ma do niego prawa. I jeszcze wyszczerzyła do mnie zęby. Myślałam, że ją uduszę. Powiedziałam jej: "Mężczyzna też ma jakieś obowiązki. Nie tylko jedna strona." To właśnie takie kobiety przewracają chłopom w głowie, uważają, że świat jest stworzony tylko dla ich przyjemności. A pastor tak postępuje, jakby w połowie też tak uważał. Dobrze. Jeżeli na świecie ma być coraz więcej takich Harrych Angstromów, to jak długo będzie im potrzebny Kościół, jak pastor myśli?

Pani Springer siedzi wyprostowana, jej ciemne oczy zasnuwa lakier łez, które nie spływają na policzki. Eccles czuje na twarzy jej ostry głos tnący jak stalowa piła; cały jest poraniony. Opowiadanie o uśmieszkach i plotkach dokoła tej sprawy zepchnęło go w jakąś przerażającą rzeczywistość, taką samą jak widok owych setek twarzy w niedzielne ranki o pół do dwunastej, kiedy wchodzi na kazalnicę i tekst kazania ucieka mu z głowy, a notatki rozplływają się w stek nonsensów. Z trudem odrywa się od tego wspomnienia i mówi:

- Uważam, że Harry pod niektórymi względami jest wypadkiem szczególnym.

- Och, szczególne w nim jest to, że wszystko mu jedno, kogo rani albo jak bardzo rani. Ale nie chcę pastorowi robić przykrości i jestem przekonana, że pastor robi, co w jego mocy, przy swoich licznych zajęciach, tylko, prawdę mówiąc, żałuję, że tamtej pierwszej nocy nie wezwałam policji, a chciałam to zrobić.

Eccles myśli przez chwilę, że wezwanie policji odnosi się do jego osoby. I słusznie! Biała koloratka sprawia, że każdym wypowiedzianym słowem podszywa się pod imię Boże. Kradnie wiarę dzieciom, które powinien nauczać. Morduje wiarę w umysłach tych, którzy rzeczywiście słuchają jego gadaniny. Popełnia oszustwo, klepiąc wyuczone modlitwy i bezmyślnie wzywając imienia Boga

Ojca, gdy w głębi duszy wie, że prawdziwym ojcem, któremu stara się przypodobać, zawsze, przez całe życie, jest Bóg palący cygara. Pyta panią Springer:

- Co może zrobić policja?

- Nie wiem dokładnie, ale spodziewam się, że trochę więcej niż grać w golfa.

- Jestem zupełnie pewien, że on wróci.

- Pastor mówi to od dwóch miesięcy.

- I wciąż w to wierzę. - Ale tak naprawdę nie wierzy, nie wierzy w nic, i w ciszy, która zapada, pani Springer zdaje się czytać to na jego twarzy.

- Czy może pastor podać mi ten stołeczek, który stoi w kącie? - Głos ma zmieniony, błagalny. - Muszę mieć nogi wyżej.

Czuje, jak szczypią go powieki, gdy mruga. Przytomnieje, idzie po stołek, podaje go. Grube łydki w zielonych dzieciennych skarpetkach unoszą się ulegle i gdy podsuwa stołek pod piętę, pochylenie ciała - jak u Chrystusa myjącego nogi ubogim na pobożnych obrazach - jakby przydaje mu nowych sił. Prostuje plecy i góruje teraz nad tą kobietą obciążającą spódnice na kolana.

- Dziękuję - mówi pani Springer do niego. - To dla mnie prawdziwa ulga.

- Obawiam się, że to jedyny rodzaj ulgi, jaki pani przynoszę - wyznaje z prostotą, która wydaje mu się wspaniała, chociaż jednocześnie kpi z niej w głębi duszy.

- Och - wzdycha pani Springer - nikt tu nic nie poradzi.

- Na pewno da się coś zrobić. Możliwe, że pani ma rację co do policji. Prawo chroni kobiety zameżne, może by z tego skorzystać?

- Fred jest przeciwny.

- Pan Springer ma swoje racje. Nie mam tu na myśli wyłącznie jego interesów. Prawo może wyegzekwować od Harry'ego jedynie pomoc finansową, a nie sądzę, żeby w tym wypadku ważne były akurat pieniądze. Jeśli chodzi o ścisłość, to wcale nie jestem pewien, czy w ogóle ważne są pieniądze.

- Łatwo tak mówić komuś, kto zawsze ma ich dość. Nie czuje się urażony. Wymknęło jej się to odruchowo,

mniej w tych słowach złości niż bezmyślności; jest pewien, że pani Springer chce go słuchać.

- To możliwe. Nie wiem. W każdym razie mnie chodzi, zasadniczo wszystkim chodzi, o uzdrowienie sytuacji. A do tego może dojść tylko wtedy, kiedy Harry i Janice zaczną działać. Doprawdy, żebyśmy nie wiem jak chcieli, nie wiem jak starali się mu pomóc, zawsze będziemy osobami postronnymi. - Naśladowując swego ojca, założył ręce do tyłu i odwrócił się plecami do swojej słuchaczki; przez osiatkowaną werandę przygląda się temu, który być może nie jest tu osobą postronną, Nelsonowi. Wyprzedza on małego Fosnacha, goniąc po trawniku psa sąsiada. Małe ciało całe się trzęsie na niezdarnie drepczących nóżkach i dziecko sypie śmiechem w biegu. Nelson krzyczy: "Lew! Lew!" Piesek jest nieduży, rudy, stary i powolny; mały Fosnacht jest zaskoczony, ale i ucieszony tymi okrzykami. Ciekawe, myśli Eccles, że w czasie pokoju syn Angstroma przewodzi temu drugiemu. Zielone powietrze za gęstą siatką zdaje się wibrować od krzyku Nelsona. Eccles rozumie sytuację: te nieustanne wybuchy pogodnego, bezinteresownego podniecenia w naturalny sposób muszą od czasu do czasu prowadzić do starć z mniej wrażliwym chłopcem i powodować nagle zahamowanie, ponury akt uporów i przemocy. Współczuje Nelsonowi, który w swej niewinności wiele razy będzie błądzić, zanim odkryje w samym sobie źródło tych dziwnie sprzecznych reakcji. Wydaje mu się, że też był takim jak on chłopcem, zawsze dawał i dawał i zawsze niespodzianie oblewano go zimną wodą. Stary pies macha ogonem, gdy chłopcy podchodzą bliżej. Przestaje machać i ciało jego opada znużonym łukiem, kiedy piszcząc z radości otaczają go jak myśliwi. Nelson wyciąga ręce i obieńcia piąstkami wali psa po grzbiecie. Eccles ma ochotę krzyknąć, że pies może ugryźć: nie wolno mu do tego dopuścić.

- Tak, ale coraz bardziej oddala się od nas - jęczy pani Springer. - Dobrze mu się wiedzie. Nie ma powodu wracać, póki nie damy mu powodu.

Eccles siada z powrotem na metalowym krześle.

- Nie. On wróci z tego samego powodu, dla którego odszedł. Jest wymagający. Musi wrócić do punktu wyjścia-

cia. Świat, którym teraz żyje, świat tej dziewczyny w Brewer, niedługo będzie go zadowalał. Widując go przez tych parę tygodni, zauważyłem zmianę.

- Wystarczy posłuchać, co mówi Peggy Fosnacht. Mówi, że sama słyszała, jak on sobie używa. Bóg wie, ile ma kobiet.

- Tylko jedną. Jestem tego pewien. Dziwne, ale to prawda - on jest z natury domatorem. O Boże!

Powstaje jakieś zamieszanie - chłopcy biegną w jedną stronę, pies w drugą. Mały Fosnacht przystaje, ale Nelson zbliża się do nich z twarzą rozciągniętą strachem.

Pani Springer słyszy jego płacz i mówi ze złością:

- Czy znowu tak rozdrażnili psa, że gryzie? Ta Elsie za grosz nie ma rozumu, wciąż tu wraca po nowe szturcharice.

Eccles skacze na równe nogi, krzesło składa się za jego plecami - jednym pchnięciem otwiera siatkowe drzwi i biegnie do dziecka w blasku słońca! Nelson się boi.

- Czy pies cię ugryzł? - pyta chwytając chłopca w ramiona.

Nowy lęk, lęk przed uściskiem tego człowieka w czerni, powstrzymuje płacz dziecka.

- Czy Elsie cię ugryzła?

Chłopiec Fosnachtów trzyma się w bezpiecznej odległości. Nelson - zaskakująco krzepki i wilgotny w ramionach Ecclesa - po fali głębokich westchnień zaczyna odzyskiwać głos.

By zapobiec wiszącym w powietrzu łzom, Eccles potrząsa dzieckiem.

- Czy tak? - pyta i dla lepszego zrozumienia klapie zębami tuż przy jego policzku. - Czy pies zrobił tak?

Chłopczyk jest zachwycony tą pantomimą. Mówi:

- O tak - i odsłania ząbki, unosząc maleńką delikatną wargę, jednocześnie marszczy nos i lekko przechyla głowę na bok.

- Nie ugryzł? - upewnia się Eccles i rozluźnia uścisk.

Maleńka wargę powtarza swój grymas - okrucieństwo w miniaturze. Eccles wyczuwa kpinę na ruchliwej twarzyczce, rysami i kształtem tak bardzo przypominającej ojca tego dziecka. Nelson znów uderza w płacz i ucieka; biegnie na werandę do babci.

Eccles wstaje. Przez

"tę krótką chwilę, kiedy kuczał na słońcu, zwilgotniały mu plecy pod ciasną marynarką.

Wchodzi na stopnie werandy, mając w pamięci maleńkie kwadratowe ząbki, przedrzeźniające warczącego psa, i czuje się poruszony czymś żalnym, czymś głęboko przejmującym. Niewinność, a przecież realna obecność instynktu, instynktu małego kotka, który aksamitnymi łapkami chce zabić szpulkę.

Wchodzi na werandę i zastaje chłopca pomiędzy kolanami babci, z twarzą ukrytą na jej brzuchu. Wciskając się w ciepło tego ciała, zadarł babci sukienkę i odsłonił szerokie i blade kolana - widok niepożądany; obnażona i bezbronna starcza biel i te zabawnie zaciśnięte ząbki, które mały wyszczerzył do niego, zespalają się w świadomości pastora w jedno, w coś, co czuje niby własną krew. Z mocą - bo uczono go, że takie jest współczucie, że nie jest bezradnym krzykiem, lecz potężną siłą mogącą oczyścić z kurzu i śmieci każdy kąt świata - robi krok naprzód i obiecuje tym dwóm pochylonym głowom:

- Jeśli on nie wróci, kiedy ona będzie rodzić, to odwołamy się do prawa. Istnieją odpowiednie przepisy, to oczywiste, nawet kilka...

- Elsie gryzie - mówi pani Springer - ponieważ ty i Billy drażnicie się z nią.

- Niegrzeczna Elsie - mówi Nelson.

- Niegrzeczny Nelson - poprawia go pani Springer. Unosi twarz i tym samym tonem napomnienia mówi do pastora: - Tak, dobrze, tylko że ona rodzi za tydzień, a ja nie widzę, żeby on się tu spieszył.

Chwila czułości, jaką Eccles miał dla niej, minęła; zostawia panią Springer na werandzie.

"Miłość nigdy nie ustaje", mówi do siebie, cytując najnowsze popularne wydanie Biblii. W dawniejszym wydaniu było; "Miłość nigdy nie zawodzi". Głos pani Springer dogania Ecclesa w głębi domu.

- Jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na tym, że drażnisz się z Elsie, to dostaniesz w skórę od swojej babci.

- Nie, babuuuuuniu - prosi chłopczyk przymilnie, wolny od strachu.

Eccles myślał, że trafi do kuchni i napije się wody z kranu, ale przeoczył kuchnię

wśród tyłu pokojów. Ru-

159

chem warg wywołuje ślinę i przelyka ją, opuszczając elegancki dom. Wsiada do swojego buicka i jedzie do Angstromów ulicą Józefa, a potem skręca w Jacksona i za pierwszą przecznicą jest ich dom.

Pani Angstrom ma czworokątne nozdrza - dwa romby osadzone w nosie nie tyle dużym, ile wykończonym w najdrobniejszych szczegółach; w ostrym świetle wydatnie rysuje się każdy z osobna mięsień, chrząstka, kosteczka, dzieląc skórę na wiele płaszczyzn. Rozmowa odbywa się w kuchni przy świetle licznych żarówek. Pałają się w środku dnia. Angstromowie mieszkają w ciemnej połowie dwurodzinnego domu z cegły. Pani Angstrom otworzyła mu drzwi z mydlaną pianą na czerwonych rękach i prowadząc pastora, wraca do swego zlewu, w którym piętują się koszule i bielizna. Ugniata je energicznie w czasie rozmowy. Jest kobietą pełną energii. W wypadku pani Springer drobne kości, niegdyś tak drobne jak u Janice - małej chudej dziewczyny - obrosły pulchnym, obolałym ciałem. Pani Angstrom to masyw osadzony na dużym, grubokościstym rusztowaniu, Harry musiał wzrost wziąć od niej. Zastłania swoim groźnym ciałem długie krany - zwiastuny zimnej wody, dokoła której krążą bezustannie myśli Ecclesa, niestety nie znajduje okazji, by prosić o taki drobiazg.

- Nie rozumiem, dlaczego pastor przychodzi do mnie. Harry skończył dwadzieścia jeden lat. Nie mam nad nim żadnej kontroli.

- Nie widział się z panią?

- Nie, proszę pastora. - Pani Angstrom pokazuje mu swój profil ponad lewym ramieniem. - Pewnie się wstydzi, bo przecież pastor go zawstydził.

- I powinien się wstydzić, nie sądzi pani?

- Nie wiem dlaczego. Przede wszystkim, nigdy nie chciałam, żeby się z nią ożenił. Wystarczy okiem rzucić i człowiek wie, że to nielicha wariatka.

- No nie! Chyba tak nie jest!

- A jak?! Pierwsza rzecz, jaką do mnie powiedziała, to czemu nie mam elektrycznej pralki? Wchodzi toto do mojej kuchni, rozgląda się i zaczyna mnie uczyć, jak mam

się urządzić.

160

- Z całą pewnością nie miała nic złego na myśli, nie sądzi pani?

- A tak, tak, na pewno. Myślała tylko, jak ja mogę żyć w takiej zapuszczonej dziurze, podczas gdy ona wyrosła w tej wielkiej, wspaniałej stodole na ulicy Józefa, z kuchnią pełną różnych urzędów, i że mam szczęście, bo mi się udało pierwszorzędnie urządzić synalka, znaleźć mu taaaaką partię. Nie podobały mi się jej oczy. Ta dziewczyna nigdy nie patrzy człowiekowi prosto w twarz.

Pani Angstrom odwraca się do pastora i ten, ostrzeżony, odpowiada jej otwartym spojrzeniem. Spod zamglonych szkieł - staromodnych, okrągłych w drucianej oprawce, których dwuogniskowe półksiężycy łapią różowy odcień światła - arogancko zadarty nos ujawnia swoje mięsiste, pokrętnie wnętrze. Szerokie usta rozchylają się lekko w nieuchwytnym wyrazie oczekiwania. Eccles zdaje sobie sprawę, że ta kobieta ma duże poczucie humoru. Trudność z takimi osobami polega na tym, że mieszają zawsze to, w co wierzą, z tym, w co nie wierzą; chodzi im wyłącznie o efekt! Dziwne, ale polubił ją, chociaż traktuje go poniekąd z taką samą zaciętością jak swoje pranie. Lecz o to właśnie chodzi. W przeciwieństwie do pani Springer pani Angstrom w ogóle go nie dostrzega. Wojuje z całym światem i Eccles, bezpieczny wobec takiej rozległości ataku, może mówić, co mu się podoba.

Twardo broni Janice.

- Dziewczyna jest nieśmiała.

- Nieśmiała! Ale starczyło jej śmiałości, żeby zająć w ciążę i zmusić go do żeniaczki, kiedy chłopak ledwie umiał porządnie wepchnąć koszulę w spodnie.

- Miał dwadzieścia jeden lat, powiedziała pani.

- No to co? Co znaczy wiek? Jeden umiera młody, drugi rodzi się stary.

Epigramaty, nawet to! Zabawna kobieta. Eccles śmieje się głośno. Nie raczy go słyszeć i odwraca się do swego prania ze wściekłą powagą.

- Ta dziewczyna jest tak samo nieśmiała jak żmija - mówi. - Małe kobiety to trucizna. Mizdrzy się tymi swoimi chytrymi oczkami i wszyscy jej współczują. Tylko nie ja. Niech mężczyźni nad nią płaczą. Kiedy człowiek słucha tego, co mówi jej rodzony

teść, to gotów

161

pomyśleć, że jest to największa męczennica od czasu Joanny d'Arc. Eccles znów się śmieje, ale czyż nie jest?

- No dobrze, a według pana Angstroma, co Harry powinien zrobić?

- Przyczołgać się na kolanach z powrotem. Cóż innego? I zrobi to, zrobi, biedny chłopiec. On jest w gruncie rzeczy zupełnie jak jego ojciec. Ma miękkie serce.

Przypuszczam, że dlatego mężczyźni rządzą światem. Mają serce.

- Dość niezwykły punkt widzenia.

- Naprawdę? Przecież właśnie o tym mówią nam w kościele. Mężczyźni to serce, a kobiety to ciało. Nie wiem, kto ma rozum. Pewnie Pan Bóg.

Eccles z uśmiechem zastanawia się, czy istotnie Kościół luterański w każdym budzi podobne przekonania. Sam Luter był trochę taki - w swoich nieco komicznych porywach gniewu kładł przesadny nacisk na półprawdy. Może dlatego kler protestancki ma zwyczaj posługiwania się paradoksem. Jakaś fundamentalna, głęboka bezradność! Pycha każe odsuwać na bok to, co szczegółowe. Być może zapomniał większej części teologicznej wiedzy, którą mu wpojono. Przychodzi mu do głowy, że powinien zobaczyć się z pastorem Angstromów.

Pani Angstrom podejmuje przerwany wątek:

- Moja córka Miriam jest stara jak świat i zawsze taka była. Wcale się o nią nie martwię. Pamiętam, jak dawno temu chodziliśmy w niedzielę na przechadzkę do kamieniołomu, i Harold bardzo się bał - miał wtedy nie więcej jak dwanaście lat - bał się, że ona tam wpadnie. Wiedziała, że nie zleci. Niech pastor się jej przyjrzy. Ona nie wyjdzie za mąż z litości jak biedny Hassy, a kiedy spróbował się z tego wyplątać, to wszyscy się na niego rzucili.

- Wcale nie uważam, że wszyscy się na niego rzucili. Właśnie mówiliśmy o tym, ja i matka tej

dziewczyny, że chyba jest odwrotnie.

- Niech pastor tak nie myśli. Nie mam dla niej współczucia. Ale wszyscy są po jej stronie od samego Eisenhowera w dół. Przekonają go. Pastor sam go przekona. I

jeszcze ktoś.

162

Drzwi frontowe otwarły się ze szmerem, który tylko ona słyszy. Do kuchni wchodzi jej mąż: ma białą koszulę i krawat, ale paznokcie obwiedzione czernią, jest zecerem. Tego samego wzrostu co żona, ale wydaje się od niej niższy. Na źle dopasowanych sztucznych szczękach niespokojne usta układają się w grymas stałego niezadowolenia. Nos ma taki sam jak Harry - gładki, równy guzik.

- Dobry wieczór, księżu proboszczu - mówi; musi być katolikiem albo chował się wśród katolików.

- Miło mi poznać pana. - Angstrom ma krawędzie dłoni szorstkie, ale wewnątrz miękkie i suche. - Mówiliśmy o pańskim synu.

- Jest mi okropnie przykro z jego powodu. Eccles mu wierzy. Earl Angstrom wygląda szaro,

mizernie. Ta sprawa go wykańcza. Zaciska wargi na swoich chwiejnych zębach jak ktoś, kto chce pohamować odbijanie się gazów z żołądka. Zżerany jest od wewnątrz. Jego włosy straciły barwę, oczy są jak tani atrament. Człowiek rzetelny, który życie swoje mierzył wierszownikiem, mocno wiązał kaszty i oto pewnego ranka zastał cały skład rozrzucony.

- Bez przerwy gada o tej dziewczynie, jakby była matką Chrystusa - wtrąca pani Angstrom.

- To nieprawda - odpowiada Angstrom łagodnie i w białej koszuli siada przy kuchennym stole. Cztery nakrycia stawiane przez całe lata na ceramicznym blacie wyżłobiły tam ciemne smugi. - Po prostu nie rozumiem, jak Harry mógł coś podobnego zrobić. Taki był z niego zawsze porządny chłopiec. Niepodobny do innych niechlujów. Staranny w robocie.

Nie wycierając rąk z mydlanej piany, pani Angstrom zabiera się do podgrzewania kawy. Ten drobny akt usłużności zdaje się godzić ją z mężem; wzorem starych małżonków, pozornie tylko skłóconych, zaczynają nagle mówić oboje jednym głosem.

- To wojsko go zmieniło - mówi ona. - Kiedy wrócił z Teksasu, już był inny.

- Nie chciał przyjść do drukarni - mówi Angstrom. - Nie chciał się brudzić.

- Może trochę kawy? - pyta pani Angstrom. Nareszcie jest okazja.

163

- Nie, dziękuję pani. Ale marzę o szklaneczce wody.

- Zwyczajnej wody? Z lodem?

- Wszystko jedno. Wszystko jedno. Zadowolę się każdą.

- Tak, Earl ma rację - mówi pani Angstrom. - Ludzie teraz mówią, że jest leń, a to nieprawda. Hassy nigdy nie był leniem. Kiedy człowiek był dumny z jego gry w koszykówkę w liceum, ludzie gadali: "No tak, jest bardzo wysoki, to mu łatwo idzie." Tylko nie wiedzieli, ile się naharował. Każdego wieczoru walił tą piłką na podwórku aż do nocy, dziwne, że coś jeszcze widział.

- Od dwunastego roku życia nic innego - dodaje Angstrom - w dzień i w nocy.

Postawiłem mu słup na podwórku, bo garaż był za niski.

- Jak się przy czymś uparł, to nie było na niego siły - mówi pani Angstrom. Potężnym pchnięciem przygniata dźwignię pojemniczka i kostki lodu, siejąc lśniące okruchy, wysypują się ze wspaniałym zwielokrotnionym trzaskiem. - Chciał być najlepszy w koszykówce i głęboko wierzę, że był.

- Wiem, co pani ma na myśli - mówi Eccles. - Grywam z nim czasem w golfa i już jest lepszy ode mnie.

Kładzie kostki do szklanki, podstawia ją pod kran i przynosi pastorowi, który przechyla szklankę do ust; poprzez wodę, którą pije, dociera do niego bezbarwny głos Earla Angstroma.

- Potem wrócił z wojska i bimbał sobie na wszystko, i latał za dziewczynkami. Nie chciał przyjść do pracy w drukarni, bo zabrudziłby sobie paznokcie. - Eccles opuszcza szklankę i wtedy Angstrom przez stół rzuca mu prosto w twarz: - A teraz jest bumelantem. Jednym z najgorszych w Brewer. Niechbym go tylko dostał w swoje ręce, to złołbym mu skórę, nawet gdyby miał mnie zabić. - Wyzywająco wydymają się wargi w jego popielatej twarzy, z białych oczu strzelają iskry.

- Jak ty się wyrażasz, Earl - mówi do niego żona, stawiając między jego dłonie malowaną w kwiatki filiżankę z kawą.

Angstrom spuszcza wzrok na parującą kawę.

164

- Przepraszam. Kiedy pomyślę, co ten chłopak wyrabia, wszystko się we mnie przewraca.

Eccles unosi szklankę i mówi do niej jak do megafonu: - Nie - a. potem pije długo i jeszcze stara się wyssać resztę wody spomiędzy kostek lodu, które uderzają go w górną wargę. Ociera mokre usta.

- Wasz syn - mówi - ma w sobie dużo dobrego. W jego towarzystwie doprawdy robi mi się wesoło - to godne ubolewania - tak wesoło, że zupełnie zapominam, po co się z nim spotkałem. - Pastor śmieje się najpierw do pana Angstroma, a nie wywoławszy w nim uśmiechu, do pani Angstrom.

- Pastor gra z nim w golfa - mówi Angstrom - ale właściwie w jakim celu? Dlaczego rodzice dziewczyny nie pójda na policję? Według mnie ten chłopiec powinien dostać porządne Janie, ot co!

Eccles zerka na panią Angstrom i czuje, że łuk uniesionych brwi zasycha mu na czole jak zlepiony klejem. Jeszcze przed minutą nie spodziewał się, że będzie widział w niej sprzymierzeńca, a w tym zmęczonym poczciwcu prostaka, na którym się zawiódł, i wroga.

- Owszem, chce tego pani Springer - mówi Eccles do Angstroma. - Ale dziewczyna i jej ojciec nie chcą, wolą czekać.

- Nie gadaj głupstw, Earl - wtrąca się pani Angstrom. - Staremu Springerowi wcale się nie spieszy, żeby zobaczyć swoje nazwisko w gazetach. Z tego, co mówisz, można by pomyśleć, że biedny Harry to twój wróg.

- Bo jest moim wrogiem. - Angstrom końcami poplamionych palców dotyka z dwóch stron talerzyka. - Tamtej nocy, kiedy szukałem go po całym mieście, stał się moim wrogiem. Nie masz nic do gadania. Nie widziałaś twarzy tej dziewczyny.

- A co mnie obchodzi jej twarz! Mówisz o dziwce! Dla mnie każda taka nie zamieni się w niewinnego anioła tylko dlatego, że dostanie metrykę ślubu. Ta dziewczyna chciała złapać Harry'ego i złapała go w jedyny sposób, jaki знаła, a teraz już nje ma na niego sposobu.

- Niemów tak, Mary. Lubisz gadać. Przypuśćmy, że ja bym się tak zachował jak Harry.

- Och! - Pani Angstrom odwraca się i pastor jest

165

wstrząśnięty wyrazem jej twarzy - kogoś gotowego do zadania śmiertelnego ciosu. -

Nie ja ciebie chciałam, tylko ty mnie. Czy też może było odwrotnie.

- Nie, nie, tak było, oczywiście - mruczy Angstrom.

- No więc! Nie ma czego porównywać. Angstrom zgarbił się nad kawą i cały się skurczył,

zapędzony w kozi róg.

- Och, Mary-wzdycha, nie mając odwagi reagować słowami.

Eccles próbuje go bronić; niemal odruchowo przechodzi na stronę słabszego.

- Chyba nie może pani twierdzić - zwraca się do pani Angstrom - że Janice nie widziała w swym małżeństwie żadnej wzajemności uczuć. Gdyby rzeczywiście była tylko chytrą spryciarą, to nie pozwoliłaby mężowi wymknąć się tak łatwo.

Zainteresowanie pani Angstrom tą dyskusją maleje; wie, że nacisnęła męża zbyt ostro; upiera się przy twierdzeniu - jakoby Janice panowała nad sytuacją - tak oczywiście fałszywym, że wypada ustąpić.

- Wcale nie dała mu się wymknąć - mówi - będzie go miała z powrotem, zobaczy pastor.

Eccles zwraca się do mężczyzny: jeśli przyzna rację żonie, będą wszyscy troje pogodzeni i będzie mógł odejść.

- Czy pan też sądzi, że Harry wróci?

- Nie - mówi Angstrom ze spuszczonym wzrokiem. - Nigdy. Za daleko za brnął.

Zacznie się staczać i stoczy się tak nisko, że lepiej będzie o nim zapomnieć. Gdyby miał dwadzieścia albo dwadzieścia jeden lat, ale w jego wieku... Widuje się czasami w drukarni tych młodych łobuzów z Brewer. Nie mogę wytrzymać. To wszystko kaleki, tyle że nie kuleją. Ludzkie śmiecie, tak się o nich mówi. A ja siedzę przy mojej maszynie i od dwóch miesięcy myślę, jak to się mogło stać, do diabła, z moim Harrym, który zawsze tak nienawidził awantur.

Eccles patrzy na matkę Harry'ego opartą o zlew: wstrząśnięty jest widokiem jej mokrych policzków błyszczących pod szkłem okularów. Wstaje głęboko poruszony. Czy ona płacze, ponieważ uważa, że jej mąż mówi prawdę, czy dlatego, że chce ją zranić, z zemsty za wymuszone wyznanie, że za nią latał?

166

- Mam nadzieję, że pan się myli - mówi Eccles. - Muszę już iść. Dziękuję obojemu państwu za omówienie ze mną tej sprawy. Wiem, jakie to bolesne.

Angstrom wie go przez cały dom i w ciemnej jadalni dotyka jego ramienia.

- On tak lubił spokój - mówi. - Nie znałem drugiego takiego chłopca. Każdą drakę w domu brał sobie do serca, ile razy ja i Mary przemówiliśmy się, pastor wie, jak to bywa. - Eccles kiwa głową, ale wątpi, czy określenie "przemówić się" odpowiada dokładnie temu, czego przed chwilą był świadkiem.

W ciemnościach jadalni stoi przed nimi dziewczyna w letniej sukience bez rękawów.

- Mim! Dawno już tu jesteś?

- Nie. Przyszłam przed chwilą.

- To jest wielebny ojciec... to znaczy pastor...

- Eccles.

- Eccles. Przyszedł pomówić o Harrym. Moja córka Miriam.

- Dobry wieczór. Miriam. Słyszałem, z jakim uczuciem Harry mówił o tobie.

- Cześć! - mówi Miriam.

Na dźwięk tego słowa duże okno pokoju za jej plecami nabiera intymnego lśnienia dużego okna w jakimś barze; za jej pobieżnym, poufałym pozdrowieniem zdają się snuć smugi dymu z papierosów, woń tanich perfum. Nos pani Angstrom ma w twarzy jej córki zarys delikatny, wyrazistą linię saraceńską albo jeszcze starszą, barbarzyńską. Z tym wydatnym nosem Miriam sprawia na pierwszy rzut oka wrażenie tak wysokiej jak matka, ale gdy ojciec staje obok niej, Eccles widzi, że ma jego wzrost; ich ciała - ciało młodej dziewczyny i znużonego mężczyzny - są takie same. Ta sama twardość stalowych ostrzy, które potrafią ciąć. Eccles widział, jak pod szklami pani Angstrom otwierały się rany. Odporność i do tego jakieś elastyczne prostactwo, które go razi. Tych dwoje da sobie radę. Wiedzą, co robią. On woii ludzi,

którzy nie wiedzą, co robią - to jego słabość. Bezradnych; tacy i ludzie wybitni są poza wszelką pomocą. Podczas gdy wszyscy inni uwijają się z mniejszym lub większym powodzeniem i kradną z dwóch końców - takich osądza zgodnie ze

167

swymi arystokratycznymi przesadami. Gdy cała trójka zderza się w drzwiach, Angstrom otacza ramieniem kibić córki, Eccles zaś myśli o pani Angstrom w kuchni - milczącej, z mokrymi policzkami i czerwonymi rękami, szarpiącej się na uwięzi. A jednak odwracając się na chodniku, by ruchem ręki pożegnać parę stojącą na progu, musi uśmiechnąć się na widok dziwacznej symetrii - arabski chłopiec z kolczykami w uszach niewinnie pogardzający jego chrześcijańską koloratką, i dziadziały stary zecer o zwierzęcej twarzy, oboje równie smukli, spleceni ramionami.

Eccles wsiada do samochodu, czując pragnienie i wewnętrzny niepokój. Coś przyjemnego zostało powiedziane w ciągu ostatniej półgodziny, ale nie może sobie przypomnieć, co to było. Czuje się cały podrapany, zgrzany, zdezorientowany i wyprany z jakichkolwiek uczuć; spędził popołudnie w gąszczu jeżyn. Widział się z półtuzinem osób, nie licząc psa, i żadna z wygłoszonych opinii nie zgadzała się z jego przekonaniem, że Harry Angstrom wart jest ocalenia i może być ocalony. Co więcej, wśród tych krzewów jeżyn Harry jakby w ogóle nie istniał: nic tylko zatechłe powietrze i zeschłe ubiegłoroczne zielsko. Poprzez białe popołudnie dzień chyli się ku długiemu, błękitnemu, wiosennemu wieczorowi. Eccles mija róg ulicy, gdzie w otwartym oknie pierwszego piętra ktoś ćwiczy na trąbce. Du du do do da da dee. Dee da da do do du... Samochody ze szmerem opon zdążają po pracy do domu. Eccles przejeżdża przez środek miasta, lawirując po przekątnych ulicach, by utrzymać kurs równoległy do dalekiego zbocza góry. Fritz Kruppenbach, od dwudziestu siedmiu lat luterański pastor w Sędziowskiej Górze, mieszka w wysokim murowanym domu niedaleko cmentarza. Na podeście leży częściowo rozebrany motocykl jego syna, ucznia college'u. Spadzisty trawnik, opadający kapryśnymi tarasami, ma nienaturalną bladość i gładkość rozlanego likieru miętowego, którą daje intensywne nawożenie, pielenie i koszenie. Pani Kruppenbach - czy Lucy dorobi się kiedykolwiek takich dołeczków na policzkach i tej potulności - podchodzi do drzwi w szarej sukni, która

nie zna kompromisów z porą roku. Głowę jej opasują upięte

168

warkocze, siwe i grube. Z rozpuszczonymi włosami musi wyglądać jak czarownica.

- Kosi trawę za domem - mówi do Ecclesa.

- Chciałbym z nim pomówić, kwestia paru minut, nie więcej. Sprawa dotyczy naszych dwóch parafii.

- Proszę na górę do jego pokoju, dobrze? A ja go zawołam.

Cały dom - przedpokój, hali, schody, nawet wyłożona skórą jaskinia pastora na piętrze - pachnie pieczenia wołową. Eccles siada przy oknie na ławce z dębowym oparciem, która zawędrowała tutaj z prezbiterium przy okazji jakiegoś remontu.

Siedząc w kościelnej ławce, czuje młodzieńczą pokusę modlitwy, lecz zamiast się modlić biegnie spojrzeniem poprzez dolinę ku zielonym fragmentom pola golfowego - chętnie by się tam znalazł razem z Harrym. Eccles ma innych partnerów, lepszych i gorszych od siebie, ale tylko Harry jest i lepszym, i gorszym jednocześnie, i tylko Harry wnosi do gry jakąś desperacką wesołość, jak gdyby obaj byli wysłani przez łaskawego, choć zupełnie pomyłonego pana na poszukiwanie czegoś nieosiągalnego i to szukanie upokarza ich niemal do łez, lecz zaczyna się na każdym etapie gry od nowa w powodzi świeżej zieleni. Kryje to w sobie dodatkowy cień nadziei - Eccles postanawia w duchu dać chłopcu porządne lanie. Czuje, że to, co Harry'emu odbiera pewność, zdolność powtarzania za każdym razem pięknego swobodnego uderzenia, tkwi u korzeni wszystkich problemów, które stwarza, i że jeśli on, Eccles, tego chłopca pobije w golfie, to tym samym przezwycięży jego słabość, tę jakąś niedomogę, i w ten sposób rozwiąże wszystkie problemy. Są chwile, kiedy poczucie wzajemnego zrozumienia budzi w pastorze nieopisaną radość, wprawia go w stan nieszkodliwej euforii; świat ze swoją złośliwą przypadkowością wydaje się wtedy daleki, okrągły i zielony.

Dom drży pod stopami pana. Kruppenbach idzie po schodach do swojej jaskini, zły, że przerwano mu koszenie trawy. Jest w starych czarnych spodniach i podkoszulku mokrym od potu. Jego ramiona porasta kudłate siwe runo.

- Jak się masz. Czek - mówi donośnie jak z ambony, bez cienia powitania w głosie.

Jego niemiecki

169

akcent nadaje słowom ciężar kamieni rzuconych ze złością, jeden po drugim, na stos.

- O co chodzi?

Trudno do starszego człowieka mówić "Fritz", więc Eccles śmieje się i rzuca w odpowiedzi:

- Witam!

Kruppenbach krzywi się. Ma dużą kwadratową głowę, włosy ostrzyżone przy skórze. To człowiek z cegły: mogłoby się zdawać, że przyszedł na świat jako niemowlę dosłownie ulepione z gliny, która wypalała się przez dziesiątki lat, aż zyskała barwę i twardość cegły. Powtarza:

- Co?

- Macie w parafii rodzinę o nazwisku Angstrom.

- Tak.

- Ojciec jest zecerem.

- Tak.

- Ich syn Harry opuścił swoją żonę jakieś dwa miesiące temu; jej rodzice, Springerowie, należą do mojego Kościoła.

- Tak, zgadza się. Ten chłopak to Schussel. Eccles nie wie dokładnie, co to znaczy.

Kruppenbach

nie siada prawdopodobnie dlatego, że nie chce zabrudzić mebli potem. To, że stoi, stawia Ecclesa w pozycji petenta czekającego w ławce, niczym chłopiec z chóru.

Woń pieczonego mięsa intensywnieje, w miarę jak Eccles wyjaśnia, co jego zdaniem zaszło, że Harry jest w pewnym sensie zepsuty swoimi sukcesami sportowymi, że jego żonie, prawdę mówiąc, brak fantazji w małżeńskim pożyciu, że on sam, jako pastor, próbował nakłonić Harry'ego do porozumienia z żoną, nie naciskając na przedwczesną zgodę i powrót do domu, gdyż problem tego chłopca to nie tyle brak uczucia, ile jego nie kontrolowany nadmiar, że rodzice - i jej, i jego - z różnych powodów niewiele tu pomagają, że przed kilku minutami był świadkiem kłótni u Angstromów, która być może tłumaczy, dlaczego ich syn... Tu Kruppenbach ma dość

słuchania.

- Czy ty myślisz - pyta - że to twoja rzecz wtrącać się do życia tych ludzi? Wiem, czego was teraz uczą po seminariach: całej tej psychologii i tak dalej. Aleja się z tym nie zgadzam. Uważasz, że twoje zadanie to być

170

bezpłatnym lekarzem, latać tu i tam, zatykać dziury, Majstrować. Ja tak nie uważam. Nie uważam, żeby to było zajęcie dla ciebie.

- Ja tylko...

- Nie, nie, pozwól mi skończyć. Mieszkam tutaj, w Sędziowskiej Górze, dwadzieścia siedem lat, a ty dwa lata. Słuchałem tej twojej opowieści, ale nie tego, co mówiła o ludziach, słuchałem tego, co powiedziała o tobie. I co usłyszałem: historię duchownego, który swoje powołanie sprzedaje za parę plotek i trochę golfa. Jak ty sobie wyobrażasz, czym jest w oczach Boga to, że jakiś infantylny małżonek porzuca jakąś infantylną żonę? Czy w ogóle zastanawiasz się jeszcze nad tym, co Pan Bóg widzi? Czy też jesteś ponad to?

- Nie, oczywiście, nie. Ale wydaje mi się, że nasza rola w podobnej sytuacji...

- Że rolą duchownego jest być policjantem, policjantem bez kajdanków, bez rewolweru, bez niczego prócz naszej poczciwej ludzkiej natury. Mam rację? Nie odpowiadaj, tylko zastanów się, czy nie mam racji. Powiem jedno: to jest pomysł szatana. Zawsze mówię, niech policja będzie policją i pilnuje swoich przepisów, które nie mają nic wspólnego z nami.

- Zgadzam się do pewnego stopnia...

- Tu nie ma "do pewnego stopnia"! Nie ma ani roztrząsania, ani miary tego, co musimy robić. - Jego gruby i włochaty pomiędzy kostkami palec wskazujący uderzeniem w oparcie skórzanego fotela zaczyna podkreślać każde słowo. - Jeśli Bóg chce położyć kres nieszczęściom, to obwieści swoje Królestwo teraz. - Jack czuje, że rumieniec zaczyna mu palić twarz. - Czym są twoi młodzi przyjaciele pośród tych bilionów, które Pan Bóg widzi? Na ulicach Bombaju ludzie umierają dziś co minutę. Mówisz: rola. A ja mówię, że nie wiesz, jaka jest twoja rola, bo inaczej siedziałbyś w domu pogrążony w modlitwie. Taka jest twoja rola: stać się samemu przykładem

wiary. Stamtąd przychodzi pocieszenie: z wiary, a nie z tych figli, do których ciało jest zdolne, póki człowiek pęta się po świecie i nie wyciągnie kopyt. Rzucasz się tu i tam, uciekając od obowiązku wyznaczonego przez Boga - czynić wiarę tak potężną, żeby - gdy

171

przyjdzie godzina - można było wyjść i powiedzieć: "Tak, on umarł, ale będziecie go oglądać w niebie. Tak, cierpicie, ale musicie kochać swój ból, ponieważ Chrystus też cierpiał." A zatem w niedzielę rano, kiedy stajemy przed ludźmi twarzą w twarz, nie możemy być wyczerpani nieszczęściem, musimy być pełni Chrystusa, rozpaleni - zaciska włochatą pięść - i płonący ogniem, musimy palić ich siłą swojej wiary. Po to przychodzą: za cóż innego by nam płacili? Wszystko inne, co moglibyśmy zrobić czy powiedzieć, może zrobić i powiedzieć każdy. Od tego mają swoich doktorów i prawników. Wszystko to jest zapisane w Biblii - złodziej pełen wiary wart jest wszystkich faryzeuszy. Nie popełniaj błędu. Teraz mówię serio. Nie błądź. Nie ma dla nas nic prócz Chrystusa. Cała reszta, cała ta przyzwoitość i pracowitość nic nie znaczą. To robota diabła.

- Fritz - z dołu dobiega ostrożny głos pani Kruppenbach - kolacja.

Mężczyzna w podkoszulku, czerwony, spogląda z góry na Ecclesa i pyta:

- Czy uklękiesz na chwilę wraz ze mną i pomodlisz się, aby Chrystus przyszedł do tego pokoju?

- Nie. Nie chcę. Jestem bardzo zły. Byłoby to obłudne z mojej strony.

Na tę odmowę - nie do pomyślenia ze strony osoby świeckiej - Kruppenbach nie mięknie, ale przycicha.

- Obłuda - mówi łagodnie. - Brakuje ci powagi. Czy nie wierzysz w potępienie? Czy wkładając tę koloratkę nie wiedziałeś, co ryzykujesz? - W jego twarzy jak cegła oczy są niby dwie małe skazy, różowe i zażawione od nadmiaru gorąca.

Kruppenbach odwraca się i nie czekając na odpowiedź schodzi po schodach na kolację. Jack idzie za nim, potem do drzwi i wychodzi na dwór. Serce mu bije jak u złajanego dziecka, kolana uginają się z wściekłości. Przyszedł, by wymienić informacje, a wychłostano go obłąkaną paplaniną. Stary choleryk, tęgi Szwab. Dla

niego kapłaństwo to nie jest dar oświecania ludzi, pewnie trafił do seminarium prosto ze sklepu rzeźniczego. Jack zdaje sobie sprawę, że opanowały go myśli złośliwe i niegodne, lecz nie może ich powstrzymać. Odczuwa

172

przygnębienie tak głębokie, że usiłuje je pogłębić powtarzaniem: On ma rację, on ma rację, by wywołać łzy i w ten absurdalny sposób oczyścić się ponad zielonym nieskazitelnym kręgiem kierownicy swego buicka. Ale nie może płakać; jest wyjałowiony z uczuć do cna. Wstyd i klęska ciąży mu dotkliwie, lecz bezowocnie. Wie, że w domu czeka na niego Lucy - jeżeli kolacja nie jest jeszcze gotowa, to zdążyłby wykąpać dzieci - zamiast tego jedzie do drugostoru w centrum miasta. Dziewczyna za kontuarem, ostrzyżona jak pudel, należy do jego Grupy Młodzieżowej, dwaj jego parafianie, kupujący lekarstwo czy środki antykoncepcyjne, czy Kleenex, pozdrawiają go wesoło. W gruncie rzeczy tutaj właśnie przychodzą po antidotum na swoje życie. Eccles jest tu u siebie, w miejscach publicznych czuje się najbardziej zadowolony. Opiera łokcie na czystym, zimnym marmurze i zamawia lody orzechowe polaną syropem klonowym i napój gazowany o smaku waniliowym, a zanim mu podadzą, wypija dwie szklanki do cocacoli pełne cudownie czystej wody. Klub "Kastaniety" został tak nazwany podczas wojny, w okresie powszechnej obsesji na temat Ameryki Południowej, i zajmuje trójkątny budynek tam, gdzie aleja Warrena przecina ulicę Biegnącego Konia pod kątem ostrym. Klub jest w południowej części miasta, włoskomurzyńskopolskiej, i wydaje się Królikowi bardzo podejrzany. Rząd okien jakby wyszczerzonych na frontowej ścianie z cegły nadaje mu wygląd jakiejś fortecy śmierci; wewnątrz jest utrzymane w stylu nowoczesnego zakładu pogrzebowego - dużo blichtru, boczne światło, tu i ówdzie doniczkowa zieleń, kojąco przytłumiona muzyka i taki sam jak w zakładzie pogrzebowym zapach wykładziny dywanowej, neonów, żaluzji i najintymniejszy - utajony zapaszek alkoholu. Chłoniesz to i jesteś jak zabalsamowany. Od czasu kiedy w zakładzie pogrzebowym, niedaleko od nich, na ulicy Jacksona, pomocnik właściciela straciwszy tę posadę został barmanem, Królik uważa obydwie profesje za spokrewnione; i przedsiębiorca pogrzebowy, i barman mówią cicho, wyglądają bardzo

czysto i zawsze widzi się ich na nogach. Królik i Ruth siedzą w boksie przy wejściu, gdzie sięga do nich przez okno słabe odbicie czerwonego szyldu - migoczą na nim zapalające się przemiennie dwie pary kastanietów imitując ich uderzenia.

W różowym drżącym świetle Ruth delikatnieje. Siedzi naprzeciw Królika. Królik próbuje wyobrazić sobie tryb życia, jaki prowadziła: coś tak niesamowitego jak ten bar jest dla niej na pewno miejscem przyjemnym i swojskim, jak dla niego klubowa szatnia. Ale już sama ta myśl wyprowadza go z równowagi: jej nieuporządkowane życie, podobnie jak istnienie jego rodziny, stara się zepchnąć w niepamięć. Dobrze mu było u niej nocami, dobrze z tym jej czytaniem kryminałów, bieganiem do delikatesów po piwo imbirowe, chodzeniem wieczorami do kina i nic ponadto.

Owego pierwszego wieczoru rzeczywiście pił daiquiri, ale od tego czasu nawet nie myślał o picciu i ufał, że z nią jest tak samo. I było przez jakiś czas, ale ostatnio czymś się gryzie; zrobiła się w łóżku ociążała i raz po raz patrzy na niego jak na świnię.

Czyżby coś robił teraz inaczej? Nie ma pojęcia, wie tylko, że zniknęło gdzieś uczucie spokoju. Pod wieczór zadzwoniła Margaret, jej tak zwana przyjaciółka. O mało nie umarł ze strachu na dźwięk dzwonka. Ostatnio wbił sobie do głowy, że to może być policja albo jego matka, albo ktoś taki; miał uczucie, że tam, za górą, na coś się zbiera. Kiedy sprowadził się do Ruth, telefon dzwonił parę razy i jakiś ochryply męski głos pytał: "Ruth?", albo po prostu wyłączał się, usłyszawszy Królika. Kiedy ją napastowano, Ruth z uporem powtarzała do słuchawki "nie", i to sprawę załatwiało.

Wiedziała, jak z nimi postępować, zresztą odezwało się ich w sumie tylko pięciu.

Przeszłość była jak winorośl wisząca tylko na tych pięciu pędach i oderwała się łatwo, a Ruth pozostała czysta i niebieska, i nietknięta. Ale dzisiejszego wieczoru wyłoniła się z tej przeszłości Margaret i chciała, żeby przyszli do "Kastanietów", i Ruth też tego chciała, więc poszli. Cokolwiek, byle coś nowego. Nudzi mu się.

- Czego się napijesz? - pyta.

- Może daiquiri?

- Na pewno? Jesteś pewna, że się nie pochorujesz? -

Zauważył, że czasami sprawia wrażenie, jakby miała mdłości i nic nie je, a czasami znów zjadłaby konia z kopytami.

- Nie, nie jestem pewna, ale co, do diabła, czy nie mogę dostać mdłości?

- Czemu nie? Każdy może.

- Wiesz co, przestańmy choć raz filozofować, dobrze? Zamów mi daiquiri.

Podchodzi do nich młoda Murzynka w pomarańczowej sukience firmowej, która - sądząc po falbankach - ma udawać strój południowoamerykański. Królik zamawia dwa daiquiri. Dziewczyna, zamknąwszy bloczek, odchodzi i Królik przygląda się jej plecom wydekoltowanym tak głęboko, że widać kawałek czarnego staniczka. W porównaniu z nim skóra dziewczyny wcale nie jest czarna, na jej gładkich plecach grają miękkie, fioletowe cienie tam, gdzie padnie światło. Idzie powoli, drobiaz jak gołąb, kołysząc pomarańczowymi falbankami. Nie zważa na niego: podoba mu się to, że nie zwraca na niego uwagi. Bo Ruth z jakiegoś powodu usiłuje ostatnio obudzić w nim poczucie winy.

- Na co tak patrzysz? - pyta.

- Na nic nie patrzę.

- Nie możesz jej mieć, Króliku, jesteś za biały.

- Powiedz, co cię dziś ugryzło? Ruth uśmiecha się wyzywająco.

- Jestem po prostu sobą.

- O Boże! Mam nadzieję, że nie.

Murzynka wraca i stawia pomiędzy nimi dwa koktajle. Siedzą w milczeniu. Drzwi za ich plecami otwierają się i razem z falą chłodu wchodzi Margaret. Na domiar złego jest z nią ktoś, kogo Królik wcale nie pragnie widzieć: Ronnie Harrison.

- Jak się masz - mówi Margaret do Królika. - Wciąż się tu kręcisz?

- Niech ja skonam. Przecież to nasz wielki Angstrom - mówi Harrison, jakby się starał we wszystkim zastąpić Tothera. - Słyszałem o tobie - dodaje oblesnie.

- Co słyszałeś?

- Och, to i owo.

Harrison nigdy nie należał do ulubieńców Królika i to

się nie zmieniło. W szatni gadał zawsze o pieprzeniu albo o trzepaniu kapucyna - miał owłosiony, okrągły jak garnek brzusek i ten gar mu teraz urósł. Harrison jest gruby. Gruby i na wpół łysy. Przerzedziły się zmierzwiłone włosy koloru miedzi i przy niektórych ruchach głowy widać skórę na czaszce. Ta prześwitująca przez włosy różowość napędza Królika niesmakiem podobnie jak ta jego jedyna nieskomplikowana myśl wyczuwalna we wszystkim, co mówi. Jednak Królik stara się okazać radość na jego widok, bo pamięta, jak kiedyś Harrison, pomimo utraty dwóch zębów od ciosu czyjegoś łokcia, powrócił na boisko. Kiedy grali, każdemu z nich pozostali czterej wydawali się najbliżsi w świecie.

Wydaje się to jednak przeszłością daleką i tym dalszą, im dłużej Harrison stoi z głupim uśmiechem na twarzy. Ma na sobie letni garnitur wąski w ramionach, uszyty z jakiejś imitacji lnu. Królika drażni ten sterczący mu nad uchem facet i jego szalowe ciuchy. Czuje się osaczony. Powstaje problem, kto gdzie usiądzie. On i Ruth zajęli miejsca naprzeciw siebie, i to był błąd. Harrison podejmuje decyzję i pochyla się, by usiąść obok Ruth, lekkim utykaniem zdradzając starą kontuzję od piłki nożnej.

Wszystko to Królik obsesyjnie notuje w pamięci. Harrison zepsuł efekt swojego garnituru w stylu ekskluzywnych uniwersytetów krawatem z czarnej wełny, jaki noszą makaroniarze. Kiedy otwiera usta, widać dwa sztuczne zęby różniące się od reszty.

- No i co tam słyhać u naszego starego mistrza? - pyta Harrison. - Mówią, że się urządziłeś.

Oczami zdradza, co ma na myśli, zerkając na Ruth, która siedzi jak kłoda, objawszy dłońmi kieliszek z koktajlem. Kostki palców ma czerwone od zmywania naczyń po Króliku. Kiedy podnosi kieliszek do ust, Królik widzi przez szkło rozmazany zarys jej brody.

- Raczej on mnie urządził - mówi Ruth, stawiając kieliszek na stół.

- On i kto jeszcze? - pyta Harrison.

Margaret wierci się przy boku Królika. W jakiś sposób przypomina mu Janice: postrzelona. Lewym kątem oka mają w polu widzenia, niby ciemną mokrą szmatę, która zagraża lewej połowie jego twarzy.

- Gdzie jest Tothero? - pyta dziewczynę.

- Kto taki?

Ruth chichocze, niech ją diabli. Harrison pochyla ku niej głowę, znów widać prześwitującą przez włosy różową skórę, i szeptem coś do ucha Ruth. Wargi jej składają się do uśmiechu; jest tak jak owego wieczoru w restauracji chińskiej, byle co jej się podoba, tyle tylko, że dziś jego miejsce zajął Harrison, a Królik siedzi naprzeciw nich obok dziewczyny, której nienawidzi. Jest przekonany, że Harrison szepnął coś na temat jego osoby, "starego mistrza". Od chwili, gdy są we czworo, stało się jasne, że będzie kozłem ofiarnym. Jak wtedy Tothero.

- Doskonale wiesz, kto - mówi do Margaret. - Tothero.

- Nasz stary trener - krzyczy Harrison i wyciąga przez stół łapę, żeby dotknąć czubków jego palców. - Człowiek, który dał nam nieśmiertelność!

Królik podkurcza palce, a bezczelny Harrison z zadowolonym uśmieszkiem cofa dłoń, przeciągając nimi po gładkiej powierzchni stolika.

- Chcesz powiedzieć: dał mnie - poprawia Królik. - Ty byłeś niczym.

- Niczym? To brzmi trochę surowo, mój stary. Cofnijmy się myślą w przeszłość.

Kogo wystawiał Tothero, kiedy chciał facetów pogonić? Kiedy trzeba było grać ostro, a ty się z nimi cackałeś. Kogo wybierał, kiedy trzeba było iść na całego? -

Harrison klepie się dłonią w pierś. - Byłeś za wielki, żeby sobie brudzić rączki. Nigdy nikomu nie dałeś w kość, prawda? W rugby też nie grałeś, nie poobijałeś sobie kolan, prawda? Nie, takie rzeczy to nie dla Harry'ego. On był zawsze ponad to. Jemu trzeba podać piłkę i patrzeć, jak wpada do kosza.

- I wpadała, zauważyłeś?

- Czasami, czasami, Harry. I nie krzyw nosa. Nie myśl, że my tu nie doceniamy twego talentu.

Z gestykulacji rąk, z tego, jak nimi macha, przecina powietrze, Królik wnosi, że Harrison musi dużo czasu spędzać na gadaniu przy stoliku. A jednak widać w nim jakiś lęk: to mnie się boi, myśli Królik, i traci zainteresowanie. Przychodzi kelnerka - Harrison zamawia bourbon z lodem dla siebie i Margaret i jeszcze raz daiquiri dla

Ruth. Królik odprowadza wzrokiem plecy kelnerki, jakby nic innego na świecie nie istniało, tylko ten mały trójkąt czarnego staniczka poniżej dwóch wypukłych, niebieskobrunatnych mięśni. Pragnie, żeby Ruth zauważyła, że on patrzy. Harrison traci swoje kupieckie opanowanie.

- Czy mówiłem ci, co mi kiedyś Tothero powiedział o tobie? Słuchasz mnie, mój asie?

- Co powiedział Tothero? - Boże, ten facet to stary nudziarz, a nie ma jeszcze trzydziestki.

- Powiedział do mnie tak: "Mówię ci w zaufaniu, Ronnie, ale polegam na tobie, że zagrzejesz drużynę. Harry nie uznaje gry zespołowej."

Królik spogląda z góry na Margaret, potem na Ruth i mówi do nich:

- A teraz opowiem wam, jak było naprawdę. Obecny tutaj kolega Harrison poszedł do Tothera i uderzył w te słowa: "Czy nie jestem prawdziwą duszą zespołu, niech pan powie, panie trenerze? Taką, co naprawdę dodaje ognia drużynie? Nie to, co ten wszawy zarozumialec Angstrom, no nie?" Tothero prawdopodobnie spał i nic nie odpowiedział, a Harrison do końca życia będzie myślał: "To ja jestem prawdziwym bohaterem, beze mnie nie ma gry". Bo w koszykówce, trzeba wam wiedzieć, kiedy się ma w drużynie taką offermę, która nic nie potrafi, to się o niej mówi, że "robi grę". Nie wiem doprawdy gdzie. Chyba w swojej sypialni.

Ruth wybucha śmiechem, Królik nie jest pewny, że tego sobie życzył.

- Nieprawda. - Wprawne dłonie Harrisona migają szybciej. - Powiedział to z własnej woli. Zresztą i bez tego wiedziałem. Wiedziała cała szkoła.

Czyżby? Królik nigdy nie słyszał o tym ani słowa.

- Boże - mówi Ruth - dość tej koszykówki. Ile razy wybiorę się gdzieś z tym draniem, o niczym innym się nie mówi.

Czyżby zobaczyła na jego twarzy zwątpienie? - myśli Królik - i powiedziała to, żeby mu dodać pewności? Czy jednak gdzieś w głębi serca żałuje go troszkę?

Harrison reflektuje się; za wiele było agresji w tej jego konferencyjnohandlowej uprzejmości. Wyjmuje papie-

rosa i zapalniczkę Ronsona w jaszczurczej skórcie. Wszyscy wbijają w niego spojrzenie jak dzieci w sztukmistrza, gdy jednym ruchem palca powołuje do życia kształtny płomień.

Królik odwraca się do Margaret. Jest w tym skręcie szyi coś, co działa na układ nerwowy i budzi pamięć, przypuszczenie, że w taki sposób zwracał się do niej przed milionem lat.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - mówi.

- Ojej, nie wiem przecież, gdzie on jest. Myślę, że poszedł do domu. Źle się czuł.

- Źle się czuł czy też... - Harrison porusza śmiesznie' ustami, uśmiecha się i jednocześnie wydyma wargi, jak gdyby z szacunkiem po raz pierwszy demonstrował swoim przyjaciołom z prowincji próbkę manhattańskiego dowcipu. Stuka się w czoło, żeby na pewno zrozumieli; Tu ma źle, tu, tu?

- Jedno i drugie - mówi Margaret.

Cień powagi przemyka przez jej twarz i zdaje się oddzielać ją i Harry'ego, który ten cień dostrzega, od innych i przenosi w ową dziwną przestrzeń sprzed miliona lat, z której przywędrował; przenika go dziwne poczucie winy, że jest tu, a nie tam, gdzie nigdy nie był. Ruth i Harrison po drugiej stronie stolika, muskani rytmicznie przerywanym czerwonym światłem, zdają się uśmiechać z samego dna potępienia.

- Droga Ruth - podejmuje Harrison - jak ci się powodzi? Często martwię się o ciebie.

- O mnie się nie martw - mówi Ruth, ale wydaje się zadowolona.

- Ciekaw jestem - ciągnie Harrison - jakie możliwości ma nasz wspólny przyjaciel, żeby utrzymać ciebie w takim stylu, do jakiego przywykłaś.

Murzynka przynosi zamówione koktajle i Harrison podsuwa jej chełpliwie - niby jakieś odznaczenie - swojego Ronsona w jaszczurczej skórcie.

- Prawdziwa skóra.

- Hmmmm - mruczy dziewczyna gardłowym głosem - pańska własna?

Królik śmieje się. Podoba mu się ta kobieta. Gdy kelnerka odchodzi, Harrison wychyla się w jego

stronę ze słodziutkim uśmiechem, jak do dziecka, i pyta:

- Czy wiedziałaś, że Ruth i ja wybraliśmy się kiedyś do Atlantic City?
- Była z nami jeszcze jedna para - wtrąca Ruth.
- Ohydna - stwierdza Harrison - woleli nędzne zacisze swego bungalowu niż złoty blask słońca na dworze. Samiec tej pary zwierzył mi się później ze źle ukrywaną dumą, że doznał orgazmu jedenaście razy w czasie, o wiele za krótkim, trzydziestu sześciu godzin.

Margaret śmieje się.

- Słowo daję, Ronnie, jak człowiek cię słucha, to czasem myśli, że skończyłeś Harvard.
- Princeton - poprawia Harrison. - Chcę robić wrażenie, że studiowałem w Princeton. Harvard jest w tej okolicy podejrzany.

Królik spogląda na Ruth i widzi, że pije drugi kieliszek daiquiri, pierwszy już załatwiła.

- Okropne - mówi Ruth z chichotem - że robili to w samochodzie. Biedny Ronnie flaki z siebie wypruwał, żeby się przedrzeć przez niedzielny tłok na szosie, a kiedy stanęliśmy pod światłami i obejrzałem się do tyłu, to Betsy miała sukienkę zadartą aż po szyję.

- Nie prowadziłem przez całą drogę - przypomina jej Harrison - pamiętasz? W końcu zmusiliśmy go, żeby usiadł za kierownicą - i oczekując potwierdzenia, pochyla ku niej głowę i błyska łysiną.

- Tak - Ruth patrzy w swój kieliszek i znowu chichocze, być może na myśl o nagiej Betsy.

Harrison z uwagą śledzi efekt swoich słów na Króliku.

- Ten facet - mówi gładkim, spokojnym głosem kupca, który proponuje transakcję - miał interesującą teorię. Uważał - ręka Harrisona zaciska się w powietrzu - że w decydującym momencie... jak by tu powiedzieć, no wiecie, trzeba uderzyć partnerkę z całej siły w twarz. Jeśli ci twoja pozycja pozwoli. W przeciwnym razie, bij, gdzie popadnie.

Królik mruga oczami; doprawdy nie wiadomo, co robić z tym okropnym facetem. I

właśnie w tym momencie, kiedy mrugnął, a pod zębami poczuł działanie alkoholu, wie, że mu przeszło. Wybuchą śmiechem, śmieje się szczerze. Ma ich wszystkich gdzieś. 180

- No dobrze, a gryźć? Co myślał o tym? Uśmiech mówiący: "Nie dam się nabrać, kochasiu",

zamiera na ustach Harrisona - za słaby ma refleks, nie nadaża.

- Gryźć? Nie wiem.

- Widocznie się nie zastanawiał. Ugryźć mocno, porządnie, aż do krwi - nie ma nic lepszego. Oczywiście tobie nie może się to udać z tymi dwoma sztucznymi zębami.

- Masz sztuczne zęby, Ronnie? - woła Margaret. - A to sensacja! Nigdy nie mówiłeś.

- No pewnie, że ma - mówi Królik. - Chyba nie przypuszczasz, że te dwa klawisze na przodzie to jego własne? Daleko im do prawdziwych.

Harrison zaciska wargi, lecz nie może zrezygnować z uśmiechu - wymuszony grymas deformuje mu twarz. Uniemożliwia również mówienie.

" - Było takie jedno miejsce w Teksasie, gdzie czasem zaglądaliśmy - podejmuje Królik - i jedna taka dziewczyna dawała tyłek do gryzienia tyle razy, że wyglądał jak kawałek starej tektury, takiej, wiecie, co długo leży na deszczu. Poza tym nic więcej nie robiła. Była nawet dziewicą. - Obejmuje spojrzeniem swoich słuchaczy. Ruth potrząsa głową - szybkim, ledwie dostrzegalnym ruchem jakby chciała powiedzieć: "Nie, Króliku", i jest w tym smutek, tak ogromny smutek, że czuje się cały zasypany pyłem, który dusi.

- To tak - mówi Harrison -jak z tą kurwą, która miała największą... och, ale nie wiem, czy chcecie usłyszeć tę historię?

- Chcemy. Wal śmiało - zachęca Ruth.

- No więc ten facet kończył, rozumiecie, i nagle gubi swoją... hm... prezerwatywę. - W migotliwym świetle twarz Harrisona zdaje się podskakiwać. Ręce jego zaczynają wyjaśniać sytuację. Królik myśli, że biedak musi chyba z pięć razy dziennie zachwalać swój towar. Zastanawia się, czym on właściwie handluje, chyba raczej jakieś pomysły, coś bliżej nie określonego, nie to co "Magik", fenomenalny obieracz do jarzyn - ... aż sięga ręką do łokcia, do ramienia, potem wtyka tam głowę, grzbiet,

zaczyna czołgać się w tym tunelu na kolanach... -

181

Dobry, stary "Magik", myśli Królik, czuje w dłoni rączkę tej maszynki. Rączkę produkowaną w trzech kolorach, które firma nazwała turkusowym, szkarłatnym i złotym. Śmieszne to, ale prawdziwe - ta strugarka naprawdę robiła to, co twierdziły reklamy, obierała rzepę, marchew, ziemniaki, rzodkiewki, szybko, dokładnie. Miała coś w rodzaju długiej tulejki z brzegami ostrymi jak brzytwa, - ...spotyka drugiego faceta i pyta: "Cześć! Nie widział pan..." - Ruth siedzi obok Harrisona zrezygnowana i Królik myśli z przerażeniem, że jest jej wszystko jedno, nie widzi żadnej różnicy pomiędzy nim i Harrisonem, ale czy-na dobrą sprawę -jest jakaś różnica? Całe wnętrze lokalu jawi mu się zamazane i podczerwienione jak wnętrze jakiegoś żołądka, który ich wszystkich przetrawia. - ...i ten drugi mówi: "Do cholery z prezerwatywą, ja już trzy tygodnie szukam tu mojego motocykl a!" Zamiast śmiechu, na który był przygotowany, Harrison napotyka ogólne milczenie. Kawał mu się nie udał.

- Za bardzo wymyślone - zauważa Margaret. Królik czuje, że ubranie lepi mu się do ciała i powiew

powietrza z drzwi, które otwarto za jego plecami, ogarnia go chłodem.

- Spójrz - mówi Harrison - czy to nie twoja siostra?

Ruth zerka sponad kieliszka.

- Czyżby? - Królik nie reaguje i Ruth mówi: - "Mają ten sam koński wygląd.

Królikowi wystarcza jedno spojrzenie. Na szczęście Miriam i jej eskorta, przekroczywszy próg, mijają ich stolik i przystają, szukając wzrokiem wolnego boksu. Lokal ma kształt trójkątny i od wejścia rozszerza się na boki. W środku jest bar, z dwóch stron biegną dwa rzędy boksów. Młoda para kieruje się do przeciwnego rzędu. Mim jest w błyszczących białych pantofelkach na bardzo wysokich obcasach. Jej chłopiec ma kędzierzawą jasną czuprynę, dostatecznie długą, by dała się uczesać, i ten rodzaj gładkiej opalenizny jaką mają latem ci, co się bawią, a nie ci, co pracują na powietrzu.

- Czy to twoja siostra? - pyta Margaret. -Przystojna. Musi być podobna do matki, a ty

do ojca, albo odwrotnie.

182

- A skąd ty ją znasz? - pyta Królik Harrisona.

- Och... - Harrison robi nieokreślony ruch ręką, jakby się czubkami palców przejechał po czymś tłustym w powietrzu. - Kręci się tu i tam.

W pierwszym odruchu Królik sztywnieje, lecz potem uwaga Harrisona, że Mim to dziewczyna, która włóczy się po lokalach, każe mu wstać, przemierzyć pomarańczową posadzkę i obejść bar.

- Mim.

- O, jak się masz!

- Co tu robisz?

Mim zwraca się do swojego chłopaka:

- To mój brat. Zmartwychwstał z grobu.

- Cześć, wielki bracie!

Królikowi wcale się to odezwanie nie podoba ani to, że chłopak siedzi w głębi boksu, a dziewczynie zostawił miejsce na skraju, przeznaczone dla mężczyzny. W ogóle wszystko mu się nie podoba. Mim robi z niego przedstawienie. Smarkacz ma na sobie blezer z kory i wąski krawat - wygląda w tym jak błazen, jednocześnie za młodo i za staro. Stanowczo za grube usta. Mim nie przedstawia go.

- Harry, tata i mama kłócą się o ciebie bez przerwy.

- Gdyby wiedzieli, że jesteś w tej speluncie, to mówiliby o czymś innym.

- Jak na tę dzielnicę wcale tu nie jest źle.

- Tu cuchnie. Może byście poszli stąd, ty i ten chłopaczek.

- No, no, kto tu rządzi? - Chłopiec unosi ramiona i wydyma grube wargi.

Harry nachyla się i zagiętym palcem wyszarpuje jego pasiasty krawat. Krawat leci w górę, uderza w odęte usta i cała twarz tego eleganta traci wyraz zadufania. Chłopak próbuje wstać, ale Królik kładzie mu dłoń na starannie przystrzyżonej fryzurze, naciskając głowę sadza go z powrotem na miejscu i odchodzi; w czubkach palców wciąż czuje twardość chłopięcej, wąskiej czaszki.

- Harry - woła za nim półgłosem Mim.

Ma dobry słuch i okrażając bar łowi stłumione przez tchórzostwo słowa tego uczniaka':

- On się w tobie kocha.

183

Królik mówi do swego stolika:

- Idziemy, Ruth. Wsiadaj na swój motocykl. Ruth protestuje:

- Tak mi dobrze.

- Idziemy.

Ruth zaczyna zbierać rzeczy i Harrison, rozejrzawszy się niepewnie, wychodzi z boksu, żeby ją przepuścić. Ronnie stoi obok Królika i Królik odruchowo kładzie dłoń na jego - przez snobizm - nie wywatowane ramię. Woli go od tego smarkacza, z którym przyszła Mim.

- Masz rację, Ronnie - mówi. - To prawda, że to ty robiłeś grę. - Paskudnie to zabrzmiało, ale intencje miał dobre przez pamięć na ich starą drużynę.

Harrison, nie dość bystry, by odczuć szczerłość tych słów, odtrąca jego dłoń i mówi:

- Kiedy ty nareszcie wydoroslejesz?- Opowiedzenie tej plugawej historyjki wytrąciło go z równowagi.

Na dworze, na nagranych słońcem stopniach lokalu, Królik wybuchą śmiechem.

- Szukam mojego motocykla! Cha, cha, cha! Ruth nie jest w nastroju do żartów.

- Wiesz, że ty naprawdę jesteś stuknięty! Złości go, że ta tępa dziewczyna nie rozumie, jak

szczerze jest mu przykro. Zły jest o to jej "nie" i o ten ruch głowy, kiedy usiłował zamknąć usta Harrisonowi; powraca myślą do tej chwili i za każdym razem potyka się o nią jak o sterczący z wody pniak. Złości go tyle rzeczy, że nie wie, od czego zacząć; jedno jest pewne - robi jej piekło.

- A więc z tym draniem byłaś w Atlantic City.

- Dlaczego nazywasz go draniem?

- Och. On nie jest draniem, a ja jestem.

- Tego nie powiedziałam.

- Owszem, powiedziałaś. Tam, przy stoliku.

- To tylko tak... Z czułości. Chociaż nie wiem dlaczego.
- Nie wiesz.
- Nie, nie wiem. Zobaczyłeś, że twoja siostra przyszła tutaj ze swoim chłopcem, i zaraz trafił cię szlag.
- Widziałas tego gogusia?
- Czego od niego chcesz? - pyta Ruth. - Wyglądał przyzwoicie.

184

- Dla ciebie prawie każdy wygląda przyzwoicie.
- Nie rozumiem, dlaczego czepiasz się każdego, jakbyś był wszechmocnym sędzią.
- Owszem, moja pani. Dla ciebie byle mała wygląda przyzwoicie.

Idą ulicą Warrena. Mieszkają siedem przecznic dalej. Przed domem siedzą ludzie - powietrze już prawie letnie - i rozmowa staje się w pewnym sensie publiczna, usiłują więc zniżyć głos.

- Mój Boże, jeżeli widok twojej siostry tak cię wkurza, to cieszę się, że nie jesteśmy małżeństwem.
- A kto o tym mówił?
- O czym mówił?
- O małżeństwie.
- Ty. Nie pamiętasz? Pierwszej nocy gadałeś o tym bez przerwy i całowałeś mój palec, ten, na którym nosi się obrączkę.
- To była dobra noc.
- No to w porządku.
- Wcale nie w porządku. - Królik czuje, że wpakował się w sytuację, w której awantura będzie oznaczać ostateczne rozstanie, wymazanie z pamięci tego, co było przyjemne. Ale to jej wina, to ona zabrała go do tej śmierdzącej speluny.
- Dawałaś dupy Harrisonowi?
- Chyba tak.
- Chyba? Nie wiesz na pewno?
- Powiedziałam: tak.
- Ilu ich jeszcze było?

- Nie wiem.
- Stu?
- Takie pytanie nie ma sensu.
- Dlaczego nie ma sensu?
- Bo to jest to samo, jakbyś pytał, ile razy byłam w kinie.
- Czy dla ciebie jedno i drugie to samo znaczy?
- Nie, nie to samo. Ale nie rozumiem, po co liczyć? Wiedziałeś, czym byłam.
- Nie jestem pewien, czy wiedziałem. Byłaś prawdziwą kurwą?
- Brałam pieniądze. Powiedziałam ci. Miałam chłop-

185

ców, kiedy pracowałam w biurze, a oni mieli przyjaciół, i może przez to, że ludzie zaczęli gadać, straciłam posadę, zresztą nie wiem, starsi faceci też mieli mój telefon, pewnie od Margaret, tak przypuszczam. Słuchaj. To się skończyło. Jeżeli ci chodzi o te plugastwa... o rozpustę, to wiele mężatek musi robić to częściej, niż ja musiałam.

- Czy pozowałaś do zdjęć?
- Myślisz o takich dla licealistów? Nie.
- Czy robiłaś chłopom minetę?
- Słuchaj no, może lepiej powiedzmy sobie: "Żegnaj, kotku." - Na tę myśl broda jej drży, oczy pieką i za bardzo go nienawidzi, żeby myśleć o zwierzeniu mu swojej tajemnicy. To, co nosi w sobie, zdaje się nie mieć żadnego związku z nim, z tym dużym mężczyzną, idącym obok niej długim krokiem, w świetle ulicznych lamp, głodnym jak duch, spragnionym słów, którego podnieca. Z mężczyznami tak zawsze
- ważne jest dla nich gadanie. Królik wydaje się jej taki sam jak inni, z pewną różnicą: bezwiednie przywiązał ją do siebie i teraz nie może się od niego oderwać. Z upokarzającą wdzięcznością przyjmuje jego:
- Nie, nie chcę powiedzieć: "Żegnaj, kotku." Chcę, żebyś odpowiedziała na moje pytanie.
- Odpowiedź na twoje pytanie jest: tak.
- Harrison?
- Dlaczego właśnie tak się nim interesujesz?

- Bo cuchnie. A jeżeli Harrison znaczy dla ciebie tyle samo co ja, to znaczy, że i ja cuchnę.

W tym momencie obaj są dla niej tacy sami - wolałaby nawet Harrisona, po prostu dla odmiany, po prostu dlatego, że Harrison nie twierdzi, że jest najważniejszy na świecie. Jednakże .odpowiadając Królikowi kłamie:

- Wcale nie jesteś taki sam. Znacznie nad nim górujesz.

- Dość głupio się czułem, kiedy siedziałem naprzeciw was w tym lokalu. Powiedz mi dokładnie, co z nim robiłaś?

- Och, daj spokój! Co się robi? Kocha. Człowiek próbuje się zbliżyć do drugiego człowieka.

- No dobrze, ale powiedz, czy zrobiłabyś to samo ze mną co z nim?

186

Dziwne, jak te słowa ją rażą; skóra na niej cierpnie i całe ciało się kurczy, obolałe.

- Jak sobie życzysz. - Kiedy się było żoną, to w skórze dziwki jest już za ciasno.

Ucieszył się jak mały chłopiec: błyska zębami w uśmiechu.

- Tylko raz - obiecuje - słowo daję. Nigdy więcej nie poproszę cię o to. - Usiłuje objąć ją ramieniem, ale Ruth wymyka mu się. Jedyna jej nadzieja, że nie o tym samym mówią.

W domu Królik pyta żałośnie:

- Zrobisz to?

Uderza ją bezradność w jego postawie; jej oczom, nieprzywykłym do panującej w mieszkaniu ciemności, Królik wydaje się ubranie, wiszącym na wieszaku z szeroką białą twarzą.

- Czy jesteś pewien, że mówimy o tym samym? - pyta Ruth.

- A ty myślisz, że o czym? - Rozgrymaszony, nie ma ochoty na formułowanie słów.

Więc ona mówi.

- Zgadza się - odpowiada Królik.

- Na zimno. Tego chcesz.

- Aha. Czy to dla ciebie takie okropne? Ośmielają ten przebłysk dawnej delikatności Królika.

- Czy mogę zapytać, co takiego zrobiłam?
- Nie podobało mi się twoje zachowanie dziś wieczorem.
- Jakie?
- Dawnej ciebie.
- Nienaumyślnie.
- Mimo to. Taką cię widziałem dziś i czułem jakiś mur pomiędzy nami; a to jest jedyny sposób, żeby się przez ten mur przebić.
- Milutki jesteś. Po prostu masz na to ochotę. - Najchętniej wygarnęłaby mu wszystko i powiedziała, żeby sobie poszedł. Ale już nie teraz.

On powtarza pytanie:

- Czy to dla ciebie takie okropne?
- Jest okropne, ponieważ ty uważasz to za okropne.
- Może nie uważam.

187

- Słuchaj. Kochałam ciebie.
- A ja ciebie kochałem.
- A teraz?
- Nie wiem. Ale wciąż chcę.

I znów te przekłete łzy. Ruth usiłuje wyrzucić z siebie słowa, zanim głos jej się załamie.

- To ładnie z twojej strony. To prawdziwe bohaterstwo.
- Nie bądź taka dowcipna. Posłuchaj. Dzisiaj wieczorem byłaś przeciwko mnie. Chcę cię widzieć na kolanach.
- Tylko tyle...
- Nie, nie tylko.

Dwa duże koktajle, które wypila, zawiodły; spać jej się chce, w ustach robi się kwaśno. W głębi serca pragnie go zatrzymać i zastanawia się, czy go tym nie wystraszy? Czy siebie w jego sercu nie zabije?

- Jeżeli to zrobię, to na dowód czego?
- Na dowód tego, że jesteś moja.

- Mam się rozebrać.

- No pewnie. - Królik szybko zrzuci z siebie ubranie i staje pod pustą ścianą w całej krasie swego ciała. Pochyliła się niezdarnie, wyciąga rękę i nie wiedząc, co z nią zrobić, zaczepia ją o drugie ramię. W swojej nieśmiałej postawie uskrzydłonej napięciem podobny jest do anioła czekającego na jakieś słowo. Ruth, zsuwając z siebie resztę ubrania, czuje chłód własnych rąk przy zetknięciu z ciałem. Od miesiąca wciąż czuje zimno, może gorączkuje, kto wie? W rzedającym mroku on lekko się przysuwa, ona zamyka oczy i mówi sobie: to wcale nie jest takie brzydkie. Nie jest. Pani Springer zadzwoniła na probostwo parę minut po ósmej. Pani Eccles powiedziała jej, że nie wie, kiedy Jack wróci, bo zawiózł swoją drużynę baseballową na mecz, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od miasta. Wyczuwając w głosie pani Springer panikę, Lucy spędziła prawie dwie godziny na telefonowaniu w różne miejsca, żeby znaleźć męża. Zrobiło się ciemno. Wreszcie dodzwoniła się do pastora, z którego drużyną grali i ten powiedział jej,

188

że mecz skończył się przed godziną. Na dworze mrok zgęstniał. Okno, na którego parapecie stał telefon, jakby zamazane woskiem zamieniło się w lustro; widziała w nim siebie z włosami w nieładzie, wychylającą się z jego ram to do książki telefonicznej, to do telefonu. Joyce, słysząc nieustanne nakręcanie numeru, zeszła na dół i przyłgnęła do matki. Lucy trzykrotnie zanosila ją na górę do łóżka, a dziecko dwa razy schodziło i tuliło wilgotny ciężar swego ciała do nóg matki w pełnym lęku milczeniu. Cały dom, pokój za pokojem, wokół małej wysepki światła i telefonu, napelniał się grozą i kiedy Joyce za trzecim razem została w łóżeczku i nie zjawila się na dole, Lucy poczuła się winna, a jednocześnie opuszczona, jak gdyby swego jedyne go sprzymierzeńca sprzedala wrogom. Połączyła się kolejno ze wszystkimi parafianami, którzy ostatnio mieli sprawy do jej męża i których mogła sobie przypomnieć, dzwoniła do członków rady parafialnej, sekretarki, trzech wiceprezesów Towarzystwa Dobroczynnego, starego głuchego zakrystiana Henry'ego i nawet do organisty, nauczyciela gry na fortepianie mieszkającego w Brewer. Mniejsza wskazówka zegara minęła dziesiątą; sytuacja staje się kłopotliwa. Można

by pomyśleć, że mąż ją rzucił. I rzeczywiście napełnia ją lękiem fakt, że go nigdzie niema. Robi sobie kawę i cicho popłakuje w kuchni. Jak mogła się tak urządzić? Co ją znęciło? Jego wesołość, zawsze był taki wesoły. Kto pomyślał, znając go w seminarium, że kiedyś będzie się tym wszystkim tak przejmował. To, że on i jego przyjaciele przesiadywali w starych, pełnych przeciągów salach z rzędami okazałych, niebiesko oprawnych dzieł teologicznych, zakrawało na jakiś pierwszorzędny żart. Pamięta, jak grała z nimi w piłkę - Ahanazjanie przeciw Arianom. Teraz już nigdy nie widzi jego wesołości, zużył ją całą dla innych, dla ponurej, szarej, nieprzystępnej parafii, jej wroga. Och, jakże ich wszystkich nienawidziła, tych namolnych, dziwacznych, płaczliwych wdów i młodych bigotów; jedna dobra rzecz -jeśli przyjdą tu Rosjanie- to to, że zrobią koniec z religią. Trzeba było to zrobić sto lat temu. Kto wie zresztą, może potrzebna jest naszym umysłom, lecz niech inni się tym zajmują. Jack jako pastor jest taki

189

ponury. Czasem Lucy współczuje mu i nagle przychodzi taka właśnie chwila. Gdy wreszcie Eccles wraca do domu za kwadrans jedenasta, okazuje się, że siedział z młodzieżą w drugistorze i gawędził. Smarkacze zwierniają mu się ze wszystkiego, a palą przy tym jak lokomotywy, Eccles wraca idiotycznie podniecony sprawą: "na ile" można sobie "pozwolić" z dziewczyną, by nie obrazić Jezusa.

Eccles od razu widzi, że żona jest wściekła. Zbyt dobrze bawił się w drugistorze. Kocha tych smarkaczy, wiara jest dla nich czymś tak oczywistym, a taka jest powierzchowna.

Lucy komunikuje mu wiadomość jako wystarczającą nagane, lecz nagana trafiła w próżnię; Eccles niewiele się przejmując tym, że w konsekwencji żona spędziła okropny wieczór, biegnie do telefonu.

Wyjmuje portfel i pomiędzy prawem jazdy a legitymacją biblioteki publicznej znajduje zapisany numer telefonu, klucz, który można obrócić w zamku tylko jeden raz. Zastanawia się wykręcając numer, czy klucz pasuje, czy też może on sam był durniem, gdy cały ciężar sprawy zawierzył słowu młodszej pani Fosnacht, kryjącej się za lustrzanym, łamliwym, pustym szkłem słonecznych okularów. Odległy dźwięk

telefonu słycać raz po Faz: jest tak, jakby elektryczność, ta zdumiewająco wytresowana mysz, przebiegła całe kilometry po drucie po to, by na końcu nie móc się przegryźć przez metalową płytkę. Eccles modli się, ale jest to zła modlitwa, wąpiąca modlitwa; nie udaje mu się wynieść Boga ponad złożoność elektryczności - musi jej przyznać niezbywalne prawa. Straciwszy nadzieję, wisi przy telefonie siłą inercji, gdy wtem dokuczliwe dzwonienie milknie, ktoś unosi metalową klapkę. Do ucha Ecclesa dociera po drucie wrażenie światła i powietrza, otwartej przestrzeni.

- Halo! - Głos mężczyzny, ale nie Harry'ego. Brzmi ospalej i brutalniej niż głos jego przyjaciela.

- Czy zastałem Harry'ego Angstroma? - Słoneczne okulary drwią sobie z jego przygnębienia. Pomylił numer.

- Kto mówi?

- Nazywam się Jack Eccles.

- O, dzień dobry.

190

- Czy to ty, Harry? Nie poznałem. Spałeś?

- Tak jakby.

- Harry, twoja żona zaczęła rodzić. Jej matka dzwoniła około ósmej, ale ja dopiero teraz wróciłem do domu. - Eccles zamyka oczy i czuje, że w ciemnej, tętniącej ciszy sama istota jego kapłaństwa zostaje poddana osądowi.

- No tak - rzuca ten drugi w dalekim kącie ciemności. - Pewnie powinienem do niej pójść.

- Bardzo bym tego chciał.

- Wypadaloby. Moje dziecko. To też powód.

- Otóż to. Spotkamy się na miejscu. U Świętego Józefa w Brewer. Wiesz, gdzie to jest?

- Oczywiście. Stąd dziesięć minut na piechotę.

- Może chcesz, żebym po ciebie podjechał?

- Nie. Pójdę pieszo.

- W porządku. Jak sobie życzysz. Harry?

- Słucham?

- Jestem z Ciebie bardzo dumny.

- Dobra. Dobra. Zobaczymy się.

Mogło się zdawać, że Eccles dotarł do niego gdzieś spod ziemi, tak pusto i grobowo brzmiał jego głos. Sypialnia Ruth tonie w półmroku. Uliczna lampa jak niski księżyc wypala cienie w wewnętrznych płaszczyznach fotela, w łóżku z jego ciężarem, w fałdach zmiętego prześcieradła, które odrzucił na bok, gdy zdał sobie sprawę, że telefon nigdy nie przestanie dzwonić. W różowym oknie kościoła po drugiej stronie ulicy wciąż się świeci: gra fiolet, czerwień, błękit, złoto - Królik czuje drżenie w całym układzie nerwów i kości, jakby na srebrzystej skórze dzwoniły od góry do dołu małe dzwoneczki. Zastanawia się, czy spał jak długo, dziesięć minut czy pięć godzin. Znajduje swoją bieliznę i spodnie rzucone na krzesło i zaczyna się ubierać; drżą mu nie tylko palce, lecz nawet to, co widzi w połyskliwym mroku. Biała koszula zdaje się czołgać jak stado świetlików w trawie. Przez sekundę Królik waha się, wzbrania się przed wsunięciem palców w to gniazdo, które pod dotykiem zamienia się w nieszkodliwe odzienie, martwe. Trzymając je w rękę, podchodzi do smutnego łóżka.

- Hej, mała.

Wydłużony kształt pod kocem nie odpowiada. Widać

191

tylko czubek głowy Ruth zanurzonej w poduszkę. Nie wydaje mu się, żeby spała.

- Hej. Muszę wyjść.

Żadnej odpowiedzi. Jeżeli nie śpi, to musiała słyszeć wszystko, co mówił do telefonu, ale co takiego właściwie powiedział? Nic nie pamięta prócz uczucia, że znalazł się w matni. Ruth leży ciężko i milczy, ciało ma schowane pod kocem. Noc jest dość ciepła i wystarczyłoby prześcieradło, ale ona przykryła się kocem mówiąc, że jest jej zimno. Prawie nic więcej nie powiedziała. Nie powinien był kazać jej tego robić. Sam nie wie, dlaczego tak postąpił - wydawało mu się słuszne w tym momencie. Myślał, że może ona to lubi albo przynajmniej lubi upokorzenie. Jeżeli nie chciała, jeżeli od takich rzeczy dostaje mdłości, to dlaczego nie odmówiła, na co zresztą trochę liczył. Najpierw głaskał jej policzki czubkami palców. Przez cały czas pragnął podnieść ją i

przycisnąć do siebie z prostej wdzięczności i powiedzieć: Dość tego, jesteś znowu moja, ale jakoś nie mógł się przemóc i tylko myślał, zaraz to zrobię, aż było za późno, po wszystkim. A razem z tym natychmiast odpłynęło to dziwne uczucie szczególnej dumy. Wkroczył wstyd.

- Moja żona rodzi. Muszę iść dopilnować wszystkiego. Wrócę za parę godzin. Kocham cię.

A to ciało wciąż leży bez ruchu i wijący się pukiel włosów nad rąbkiem koca nawet nie drgnie. Ona nie śpi, jest o tym tak przekonany, że myśli: Zabiłem ją. Śmieszne, taka rzecz nie może jej zabić, to nie ma nic wspólnego ze śmiercią. Ale myśl ta nie pozwala mu podejść bliżej, dotknąć jej i zmusić do wysłuchania.

- Ruth, muszę natychmiast iść, ona rodzi moje dziecko, a to taka idiotka, że beze mnie sobie nie poradzi. Z pierwszym dzieckiem poszło bardzo ciężko. Przynajmniej tyle jestem jej winien.

Może w nie najlepszy sposób zawiadamiają o wszystkim, ale próbuje wytłumaczyć, a jej bezruch i milczenie napęnia go lękiem i zaczyna drażnić.

- Ruth! Słuchaj! Jeżeli nie odezwiesz się, to nie wrócę. Ruth!

Leży na łóżku niby jakieś martwe zwierzę albo ktoś

192

przejechany przez samochód i nakryty plandeką. Królik czuje, że gdyby podszedł i uniósł ją, wróciłyby do życia, ale nie lubi być ofiarą manipulacji i wpada w złość.

Wkłada koszulę, nie zaprzęta sobie głowy marynarką i krawatem, za to wciąga skarpetki, co zdaje się trwać bez końca; podeszwy stóp ma lepkie.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, smak morskiej wody w ustach zabija gęsta fala żalu podchodząca pod gardło tak wysoko, że Ruth musi usiąść, by zaczerpnąć oddechu.

Łzy ciekną z jej nic nie widzących oczu i zaprawiają solą kąciki ust, w miarę jak pustka pokoju najpierw staje się realna, następnie zaczyna przygniatać. Jest tak jak kiedy miała czternaście lat i cały świat byłby w porządku drzewa słońce gwiazdy gdyby tylko mogła zrzucić dziesięć kilo tylko dziesięć kilo czy zrobiłoby to różnicę Panu Bogu który ukształtował każdy kwiat na polach? Tylko że teraz wcale nie prosi bo teraz wie że to przesąd wszystko czego pragnęła miała tu przed minutą - j e g o w

tym pokoju tego który kiedy był dobry potrafił zamienić ją w jakiś kwiat potrafił rozebrać ją z ciała i zamienić w samą słodycz. Słodka Ruth tak ją nazywał i gdyby tylko mówiąc do niej dodał "moja słodka" byłaby mu odpowiedziała i wciąż byłby wśród tych ścian. Nie. Od pierwszego wieczoru wiedziała, że żona zwycięży - żony mają swoje haczyki - poza tym ona sama czuje się podle: znów ogarnia ją fala mdłości, niosąc ze sobą obojętność na wszystko. Idzie do klo, klęka na kaflach i wpatruje się w nieruchomy owal wody; jakby to mogło pomóc. W końcu nie jest pewna, czy zwymiotuje, ale tkwi na kolanach, bo jej to odpowiada. Wspiera nagie ramiona o lodowaty brzeg porcelanowego sedesu i oswaja się z tym zagrożeniem w żołądku, które nie przechodzi, które tak uparcie tkwi w niej i wraz z uczuciem słabości daje złudzenie, że to coś, od czego jej się robi mdło, jest swego rodzaju przyjacielem.

Królik biegnie przez większą część drogi do szpitala. Najpierw ulicą Letnią do pierwszej przecznicy, potem

193

przez Youngquista, która na północy ciągnie się równolegle do Weisera i jest ulicą ceglanych domów czynszowych i drugorzędnych firm, drobnych warsztatów szewskich z utajonym zapachem skóry, mrocznych sklepików ze słodyczami; mieszczą się tam agencje ubezpieczeniowe, które prezentują w oknach zdjęcia szkód wyrządzonych przez tornado, biura handlu nieruchomościami, reklamujące się szyldem ze złotymi literami, jakaś księgarnia.

Dalej ulica Youngquista biegnie przez staroświecki drewniany most nad torami kolejowymi, które wśród murów z poczerńiałego kamienia, obłożonych miękką sadzą jak mchem ciągną się przez sam środek miasta, nitki metalu jak rzeka daleko w dole, w ciemności, a na nich wąskie pasma zachodniej zorzy - to odbita różowość neonowych świateł ulicy Kolejowej. Z dołu dobiega muzyka. Ciężkie deski starego mostu, wypolerowane na czarno dymem z lokomotyw, dudnią pod jego stopami. Wychowany w prowincjonalnym miasteczku, zawsze odczuwa strach, że dostanie nożem w plecy w jakimś zaułku dużego miasta. Biegnie szybciej; chodnik rozszerza się, pojawiają się liczniki parkingu; naprzeciw starego budynku YMCA stoi nowy

bank, do którego kas, wychodzących na ulicę, można podjechać samochodem. Królik przecina uliczkę pomiędzy budynkiem YMCA a kościołem zbudowanym z piaskowca, w jego witrażowych oknach ulica ogląda odwrócony obraz scen biblijnych. Królik nie może zrozumieć, co robią te postacie. Z jakiegoś okna na piętrze padają odgłosy bilardu; poza tym szeroka ściana budynku YMCA nie zdradza oznak życia. Przez boczne szklane drzwi widzi w świetle zielonym jak woda w akwarium starego Murzyna zamiatającego hali. Teraz ma pod stopami roztertę na miazgę nasiona jakiegoś drzewa, którego tropikalnie wąskie liście rysują się jak czarne ostrza na ciemnożółtym niebie. Drzewo sprowadzone z Chin albo Brazylii czy skądś tam jeszcze, a jednak może rosnąć w powietrzu pełnym sadzy i spalin. Asfaltowy parking przed szpitalem ma kształt kwadratu o bokach obsadzonych takimi właśnie drzewami, a nad ich wierzchołkami i surową otwartą przestrzenią widać księżyc i Królik przystaje na sekundę, żeby wnikać w jego żalobną twarz, przystaje bez ruchu na

194

własnym małym cieniu, zarysowanym niewyraźnie na asfalcie, aby spojrzeć w ten kamień na niebie, który metalicznym blaskiem odbija kamień wyrosły w jego gorącym sercu. Spraw, żeby wszystko było dobrze, modli się do księżycy i kieruje się ku wejściu na tyłach szpitala.

Przemierza hali wyłożony linoleum, pachnący eterem, i idzie do rejestracji.

- Angstrom - mówi do siostry zakonnej siedzącej przy maszynie do pisania. - Zdaje się, że jest tutaj moja żona.

Jej pulchna twarz praczki, ujęta w marszczone płótno przypomina mu kruchą babeczkę. Zakonnica przegląda kartotekę.

- Tak - mówi i uśmiecha się. Małe druciane okulary sterczą daleko od jej oczu, oparte o poduszczeni tłuszczu na policzkach. - Może pan tam zaczekać - i wskazuje różowym długopisem.

Druga jej ręka spoczywa obok maszyny do pisania na sznurku czarnych paciorków tej samej wielkości co naszyjnik z Jawy, który kupił kiedyś dla Janice na gwiazdkę. Królik stoi i patrzy, spodziewa się usłyszeć od siostry: Jest tu już od paru godzin; a

gdzie pan się podziewał? Nie może uwierzyć, że traktuje go łaskawie. Pod jego spojrzeniem jej obojętna biała dłoń, która nigdy nie widziała słońca, zsuwa czarne paciorki z biurka na kolana.

Dwaj inni mężczyźni już się ulokowali w kącie hallu służącym za poczekalnię. Jest to główny hali szpitala. Ludzie wchodzą i wychodzą. Królik siada na krześle pokrytym skajem i z chromowanymi poręczami - dotyk metalu i cisza, która zapadła, budzi w nim wrażenie, że znalazł się w komisariacie, a tamci dwaj to policjanci, którzy go zaarrestowali. Wydaje się, że wyraźnie go ignorują. Królik, w zdenerwowaniu, bierze ze stołu jakieś pismo. Katolicki magazyn wielkości "Reader's Digest". Próbuje czytać opowiadanie o jakimś prawniku w Anglii, który do tego stopnia przejął się legalną, ale jakżeż nieprzyzwoitą konfiskatą majątków klasztornych przez Henryka VIII, że nawrócił się na katolicyzm i w końcu wstąpił do klasztoru. Dwaj mężczyźni szepczą coś do

195

siebie; możliwe, że to ojciec i syn. Ten młodszy bez przerwy splata i rozplata dłonie i szept tego starszego kwituje potakującym ruchem głowy.

Wchodzi Eccles, mrugając oczami. Jego szyja wygląda chudo w koloratce.

Pozdrowia siostrę siedzącą za biurkiem, nazywając ją po imieniu - to siostra Bernarda. Królik unosi się na miękkich nogach, Eccles podchodzi do niego ze znajomym marszem na czole, który wygląda jeszcze groźniej w szpitalnym oświetleniu. Czoło pastora pokryte jest czerwonymi plamami. Właśnie ostrzygł sobie włosy i przy obrotach głowy wygolone płaszczyzny nad uszami błyszczą jak niebieskie piórka na szyi gołębia.

Królik pyta:

- Czy ona wie, że tu jestem? - Nigdy by nie przypuszczał, że też będzie mówił szeptem. Nienawistna panika ścisła mu gardło.

- Dopilnuję, żeby jej powiedzieli, jeśli jeszcze jest przytomna - mówi głośno Eccles, a szepczący mężczyźni podnoszą na niego wzrok.

Podchodzi do siostry Bernardy. Zakonnica zdaje się gawędzić z przyjemnością i oboje się śmieją. Eccles wybucha zaskakująco głośnym śmiechem w sposób dobrze

znany Królikowi, a siostra Bernarda, kobieta otyła, wtóruje mu jak flet czystym, dziewczęcym głosem, który dobywa się z jej gardła, jakby lekko zniekształcony ciasną ramą sztywnej falbanki otaczającej jej twarz. Kiedy pastor odchodzi, siostra sięga po telefon.

Eccles wraca, zagląda Królikowi w twarz, wzdycha i proponuje papierosa, jakby to był opłatek skruchy, który Królik przyjmuje. Zaciąga się pierwszy raz po tylu postnych miesiącach, czuje reakcję we wszystkich mięśniach i musi usiąść. Eccles przysuwa sobie twarde krzesło i nie próbuje rozmawiać. Poza polem golfowym Królik niewiele ma do powiedzenia pastorowi i niezgrabnie przełożywszy papierosa do lewej ręki, bierze ze stołu inne pismo, upewniwszy się, że nie jest to pismo religijne - "Saturday Evening Post". Na wstępie artykuł, w którym autor, wyglądający na zdjęciu jak Włoch, opowiada o trzytygodniowej wyprawie w kanadyjskie Góry Skaliste z żoną, czworgiem dzieci i teściową, co kosztowało ich

196

tylko sto dwadzieścia dolarów, nie licząc przyczepy kempingowej jako wstępnej inwestycji. Myśl Królika nie podąża za słowami, lecz skacze i rozgałęzia się, i ogarnia fragmenty przymglonych wizji, krzycząca Janice, głowa dziecka wynurzająca się z krwi, paskudne niebieskie światło, na które Janice musi patrzeć, jeśli jest przytomna, jeśli jest przytomna, powiedział Eccles; ręce chirurga w czerwonych gumowych rękawiczkach, jego twarz osłonięta gazą i dziecinne, rozdęte, czarne nozdrza Janice wdychające ten antyseptyczny zapach, który i on czuje, zapach nasycający wszystko pod tymi wybielonymi ścianami; mycie, zmywanie krwi, zmywanie rzygowin, żeby każda powierzchnia pachniała jak wnętrze wiadra, które jednak nigdy nie będzie czyste, bo zawsze je napelniamy naszymi brudami. Ma uczucie, że jakaś wilgotna, ciepła szmata owija mu serce. Jest przekonany, że Janice albo dziecko umrze z powodu jego grzechu. Grzechu, na który składa się ucieczka, okrucieństwo, nieprzyzwoitość i zarozumiałość, niby czarny skrzep wcielone w mechanizm tych narodzin. Chociaż w środku coś go aż skręca, tak by chciał pozbyć się tego skrzepu, odwołać wszystko, cofnąć się i postąpić inaczej, to jednak nie zwraca się do siedzącego obok kapłana, zamiast tego czyta w kółko jedno i to samo

zdanie o przepysznym smażonym pstrągu.

Gdzieś zupełnie z brzegu na tym drzewie strachu siedzi Eccles, czarne ptaszysko - i marszcząc raz po raz brwi przerzuca stronicę pism. Wydaje się Królikowi nierzeczywisty, wszystko dokoła zdaje się nierzeczywiste, wszystko poza jego własnymi doznaniem. Swędzą go dłonie, dziwne wrażenie ucisku przenika całe ciało, ogarniając to nogi, to znów kark. Swędzi go pod pachami jak dawniej, kiedy był małym chłopcem i biegł do szkoły ulicą Jacksona, wiedząc, że się spóźni.

- Gdzie są jej rodzice? - pyta pastora. Eccles wydaje się zaskoczony.

- Nie wiem, spytam siostrę. - Robi ruch, by wstać.

- Nie, nie, na miłość boską, proszę siedzieć. - Drażni go, że Eccles zachowuje się niemal jakby był u siebie. Harry nie chce zwracać na siebie uwagi; Eccles robi zamieszanie. Tak głośno szeleści pismami, że brzmi to,

197

jakby rozbijał skrzynki pomarańcz, i rzuca niedopałki jak zongler.

Jakaś kobieta w bieli, ale nie zakonnica, wchodzi do poczekalni i pyta siostrę Bernardę:

- Czy nie zostawiłam tu puszek z politurą do mebli? Nigdzie nie mogę jej znaleźć. Zielona puszka z czymś takim na wierzchu, co się naciska, żeby przyskało.

- Nie, kochana.

Kobieta szuka tej puszek, wychodzi, po minucie wraca i oznajmia:

- No więc, jest to najdziwniejsza rzecz na świecie. W takt dalekich odgłosów rondli, ciężarówek, drzwi,

jeden dzień obraca się o północy w następny, nowy dzień. Siostrę Bernardę zastąpiła inna siostra, bardzo stara, w ciemnoniebieskim habicie. Jak gdyby w swojej wspinaczce do świętości utknęła na środku nieba. Dwaj szepeczący mężczyźni podchodzą do jej biurka, rozmawiają i odchodzą, nie doczekali się niczego. Eccles i Królik zostają sami. Królik wyęży słuch, by gdzieś daleko w ciszy szpitalnego labiryntu usłyszeć krzyk swego dziecka. Raz po raz wydaje mu się, że go słyszy; skrzyp czyjegoś buta, szczekanie psa na ulicy, chichot pielęgniarki - byle dźwięk łatwo go zwodzi. Królik nie liczy na to, że owoc cierpień Janice wyda głos całkiem

ludzki. Rośnie w nim przekonanie, że dziecko okaże się potworem, potworem, za którego on odpowiada, poczętym jednym pchnięciem, które myli w myślach z perwersyjnym aktem wymuszonym przed kilku godzinami na Ruth. Chwilowo wyzbyty pożądania, ze zdumieniem wspomina akrobacje, do których to pożądanie go popchnęło. Własne życie wydaje mu się sekwencją groteskowych póz pozbawionych jakiegokolwiek celu, magicznym tańcem bez wiary. Niema Boga. Janice może umrzeć. Obydwie myśli napływają równocześnie jedną powolną falą. Czuje się, jakby był pod wodą, omotany przezroczystym śluzem, duchami nagłych, pospiesznych ejakulacji wypływanych do wnętrza delikatnych kobiecych ciał. Palce złożone na kolanach szarpią natrętne wątki.

Mary Ann. Zmęczony po meczu, zeszywniały, z ciałem sprężystym, ale już rozleniwionym, zastawał ją czekającą na stopniach pod godłem szkoły i depcząc butwiejące

198

liście, szli przez białą listopadową mgłę do samochodu jego ojca i jechali, żeby ogrzać wóz i zaparkować. Jej ciało, rozgałęzione drzewo z ciepłymi gniazdami, jednak zawsze ten odcień nieśmiałości. Jakby nie była pewna, ale on był kimś większym, był zwycięzcą. Przychodził do niej jako zwycięzca i odtąd wciąż mu brakuje tego uczucia. Dlatego Mary Ann była najlepsza z nich wszystkich - była tą, której dawał najwięcej pomimo zmęczenia. Czasem wrzask i blask boiska bladł w oczach piekących od potu i zjawiało się oczekiwanie ostrożnych pieszczot pod szarym pikowanym dachem wozu, a gdy już się tam znalazł, wspaniały triumf wygranego meczu odbijał się na jej spokojnym ciele, wraz z cieniami rzucanymi przez strumienie deszczu na przednią szybę. I dwa rodzaje triumfu jednoczyły się w jego umyśle. Wyszła za męża, kiedy był w wojsku. Jakiś dopisek w liście matki sprawił, że poczuł się jak statek spuszczonej na wodę. I popłynął.

Ale teraz czuje radość. Zdrętwiał od siedzenia na fotelu o zardzewiałych chromowanych poręczach, zbiera mu się na mdłości po papierosach, ale czuje radość na wspomnienie swojej dziewczyny. Radością jak wodą napełnił kruchą wazę swego serca, którą głos Ecclesa trąca i rozbija na kawałki.

- Wyobraź sobie, że przeczytałem artykuł Jackie Jensena do samego końca i nie wiem, o co mu chodzi.

- Słucham?

- Ten artykuł Jackie Jensena o tym, dlaczego chce porzucić baseball. Wygląda na to, że baseballiści mają takie same problemy jak duchowni.

- Może pastor pójdzie do domu? Która godzina?

- Dochodzi druga. Wolałbym zostać, jeśli pozwolisz.

- Nie ucieknę, jeżeli tego się pastor obawia. Eccles śmieje się i siedzi dalej. Harry pamięta pierwsze

wrażenie, jakie na nim zrobił Eccles - nieustępliwego; później wyrosło między nimi uczucie koleżeństwa, ale skończyło się i teraz wszystko jest jak na początku.

- Kiedy rodziła Nelsona - mówi Harry do pastora - biedaczek musiał czekać dwanaście godzin, zanim przyszedł na świat.

- Z drugim dzieckiem jest zwykle łatwiej - pociesza

199

Eccles spogląda na zegarek. - Jeszcze nie ma sześciu godzin.

Wydarzenia rodzą wydarzenia. Z poczekalni dla uprzywilejowanych wynurza się pani Springer i sztywno kiwa głową pastorowi. Na widok Harry'ego, którego dostrzega kątem oka, chwieje się na swoich chorych nogach w starych półbucikach.

Eccles wstaje i razem z panią Springer wychodzą na dwór. Po chwili oboje wracają w towarzystwie pana Springera, który ma starannie zawiązany krawat i świeżo wypraną koszulę. Tak często przystrzyga sobie swój mały rudawy wąsik, że brzeg górnej wargi robi wrażenie skorupy.

- Jak się masz, Harry.

To, że mąż wita się z zięciem, rozdrażniło tłustą wiedźmę. Pomimo perswazji, której zapewne użył Eccles, odwraca się z furją do Harry'ego.

- Jeżeli czekasz tutaj - mówi - jak sęp na jej śmierć, mój panie, to możesz sobie wrócić tam, gdzie zamieszkałeś, bo ona doskonale daje sobie radę bez ciebie teraz i przez cały czas.

Obydwaj mężczyźni odciągają ją pospiesznie, a stara zakonnica odprowadza ich

wzrokiem, dziwnie uśmiechnięta za swoim biurkiem - głucha? Napastliwe słowa pani Springer, chociaż pragnęła go zranić, to nareszcie coś, co zdaje się pasować do okropności rzeczy, które dzieją się za zasłoną szpitalnego zapachu mydła. Póki tych słów nie usłyszał, czuł się samotnie jak na martwej planecie, która krąży dokoła wielkiego gazowego słońca - porodu Janice - i krzyk pani Springer, chociaż to krzyk nienawiści, przebił skorupę jego osamotnienia. Straszna to myśl o śmierci Janice: głośne wypowiedzenie tej myśli odjęło jej połowę ciężaru. Ten dziwny zapach śmierci Janice: pani Springer też go poczuła i wspólnota tego odczucia tworzy najcenniejszy związek, jaki może go z kimkolwiek na świecie łączyć.

Wraca pan Springer i zmierza do wyjścia, obdarzając swego zięcia boleśnie wieloznacznym uśmiechem, w którym jest chęć przeproszenia za żonę (obaj jesteśmy mężczyznami, rozumiem), życzenie utrzymania dystansu (mimo wszystko zachowałeś się w sposób niewybaczalny; nie dotykaj mnie) i odruch zdawkowej grzeczności sprze-

200

dawców samochodów. Harry myśli: Ty draniu; rzuca za nim to wyzwisko w zatrzaśnięte drzwi. Ty niewolniku. Dokąd tak wszyscy gonią? Skąd przychodzą? Czy nie mogą usiąść? Eccles wraca, wsuwa mu jeszcze jednego papierosa i znów odchodzi. Paląc tego papierosa Królik czuje drżenie w żołądku, gdzieś na samym spodzie, a w gardle drapanie, jakby noc przespał z otwartymi ustami. Przykry zapach z własnych ust muska mu nozdrza. Do hallu wchodzi niepewnym krokiem jakiś lekarz o potężnym torsie i niewyobrażalnie delikatnych, małych dłoniach, które trzyma na wysokości brzucha. Zwraca się do Harry'ego:

- Czy pan Angstrom? Jestem doktor Crowe. Harry go nie zna. Janice z pierwszą ciążą chodziła do

innego położnika, ale po ciężkim porodzie ojciec kazał jej zmienić lekarza. Janice odwiedzała doktora Crowe'a raz na miesiąc i przynosiła do domu opowieści o jego delikatności, o jego cudownie miękkich dłoniach i o tym, że sprawia wrażenie, jakby dokładnie wiedział, co to znaczy być kobietą w ciąży.

- Tak?...

- Gratuluję. Ma pan śliczną córeczkę.

Wyciąga do niego rękę z takim pośpiechem, że Harry wie zdążył unieść się w krzesło, i przyjmuje wiadomość pozycji schylonej. Wpatrzony w wyszorowaną różową twarz doktora - któremu sterylna maseczka zwisa z jednego ucha, odsłaniając blade, mięsiste wargi - powoli zdaje sobie sprawę, że nieoczekiwane słowo "córeczka" nabiera kształtu i barwy.

- Naprawdę? Czy wszystko w porządku?

- Trzy czterysta pięćdziesiąt. Pańska żona była przez cały czas przytomna i po urodzeniu pottrzymała dziecko przez minutę.

- Naprawdę? Trzymała dziecko? Czy to był... czy poród był trudny?

- Nee. Normalny. Z początku była trochę napięta, ale wszystko poszło normalnie.

- To cudownie. Dziękuję panu. Boże drogi, dziękuję panu, panie doktorze.

Crowe stoi uśmiechając się z zakłopotaniem. Wynurzył się z samej głębi tworzenia i jąka się na otwartym

201

powietrzu. Dziwne, w ostatnich godzinach ten człowiek bliższy był Janice niż kiedykolwiek Harry, grzebał rękami w jej trzewiach, panował nad jej ciałem w czasie tego kataklizmu, a jednak nie przyniósł mu żadnych zwierzeń, żadnego przekleństwa, żadnego błogosławieństwa. Lęk przejmuje Królika - oczy doktora spiorunują go ujawniając tajemnicę, którą posiadły. Ale w spojrzeniu Crowe'a nie ma gniewu. Nawet nagany. Doktor zdaje się widzieć w Harrym tylko jeszcze jednego z całej parady mniej lub więcej sumiennych małżonków - zadaniem jego życia jest zbierać owoc ich bezmyślnie rozsiewanego nasienia.

- Czy mogę ją zobaczyć? - pyta Harry.

- Kogo?

Kogo? Zaskakuje go, że "ją" to teraz słowo dwuznaczne. Świat się zagęszcza.

- Moją... moją... żonę.

- Ależ, oczywiście. Jasne. - Crowe wydaje się lekko zdumiony, że Harry pyta o pozwolenie. Musi znać fakty, ale widocznie nie uświadamia sobie przepaści, jaka z powodu winy dzieli Harry'ego od reszty ludzi. - Myślałem, że chodzi panu o dziecko.

Bo wolałbym, żeby pan z tym zaczekał do jutrzejszych odwiedzin. Nie mamy w tej chwili pielęgniarki, która pokazałaby panu córkę. Ale pańska żona jest przytomna, jak powiedziałem. Daliśmy jej trochę Equanilu. To taki środek uspokajający.

Meprobamat. Proszę mi powiedzieć - przysuwa się bliżej ze swoją różową twarzą i czystym ubraniem - co pan sądzi o tym, żeby jej matka zobaczyła się z nią na chwilę? Mieliśmy ją na karku przez całą noc. - Lekarz pyta jego, uciekiniera, rozpustnika, potwora! Musi być ślepy. Chyba, że zostać ojcem znaczy zyskać u wszystkich przebaczenie, ponieważ, ostatecznie, ojcostwo to jedyna pewna rzecz, dla której tu jesteśmy.

- Jasne. Może wejść.

- Przed czy po panu?

Harry waha się i przypomina sobie, w jaki sposób pani Springer zjawiała się na jego pustej planecie.

- Niech wejdzie przede mną.

- Dziękuję panu. Dobrze. Potem może iść do domu.

202

Wyprowadzimy ją po minucie. A więc za jakieś dziesięć minut. W tej chwili pielęgniarki przygotowują pańską żonę.

- Świetnie. - Królik siada, by pokazać, jaki jest łagodny, i znowu wstaje. - Przy okazji... dziękuję jeszcze raz. Bardzo serdecznie dziękuję. Nie potrafię zrozumieć, jak wy, lekarze, to robicie.

Crowe wzrusza ramionami.

- Nie było z nią kłopotu.

- Przy porodzie pierwszego dziecka umierałem ze strachu. To trwało całe wieki.

- Gdzie rodziła?

- W innym szpitalu. Homeopatycznym.

- Nnno! - I doktor, który był na dnie piekieł i nie sprowadził stamtąd żadnych piorunów, strzela teraz iskrą wzdąży na myśl o konkurencyjnym szpitalu, potrząsa swoją wyszorowaną głową i oburzony odchodzi.

Wkracza Eccles, szczerząc zęby jak uczeń, Królik nie jest w stanie patrzeć na jego

głupią twarz. Pastor proponuje podziękować Bogu modlitwą i milczenie przyjaciela Królik przyjmuje obojętnym schyleniem głowy. Serce bije mu w piersi tępo, jakby uderzało o szeroką białą ścianę. Przedmioty w oczach rosną, ogromnieją i wydaje się, że zaraz zaczną skakać. Realne odczucie szczęścia jest w nim jak drabina, z której najwyższego szczebla usiłuje skoczyć jeszcze wyżej, ponieważ wie, że powinien. Powiedzenie Crowe'a o pielęgniarzach "przygotowujących" Janice dziwnie przypomniało Święto Wiosny. Prowadzony do pokoju położnicy, spodziewa się zastać ją ze wstążkami we włosach i w łóżku ozdobionym papierowymi kwiatami. Ale to tylko dawna Janice leżąca w gładkich prześcieradłach na wysokim, metalowym łóżku. Odwraca twarz i mówi:

- No proszę, proszę, kogo ja widzę.

- Cześć! - mówi Królik i podchodzi, żeby ją pocałować, zamierzając zrobić to bardzo delikatnie. Pochyla się jak nad kwiatem ze szkła. Usta jej owiewa słodkawy odór eteru. Ku jego zdumieniu Janice wyciąga spomiędzy prześcieradeł ramiona, otacza nimi jego głowę i przyciska jego twarz do swoich miękkich, rozpływających się ze szczęścia ust. - Nie przejmuj się - mówi Królik.

203

- Jestem bez nóg - odpowiada Janice - to bardzo śmieszne uczucie. - Włosy ma ściągnięte do tyłu w schludny kok i żadnej szminki na twarzy. Jej drobna czaszka odcina się czernią od poduszki.

- Nie masz nóg? - Królik spogląda w dół i widzi nogi płasko wyciągnięte pod prześcieradłem w nieruchomą literę V.

- Pod koniec dali mi zastrzyk w kręgosłup czy coś takiego, i nic nie czułam. Leżałam i słyszałam, jak mówią przyj, przyj, a zaraz potem widzę tę malutką okruszynę z buzią ogromną jak księżyc - patrzyła prosto na mnie. Powiedziałam mamie, że dziecko jest podobne do ciebie, ale nie chciała nawet tego słuchać.

- Nawymyślała mi w poczekalni.

- Żałuję, że ją tu wpuścili. Nie chciałam jej widzieć. Chciałam widzieć ciebie.

- Naprawdę? Mój Boże. Dlaczego, moja mała? Po tym, jak byłem taki podły.

- Nie, nie byłeś. Powiedzieli mi, że jesteś tutaj, i przez cały czas myślałam, że to

twoje dziecko, i miałam uczucie, jakbym ciebie rodziła. Tak mnie napompowali eterem, że wydaje mi się, jakbym się unosiła w powietrzu, bez nóg. Mogłabym mówić i mówić. - Składa ręce na brzuchu, zamyka oczy i uśmiecha się. - Jestem naprawdę zupełnie pijana. Patrz, jaka jestem płaska.

- Możesz teraz włożyć swój kostium kąpielowy - mówi Królik i uśmiechnięty poddaje się potokowi jej podnieconego gadania, i wydaje mu się, że też nie ma nóg, i lekki jak bańka powietrza pływa na plecach po wielkim morzu czystości wśród wykrochmalonych prześcieradeł i wyjałowionych przedmiotów, gdy za oknem dnieje. Strach i skrucha rozpląnęły się, a wdzięczność tak się rozdeła, że nie ma żadnych ostrych kantów. - Doktor powiedział, że byłaś bardzo dzielna.

- A wiesz, że to śmieszne. Wcale taka nie byłam. Zachowywałam się okropnie... Płakałam i krzyczałam, i powiedziałam mu, żeby trzymał ręce przy sobie. Chociaż najgorsze było golenie - ta okropna stara zakonnica goliła mnie na sucho.

- Biedna Janice.

- Nie, było cudownie. Próbowałam liczyć jej palce u

204

nóg, ale tak mi się kręciło w głowie, że nie mogłam, więc policzyłam jej oczy. Jeden, dwa. Czy chcieliśmy mieć córkę? Powiedz, że tak.

- Ja chciałem. - Królik stwierdza, że to prawda, chociaż dopiero słowa potwierdzają istnienie tej chęci.

- Teraz będę miała kogoś po mojej stronie przeciwko tobie i Nelsonowi.

- Jak tam Nelson?

- Och. Co dzień pyta tylko: "Tatuś dziś w domu?", aż miałam ochotę złoić go pasem, biedny aniołek. Nie każ mi o tym mówić, to za bardzo przygnębiające.

- O, do licha - mówi Królik i czuje, że piekące łzy kapią mu z nosa, a zdawały się w ogóle nie istnieć. - Trudno mi uwierzyć, że to byłem ja. Nie wiem, dlaczego cię opuściłem.

- Hm! - Janice zanurza się głębiej w poduszkę i pijany uśmiech rozciąga jej policzki.

- Urodziłam dzidziusia.

- To wspaniale.

- Jesteś piękny. Taki wysoki. - Janice mówi to z zamkniętymi oczami, a kiedy je otwiera, wydają się szalone; nigdy nie widział, żeby tak błyszcząły. - Harry - szeptem.
- Dziewczyna z tego drugiego łóżka poszła dziś do domu, mógłbyś się tu wśliznąć, wiesz, wyjść i wrócić przez okno, i moglibyśmy leżeć przez całą noc, nie spać, tylko opowiadać sobie różne historie, co ty na to? Jak wtedy, kiedy wróciłeś z wojska czy skądś tam. Czy dużo się kochałeś z innymi babami?
- Wiesz co? Myślę, że powinnaś teraz zasnąć.
- W porządku, mnie będziesz teraz kochał lepiej niż tamte. - Janice chichocze, próbuje się poruszyć w łóżku. - Nie, nie to miałam na myśli, jesteś dobrym kochankiem, zrobiłeś mi dziecko.
- Uważam, że jesteś bardzo seksowna jak na swój stan.
- Tak uważasz? Zaprosiłabym cię do łóżka, ale jest takie wąskie. Och!
- Co?
- Strasznie mi się chce oranżady.
- No wiesz! Jesteś śmieszna.

205

- To ty jesteś śmieszny. Och, wiesz, moja malutka wyglądała na obrażoną. Szarytka wypełnia drzwi skrzydłami swego kornetu.
- Panie Angstrom. Już czas.
- Pocałuj mnie - mówi Janice. Dotyka jego twarzy, gdy pochyla się nad nią i znów czuje eter. Usta jej są jak ciepła chmura, która nagle się rozdziela, zęby Janice chwytają jego dolną wargę. - Nie odchodź.
- Na krótko. Wrócę jutro.
- Kocham cię.
- Słuchaj. Ja kocham ciebie. Czekaający na niego w przedpokoju Eccles pyta:
- Jaka była?
- Wspaniała.
- Czy zamierzasz wrócić tam, hm, gdzie byłeś?
- Nie - odpowiada Królik z przerażeniem. - Na miłość boską! Nie mogę.
- Wobec tego może chciałbyś pojechać do mnie?

- Pastor już tyle zrobił. Mogę pójść do moich rodziców.
- Będziesz ich budził po nocy?
- Nie, naprawdę, nie mogę sprawić takiego kłopotu. - Już postanowił przyjąć propozycję. Ciało aż do najdrobniejszej kostki domaga się odpoczynku.
- Żaden kłopot. Nie proszę cię, żebyś u nas zamieszkał - mówi Eccles. Długa noc działa mu na nerwy. - Mamy mnóstwo miejsca.
- Dobrze. Już dobrze. Dziękuję.

Jadą z powrotem do Sędziowskiej Góry znajomą autostradą. O tej godzinie jest pusta, nie widać nawet ciężarówek. Chociaż to sam środek nocy, czerń nieba, o dziwo, łagodnieje, staje się właściwie szarością. Zesztywniały na ciele i duszy Harry milczy, wpatruje się bez słowa w przednią szybę. Autostrada jest kręta, ale każe myśleć, że oto otwiera się przed nim szeroka prosta droga. Niczego innego nie pragnie jak iść tylko taką drogą.

Dom pastora jest uspiiony. Wejściowy hali pachnie jak wewnątrz szafy. Eccles prowadzi go na górę do pokoju, w którym kapa na łóżku zakończona jest ozdobnymi chwastami. Królik, skradając się, idzie do łazienki, potem w bieliźnie zwija się w kłębek pomiędzy szeleszczącymi

206

czystymi prześcieradłami i stara się skurczyć do jak najmniejszych rozmiarów. Tak skulony na brzegu, szuka schronienia we śnie jak żółw w swojej skorupie. Sen nie jest tej nocy ciemnym, nawiedzonym przez duchy obszarem, do którego zdobycia umysł świadomie musi się nastawić, jest jakąś jamą w nim samym, w której cały się chroni, podczas gdy uderzenia niedźwiedzich pazurów grzechoczą na zewnątrz jak deszcz.

Słońce, stary błazen, wyprawia figle w pokoju. Omaściło blaskiem dwa różowe krzesła z dwóch stron okna pełnego tiulu, rzuciło tłustą plamę na biurko zavalone kopertami. Z obrazka nad biurkiem wychyla się dama w różowej sukni. Kobięcy głos dobija się do drzwi.

- Panie Angstrom! Panie Angstrom!
- Tak. Jestem! - woła Królik ochryple.

- Już pół do pierwszej. Jack kazał panu powiedzieć, że wizyty w szpitalu są od pierwszej do trzeciej.

Królik poznaje ptasi głos pani pastorowej szczebiocący suchym tonem, jakby dodała: I co w ogóle robi pan w moim domu?

- W porządku. Już idę. - Wkłada spodnie koloru kakao, które miał na sobie poprzedniego dnia, zabiera, niezadowolony - bo wie, że są brudne - buty, skarpetki i koszulę do łazienki, odwołując moment zetknięcia ich z własną skórą, dając im jeszcze minutę, żeby się wywietrzyły. Wciąż zaspany, chociaż się umył. chlapiąc wodę na wszystkie strony, zabiera swoje rzeczy i schodzi na dół bosy i w podkoszulku.

Małenka żona pastora jest w swojej dużej kuchni, tym razem ma szorty koloru khaki, sandały i lakierowane paznokcie u nóg.

- Jak się spało? - pyta spoza drzwi lodówki.

- Spałem jak zabity. Żadnych snów, nic w tym rodzaju.

- To skutek czystego sumienia - mówi pani Eccles i z eleganckim brzękiem stawia na stole szklanę soku pomarańczowego. Królikowi wydaje się, że na widok jego stroju

- tylko podkoszulek! - szybko odwróciła spojrzenie.

207

- Proszę nie robić sobie kłopotu. Zjem coś w Brewer.

- Nie dam panu jajek ani nic takiego. Lubi pan "Cheerios"?

- Uwielbiam.

- To dobrze.

Sok pomarańczowy zmywa trochę fuzlu w ustach. Królik przygląda się z tyłu jej nogom - białe ścięgna pod kolanami poruszają się, gdy kobieta się krząta przy kuchennym blacie.

- Jak tam Freud? - zapytuje. Wie, że to się może źle skończyć, bo jeśli przypomni jej tamto popołudnie, to przypomni też klapsa, którego jej dał; lecz w obecności pani Eccles ma dziwne uczucie, że to on tutaj rządzi i nie może popełnić błędu.

Pani Eccles odwraca się i wypychając policzek językiem, co nadaje jej twarzy wyraz namysłu, patrzy na niego spod oka. Królik uśmiecha się na widok miny rozkosznej

pensjonarki udającej, że więcej wie, niż mówi.

- Bez zmian. Chce pan mleka czy śmietanki do tych płatków?

- Mleka. Śmietanka jest za gęsta. Gdzie się podziewa reszta?

- Jack jest w kościele, prawdopodobnie gra w pingponga z którymś ze swoich wykolejonych chłopców, Joyce i Bonnie śpią, Bóg wie dlaczego. Przez cały ranek chciały zobaczyć tego niegrzecznego pana w gościnnym pokoju. Dużo mnie kosztowało, żeby je powstrzymać.

- Kto im powiedział, że jestem niegrzecznym panem?

- Jack. Oznajmi! mi przy śniadaniu: "Przywiozłem wczoraj niegrzecznego pana, który przestanie być niegrzeczny." Dzieci przezywają wszystkich jego podopiecznych

- pan jest Niegrzecznym Panem, pan Carson, alkoholik, to Głuptas, pani MacMillan to Kobieta Dzwoniąca w Nocy. Jest poza tym Dama Nieboraczek, Pan Głuche Ucho, Pani Boczne Wejście i Szczęśliwy Groszek. Szczęśliwy Groszek to chyba najniezszczęśliwszy człowiek na świecie, ale przyniósł kiedyś dzieciom takie celuloidowe kuleczki z ciężarkiem w środku, które zabawnie się kołyszą. I odtąd jest Szczęśliwym Groszkiem.

Królik śmieje się razem z Lucy, która podaje mu płatki - za dużo w nich mleka.

Przywykł do Ruth, u której sam

208

dolewał sobie tyle mleka, ile chciał; lubi, żeby było po równo masy i płynu, byle zwilżyć płatki. Lucy gawędzi wesoło.

- Najgorsze, że kiedyś Jack, rozmawiając przez telefon z jakimś członkiem rady parafialnej, wysunął pomysł, żeby tego biedaka podtrzymać na duchu i dać mu zajęcie w kościele, i powiedział: "Może by tak Szczęśliwy Groszek został jakimś przewodniczącym?" A tamten przez telefon pyta: "Co takiego? Jaki groszek?" Jack oprzytomniał, ale zamiast się z tego jakoś wykręcić, co każdy by zrobił na jego miejscu, opowiedział całą historię o tym, jak dzieci nadały Szczęśliwemu Groszkowi to przezwisko, i oczywiście nadęty starzec wcale się z tego nie śmiał. Okazało się, że był przyjacielem Szczęśliwego Groszka; nie byli współnikami, ale bardzo często jadali razem lunch w Brewer. Jack już taki jest: zawsze mówi ludziom za dużo. Teraz

ten starzec z rady parafialnej pewnie opowiada wszystkim, że pastor bawi się kosztem biednego nieszczęsnego Szczęśliwego Groszka.

Królik znów się śmieje. Zjawia się kawa w cienkiej, niebieskiej filiżance ze złotym monogramem i Lucy siada naprzeciw niego z własną filiżanką.

- Powiedział, że przestanę być niegrzeczny? - pyta Królik.

- Tak. Nie posiada się z radości. Wyszedł z domu dosłownie rozśpiewany. To jest jego pierwsze konstruktywne osiągnięcie, odkąd przybył do Sędziowskiej Góry.

Królik ziewa.

- Doprawdy nie wiem, co zrobił.

- Ja też nie - mówi Lucy - ale słuchając go można pomyśleć, że cała sprawa była na jego głowie.

Przypuszczenie, że był przedmiotem manipulacji, działa na Królika nieprzyjemnie.

Czuje, że uśmiech zamiera mu na twarzy.

- Naprawdę? Rozmawiał o tym?

- Och, przez cały czas. On pana bardzo lubi. Nie wiem dlaczego.

- Bo dam się lubić.

- Bez przerwy to słyszę. Biedną starą panią Smith owinął pan sobie dokoła małego palca. Uważa, że jest pan wspaniały.

209

- A pani tego nie widzi?

- Może nie jestem dość stara. Może gdybym miała siedemdziesiąt lat. - Lucy unosi filiżankę ku twarzy, przechyla ją i w bliskości parującej brązowej kawy piegi na cienkim białym nosku ciemnieją. Nieznośna dziewczyna, tak, to jasne jak słońce, jest okazem nieznośnej dziewczyny. Lucy odstawia filiżankę i patrzy na niego swoimi okrągłymi oczami i cały trójkąt jej czoła pomiędzy brwiami zdaje się również spoglądać na niego drwiąco. - Niech mi pan powie, jakie to jest uczucie na nowo się narodzić? Jack nie traci nadziei, że ja się poprawię, i chciałabym wiedzieć, czego się spodziewać. Czuje się pan jak "nowo narodzony"?

- Och, nie czuję żadnej zmiany.

- Ale postępuje pan inaczej.

- No cóż... - chrząka i kręci się na krześle. Dlaczego czuje się tak dziwnie? Ta kobieta chce, żeby czuł się głupio i śmiesznie tylko dlatego, że zamierza wrócić do żony. To prawda, postępuje inaczej, z nią również czuje się inaczej, stracił coś z tej niefrasobliwości, która tak łatwo skusiła go do dania jej klapsa w tyłeczek. Mówi teraz: - Wczoraj w nocy w czasie jazdy poczułem, że otwarła się przede mną prosta droga. Przedtem czułem się, jakbym siedział w krzakach i było mi wszystko jedno, dokąd pójde.

Na jej drobnej twarzy nad filiżanką kawy, którą trzyma oburącz jak miseczkę do zupy, widać, że Lucy doskonale się bawi; za chwilę parsknie głośno, myśli Królik, ale Lucy uśmiecha się w milczeniu. Królik myśli: Ona ma na mnie chęć.

Potem przypomina sobie Janice leżącą z bezwładnymi nogami, gadającą o palcach u nóg, o miłości i oranżadzie, i prawdopodobnie to wspomnienie wymazuje coś z jego twarzy, bo Lucy Eccles ze zniecierpliwieniem odwraca głowę i mówi:

- No to lepiej niech pan już rusza w tę swoją prostą drogę. Jest za dwadzieścia pierwsza.

- Jak długo idzie się do przystanku autobusowego?

- Niedługo. Podwiozłabym pana do szpitala, gdyby nie dzieci. - Nasłuchuje jakiegoś dźwięku na schodach. - O wilku mowa. I zaraz tu będzie.

Gdy Królik wciąga skarpetki, starsza dziewczynka -

210

tylko w majteczkach - chyłkiem skrada się do kuchni.

- Joyce. - Matka jej zatrzymuje się w pół drogi, niosąc do zlewu puste filiżanki. - Natychmiast wracaj do łóżka.

- Jak się masz, Joyce - mówi Królik. - Czy przyszłaś zobaczyć niegrzecznego pana? Joyce patrzy na niego bez słowa, przyłgnąwszy plecami do ściany. Pełna namysłu wypina swój podłużny złocisty brzuszek.

- Joyce - mówi Lucy - czy słyszysz, co mówię?

- Dlaczego on jest bez koszuli? - pyta dziewczynka bardzo wyraźnie.

- Nie wiem - odpowiada jej matka. - Pewnie wyobraża sobie, że ma piękny tors.

- Jestem w podkoszulku - protestuje Królik. Jakby tego nikt nie zauważył.

- Czy on ma cycusie?

- Nie, kochanie. Tylko panie mają piersi. Już ci tłumaczyłam.

- Ojej, jeżeli tyle gadania z tego powodu... - mówi Królik i wkłada koszulę. Jest pognieciona, a kołnierzyk od wewnątrz szary; była czysta, kiedy ją włożył wybierając się do klubu "Kastaniety". Nie ma marynarki, wyszedł od Ruth w takim pośpiechu. - W porządku - mówi wpychając poły koszuli do spodni. - Dziękuję serdecznie.

- Było mi bardzo miło - mówi Lucy. - Niech pan będzie teraz grzeczny.

Obydwie dziewczynki odprowadzają go do hallu. Białe nogi Lucy stapiają się z bladą, nagą piersią dziecka. Mała Joyce nie odrywa od niego oczu. Ciekaw jest, nad czym dziecko się zastanawia. Dzieci i psy wyczuwają to, czego nie widać. Próbuje dociec, ile sarkazmu było w tym: "Niech pan będzie teraz grzeczny", i co to znaczyło, jeżeli w ogóle coś znaczyło. Królik pragnie, by Lucy go odwiozła; chce, naprawdę chce być z nią w samochodzie. Nie tyle po to, żeby coś zrobić, ile żeby czuć, jak jest między nimi. Zwleka z odejściem i w powietrzu rodzi się napięcie.

Stoją w drzwiach, on i żona Ecclesa, która ma skórę jak

211

małe dziecko; niżej zwrócona ku górze twarzyczka Joyce z szerokimi ustami ojca i uniesionymi brwiami, a jeszcze niżej polakierowane paznokcie Lucy, rząd szkarłatnych muszelek na dywanie. Mącąc powietrze nieuchwytnym westchnieniem rezygnacji, Królik kładzie rękę na twardej klamce. Myśl o tym, że tylko panie mają piersi, prześladowuje go obłądnie. Podnosi wzrok od polakierowanych paznokci do czujnej buzi Joyce i stamtąd ku piersiom jej matki, dwóm sterczącym wzgórkom pod zapiętą bluzką, której letnia przewiewna tkanina pozwala dostrzec cień staniczka. Kiedy oczy jego napotykają spojrzenie Lucy, w ciszę wkracza zdumiewająca rzecz. Mrugnęła do niego.. Mrugnięcie szybkie jak światło - może mu się tylko zdaje. Królik naciska klamkę i wycofuje się na słoneczną ścieżkę, czując dziwny szmer w piersi, jakby tam pękła jakaś struna.

Janice ma przy sobie niemowlę, mówią mu w szpitalu, i czy wobec tego zechce chwilę poczekać. Siedzi w krześle o metalowych poręczach i przerzuca od końca stronic magazynu "Woman's Day", gdy wtem wchodzi jakaś wysoka kobieta z

gładko zaczesanymi siwymi włosami i jakby srebrzystą, delikatnie pomarszczoną twarzą. Wydaje mu się tak znajoma, że Królik nie odrywa od niej oczu. Ona to spostrzega i czuje, że powinna się odezwać. Królik odnosi wrażenie, że wołałaby go zignorować. Kim jest? Znajoma, ale duża odległość czasu dzieli go od tej znajomości. Kobieta, niechętnie patrząc mu w oczy, mówi:

- Dawny uczeń Marty'ego, prawda? Jestem Harriet Tothero. Był pan u nas kiedyś na kolacji. Nie mogę sobie przypomnieć pana nazwiska.

Ależ tak, oczywiście, pamięta ją, ale nie z powodu tej kolacji, tylko ze spotkań na ulicy. Uczniowie liceum w Sędziowskiej Górze wiedzieli prawie wszyscy, że Tothero uganiał się za kobietami, a jego żona jawiła się ich niewinnym oczom w wieńcu ciemnych płomieni ognia, prawdziwa męczennica, żywy cień grzechu. Przykuwała uwagę jako przedmiot nie tyle litości, ile niezdrowej fascynacji. Tothero był takim błaznem i samochwałą,

212

takim gadułą, że cała ohyda jego postępków spływała z niego jak woda z kaczki. To na tę wysoką, srebrną, poważną panią jako na żonę Tothera spadał ciężar jego wykroczeń i nadużyć, działających na młode umysły jak elektryczny wstrząs - odwracali od niej oczy ze strachem i zażenowaniem. Harry wstaje, czując ze zdumieniem, że świat, w który ona wkroczyła, jest teraz jego światem.

- Nazywam się Harry Angstrom - mówi.

- Tak, zgadza się. Był taki dumny z pana. Często mi o panu opowiadał. Nawet niedawno.

Niedawno? Co Tothero jej mówił? Czy ona wie o nim? Czy go potępia? Jej długa belferska twarz nie zdradza, jak zwykle, swoich tajemnic.

- Słyszałem, że jest chory.

- O tak, Harry, bardzo chory. Miał dwa wylewy, jeden już tu, w szpitalu.

- On jest tutaj?

- Tak. Może chce pan go odwiedzić? Wiem, że sprawiłoby mu to wielką przyjemność. Tylko na chwilę. Niewiele osób go odwiedza. Sądzę, że to tragedia wszystkich nauczycieli. Tak mało kto ich pamięta, a oni pamiętają wszystkich.

- Chętnie go zobaczę, oczywiście.

- To proszę ze mną. - Gdy idą przez hali. kobieta mówi: - Obawiam się, że znajdzie go pan bardzo zmienionego.

Nie słucha jej uważnie, uwagę jego przyciąga jej skóra, zastanawia się, czy naprawdę całe ciało tej kobiety wygląda jak zszyte ze sobą skórki małych jaszczurek. Widać tylko jej ręce i szyję.

Tothero leży w pokoju sam. Nad głową łóżka białe zasłony, jak czujna przyboczna straż. Zielone rośliny na parapecie okna wydzielają tlen. Uniesione szyby wpuszczają do pokoju zapachy lata. Za oknem skrzypią kroki na żwirze.

- Kochanie, przeprowadziłam ci kogoś. Niespodzianka! Wyobraź sobie, czekał na dole.

- Witam, panie Tothero. Moja żona urodziła dziecko. - Z tymi słowami Królik podchodzi do łóżka bez chwili namysłu; widok starego trenera jakby skurczonego i z językiem wymykającym się z krzywych ust zaskoczył

213

go. Twarz Tothera, upstrzona nie golonym, siwym zarostem, jest żółta na poduszce, obok płaskiej bryły ciała cienkie przeguby dłoni sterczą z rękawów pasiastej pastelowej piżamy. Królik wyciąga rękę.

- Nie może ruszać rękami, Harry - mówi pani Tothero. - Jest zupełnie bezwładny. Ale niech pan mówi do niego. Wszystko widzi i słyszy. - Jej łagodne, cierpliwe oświadczenie brzmi śpiewnie i robi niesamowite wrażenie, jakby nuciła coś tylko dla siebie.

Harry, skoro już wyciągnął rękę, przyciska nią grzbiet dłoni trenera. Przy całej swojej suchości ta dłoń, pokryta wątlym, kłującym zarostem, jest ciepła i ku przerażeniu Harry'ego porusza się - z uporem wykonuje obrót, żeby dotknąć jego dłoni swoim wnętrzem. Harry cofa palce i osuwa się na stojące przy łóżku krzesło. Stary trener odwraca głowę o parę centymetrów w stronę gościa, ale jego spojrzenie zmienia kierunek z pewnym trudem. Dolne powieki ściągnięte są w dół i oczy wydają się lekko wylupiaste. Mówić, trzeba coś mówić, i Królik mówi głośno:

- To dziewczynka. Chcę panu podziękować za pomoc, dzięki panu zeszliśmy się z

powrotem z Janice. Był pan dla nas bardzo dobry.

Tothero wciąga język do ust i odwraca twarz, żeby spojrzeć na żonę. Skacze mu jakiś mięsień pod szczęką, wargi wydymają się i broda drga jakby w rytmie tętna. Chory usiłuje coś powiedzieć. Wydaje kilka przeciągłych zgłosek. Harry odwraca się, żeby zobaczyć, czy pani Tothero to rozumie, ale ku jego zdumieniu kobieta patrzy w inną stronę. Wygląda przez okno na puste, zielone podwórko. Jej twarz jest jak fotografia. Czyżby zupełna obojętność? Jeśli tak, to może powiedzieć Totherowi o Margaret? Ale nie ma o niej nic do powiedzenia, co mogłoby ucieszyć chorego.

- Poprawiłem się, panie Tothero, a pan, mam nadzieję, wkrótce wstanie i wyjdzie ze szpitala.

Głowa Tothera odwraca się szybko, z urazą, usta są zamknięte, oczy lekko zezują - chory wygląda przez chwilę tak przytomnie, jakby miał zaraz coś powiedzieć; wydaje się, że ta pauza to tylko stary trik trenera, który rozmyślnie milczy, żeby człowiek mógł skupić całą swoją

214

uwagę. Ale pauza przedłuża się, traci napięcie, jak gdyby stosowana przez sześćdziesiąt lat dla nadania wagi słowom zwyrodniała w końcu i wszystkie słowa wchłonęła. A jednak pierwsze chwile tej ciszy emitują jakiś rodzaj siły - dusza ludzka w potrzebie wysyła swoje niewidzialne i pozbawione zapachu promienie. Poteitt wyraz oczu słabnie, brązowe powieki unoszą się i odsłaniają różową galaretkę, wargi rozchylają się i znowu widać koniuszek języka.

- Pójdę teraz zobaczyć się z żoną - krzyczy Harry. Urodziła w nocy dziecko.

Dziewczynkę. - Czuje

klaustrofobiczny lęk, jakby był w środku czaszki trenera. Wstaje z krzesła z obawą, że uderzy głową w biały sufit, chociaż oddalony jest o cały metr.

- Bardzo panu dziękuję. Wiem, że sprawił pan mężo: wi przyjemność - mówi pani Tothero. Lecz ton jej głosu świadczy, że stawia mu pałę.

Odprawiony, biegnie przez hali lekkim, sprężystym krokiem. Jest zdrowy i prowadzi się wzorowo, i przestrzeń, nawet ta antyseptyczna przestrzeń szpitalnych korytarzy,

wydaje mu się rozkoszna. A. jednak wizyta u Janice rozczarowuje go. Może wciąż jest porażony widokiem biednego Tothera - biedak leży jak nieżywy - a może Janice, gdy ustało działanie eteru, jest porażona wspomnieniem tego, jak z nią postąpił Janice skarży się, że okropnie bolą ją szwy, a kiedy on ponownie próbuje wyrazić skruchę, robi wrażenie znudzonej. Napotykając tyle trudności w dogodzeniu innym, Królik zaczyna zamykać się w sobie. Janice pyta, czemu nie przyniósł jej kwiatów. Nie miał czasu. Opowiada, jak spędził noc, i oczywiście Janice każe mu opisać dokładnie wygląd pani Eccles.

- Jest mniej więcej twojego wzrostu - odpowiada ostrożnie. - Piegowata.

- Jej mąż był wspaniały - mówi Janice. - On chyba kocha wszystkich ludzi.

Tak. On jest okay. Ale denerwuje mnie.

- Och, ciebie wszyscy denerwują.

- Nie, to nieprawda. Marty Tothero nigdy mnie nie denerwował. Właśnie widziałem tego biedaka tutaj, na pięttrze. Leży jak mumia. Nie mówi, ledwie rusza głową.

215

- Nie on, tylko ja ciebie denerwuję, prawda?

- Tego nie powiedziałem.

- Oczywiście. Ojej! Te przekłete szwy! Po prostu jak drut kolczasty. Tak ciebie denerwuję, że uciekłeś ode mnie na dwa miesiące. Z górą dwa miesiące.

- O Jezu, Janice. Bo nic innego nie robiłaś, tylko bez przerwy patrzałaś w telewizor i piłaś. Nie chcę powiedzieć, że sam byłem bez zarzutu, ale tak się czułem, że musiałem to zrobić. Miałem uczucie człowieka, którego włożyli do trumny, zanim jeszcze umarł. Tego pierwszego wieczoru, kiedy wsiadłem do wozu przed domem twoich rodziców, to mogłem równie dobrze pojechać po Nelsona i przywieźć go do domu. Ale kiedy zwołniłem hamulec, to... - Znów ten znudzony wyraz jej twarzy. I kiwa głową na boki, jakby się opędzała od much. - Gównno - kończy Królik.

To do niej dociera.

- Widzę - mówi - że nie nauczyłeś się lepiej wyrażać żyjąc z tą prostytutką.

- Nie była prawdziwą prostytutką. Sypiała z facetami, z tym i owym. Myślę, że dużo jest takich dziewczyn. Jeżeli masz zamiar nazywać prostytutką każdą, która nie ma

męża...

- Gdzie będziesz teraz mieszkał? Zanim wyjdę ze szpitala?
- Myślałem, żeby wrócić razem z Nelsonem do naszego mieszkania.
- Wątpię, czy to możliwe. Komorne jest nie zapłacone za dwa miesiące.
- Co? Nie zapłaciłaś?
- Na miłość boską, Harry. Ty masz wymagania! Chcesz, żeby tatuś płacił nasze komorne? Ja przecież nie miałam pieniędzy.
- Dobrze. Czy właściciel się dopominał? A co z meblami? Wyrzucił na ulicę?
- Nie wiem.
- Nie wiesz! To co ty właściwie wiesz? Co robiłaś przez cały ten czas? Spałaś?
- Nosiałam twoje dziecko.

Nie wiedziałem, do licha ciężkiego, że bez przerwy

216

byłaś tylko tym zajęta. Problem na tym polega, moja mała, że ty zawsze wszystko masz w nosie. - Z wyjątkiem słuchania ciebie. Królik dobrze zastanawia się nad tym, jak brzmią jego słowa, pamięta, co czuł ostatniej nocy, i po krótkiej przerwie próbuje od początku.

- Słuchaj - mówi - kocham ciebie.
- I ja ciebie kocham - odpowiada Janice. - Czy masz ćwierć dolara?
- Chyba tak. Poszukam. Na co ci?
- Jeżeli wrzucisz tam - Janice wskazuje palcem mały telewizor ustawiony na

wysokim stolyczku w nogach łóżka, żeby pacjent mógł widzieć ekran - to będzie czynny przez godzinę. O drugiej jest taki śmieszny program, który przyzwyczałam się oglądać z mamą, kiedy byłam w domu.

Królik siedzi zatem przez pół godziny przy jej łóżku, patrząc, jak krótko ostrzyżony mistrz ceremonii zabawia starsze panie z Akron w Ohio i z Oakland w Kalifornii.

Pomysł polega na tym, że wszystkie te kobiety opowiadają jakieś tragiczne historie i dostają za to pieniądze, zależnie od uznania widzów, ale wskutek przerw na reklamy i żarcików na temat wnuków i dziewczęcych fryzurek starszych pań niewiele czasu zostaje na tragedie. Królik spodziewa się, że ten mistrz ceremonii, obdarzony typową

dla Żydów bezbłędną dykcją, niezależnie od tempa, w jakim mówi, zacznie zachwalać fenomenalny obieracz jarzyn "Magik", ale widocznie jeszcze nie sezon na "Magika". Program wcale nie jest najgorszy. Para utlenionych bliźniaczek, kręcących wyzywająco tyłkami, prowadzi kobiety do różnych mikrofonów i budek, i na estrady z klaszczącą publicznością. To się przyczynia do zgody między nim i Janice - trzymają się za ręce. Łóżko sięga mu prawie do ramion, kiedy siedzi, i bawi go, że się znalazł w tak dziwnej pozycji wobec kobiety -jak gdyby niósł ją w ramionach, nie czując ciężaru. Poprawia jej pościel, podaje wodę do picia i tymi drobnymi usługami zaspokaja jakąś wewnętrzną potrzebę.

Jeszcze przed końcem tego programu wchodzi siostra i mówi:

217

- Panie Angstrom, jeśli chce pan zobaczyć dziecko, to pielęgniarka właśnie je pokazuje przez okno.

Idzie korytarzem za siostrą, która kołysze rozłożystymi biodrami pod nakrochmaloną bielą. Grubość jej karku dowodzi, że to kawał baby, przy kości. Masywne uda. Lubi u kobiety masywne uda. Jednocześnie ciekaw jest, co się dalej działo z synem tej kobiety ze Springfield, Illinois, który stracił rękę w strasznym wypadku samochodowym. Zajęty tą sprawą jest zupełnie nie przygotowany, kiedy na oddziale niemowląt - gdzie małe zawiniątka o główkach jak pomarańcze leżą, niektóre krzywo, w koszykach jak z supersamu - pielęgniarka przynosi do okna jego córeczkę. Jakby mu ktoś tłumik założył na serce. Oddech zamiera nagle w piersi. Mówi się zawsze, że noworodki są brzydkie, być może stąd to zdumienie. Pielęgniarka trzyma dziecko w taki sposób, że jego profil odcina się ostrą czerwienią od zapiętego na guziki białego fartucha. Fałdki dokoła nozdrzy, wycyzelowane w miniaturowej skali, zdają się cudownie precyzyjne; maleńki gładki szew zamkniętej powieki biegnie ukośnie linią tak długą, jak gdyby oko było ogromne i po otwarciu, wszystko widząc, wszystko już znało. W wyczuwalnym napięciu nieruchomej powieki i zadarcu wystającej górnej wargi widzi zachwycający odcień pogardy. Mała wie, że jest dobra. Nigdy nie przypuszczał, że wyczuje w niej kobiecość, coś delikatnego i jednocześnie trwałego w łuku podłużnej różowej czaszki ujętej w powijaki. Głowa Nelsona była

pełna guzów i jakichś strasznych niebieskich żył i łysa z wyjątkiem nasady karku. Królik spogląda przez szkło w dół ostrożnie i nieśmiało, jakby się bał, że samo spojrzenie może zniszczyć delikatny mechanizm tego nowego życia.

Uśmiech pielęgniarki przelotnie i życzliwie muska najpierw jego oczy, potem nos dziecka upewniając go, że jest ojcem. Jej umalowane wargi formują jakieś pytanie, na co on woła przez szybę:

- W porządku - i przytyka obydwie dłonie do uszu. - Jest wspaniała - dodaje głośniejszym głosem, żeby dotarło przez szkło, ale pielęgniarka już kładzie jego córkę z powrotem do koszyka z supersamu.

Królik odwraca się w złą stronę, napotyka mizerną z

218

niewyspania twarz stojącego za nim w kolejce ojca i głośno się śmieje. Wraca do Janice jakby przewiany wiatrem i w płomieniach ognia czerwonego jak skóra niemowlęcia. W korytarzu, który pachnie mydłem, przychodzi mu do głowy pomysł: nazwą dziewczynkę June. Jest czerwiec, urodziła się w czerwcu. Nigdy nie znał żadnej June. Spodoba się Janice, bo też zaczyna się na J. Ale Janice również zastanawiała się nad imieniem i chce jej dać imię swojej matki. Harry nigdy nie myśli o pani Springer, że ma jakieś imię. Rebeka. Przyływ ojcowskiej dumy z powodu dziecka rozczuła leżącą w łóżku Janice, on z kolei jest wzruszony jej życzeniem, świadczącym o przywiązaniu córki; martwi go czasem, że Janice nie kocha swojej matki. Zgodnie ustalają: Rebeka June Angstrom.

Prosta droga zostaje wygładzona. Okazuje się, że pan Springer płacił komorne przez cały czas; nie fatygując . córki, załatwił to z właścicielem domu, który jest jego osobistym przyjacielem. Zawsze przeczuwał, że Harry wróci, ale nie chciał się z tym zdradzić, na wypadek gdyby się pomylił. Harry i Nelson wracają do domu. Królik potrafi się zająć gospodarstwem. Podoba mu się, że elektroluks wsysa mięką rurą kurz do papierowej torby i że ta, napęczniona już szarymi kłakami, automatycznie unosi pokrywkę odkurzacza, niby dżentelmen swój cylinder. Nie całkiem bez racji zajmował się zachwalaniem fenomenalnego "Magika" - instynktownie lubi małe zdobycze cywilizacji, jak młynki i krajacze chleba, i różne pojemniki. Może

najstarszym dzieckiem powinna być zawsze dziewczynka. Mim, która w gospodarstwie Angstromów zjawiała się po nim, nigdy nie zgłębiła tajników kuchni, pozostawała zawsze w cieniu brata, jeśli chodzi o prace domowe, i niechętnie brała na siebie część obowiązków, z czasem coraz większą, ponieważ on był ostatecznie chłopcem. Prawdopodobnie tak samo będzie z Nelsonem i Rebeką.

Nelson pomaga. Trzyletni już niemal chłopczyk potrafi wykonać polecenia, które nie zmuszają go do opuszczenia pokoju, rozumie, że zabawki trzeba trzymać w koszyku, i

June po angielsku znaczy czerwiec. (Przyp. tłum.)

219

to, że czystość, porządek i światło dają uczucie szczęścia. Czerwcowy powiew wzdycha przez zasłony z siatki na oknach długi czas zamkniętych. Słońce pstrzy oczka siatki setkami lśniących literek T i L. Za oknami ulica Wilbura opada w dół. Na płaskich dachach sąsiadów blacha i lekko sfałdowana ze starości papa tajemniczo połyskują mieszaniną gruzu, cynfolii po czekoladzie i szklanej stłuczki - śmieci te musiały chyba spaść z nieba albo przyniosły je ptaki na tę podniebną ulicę, wysadzaną telewizyjnymi antenami, najeżoną kominami wielkości hydrantów pożarowych. Są trzy takie dachy na zboczu trzy brudne szerokie stopnie wiodące ku krawędzi, poniżej której zaczynają się lepsze domy, ceglane i tynkowane fortece z wybrzuszeniami werand i okien mansardowych i sterczącymi piorunochronami, strzeżone przez drzewa iglaste, chronione przez banki i biura notarialne. Aż dziwne, że ponad tymi rezydencjami wzniesiono rząd bloków mieszkalnych. Chytry podstęp. Ale w mieście zbudowanym wokół góry wysokość jest elementem zbyt pospolitym, żeby mieć szczególną cenę; ponad wszystkimi góruje ten prymitywny grzbiet góry, bór i jego ciemne zakamarki, oddzielone od "lepszego" części miasta pasmem niebrukowanych dróg, opuszczonych wiejskich domostw, cmentarzem i kilkoma osiedlami w stanie budowy. Tu, za następną przecznicą, kończył się bruk na ulicy Wilbura, a dalej ciągnęła się droga pełna błota i żwiru, biegnąca pomiędzy dwoma krótkimi rzędami parterowych willi, przemiennie w dwóch kolorach, postawionych w roku 1953 na gołej czerwonej ziemi, która wciąż jeszcze tak niepewnie trzyma się

zbocza góry, przypięta źdźbłami trawy, że po wielkiej ulewie woda spływająca rynsztokiem z ulicy Wilbura ma kolor pomarańczowy. Teren biegnie w górę jeszcze bardziej stromo i zaczynają się lasy.

Gdy Królik spojrzy ze swoich okien w przeciwną stronę, widzi za miastem rozległą uprawną dolinę z polem golfowym. Moja dolina -myśli.- Mój dom. Zielone poplamione tapety, dywany, których rogi wciąż się zaginają, drzwi szafy uderzające o telewizor, wszystko to, niedostępne jego zmysłom przez miesiące, powróciło z nieoczekiwaną siłą. Każdy kąt mieszkania zgadza się z tym, co utrwalone w pamięci: każda szpara, każda skaza na

220

ścianie zakarbowana jest w jego umyśle. Dodatkowych wymiarów nabiera staranność, z jaką robi porządek.

Ku radości Nelsona odnajduje części starych zabawek pod kanapą, pod krzesłem, za drzwiami i pod szafkami kuchennymi. Dziecko doskonale pamięta, co do niego należy.

- Babcia mi to dała - mówi podnosząc plastikową kaczkę pozbawioną kółek.

Naprawdę? Tak. Babcia dała. Kochana babcia, prawda? Tak.

Wiesz co? Co?

Babcia to jest mamusia mamusi. Tak. Gdzie mama? W szpitalu.

W szpitalu? Wraca w p i o n t e k? Tak jest. Wróci w piątek. Ucieszy się, że tu wszędzie czysto, prawda?

- Tak. Tatuś w p i t a i u?

- Nie. Tatuś nie był w szpitalu. Tatuś był daleko.

- Tatuś daleko? - Chłopczyk otwiera szeroko oczy i usta, zapatrzony w znane pojęcie "daleko". Głosem

nabrzmiałym powagą dodaje: - Bardzo długo. - Mierzy rączkami tę długość, rozkładając ramiona tak

szeroko, że paluszki wyginają się na zewnątrz. Większej długości nie jest w stanie pokazać. - Ale teraz tatuś nie

będzie daleko, prawda?

- Nie.

Zabiera ze sobą Nelsona do samochodu wybierając się do pani Smith, aby powiedzieć, że nie będzie już pracował w jej ogrodzie. Stary Springer dał mu pracę w swojej firmie. Rododendrony przy podjeździe, chrzęszczącym pod kołami, stoją zakurzone, szare, na gałązkach wisi jeszcze kilka uschłych kwiatów. W drzwiach wita ich pani Smith we własnej osobie.

- To jest mój Nelson, proszę pani.

- Tak, tak, witam cię, Nelsonie. Masz głowę swojego ojca. - Poklepuje małą główkę ręką zwiędłą jak liść

221

tytoniu. - Czekał no, niech pomyślę chwilkę. Gdzie też ja postawiłam naczynie z cukierkami. Wolno mu jeść cukierki, prawda?

- Chyba tak, niedużo. Ale proszę się nie fatygować.

- A właśnie że zrobię to, na co mam ochotę. Kłopot z tobą, młody człowieku, że nigdy nie pozwoliłeś mi o niczym decydować. - Pani Smith odchodzi drobnymi kroczkami, szarpiąc jedną ręką przód sukni, drugą wysuwając przed siebie jakby odgarniała pajęczyny.

W czasie jej nieobecności obydwaj z Nelsonem stoją i patrzą na wysoki sufit tego salonu, na wysokie okna z kamiennymi słupkami tak cienkimi, że wyglądają jak linie narysowane kredą, i na widoczne przez szyby - z których kilka ma odcień lawendowy - sosny i cyprysy strzegące dalekiej granicy posiadłości. Na lśniących ścianach wiszą obrazy. Jeden z nich przedstawia w ciemnych kolorach kobietę otuloną fałdzistym jedwabnym szalem, która - sądząc z gestu jej rąk - najwyraźniej walczy z dużym napierającym na nią łabędziem. Na drugiej ścianie wisi portret młodej kobiety w czerni, siedzącej na wyściełanym krześle w pozie jakby zniecierpliwionej. Jej twarz, choć szeroka, jest piękna, uczesanie odsłania trójkąt czoła. Krągłe, białe ramiona skrzyżowane na łonie. Królik podchodzi bliżej, żeby zobaczyć ją pod mniej ostrym kątem. Ma krótką, lekko odętą górną wargę, dodającą tyle wdzięku dziewczynie, uniosła ją leciutko, i usta rozchyła smużka. Jest w niej całej jakaś gotowość. Królik czuje, że dziewczyna za chwilę wstanie z krzesła i podejdzie do niego, marszcząc

trójkątne czoło. Pani Smith wraca z purpurową kulą na wysokiej nóżce, jak kielich do wina, i widząc na co on patrzy mówi:

- Zawsze miałam do niego żal, że nadał mi wygląd tak poirytowanej. Czy musiał? Nie lubiłam go ani trochę i wiedział o tym. Ulizany mały Włoch. Uważał, że zna się na kobietach. Proszę. - Podeszła do Nelsona z cukierkami. - Spróbuj jednego. Stare, ale dobre, jak dużo innych starych rzeczy na tym świecie. - Zdejmuje pokrywkę, wypukłą półkulę z przezroczystego szkła trzyma ją w drżącej dłoni. Nelson ogląda się, Królik zachęcająco kiwa głową i chłopczyk wybiera sobie cukierek w kolorowej cynfolii.

222

- Nie będzie ci smakował - mówi Królik do syna. - Na pewno ma w środku wiśnię.

- Sza! - mówi pani Smith - niech pan pozwoli I chłopcu wziąć to, co chce. - Biedne dziecko, oczarowane cynfolią, bierze ten cukierek.

Proszę pani - zaczyna Królik - nie wiem, czy pastor Eccles powiedział, że moja sytuacja trochę się zmieniła i muszę wziąć inną pracę. Żałuję, ale nie będę już mógł pomagać pani w ogrodzie.

- Tak, tak - mówi pani Smith, nie spuszczać z oka Nelsona, który rozwija cynfolię.

- Było mi naprawdę bardzo przyjemnie - ciągnie Królik. - Było mi jak w niebie, jak mówiła ta kobieta.

Ach, ta głupia Alma Foster. Malowała sobie usta aż pod sam nos. Nigdy jej nie zapomnę, biedaczki. Ani krzty rozumu. Daj to, dziecko, daj to pani Smith. - Odstawia szklaną kulę na okrągły marmurowy stół, na którym stoi tylko wschodnia waza pełna peonii, bierze od dziecka cukierek i gorączkowo przebierając palcami, zdziera z niego cynfolię. Dziecko stoi i gapi się z otwartą buzią: staruszka drżącą ręką wsuwa chłopcu w usta czekoladową kulkę. Ze zmarszczką zadowolenia na jednym policzku, odwraca się, upuszcza cynfolię na stół i mówi do Królika: - No cóż, Harry, przynajmniej zadbaliśmy o rododendrony.

- Tak jest. Tośmy zrobili.

- Wiem, że mój Harry na pewno się ucieszył, gdziekolwiek jest.

Nelson rozgryza czekoladkę i zaskoczony wiśniowym syropem otwiera z przerażenia usta, z których kątem warg sączy się coś brązowego; oczy dziecka obiegają niepokalane pałacowe wnętrza. Królik dyskretnie stula dłoń, chłopczyk podchodzi bliżej i po cichu wypluwa wszystko - kawałki czekoladowej skorupki, ciepły, lepki syrop i przegryzioną wiśnię.

Pani Smith tego nie widzi. Oczy jej, o źrenicach z przezroczystego splekanego kryształu, wbite są w oczy Harry'ego, gdy mówi:

Dla mnie to religijny obowiązek dbać o ogród Harry'ego.

- Jestem pewien, że znajdzie pani kogoś na moje

223

miejsce. Zaczęły się wakacje, będzie to doskonałe zajęcie dla jakiegoś starszego ucznia.

- Nie, nie. Nie chcę o tym myśleć. Za rok nie będzie mnie tutaj, nie zobaczę, jak zakwitają jego rododendrony. Trzymałeś mnie przy życiu, Harry, taka jest prawda, trzymałeś przy życiu. Przez całą zimę broniłam się przed grobem, a potem, w kwietniu, wyjrzałam przez okno i proszę; wysoki młody człowiek palił zeszlę badyle i wiedziałam, że życie mnie nie opuściło. Ty masz to w sobie. Życie. Dziwny dar i nie wiem, jak powinniśmy go używać, ale wiem, że to jedyny dar nam dany i że jest dobry. - Jej kryształowe oczy powlekają się czymś gęstszym od łez. Twardymi, brązowymi pazurami chwyta go za ramiona powyżej łokci. - Wspaniały młody mężczyzna z ciebie - mówi półgłosem i oczy jej znów patrzą przytomnie, gdy dodaje: - Masz dumnego syna. uważaj.

Miała zapewne na myśli, że powinien być dumny ze swego syna i dbać o niego. Jest wzruszony jej uściskiem. Pragnie się jakoś odwzajemnić, wtrąca "nie", kiedy ona wspomina o śmierci. W jego prawej dłoni topnieje rozgryziony cukierek, więc może tylko stać bezradnie i sztywno, gdy słyszy jej drżące:

- Do widzenia. Życzę wam wszystkiego dobrego. Życzę wam wszystkiego dobrego.

W tygodniu, który następuje po tym błogosławieństwie, on i Nelson często są szczęśliwi. Spacerują we dwójkę po mieście. Któregoś dnia oglądają mecz baseballa na boisku szkolnym. Grają mężczyźni w jaskrawych strojach - kombinacja filcu z

flanelą - i o ciemnych poparanych twarzach jak u robotników; jedna z drużyn nosi imię remizy strażackiej z Brewer, druga reprezentuje Klub Sportowy "Słońce" i ma prawdopodobnie te same koszulki, jakie Królik widział na poddaszu, kiedy spał w pokoju Tothera. Liczba widzów siedzących na składanych krzesłach nie jest większa od liczby zawodników. Za krzesłami, za ogrodzeniem z rur i drutu kolczastego, biegają gromady chłopców w tenisówkach, biegają, biją się i kłócą ze sobą. Królik i Nelson oglądają kilka rozgrywek w porze, kiedy słońce zapada między drzewami. Ogarnia wtedy Królika stare, jakby papierowe 224

uczucie ciepła - skośne słońce na policzkach, rzadki, roztargniony tłum, opryskliwa zaczepnoodporną gadanina, obłoki kurzu na żółtym boisku, dziewczęta paradujące w szortach i z czekoladowymi batonami. Brązowe dziewczęce nogi o grubych kostkach i gładkich udach. Wiedzą tak dużo, przynajmniej wie ich skóra. Chłopcy w tym samym wieku to kościste dryblasy w dżinsach i trampkach, spierają się namiętnie, czy Williams już się skończył, czy nie. Mickey Mantle dziesięć tysięcy razy lepszy. Williams dziesięć milionów razy lepszy. Królik pije do spółki z Nelsonem oranżadę kupioną u sprzedawcy w fartuchu z napisem "Boosters Club" - ustawił swój towar w cieniu na jakiejś skrzyni. Paruje suchy lód w pojemniku z lodami, z butelki odpada kapsel z głośnym pffff. Syntetyczna słodycz napełnia Królikowi serce. Nelson oblewa się oranżadą, próbując pić z butelki.

Innego dnia idą na plac zabaw. Nelson boi się huśtawki. Królik każe mu złapać się mocno i stojąc przed dzieckiem, żeby go widziało, delikatnie popycha huśtawkę. Ale Nelson śmieje się, prosi:

- Weź mnie - i zaczyna płakać. - Weź mnie, weź mnie, taaato!

Grzebanie w piaskownicy przyprawia Królika o lekki ból głowy. Gdy zaglądną do pawilonu gier, odgłos uderzeń piłki o sufit i stuk warcabów budzi echo w pamięci, powiew wiatru przynosi zapomniany zapach owej plastikowej wąskiej taśmy, z której wyplatało się bransoletki albo sznurki do gwizdków, zapach kleju i potu na uchwytach przyrządów gimnastycznych, zaprawiony szmerem dziecięcych głosów. Prawdą jest, że to coś, co zniknęło z jego życia, zniknęło nieodwołalnie; na nic wszelkie szukanie, żadnym lotem tego nie dogoni. To coś było tu, pod miastem, w

zapachach i głosach, które na zawsze znalazły się poza nim. Pełnia życia mija, kiedy dajemy Naturze okup, jakiego żąda, kiedy robimy dla niej dzieci. Wtedy Natura już nas nie potrzebuje, stajemy się - najpierw wewnątrz, a potem z zewnątrz - śmieciem. Łodygą kwiatu.

Odwiedzają babcię Springer. Dziecko jest zachwycone. Nelson kocha babcię i dlatego Królik ją lubi. Wprawdzie

225

pani Springer chce wywołać kłótnię, ale on nie podejmuje wyzwania, tylko przyznaje jej słusność; był łajdakiem, durniem, zachował się okropnie, ma szczęście, że go nie zamknęli. Jej atak w gruncie rzeczy pozbawiony jest jadu. Sprawia to, po pierwsze, obecność Nelsona, po drugie, ulżyło jej, że zięć wrócił, i boi się go odstraszyć, po trzecie, teściowie nie mogą tak się dobrać człowiekowi do skóry jak własny ojciec i matka. Pozostaje zawsze jakiś dystans bez względu na to, jak twarde zadają ciosy. Poza tym teściowie mają w sobie coś, co człowieka tak nie wiąże, a czasem wręcz bawi. Królik siedzi z teściową na ocienionej werandzie, przy mrożonej herbacie, jej obandażowane nogi spoczywają na stołeczku, a ciche postękiwania przy każdym ruchu wywołują jego uśmiech. Czuje się z nią jak z jedną z tych durnych dziewczyn w szkole średniej, którą się nawet lubi, ale mowy nie ma o miłości. Nelson i Billy Fosnacht bawią się cicho wewnątrz domu. Za cicho. Pani Springer chce zobaczyć, co się tam dzieje, ale nie chce ruszyć nóg z miejsca. W tej rozterce zaczyna się skarżyć na małego Fosnacha, jak temu dziecku brakuje ogłady, i potem przechodzi do jego matki. Pani Springer nie przepada za nią, nie ufa jej za grosz, nie chodzi o te okulary słoneczne, chociaż uważa, że to śmieszna przesada, chodzi o zachowanie tej dziewczyny, o to, że wdzięczyła się do Janice, bo czuła w powietrzu sensację.

- Tak się tutaj kręciła, że więcej się napracowałam przy Nelsonie niż Janice, bo one co dzień latały do kina jak pensjonarki, które nie mają obowiązków matki.

Otóż Królik wie jeszcze ze szkoły, że Peggy Fosnacht, wówczas Peggy Gring, nosi okulary słoneczne, ponieważ okropnie się wstydzi, że ma rozbieżnego zęza.

Natomiast Eccles powiedział mu, że towarzystwo Peggy Gring było dla Janice wielką pociechą w trudnym okresie, który już minął. Lecz Królik nie zgłasza tych

zastrzeżeń. Słucha z przyjemnością, zadowolony, że pogodził się z panią Springer; we dwoje dadzą radę całemu światu. Kostki lodu topnieją w herbacie, czyniąc ją podwójnie wodnistą; gadanina teściowej szmerze w uszach niczym wirujący nurt strumyka. Ukołysany, pozwala powiekom opaść, na jego twarz wypływa uśmiech.

Źle sypia, samotny, i

226

drzemie teraz na zielonej piersi dnia w błogim rozleniwieniu, przytulony wreszcie tam, gdzie należy.

Zupełnie inaczej jest w domu jego rodziców. Któregoś dnia idzie tam z Nelsonem. Matka z jakiegoś powodu jest zła. Królik już od progu czuje nosem jej gniew, razem z zapachem starości bijącym od wszystkiego. Ten dom wydaje się zaniedbany i ciasny w porównaniu z domem Springerów. Co jej dopiekło? Założywszy, że zawsze była po jego stronie, Królik opowiada jej, w nagłym przypiływie zaufania, że Springerowie są wspaniali, że pani Springer ma dobre serce i prawdopodobnie wszystko mu wybaczyła, że pan Springer płacił komorne za ich mieszkanie, a teraz obiecał mu pracę - będzie sprzedawał używane samochody na jednym z placów jego firmy. Ma ich cztery w Brewer i okolicy, kto b przypuszczał, że taki obrotny. Kombinator z niego nielichy, to fakt, ale przynajmniej ma szczęście, w każdym razie uważa, że on, Harry Angstrom, całkiem nieźle się z tego wszystkiego wywinął. Wydatny, garbaty nos matki i jej zasnute parą okulary błyskiem wyrażają gorycz. Matka poraża go swoją dezaprobatą, ilekroć odwraca się od zlewu. Pewnie dlatego, myśli Królik, że nie kontaktował się z nią przez cały ten czas, ale jeśli tak, to powinna być mniej, a nie więcej rozżalona teraz, gdy przyszedł porozmawiać. A może dlatego, że popełnili z Ruth grzech cudzołóstwa? Z biegiem lat matka staje się pobożna, prawdopodobnie też uważa go wciąż za dwunastoletniego chłopca. Nagle i zupełnie niespodziewanie matka wybucha:

- A co się stanie z tą biedną dziewczyną, z którą mieszkałeś w Brewer?

- Z nią? Och, ona sobie poradzi. Niczego nie oczekiwała. - Mówiąc to czuje jednak smak własnej śliny. Jego życie w jakiś sposób skurczyło się, skoro imię Ruth może znaleźć się w ustach matki.

Matka ściąga wargi i potrząsając głową obłudnie, odpowiada:

- Ja nic nie mówię, Harry. Nie mówię ani słowa. Ale oczywiście mówili bardzo wiele, tylko on nie wie co.

Pewnego rodzaju wskazówką jest sposób, w jaki matka traktuje Nelsona. Ignoruje go, nie proponuje żadnej zabawki ani go nawet nie przytuli, mówi tylko:

227

- Jak się masz, Nelson - lekko kiwnąwszy głową, zatoczywszy białe koło swoimi szklami.

Po czułościach pani Springer taki chłód wydaje się brutalny. Nelson czuje to, jest zgaszony i przestraszony, łągnie do nóg ojca. Królik nie wie, co gnębi jego matkę, ale z całą pewnością nie powinna się odgrywać na dwuletnim dziecku. Kto słyszał, żeby babcia tak postępowała. Co prawda, obecność dziecka nie pozwala na taką rozmowę, do jakiej przywykli, kiedy matka opowiada mu, co śmiesznego zdarzyło się w sąsiedztwie, a potem mówią o nim samym, jakim był dzieckiem, jak trenował koszykówkę przez całe popołudnie aż do zmroku i opiekował się Mim. Nelson, będąc w połowie Springerem, zdaje się uniemożliwiać ten rodzaj rozmowy. Królik przestaje na chwilę lubić swoją matkę. Trzeba rozum stracić, żeby odgrywać się na dziecku, które zaledwie nauczyło się mówić. Chciałby jej powiedzieć: Co właściwie znaczy takie zachowanie? Jakbym przeszedł na drugą stronę. Zachowujesz się jak wariatka. Czy nie rozumiesz, że jestem teraz po właściwej stronie, i dlaczego mnie nie pochwalisz?

Ale nie mówi tego; dorównuje jej uporem. W ogóle niewiele mówi. Opowiedział, jacy dobrzy są Springerowie, i milknie. Siedzi i bawi się z Nelsonem toczeniem cytryny po kuchennej podłodze. Ilekroć cytryna zawędruje pod nogi matki, on musi ją podnieść, bo Nelson nie chce. Panująca cisza sprawia, że Królik się rumieni, nie wie - za siebie czy za matkę. Niewiele lepiej jest, kiedy wraca ojciec. Nie okazuje złości, ale po prostu nie dostrzega syna. Powietrze. Irytujące są jego zgarbione ze zmęczenia plecy i brudne paznokcie; jakby rozmyślnie postanowił ich wszystkich postarzyć. Dlaczego nie wprawi sobie porządných zębów? Usta ma jak stara baba. Jedno przynajmniej robi: zwraca uwagę na Nelsona, który z ufnością posyła cytrynę

w jego stronę. Dziadek odsyła ją dziecku.

- Będiesz grał w piłkę jak twój tatuś?

- On nie może, Earl - wtrąca matka i Królik jest uszczęśliwiony, że słyszy jej głos, myśli, że pękły lody, dopóki nie usłyszy dalszego ciągu: - On ma małe ręce po

228

Springerach. - Słowa te, wymówione głosem twardym jak stal, krzeszą snop iskier w sercu Królika.

- Na miłość boską, odczep się - mówi i zaraz tego żałuje, bo w ten sposób wpadł w pułapkę. Cóż to znaczy, czy ręce Nelsona są małe, czy duże? Teraz odkrywa, że to jednak ma znaczenie; nie chce, żeby chłopiec miał ręce swojej matki, a jeśli chce i jeżeli matka spostrzegła, że on tego chce, to trochę mniej lubi swego syna. Tak, trochę mniej lubi swoje dziecko i nienawidzi matki, że to sprawiła. Jakby chciała wszystko zepsuć, nawet za cenę ryzyka, że się to na niej skrupi. Podziwia ją, podziwia jej zgodę na nienawiść, byleby przyjęto jej punkt widzenia. Ale on nie przyjmuje, odrzuca matczyne słowa, sięgają zbyt głęboko. Nie chce ich słyszeć. Nie chce od niej słyszeć ani słowa więcej. Chce wyjść z tą odrobiną miłości, jaką jeszcze ma dla niej.

Stojąc na progu pyta ojca:

- Gdzie jest Mim?

- Rzadko ją widzimy.

Jego zamglone oczy zapadają się, maca ręką po kieszeni koszuli, w której tkwią dwa długopisy i paczka brudnych kartek i jakichś papierków. Już od paru lat ojciec to robi

- kartki, notatki, pokwitowania, małe kalendarzyki owija gumką i ze starczą zapobiegliwością upycha takie zawiniątka po różnych kieszeniach. Królik opuszcza swój stary dom z uczuciem przygnębienia, serce w nim jakby zmieniło pozycję.

W dzień jest dobrze, póki Nelson nie pójdzie spać. Lecz kiedy chłopczyk zasypia, kiedy twarzyczka zapada mu się we śnie, a przez bezradnie rozchylone wargi płynie zwolniony wdech i wydech, zostawiając na prześcieradle plamki śliny, i pukle włosów układają się we wdzięczne wachlarzyki, nieskazitelną skórę gładkich policzków, z których uciekła żywość, pieczętuje mocny rumieniec, wówczas przed

Harrym otwiera się jakaś zapadnia, z której wyłazi strach. Dziecko śpi tak mocno!
Czy sen nie przebije przepony życia i nie strąci w nicość? Czasem wyjmuje chłopca z
łóżeczka, byle tylko upewnić się, że jest ciepły i odpowie mu niezdamym protestem
bezwładnie rozrzuconych rąk i nóg.

Królik kręci się po mieszkaniu, zapala wszystkie świat-

229

ła, włącza telewizor, pije piwo imbirowe i przerzuca kartki starego "Life'u",
chwytnąjąc się wszystkiego, co zapelni pustkę. Przed pójściem do łóżka wysadza
Nelsona, odkręciwszy kran klepie napięty goły tyłeczek czekając, aż z
poirytowanego, sennego dziecka tryśnie łukiem strumyk do miski klozetowej. Potem
owija Nelsona pieluszką i kładzie z powrotem do łóżeczka, a sam zbiera siły do
skoku przez tę głęboką zatokę dzielącą "teraz" od momentu, gdy w pierzastych
promieniach porannego słońca chłopczyk zmartwychwstaje, w zmoczonej pieluszcze
zjawia się przy jego dużym łóżku i klepie ojca po twarzy - na próbę. Czasem dziecko
włazi mu do pościeli i wtedy nagłe dotknięcie wilgotnej, zimnej pieluszki jest dla
Królika jak powrót na mokry, solidny brzeg lądu. Czas, dzielący jedno od drugiego,
jest Królikowi niepotrzebny. Ale namiętne pragnienie prześlizgnięcia się nad tym
czasem bardzo przeszkadza. Królik leży na plecach, ukosem, żeby nogi nie zwisały z
łóżka, i walczy z dziwnym uczuciem wewnętrznego zachwiania. Jak łódź
pozbawiona steru obija się wciąż o te same skały: nieprzyjemne zachowanie matki,
umykające spojrzenia ojca, milczenie Ruth, kiedy widział ją po raz ostatni, uparte,
przygnębiające milczenie matki. Co jej jest? Królik przewraca się na brzuch i wydaje
mu się, że patrzy w głąb morza, które nie ma dna, sięga spojrzeniem coraz głębiej,
gdzie skorupiaste skały kiwają na niego spośród ślepych odmętów. Kochana Ruth na
pływalni. Żaloszny pajac Harrison małpujący styl ekskluzywnych uniwersytetów.
Kretyn, osioł, sukinsyn. Mała brudna ręka Margaret bijąca Tothera po twarzy i
Tothero w łóżku z wywalonym językiem, mrugającymi oczami jak z galarety. Nie.
Nie chce o tym wszystkim myśleć. Odwraca się na plecy w gorącym suchym łóżku,
ale dziwne uczucie zachwiania powraca z uporem. Myśl o czymś przyjemnym.
Koszykówka i jabłecznik w owej szkółce na końcu okręgu Wilga, ale to za daleka

przeszłość, nie może sobie przypomnieć nic prócz tego jabłecznika i widzów siedzących na estradzie. Ruth na pływalni: leżąca na wodzie, jakby nic nie ważyła, otoczona wodą, płynąca na plecach do tyłu, oczy zamknięte, i potem na brzegu z ręcznikiem, jej nogi widziane 7 dołu aż po intymne włoski, potem jej twarz obok, duża i

230

żółta, i nieruchoma - martwa. Nie. Musi wymazać z pamięci Tothera i Ruth, oboje przypominają o śmierci. Z jednej strony próżnia śmierci, z drugiej rosnąca groza powrotu Janice do domu; stąd to uczucie zachwiania, przechylenia. Chociaż leży sam, czuje, że go oblegają, przeszkadzają mu nie tyle ich twarze czy słowa, ile ich niema, intensywna obecność, napierająca w ciemności niczym skały pod wodą, a za tym wszystkim, jakby w tle, ktoś cicho, cienko nuci - żona pastora mruga do niego okiem. Właśnie. Co to było? Czy tylko żart w zamieszaniu przy drzwiach, kiedy dziecko paradowało tylko w majteczkach i być może zdała sobie sprawę, że on patrzy na jej paznokcie u nóg, lekkie przymrużenie oka mówiące: Życzę szczęścia na nowej drodze życia, czy też blask światła w ciemnym hallu mówiący: Wejdiesz? Śmieszna piegowata mądrała powinien był jej dopaść dlatego dokucza mu teraz ten głos nucący cienko bez przerwy naprawdę chciała żeby ją zerznął cień jej staniczka sterczące cyczuszki w pokoju pełnym światła obciąża szorty na udach o skórze dziecka toczona uda pośladki dwie świecące półkule bieli Freud w białym salonie na ścianach malowane akwarele kanały chodź tu ty pierwotny ojczulku kanały siedzi rozkraczona na kanapie jak otwarta biała brama - jaką przyjemną masz pierś i tu i tu i tu. Królik przewraca się i suche prześcieradło jest dotknięciem jej niecierpliwych rąk; wzniesiony wysoko ponad futrzasty welwet, nabrzmiąły, napięty, pulsujący, świadomą ręką robi to, co musi robić, żeby zamilkło to cienkie nucenie, żeby zwiotczeć przed snem. Rozkoszna kobieca piana. Dopada Lucy. Cały sztywny przeciska się przez szparę i przechodzi na drugą stronę mokry. Głupio. I nieprzyjemnie. Dziwna rzecz, zmoczył prześcieradło nie tam, gdzie można się było spodziewać - nie to drugie, wierzchnie, ale na spodzie. Przykłada policzek do poduszki w nowym miejscu. Już mniej jest rozchwiany, już załatwił Lucy. Jej białe

kszałty odpływają jak rozplatany sznurek. Spać! Szybkuje w stronę snu, ale wciąż trafia na upartą zaporę - myśl o zbliżaniu się dalekiego brzegu. Trzeba myśleć o przyjemnych rzeczach. Ze wszystkiego, co zapamiętał ze swego życia, jedyne miejsce, gdzie stając po ziemi nie depcze

231

żadnych twarzy, to przed barem w Zachodniej Wirginii, do którego wszedł i napił się kawy owej nocy, kiedy tamtędy przejeżdżał. Pamięta pierścień gór jak wycięty z papieru na tle rozbielnego księżycem błękitu nocnego nieba. Pamięta ten przydrożny bar z jego złocistymi oknami jak okna tramwaju, którym jeździł z Sędziowskiej Góry do Brewer będąc dzieckiem, i powietrze, zimne, ale już z wyraźną zapowiedzią wiosny. Słyszy za sobą kroki na asfalcie i widzi tę parę splecioną dłońmi, biegnącą do samochodu. To jedna z tych rudych dziewczyn, które siedziały w barze, z włosami wiszącymi jak wodorosty. To chyba właśnie tutaj popełnił omyłkę i zawrócił, chcieli go poprowadzić, i powinien był pójść z nimi, i wydaje mu się w obecnym stanie dezintegracji, że istotnie poszedł, że wciąż idzie, jak dźwięk w muzyce, który zdaje się wędrować, kiedy brzmi, chociaż trwa w jednym miejscu. I ten dźwięk przenosi go w sen.

Lecz budzi się przed świtem znów rozedrgany, zdjęty strachem na pustym łóżku, strachem, że Nelson nie żyje. Próbuje powrócić ukradkiem w sen, który mu się śnił, ale koszmarny strach rośnie, więc w końcu wstaje i idzie posłuchać, jak chłopiec oddycha, potem siusia z lekkim bólem i wraca do pościeli, gdzie budzące się światło czarną linią podkreśla każdą fałdę. Kładzie się w tę sieć i udaje mu się ukraść godzinę, zanim chłopiec przyjdzie do niego, głodny i zziębnięty.

W piątek wraca do domu Janice. Przez pierwszych kilka dni obecność noworodka czuje się w całym mieszkaniu, jak małe kadzidło w kaplicy. Rebeka June leży w koszyku z sitowia, pomalowanym na biało i ustawionym na rolkach. Kiedy Królik podchodzi, żeby spojrzeć na dziecko, upewnić się, że tam jest, widzi ją niewyraźnie, jakby nie nabrała jeszcze dość tej siły, która stworzy sylwetkę. Jej odwrócony policzek, już bez jaskrawej czerwieni, jaką widział w szpitalu, jest upstrzony szarymi, żółtymi i niebieskimi plamkami, marmurkowy jak jego dłonie, kiedy czuje mdłości;

w czasie karmienia na piersi Janice występują żółte plamy, jakby odpowiednik słabszych odcieni tego koloru na skórze dziecka. Ten związek piersi i twarzy niemowlęcej tworzy kulistą symetrię, do której on i Nelson chcą się przyłączyć.

Nelson traci

232

spokój, pcha się na Rebekeę ssącą pierś, wfyka palce w szczelinę pomiędzy wargami niemowlęcia i sutką matki i złajany i odepchnięty wędruje dokoła łóżka,

wyśpiewując zapowiedź słyszana w telewizji: "Duża mysz jest już w drodze". Królik uwielbia, leżąc na boku, przyglądać się, jak Janice manipuluje swymi wzdętymi piersiami, których biała skóra lśni od obfitości. Janice wpycha grube sutki, jak broń, w ślepe, nabrzmiałe usta, które otwierają się i chwytają z szybkością pisklęcia.

- Au! - zżyma się Janice, a wtedy gruczoły umieszczone w ustach dziecka zaczynają pęcznieć równolegle z gruczołami mlecznymi i symetria się utrwała: twarz matki odpręża się w uśmiechu skierowanym w dół. Przy drugiej piersi podtrzymywana pieluszka wchłania mleko, które sączy się solidnie. W tych pierwszych dniach, pełnych spokoju i szpitalnej higieny, Janice ma więcej mleka, niż go dziecko potrzebuje. Między porami karmienia mleko cieknie z sutek, staniczki wszystkich jej nocnych koszul mają po dwie sztywne plamy. Kiedy Królik widzi ją nagą, zupełnie nagą, wyjąwszy elastyczny pas, jej ogolone podbrzusze wzdęte i oznaczone tą pionową brązową linią, którą mają tylko matki, wszystko się w nim przewraca na widok - wyzywający - jej piersi uniesionych wysoko przez ciśnienie pokarmu, odstających od smukłego ciała, jak lśniące owoce z zielonymi żyłkami i o szorstkich fioletowych czubkach. Piersiasta, obandażowana Janice porusza się ostrożnie, jakby przy wstrząsie coś z niej mogło się ulać. Chociaż przy dziecku obnaża swe piersi bez wstydu - narzędzia pracy, podobnie jak ręce - pod jego wzrokiem wciąż ogarnia ją nieśmiałość i szybko się zakrywa, jeśli on patrzy zbyt otwarcie. Lecz on czuje różnicę pomiędzy tym, co jest teraz, a tym, co było wtedy, kiedy kochali się na początku, leżąc bokiem obok siebie na cudzym łóżku, on z zamkniętymi oczami, i razem, jak przez mgłę, wstępowali jedno w drugie. Teraz Janice jest niedbała, wychodzi z łazienki naga, nie podciąga ramiączek od razu po karmieniu dziecka, zdaje się z

niewymuszoną wdzięcznością uznawać fakt, że jest maszyną, białą, uległą maszyną do zapładniania, wylęgania, karmienia. On też ma pokarm. Gęsta, słodka miłość przepelnia jego pierś, tak bardzo jej pragnie - choćby dotknąć; wie, że

233

ona jest jedną krwawiącą raną, ale jemu wystarczy dotknięcie, by uwolnić się od swego mleka, przekazać go Janice. Pod działaniem eteru mówiła o kochaniu się, teraz jednak odwraca się od niego w łóżku i śpi ciężkim snem, jakby ponurym. Za bardzo jest jej wdzięczny, za bardzo z niej dumny, żeby być nieposłusznym. Przez ten tydzień poniekąd ją ubóstwia.

Odwiedza ich Eccles i mówi, że ma nadzieję zobaczyć ich w kościele. Tak wiele są mu winni, że chętnie się godzą, miło będzie z ich strony, jeżeli przyjdą, przynajmniej jedno z nich. Oczywiście Harry, bo Janice nie może. W niedzielę minie dziewięć dni, jak wyszła ze szpitala, zaczyna się czuć wyczerpana, osłabiona i wyzyskiwana, ponieważ Harry od poniedziałku chodzi do swojej nowej pracy. Harry cieszy się, że pójdzie do kościoła Ecclesa. Nie tyle z przywiązania do pastora, chociaż i z tego powodu. Głównie dlatego, że uważa się za szczęśliwego, powiodło mu się, otrzymał błogosławieństwo i przebaczenie, i chce za to podziękować. Instynktem czuje istnienie świata niewidzialnego i we wszystkim, co robi, jest o wiele więcej, niż mógłby ktoś przypuszczać, kontaktu z tym światem. Królik wkłada swój nowy szary garnitur i za kwadrans jedenasta wychodzi z domu - jest jasny, błękitny poranek, niedziela przed letnim przesileniem dnia z nocą. Z okna Ruth patrzył zawsze z przyjemnością na ludzi uroczyście spieszących do kościoła, a teraz jest jednym z nich. Czeka go pierwsza od ponad tygodnia godzina wolna od towarzystwa kogoś z rodziny Springerów. Janice w domu i jej ojca w pracy. Pracę ma dość łatwą, jeśli komu łatwo przychodzi kłamstwo. W połowie dnia czuje zmęczenie. Człowiek bierze różne gruchoty, ponad sto tysięcy kilometrów na liczniku, tłoki tak wytarte, że benzyna przez nie przecieka, myje wóz, cofa licznik i słyszy siebie mówiącego klientom, że wszystko jest cacy. Pomodli się o rozgrzeszenie.

Nie znosi na ulicy takich, co mają brudne, codzienne ubrania - ci demonstrują swoje przekonanie, że świat jest na krawędzi przepaści, że wszystko i tak kończy się

śmiercią, że błędniczkę jego uczuć nie prowadzi donikąd. Kocha za to tych, którzy się stroją do kościoła: odprasowane dwurzędowe garnitury na okazałych mę-

234

skich barach przydają treści i powagi jego przelotnym odczuciom tego, co niewidzialne; kwiaty na kapeluszach ich żon zdają się już przemieniać niewidzialne w widzialne; ich córki są jak kwiaty, ciało każdej z nich to kwiat o płatkach z tiulu i falbanek, są żywą wiarą i w oczach Królika nawet te najbrzydsze jaśnieją pięknnością i pięknem wiary. Mógłby całować ich nogi z wdzięczności; wyzwalają go z lęku.

Wchodzi do kościoła zbyt przepelniony uczuciem szczęścia, żeby prosić o przebaczenie. Kiedy klęczy w ławce na czerwonym podnóżku, nie dość grubo wyścielonym, żeby pod ciężarem ciała nie uwierał boleśnie kolan, radość upaja go, krew uderza do głowy, a na wargach płaczą się bezładnie słowa Boże, Rebeka, dziękuję Ci w bezsensownych przyływach zadowolenia. Dokoła niego szemrze i faluje tłum ludzi, którzy znają Boga; nieświadomie podtrzymują go w ciemności. Kiedy wraca do pozycji siedzącej, uwagę jfgo przykuwa głowa, którą ma przed sobą. Kobieta w (luźnym słomkowym kapeluszu. Jest poniżej przeciętnego wzrostu, ma wąskie, piegowate ramiona, zapewne młoda, chociaż i stare często wyglądają z tyłu młodo. Duży kapelusz wdzięcznie przekazuje najłżejsze poruszenie głowy i odsłania tajemnicę, którą jedynie on podpatrzył - kosmyk jasnych włosów u nasady karku. Kark i ramiona kobiety mienia się lekkim blaskiem od delikatnego, białego meshku widocznego tylko tam, gdzie układa się wraz ze światłem. Królik uśmiecha się, pamięta, jak Tothero mówił, że kobiety całe pokryte są włosami. Ciekaw jest, czy Tothero już umarł, i natychmiast modli się, żeby się to nie stało. Nie może się doczekać, kiedy kobieta pokaże swój profil spod ronda wielkiego kapelusza, okrągłego jak słońce, przybranego wygiętym w łuk pękiem papierowych fiołków. Kobieta odwraca się, zerka w bok i na dół - Królik wstrzymuje dech - lecz błyska tylko najcieńszy półksiężyc policzka i twarz znów znika w cieniu. Różowa kokarda wynurza się obok jej ramienia. Królik ma przed sobą zaciekawioną, rozanieloną twarzyczkę małej Joyce Eccles. Sięga na oślep po śpiewnik, gdy organy donośnie wtórują nabożeństwu. Oddalona od Królika na długość ramienia żona Ecclesa wstaje

z miejsca.

235

Eccles sunie środkiem nawy tuż za potokiem akolitów i chórzystów. Oddzielony balustradą przed ołtarzem wydaje się w swoich szatach roztargniony i niezadowolony daleki i mały, sztywny jak japońska lalka. Nieprzyjemni uderza Królika jego afektowany głos, gdy Eccles pobożnie, przez nos, intonuje modlitwy. Jest coś nieprzyjemnego w całym episkopalnym nabożeństwie, w tych męczących crescendo i piano, seryjnych prośbach, pobieżnych, krótkich zaśpiewach. Dokucza mu niewygodny klęcznik boli go kark; zapiera się łokciami o stojącą przed nim ławkę, żeby nie odchyłać się do tyłu. Brak mu znajome, luterańskiej liturgii, która wżarła mu się w serce jak napis pociemniały z biegiem lat. Tutaj bez przerwy się myli zdeorientowany jakąś dziwnie kapryśną kolejności: modlitw. Ma uczucie, że za dużo wagi przykładają się do zbiórki pieniędzy. Kazania słucha jednym uchem.

Dotyczy ono czterdziestu dni na pustyni i rozmowy Chrystusa z szatanem. Czy to ma jakiś związek z nim tutaj, teraz? W dwudziestym wieku, w Stanach Zjednoczonych Ameryki? Tak. Jest sens w tym, żeby wszyscy chrześcijanie rozmawiali z szatanem, uczyli się jego sposobów postępowania, słyszeli jego głos. Jest to legen da o bardzo starej tradycji, podawana była z ust do ust przez wczesnych chrześcijan. Jej szersze znaczenie, jej głębszą myśl, Eccles widzi następująco: cierpienie, nędza, nieurodzaj, trud, niedostatek - wszystko to stanowi niezbędną część edukacji, można by powiedzieć inicjacji dla każdego, kto chce iść za Chrystusem. Eccles zmaga się na ambonie z piskliwością swojego głosu. Brwi mu podskakują jak ryba na wędce.

Nieprzyjemny jest widok tych niemal konwulsyjnych wysiłków pastora - za kierownicą samochodu więcej ma w sobie naturalnej pobożności. W liturgicznych szatach robi wrażenie ponurego kapłana zajętego jakąś nudną ceremonią. Dla Harry'ego chrześcijaństwo ma aspekt bebechowaty; nie lubi jego cierpiętnictwa i oswojenia ze śmiercią, i teorii, że cierpienie zbawia, bo w ten sposób wszystko zostaje odwrócone do góry nogami jak parasolka na wietrze. Harry nie trawi paradoksów. Oczy jego zwracają się do światła, nawet jeśli świeci prosto w zrenice.

236

Rumiany policzek Lucy Eccles raz po raz wynurza się i chowa za tarczę z plecionej słomki. Dziecko - z wyjątkiem kokardy - ukryte za oparciem ławki, coś do niej szepcze, prawdopodobnie, że on siedzi z tyłu. Ale kobieta ani razu nie odwraca głowy, żeby spojrzeć na niego. podnieca go ten niepotrzebny afront. Musi zadowolić się jej profilem. Leciutko zarysowany podbródek pęcznieje, gdy Lucy karczi siedzącą obok niej dziewczynkę. Ma na obie sukienkę w cienkie niebieskie paski, które spotykają się na szwach, tworząc liczne ostre, litery V. Efektowny materiał i krój sukienki kłóci się z kościołem, a równo; zeń mu się podporządkowuje. Jest coś zmysłowego w spokoju, jaki Lucy zachowuje w kościele, w jej uległości wobec męskiej procedury. Ale jej uwaga - Królik ochlebia sobie - w istocie skierowana jest w jego stronę, "o tyłu. Na tle pochylonych głów, witraży, pożółkłych blic pamiątkowych na ścianie i pracowicie rzeźbionego inkrustowanego drzewa jej włosy, skóra i kapelusz odcinają się własnym lśnieniem, odmiennością barw, które są -? różne odcienie blasku jednego płomienia. Więc kiedy nabożeństwo przechodzi w końcowy hymn 'jasny karczek pochyla się, by przyjąć błogosławieństwo, o minucie nerwowej ciszy Lucy wstaje i odwraca się do 'iego, widok jej twarzy rozładowuje w nim napięcie - wiczy i nozdrza, i piegi, i te nieruchome dołeczki w policzkach, które nadają kącikom ust wyraz sarkazmu. Zaskakujące, że ta twarz ma w ogóle jakiś wyraz. Wydawało się niemożliwe, żeby to lśniące zjawisko, którym cieszył wzrok przez godzinę, mogło tak szybko zredukować się do jednej małej osóбки.

- Cześć - mówi.

- Dzień dobry - mówi ona. - Jest pan ostatnią osobą, której mogłam się tu spodziewać.

- Dlaczego? - Przyjemnie mu, że uważa go za kogoś wyjątkowego.

- Nie wiem. Nie wygląda pan na takiego, co szanuje instytucje.

Królik śledzi jej oczy. Może jeszcze raz do niego mrugnie? Przestał wierzyć w to pierwsze mrugnięcie sprzed tygodnia. Ona wytrzymuje jego spojrzenie, póki pierwszy nie spuści oczu.

237

- Dzień dobry, Joyce - mówi Królik. - Jak się masz?

Dziewczynka waha się i chowa za matkę, która drobnymi krokami zrećnie sunie do wyjścia, pogodnie rozdając uśmiechy owcom ze stada swego męża. Musi podziwiać jej wyrobienie towarzyskie. Przy drzwiach Eccles zamyka rękę Harry'ego w silnym uścisku dłoni, serdecznym uścisku, który tężeje wtedy, kiedy powinien się rozluźnić.

- To prawdziwa radość widzieć cię tutaj - mówi nie puszczając jego ręki.

Królik czuje za plecami napór gęstniejącego tłumu.

- Przyszedłem z przyjemnością - odpowiada. - Kazanie pierwsza klasa.

Eccles, który patrzył na niego z gorączkowym uśmiechem, zarumieniony jakby z zażenowania, śmieje się, błyskając przez chwilę podniebieniem, i odchodzi.

Harry słyszy, jak Eccles mówi do Lucy:

- Mniej więcej za godzinę.

- Pieczeń już w piecu. Czy będziesz jadł zimną, czy gorącą, mocno wypieczoną?

- Wypieczoną. - Eccles uroczyście ujmuje rączkę Joyce i pyta: - Jak zdrowie, pani Milusińska? Wspaniale pani dziś wygląda!

Zaskoczony Królik odwraca się, widzi, że tuż za nim jakaś otyła kobieta też jest zaskoczona. Lucy ma rację, jej mężowi brak umiaru. Lucy, a za nią Joyce równają się z Królikiem. Jej słomkowy kapelusz sięga mu do ramienia.

- Czy jest pan samochodem?

- Nie. A pani?

- Nie. Niech pan idzie z nami.

- Doskonale. - Propozycja jest tak śmiała, że niczego w sobie nie zawiera. A mimo to struna harfy w jego piersi nastrojona na jej ton zaczyna drzeć. Drży światło słońca poprzez drzewa, szeroko kładzie się suchym ciężarem na ulice i wzdłuż nie ocienionych fragmentów chodnika. Utraciło poranną ziarnistą mleczość.

Błyszczą cząsteczki miki na chodniku, dachy i okna spieszących samochodów błyskają w powietrzu odcieniem bieli. Lucy zdejmuje kapelusz i potrząsa włosami.

Kościelny tłum rzędzie za nimi. Zieleń świeżych, gładkich,

238

soczystych liści klonów, które rosną na brzegu chodnika, obejmuje ich rytmicznie, szerokie przerwy między drzewami są pełne słońca i tamtej twarzy i jego koszula

wydają się białe. Szum silników i skrzypienie rowerów na trzech kółkach, stuk filiżanki o spodek wewnątrz jakiegoś domu docierają do niego jakby po jakimś błyszczącym stalowym przewodzie. Idąc obok niej Królik drży w świetle, które wydaje się być jej światłem.

- Jak się czuje żona i dziecko? - pyta Lucy.

- Świetnie. Naprawdę świetnie.

- To dobrze. Lubi pan swoją nową pracę?

- Niespecjalnie.

- O! Czy to nie zły znak?

- Nie wiem. Nie uważam, że każdy powinien lubić swoją pracę. Gdyby lubił, nie byłaby to praca.

- Jack lubi swoją pracę.

- Wobec tego to nie jest praca.

- On mówi tak samo. Mówi, że to nie jest praca taka, jak ja ją pojmuję. Ale jestem pewna, że pan wie, co on lubi, tak samo jak ja.

Królik zdaje sobie sprawę, że ona z niego pokpiwa, ale nie czuje ukłuć, jest podniecony.

- Zdaje mi się, że on i ja jesteśmy jakoś do siebie podobni.

- Wiem, wiem. - Dziwny pośpiech tego potwierdzenia przyspiesza bicie jego serca. - Ale widzę oczywiście różnicę - dodaje Lucy. Głos jej sucho załamuje się przy końcu zdania, dolna warga wykrzywia się.

Co to jest? Królik ma uczucie, jakby dotknął szkła. Nie wie, czy mówią o niczym, czy też ustalają kod, za którym kryją się głębsze znaczenia. Nie wie, czy ona flirtuje z nim świadomie, czy nieświadomie. Ilekroć się spotykają, ma zamiar mówić stanowczo, powiedzieć, że ją kocha, czy coś równie śmiałego, i odsłonić prawdę. Ale w jej obecności staje się niemy; para jego oddechu pokrywa dzielące ich szkło i nie wie, co powiedzieć, a to, co mówi, jest głupie. Wie tylko jedno: bez względu na to, co myślą, w każdej sytuacji on nad nią panuje jak na oddanym mu w dziedziczne lenno dalekim kawałkiem ziemi, i że gotowa jest poddać się jego dominacji każdym fibrem ciała, każdym włosem, nerwem, najcieńszą żyłką. Lecz pomię-

dzy tą jej gotowością a nim samym stoi na przeszkodzie wszystko, co dyktowane jest rozsądkiem. Pyta ją:

- Jaką różnicę?

- Och, na przykład to, że pan się nie boi kobiet.

- A kto się boi?

- Jack.

- Tak pani uważa?

- Oczywiście. Nie boi się starszych kobiet i podlotków, z nimi świetnie sobie radzi, z tymi, co go widzą w koloratce. Ale innych się wystrzega, innych nie lubi. Nawet nie jest przekonany, że powinny przychodzić do kościoła. Przynoszą zapach niemowląt i łóżka. To nie dotyczy wyłącznie jego, to jest cecha chrześcijaństwa. Bardzo neurotyczna religia.

Jakoś tak już jest, że kiedy ona wyjeżdża z tą swoją psychologią, wydaje mu się to takie głupie, że jego odczucie własnej głupoty znika. Schodząc z wysokiego krawężnika, bierze ją za ramię. Sędziowska Góra, zbudowana na stoku, pełna jest wysokich krawężników, które niskim kobietom sprawiają kłopot, gdy chcą je pokonać z wdziękiem. Palcami czuje chłód jej nagiego ramienia.

- Proszę tego nie mówić parafianom.

- Widzi pan! Jack powiedziałby zupełnie to samo.

- A to dobrze czy źle? - Tu ją ma. Łapie ją za słowo. Musi teraz odpowiedzieć "dobrze" albo "źle" i to będzie wóz albo przewóz.

Ale ona nic nie mówi. Królik wyraźnie czuje wysiłek, z jakim się opanowała; przywykła do dawania odpowiedzi. Wchodzą na chodnik po drugiej stronie ulicy i wtedy on niezręcznie puszcza jej ramię. Pomimo niezręczności nadal trwa w nim odczucie jakiejś wspólnoty, wzajemności; dobrali się.

- Mamusiu? - pyta Joyce.

- Co takiego?

- Co to znaczy - rotyczny?

- Rotyczny? Och, neurotyczny. To jest wtedy, kiedy ci coś dokucza w głowie.

- Na przykład katar?

- No, można by i tak powiedzieć. W każdym razie jest to mniej więcej tak samo poważna choroba. Ale nie

240

martw się o to, kochanie. Prawie każdy to ma. Z wyjątkiem naszego przyjaciela pana Angstroma.

Dziewczynka zerka na niego ukosem spoza biodra matki i na twarzyczkę jej wypływa uśmiech świadomej ebie zuchwałości.

- On jest niegrzeczny.

- Nie tak bardzo - odpowiada matka.

Przy końcu ceglanego muru plebanii leży porzucony niebieski trzykołowy rowerek i Joyce biegnie naprzód, wsiada i odjeżdża w swojej niebieskiej jak woda niedzielnej sukience, z różową kokardą we włosach; metal zgrzyta, tkając w powietrzu bruchomówczą przędzę hałasu. Przez chwilę patrzą oboje na dziecko. Potem Lucy pyta:

- Ma pan ochotę wejść?

Czekając na odpowiedź, Lucy kontempluje wzrokiem jego ramię. On widzi jej białe powieki kryjące oczy, rozchylone usta. Ruch jej szczęki zdradza mu, że językiem dotyka podniebienia. W pełnym świetle południa rysy jej nabierają ostrości, pomadka na ustach jest popękana. Królik widzi wewnętrzną stronę jej dolnej wargi, wilgotną przy zębach. Spóźniony odzew kazania, posmak zawartych w nim dręczących napomnień przenika go niby powiew kurzu z pustyni, w śmieszny sposób skojarzony z wizją piersi Janice, pożyłkowanych zielono, miękkich. Ta podła mała chce go od nich oderwać.

- Nie, dziękuję. Doprawdy nie mogę.

- Och, niech pan przestanie. Był pan w kościele, należy się teraz nagroda. Napije się pan kawy.

- Nie. Słuchaj no - słowa te brzmią cicho, lecz w jakiś sposób doniosłe. - Miła z ciebie laleczka, ale mam już żonę. - I jego ręce, uniesione w nieokreślonym geście

wyjaśnienia, sprawiają, że Lucy szybko cofa się o krok.

- Wypraszam sobie!

Świadomy jest tylko małego pstrego odcinka jej zielonych tęczówek, jak z podartej bibułki, otaczających czarne źrenice, potem widzi jędrne, krągłe pośladki podskakujące na ścieżce.

- Ale w każdym razie, dziękuję! - woła za nią bezdźwięcznym, przytłumionym głosem. Boi się niena wiści.

241

Ona zatrzaskuje za sobą drzwi tak mocno, że kołatka w kształcie ryby dźwięczy na pustym ganku.

Królik wraca do domu nie widząc blasku słońca. Czy wściekła się na niego za odrzucenie propozycji, czy dlatego, że dał jej do zrozumienia, że się .tej propozycji domyślał? A może chodziło o połączenie tych sprzeczności, o to, że się w nich odsłoniła sama przed sobą? Jego matka, przyłapana na wewnętrznej rozterce, podobnie wpada we wściekłość. Tak czy inaczej, podążając w cieniu drzew czuje, jaki jest wysoki, elegancki w swoim niedzielnym garniturze i męski. Wzgardzona czy źle rozumiana żona Ecclesa podnieciła go i do swego mieszkania wchodzi pełen chytrego i zimnego pożądania.

Chce pójść do łóżka z Janice i to pragnienie jest jak mały aniołek, do którego przez całe popołudnie przywiązane są maleńkie ciężarki z ołowiu. Niemowlę skrzeczy niezmordowanie. Leżąc natęży głos i wydaje irytujący dźwięk, jakby ktoś uparcie skrobał do drzwi w głębi mieszkania. Czego ono chce? Dlaczego nie śpi? Wróciwszy do domu z kościoła, Królik siłą powstrzymuje się od ofiarowania Janice tego czegoś cennego, co dla niej przyniósł. Krzyk niemowlęcia nappełnia całe mieszkanie strachem. Brzuch go od tego rozbolał. Kiedy podnosi dziecko, żeby beknęło, sam beka. Ucisk w żołądku ustępuje i zamienia się w przeciągłe beknięcie, ale mała nie chce beknąć. Maleńkie, delikatne, marmurkowe ciało, pozbawione ciężaru jak papier, sztywnieje mu na piersi, a potem wiotczeje, rozgrzana główka kołysze się, jakby miała spaść z szyi.

- Becky, Becky, Becky - mówi Królik. - Zaśnij. Śpij, śpij, śpij.

Od tego hałasu Nelson robi się niespokojny i płaczliwy. Jak gdyby, będąc najbliżej owej ciemnej bramy, spoza której to dziecko niedawno się wynurzyło, najmocniej reagował na zagrożenie, przed którym niemowlę chce ich ostrzec. Ciężar czegoś niewidocznego dla ich lepiej wykształconych zmysłów zdaje się czyhać na Rebeke, gdy tylko zostanie sama. Królik kładzie ją do łóżka, wychodzi na palcach do saloniku, wstrzymuje oddech. Potem z gorzkim jękiem opona ciszy pęka i niepewny głosik znów, zawodzi.

242

- O mój Boże-mówi Królik. - Do cholery ciężkiej. Około piątej Janice zaczyna płakać. Łzy toczą się po jej ciemnej, ściągniętej twarzy.

- Nie mam pokarmu-mówi. - Nie mam pokarmu. Po prostu nie mam jej czym karmić.

- Przykładała dziecko do piersi wielokrotnie.

- Nie myśl o tym - mówi Królik. - W końcu zaśnie. Jest jeszcze w kuchni trochę whisky.

- Słuchaj no. Co mi tak w kółko powtarzasz: "napij się?" Próbuję nie pić. Myślałam, że nie lubisz, kiedy piję. Przez całe popołudnie palisz papierosa jednego za drugim i mówisz: "napij się, napij się".

- Myślałem, że ci to pomoże. Strasznie jesteś napięta.

- Nie więcej niż ty. Co ci jest? O czym myślisz?

- Co się stało z twoim mlekiem? Dlaczego nie możesz dać dziecku tyle, ile potrzebuje?

- Karmiłam ją trzy razy w ciągu czterech godzin. Nic już nie mam. - I demonstracyjnie przyciska przez suknię zubożałe piersi.

- To może napij się czegoś.

- No wiesz! Co ci powiedzieli w kościele? "Idź do domu i upij swoją żonę"? To ty się napij, jeżeli o tym myślisz bez przerwy.

- Nie, nie potrzebuję.

- Ale czegoś potrzebujesz. To właśnie ty denerwujesz dziecko. Rano wszystko było dobrze, póki nie przyszedłeś do domu.

- Nie myśl o tym. Po prostu nie myśl o tym. Nie myśl o całej tej zasranej sprawie.
- Dzidzia płacze? Janice obejmuje Nelsona.
- Wiem o tym, kochanie. Zgrzała się. Za chwilę przestanie.
- Dzidzia zgrzana?

Nasłuchują przez minutę, ale dziecko nie przestaje płakać; wątle, natarczywe ostrzeżenie, przerywane przez dręczące luki ciszy, nie ustaje. Ostrzeżeni, nie wiedząc przed czym, potykają się nieustannie o resztki niedzielnej gazety rozrzucone po mieszkaniu, którego ściany są wilgotne jak ściany więzienia. Za nimi niebo w rozległym królewskim majestacie, niebieskie od wielu godzin, do

243

udręki Królika dodaje wspomnienie, że w taki dzień rodzice brali go na długi przyjemny spacer, i uświadamia, że marnują przepiękną niedzielę. Ale brak im zdecydowania. Mógłby wyjść z Nelsonem, lecz chłopczyk zdradza jakiś dziwny lęk; zniechęca to Królika do opuszczenia jego matki, a ponieważ ma nadzieję osiąść ją w końcu, krąży dokoła niej jak skąpiec dokoła swego skarbu. Jego żądza skleja ich ze sobą. Ona to wyczuwa, znużona.

- Czemu nie pójdziesz gdzieś? Denerwujesz małą. Denerwujesz mnie.
- Więc nie chcesz się napić?
- Nie. N i e! Chcę, żebyś usiadł albo przestał palić, albo pokołysał dziecko, albo coś takiego. I nie dotykaj mnie. Jest tak gorąco. Chyba powinnam wrócić do szpitala.
- Boli cię? Tam na dole?
- Nic by mnie nie bolało, gdyby dziecko przestało krzyczeć. Karmiłam ją trzy razy. Teraz muszę cię nakarmić. Och! W każdą niedzielę czuję się zupełnie chora. Coś ty robił w kościele, że jesteś taki nieznośny?
- Nie jestem nieznośny. Staram się pomóc ci.
- Wiem. I to jest właśnie takie nienaturalne. Twoja skóra dziwnie pachnie.
- Jak?
- Och! Nie wiem. Przestań się czepiać.
- Kocham cię.
- Przestań. Nie wolno. Jeszcze nie nadaję się do kochania.

- Połóż się na kanapie, a ja zrobię jakąś zupę.

- Nie, nie, nie. Wykap Nelsona. Spróbuję znów nakarmić małą. Biedactwo, nic dla niej nie mam.

Kolacja jest późno, ale jeszcze przy dziennym świetle - kończy się jeden z najdłuższych dni w roku. Jedzą zupę powoli przy nierównych wybuchach natarczywego niemowlęcego krzyku - wąły głosik wznosi się i opada jak chybotliwy płomień świecy. Ale kiedy gęstnieją cienie wśród stosu naczyń w zlewie, pod zniszczonymi i wilgotnymi meblami i w podobnym do trumny zagłębieniu plecionego łóżeczka, cień, z którym Becky walczyła przez całe popołudnie, zwalnia swój ucisk i mała niespodziewa

244

nie milknie, pozostawiając za sobą uroczystą, pełną skruchy ciszę. Zawiedli ją. Zjawił się wśród nich ktoś obcy, nie mówiący ich językiem, lecz pełen wielkiego, bolesnego niepokoju, a oni ją zawiedli. W końcu nadpłynęła nociej fale uniosły małą Becky jak kawałek śmiecia.

- To nie mogła być kolka. Ona za mała jest na kolkę

- mówi Janice. - Może była po prostu głodna, może brak mi pokarmu.

- Jak to możliwe, masz piersi jak dwie piłki. Janice patrzy na niego kątem oka, zgaduje, na co się zanoszą.

- Tylko sobie nie myśl, że są do zabawy.

Ale jemu wydaje się, że dostrzegł w tym jakiś uśmiech.

Nelson posłusznie idzie do łóżka, stękając, jak kiedy jest chory. Wyczerpała go dziś jego siostra. Zanurzona w poduszkę główka Nelsona wygląda poważnie i masywnie. Kiedy dziecko łapczywie wciska butelkę w usta, Królik schyla się nad nim szukając w sobie tego, czego się nigdy nie znajduje - sposobu zakomunikowania, przekazania ciężących przelotnie obaw albo tkliwych słów odczuwanych jedynie jak dotknięcie pędzla. Niezrozumiała skrucha osiada chmurą na jego ustach, skrucha nie mająca związku z czasem i wydarzeniami, po prostu jakiś żal, że istnieje w świecie, w którym mali chłopcy z wdzięcznością kryją płowe główki w wąskich łóżeczkach,

ssąc butelki ze szkła i gumy. Przykłada stuloną dłoń do wypukłego czoła Nelsona. Chłopczyk sennie próbuje ją strząsnąć, rozdrażniony porusza głową; Harry cofa rękę i wychodzi do drugiego pokoju.

Udaje mu się namówić Janice, żeby się napiła. Przyrządza dla niej drinka - nie zna się na tych sprawach - pół na pół whisky z wodą. Janice mówi, że to smakuje ohydnie. Ale po chwili wszystko wypija.

W łóżku wydaje mu się, że wyczuwa jakąś różnicę w jej ciele. Zdaje się samo lgnąć mu do ręki, wypełnia dłoń, ma przyjemną fakturę. Wszystko, co pod jej nocną koszulką

- aż po dołek pod brodą - czeka na niego. Leżą na boku, twarzami zwróceniu ku sobie. Masuje jej plecy najpierw lekko, potem mocniej, przyciskając jej piersi do swoich, i pod wpływem jej uległości czuje w sobie tyle siły, że podpira się łokciem, żeby znaleźć się nad nią. Całuje

245

jej ciemną, zaciętą twarz z zapaszką alkoholu. Ona nie odwraca głowy, ale w jej niemej odmowie zrobienia jakiegoś ruchu nie czyta niechęci, więc niezdarnie muska wargami jej profil. Stara się od nowa przystosować do jej powolności dusząc w sobie przyływ odrazy. Dumny z własnej cierpliwości, podejmuje na nowo masaż jej pleców. Skóra jej niczego nie zdradza, podobnie jak język: czy ona coś czuje? Po Ruth wydaje mu się tajemnicza - ponury ciężar, ciało, którego chemia broni wstępu jakiegokolwiek myśli, nie dopuszcza żadnych. Czy on ma szansę rozniecić iskrę? Boli go ręka w nadgarstku. Odważa się rozpiąć dwa guziczki jej nocnej koszuli, unosi rąbek tkaniny, w gęstym mroku łóżka widać wypukłość ciała i jej ciepła pierś rozpląszcza się o nagą skórę jego piersi. Janice poddaje się tym manewrom, a jego rozpiera radosna myśl, że doprowadził ją do takiego stanu. Jest dobrym kochankiem. Opada w ciepłe wnętrze łóżka i odpina spodnie piżamy. Janice została ogolona i teraz drapie. Królik osuwa się niżej, na bandaż. Ta nienaturalność, ta pamięć o jej ranie podcina jego pewność siebie, stąd też czuje się kompletnie zniszczony, kiedy mówi mu prawie do ucha cienkim, chrapliwym głosem tępej dziewczyny.

- Harry. Nie widzisz, że chcę zasnąć?

- No to czemu mi tego nie powiedziałaś wcześniej?
- Nie wiem. Nie wiedziałam.
- Nie wiedziałaś czego?
- Nie wiedziałam, co robisz. Myślałam, że po prostu chcesz być miły.
- Więc to nie jest miłe?
- Nie jest miłe, kiedy nie mogę nic zrobić.
- Owszem, możesz coś zrobić.
- Nie, nie mogę. Nawet gdybym nie była taka zmęczona i skołowana tym płaczem Rebeki przez cały dzień, też nie mogłabym. Nie wolno przez sześć tygodni. Wiesz o tym.
- Tak, wiem, ale myślałem... - Królik jest okropnie zmieszany.
- Co myślałeś?
- Myślałem, że mimo to możesz coś zrobić, jeżeli mnie kochasz.

246

Po pauzie ona odpowiada:

- Pewnie, że cię kocham.
 - Jedno dotknięcie, Jan. Pozwól, że tylko cię dotknę.
 - Nie możesz zasnąć?
 - Nie, nie mogę. Za bardzo cię kocham. Wystarczy, żebyś leżała spokojnie.
- Jeszcze przed minutą łatwo mógłby skończyć, ale ta gadanina wszystko popsuła. Brak mu kontaktu z Janice, a jej uparty bezwład jeszcze to pogarsza, niszczy wszystko to, bo zmusza go do współczucia - w rezultacie Królik czuje wstyd i jest mu głupio. Cała słodycz rozkoszy zmienia się w pot i mękę, i śmieszna niemożność skończenia na gorącej nieruchomej ścianie jej brzucha. Janice odsuwa go.
- Traktujesz mnie jak przedmiot - mówi - to straszne uczucie.
 - Błagam cię, dziecino. Ja już kończę.
 - To takie poniżające.

Fakt, że ona Odważa się to mówić, doprowadza go do wściekłości, ale zdaje sobie sprawę, że od trzech miesięcy nie miała mężczyzny i przez ten czas wyrobiła sobie nierealne pojęcie o tym, czym jest miłość. Wyolbrzymia jej znaczenie,

wyimaginowała sobie, że to coś rzadkiego i cennego, do czego w połowie ma prawo, podczas kiedy on chce tylko uwolnić się od tego i zasnąć, chce iść po prostej drodze, dla jej dobra. To dla jej dobra.

- Odwróć się.

- Kocham cię - mówi Janice z ulgą, nie rozumiejąc go, myśląc, że zrezygnował.

Dotyka jego twarzy na dobranoc i odwraca się plecami.

Królik osuwa się w dół do jej pośladków, ucisk dwóch pólkul zaczyna działać równomiernie, ciepło, gdy wtem ona wykręca głowę i mówi przez ramię:

- Czy tej sztuczki nauczyła cię ta twoja kurwa? Pięścią uderza ją w ramię, wstaje z łóżka, spodnie od

pizamy opadają. Powiew nocy przesącza się przez siatkę na oknie. Janice odwraca się na plecy, przesuwa na środek łóżka i z pochmurną twarzą wyjaśnia:

- Nie jestem twoją kurwą, Harry.

- Do diabła - odpowiada jej - to była pierwsza rzecz, o jaką cię poprosiłem, odkąd wróciłaś do domu.

247

- Jesteś cały czas cudowny.

- Dzięki.

- Dokąd idziesz? Królik ubiera się.

- Wychodzę. Siedziałem w tej przeklętej dziurze przez cały tydzień jak w klatce.

- Wychodziłeś rano. Znajduje spodnie, wciąga je.

- Dlaczego nie starasz się zrozumieć, jak ja się czuję? - pyta ona. - Tylko co urodziłam dziecko.

- Staram się. Staram się, ale nie chcę. Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, jak jak się czuję. A ja mam właśnie ochotę wyjść.

- Nie wychodź, Harry. Nie idź.

- Możesz sobie leżeć w łóżku ze swoją drogocenną dupą. Ucałuj ją ode mnie.

- Och, mój Boże! - woła Janice, daje nura pod kołdrę i wciska twarz w poduszkę.

Nawet jeszcze teraz mógłby zostać, gdyby nie pogodziła się z klęską w taki sposób.

Pożądanie minęło, nie ma powodu do wyjścia. Nareszcie przestał ją kochać, więc

równie dobrze mógłby się położyć obok niej i zasnąć. Ale ona sama tego chce, leżąc w pościeli i szlochając, ii za oknem, tam w mieście, strzela jakiś silnik; Królik myśli o powietrzu, drzewach, pustych ulicach z szeregiem lamp i wychodzi z domu.

Dziwna rzecz, ale wkrótce po jego wyjściu Janice zasypia. Ostatnio przywykła spać sarna i sprawia jej fizyczną ulgę fakt, że nie ma go w łóżku, nie ma tego kopania niespokojnymi nogami, miętoszenia i zwijania prześcieradeł. Od tego, co robił z jej pośladkami, rozboleły ją szwy i zapada w sen, czując lekkie pobolewania w całym ciele. Około czwartej budzi ją płacz Becky. Wstaje, nocna koszula lekko bije o ciało. Kręcąc się po mieszkaniu, czuje nienaturalną wrażliwość skóry. Przewija dziecko i kładzie się na łóżku, żeby je nakarmić. Gdy mała ssie, Janice ma takie uczucie, jakby wysysała w jej ciele dziurę. Harry nie wraca.

248

Becky raz jeszcze wypuszcza pierś z ust, ponieważ matka nie myśli o niej, nasłuchuje zgrzytu klucza w zamku.

Jeśli znów straci męża, to sąsiedzi matki pękają ze śmiechu, ale właściwie dlaczego ma myśleć o nich? Chyba dlatego, że kiedy była w domu, to matka wiecznie przypominała jej, że wszyscy z niej kpią. Zresztą zawsze miała przy matce to uczucie, że jest tępa i brzydka, i nieudana. Myślała, że się to skończy, kiedy znalazła męża. Będzie miała własny dom. Myślała, że z matką wszystko się ułoży, kiedy dała jej imię temu dziecku, a tymczasem to sprawiło, że czuje się tak, jakby trzymała przy piersi własną matkę, biedne maleństwo ze ślepyimi usteczkami, i ma takie uczucie, że leży na wysokim słupie wystawiona na widok publiczny i każdy może zobaczyć, że została sama. Zimno jej. Dziecko nie chce trzymać piersi, jej samej też nic się nie trzyma.

Janice wstaje i krąży po pokoju, z niemowlęciem na rękę, klepie je, żeby beknęło, a to maleństwo, takie wiotkie i słabe, ciągle się ześlizguje, próbuje oprzeć się o nią wiotkimi nóżkami; wiatr rozwiewa jej koszulę, bije koszulą po łydkach, udach i po tej - jak on powiedział - dupie. Człowiek czuje się jakiś brudny, kiedy oni nawet nie potrafią przyzwoicie nazwać części ciała.

Gdyby zgrzytnął klucz w zamku i on stanąłby teraz w drzwiach, to mógłby z nią

zrobić wszystko, z całym jej ciałem, na co tylko miałby ochotę - co tam, przecież są małżeństwem. Ale to, czego próbował, wydało jej się takie niewłaściwe; przecież wciąż ją wszystko boli, a on przez ostatnie tygodnie spał z tą prostytutką i jeszcze: "Odwróć się" powiedział takim niecierpliwym głosem jakby po prostu chciał to jak najszybciej załatwić ale kim ona jest właściwie żeby mu tego zabraniać skoro pozwoliła mu odejść jakie ma prawo do dumy? Do poczucia własnej godności. Właśnie dlatego musi się szanować bo on uważa że ona nie ma do tego prawa skoro pozwoliła mu uciec a cała rzecz na tym polega że to on źle postąpił a jej odmawia prawa do dumy chce jej używać jak nocnika. Kiedy jej to robił od tyłu z taką wprawą przypominały jej się wszystkie te tygodnie kiedy go nie było w domu i używał sobie do woli nic nie mogła na to poradzić tylko

249

matka i Peggy jej współczuły a wszyscy inni się z niej śmiali znieść tego nie mogła. A potem on poszedł do kościoła skąd wrócił taki napompowany. Jakim prawem poszedł do kościoła? O czym mógł rozmawiać z Panem Bogiem za plecami tych wszystkich bab mrugających do siebie o to miała pretensję że kiedy się kochają to zamiast myśleć o miłości myślą o wszystkim innym o tym co zrobią kiedy się pozbędą tego małego gorącego skrzepu który im tak przeszkadza. Po dotyku się czuje czy myślą o tobie i dziś Harry z początku myślał i dlatego mu pozwoliła i miała uczucie że leży we własnej otoczce kiedy jego ręce ją oplatały a potem zaczął być brutalny i wściekła się kiedy poczuła że on myśli tylko o sobie i cieszy się że może ją wykorzystać a nie myśli o tym że jest zmęczona i obolała tylko szturchał ją prosto w brzuch jak łokciem. Jakież to ordynarne.

Tak po prostu ordynarne. Powiedział że jest tępą a tymczasem sam był taki tępy że nie miał pojęcia jak ona się czuje najmniejszego pojęcia o tym jak jego odejście ją zmieniło i że musi ją odzyskać czułością zamiast atakować dosłownie przez skórę nie mając najmniejszego pojęcia co jest w środku. Właśnie to ją przerażało jeszcze kiedy była mała fakt że nikt nie wie jak się człowiek czuje i nie wiadomo czy nikt nie mógł wiedzieć czy też nie chciał. Nie lubiła własnej skóry nigdy jej nie lubiła za to że taka ciemna i nadaje jej wygląd Włoszki chociaż wcale nie miewała krostek jak inne

dziewczyny; i dawniej kiedy razem pracowali u Kroiła ona przy solonych orzeszkach i kiedy Harry kładł się obok niej na łóżku Mary Hannacher dokoła srebrne tapety które tak lubił i zamykał oczy to wtedy jej skóra jakby topniała a jej już nic nie gnębiło bo nie była sama. A potem się pobrali (zanim się pobrali czuła się okropnie z powodu ciąży ale Harry od roku mówił o małżeństwie w każdym razie roześmiał się kiedy mu o tym powiedziała i oświadczył "to wspaniale" bała się potwornie a on powtórzył "to wspaniale" i podniósł ją wziął pod kolana i podniósł jak dziecko potrafił być cudowny kiedy się człowiek wcale nie spodziewał wydawało się nawet ważne żeby się tego nie spodziewać tyle było w nim czegoś miłego nie potrafiła nikomu tego wytłumaczyć że tak się bała a on sprawił że była dumna ze

250

swej ciąży) i dalej była tą trochę niezdarną smagłą Janice Springer a jej mąż zarozumiałym bubkiem nie nadającym się do niczego jak powiedział tata i uczucie samotności trochę ustępowało kiedy się napiła czegoś mocnego. Nie topniała od tego uwierająca w środku gruda ale jej krawędzie robiły się przyjemne i kolorowe jak tęcza.

Przechadza się po mieszkaniu poklepując niemowlę, aż ją bolą przeguby rąk i nogi w kostkach, a biedna mała Rebeka śpi z nóżkami rozkraczonymi na jej piersi wciąż pełnej mleka. Może by ją nakarmić? Ale nie, zasnęła, to niech śpi. Zdejmuje z zapoconego ramienia lekkie jak piórko maleństwo i układa w chłodnym półmroku łóżeczka. Powoli dnieje, świt wczesnie budzi się w mieście położonym na wschodnim stoku góry. Janice kładzie się na łóżku, ale obok niej na białej pościeli przybywa światła, które nie pozwala zasnąć. Z początku jest przyjemnie, nadejście poranka takie czyste i przypomina nastrój tego drugiego miesiąca po ucieczce Harry'ego, kiedy się ukrywał. Wielka japońska wiśnia rozkwitła pod oknem matki, trawa wschodziła, ziemia pachniała wilgocią, popiołem i ciepłem. Wiele przemyślała wtedy i pogodziła się z tym, że jej małżeństwo się skończyło. Urodzi dziecko, rozwiedzie się i nigdy już nie wyjdzie za mąż. Będzie jak ta zakonnica, którą właśnie widziała w przepięknym filmie z Audrey Hepburn. A jeżeli on wróci, to wszystko będzie tak samo proste. Przebaczy mu i przestanie pić - nie znosił jej picia, nie

wiadomo dlaczego - i będą razem mili i naturalni, i lojalni, ponieważ wyszumiał się i bardzo kochają, bo mu przebaczyła i teraz już wie, jak być dobrą żoną. Co niedziela chodziła do kościoła, rozmawiała z Peggy i modliła się, i nareszcie rozumiała, że małżeństwo to nie azyl, to wspólnota, więc zaczną teraz razem wszystko robić. I te ostatnie dwa tygodnie - cud prawdziwy - takie właśnie były.

A potem Harry nagle wniósł do ich życia brudy swojej prostytutki i kazał jej to polubić, i z powodu tej niesprawiedliwości Janice wybucha cichym płaczem, jakby zaskoczona obecnością czegoś obok niej w pustym łóżku.

Ostatnie godziny są niby wąskie kolanko jakiejś rury, przez które jej myśl nie może się precysnąć. Powraca raz po raz do tych słów: "odwróć się", i nie może się z nimi

251

pogodzić, nie może nie czuć paniki, coś ją dusi. Wstaje z łóżka i snuje się dokoła z jedną piersią obrzmiałą, z bolącą brodawką, idzie do kuchni bosą i czuje tam zapach pustej szklanki po whisky, którą Harry kazał jej wypić. Tajemniczy i cierpki zapach, delikatny i intensywny, jeden łyk uleczyłby ją z bezsenności. Pozwoliłby spać, aż ją obudzi zgrzyt klucza w zamku i jego duże białe ciało wsunie się nieśmiało do mieszkania, i wtedy ona powie mu: "Chodź do łóżka, Harry, wszystko w porządku. Weź mnie, chcę to wspólnie z tobą robić, naprawdę chcę, naprawdę."

Janice nalewa sobie whisky tylko na pół palca i niewiele wody, bo za długo by się to piło, i żadnych kostek lodu - grzechot tacki z lodem mógłby obudzić dzieci. Zabiera tę porcję do okna i stoi patrząc ponad trzema dachami z papy na śpiące miasto. Tu i ówdzie widać już blade światło w oknach kuchni albo sypialni. Jakiś samochód powoli zjeżdża ulicą Wilbura w stronę centrum, jego reflektory - dwie matowe tarcze - nie rozpraszają snopem światła rzednącej ciemności. Na autostradzie, na wpół zakrytej sylwetkami domów, jak na rzece obrzeżonej drzewami, mimo wczesnej pory przelatują ze świstem samochody. Janice czuje zbliżanie się dnia pracy w armii światła, czuje jakby drzenie w ciemnych dachach domów opadających w dół, za chwilę się zbudzą, otworzą - jak zamki - podwoje, żeby wysłać swoich ludzi, i żałuje, że jej własny mąż nie może wciągnąć się w ten rytm, którego następne uderzenie zabrzmi za chwilę. Dlaczego on? Co w nim jest nadzwyczajnego? Rośnie w niej

gniew na Harry'ego i żeby zdusić to uczucie Janice wychyla szklanke do dna i w półmroku odwraca się od okna; w mieszkaniu wszystko ma ton brunatny. Czuje się cała krzywa; ciągnie ją w dół ciężar tej jednej pełnej piersi.

Idzie do kuchni i nalewa sobie następnego drinka, mocniejszego; uważa, że pora poczuć się trochę weselej. Nie miała chwili dla siebie, odkąd wróciła ze szpitala. Na myśl o wesołości jej ruchy stają się szybsze i lżejsze; prawie biegnie bosymi stopami po szorstkim dywanie z powrotem do okna, jakby tam czekało specjalnie dla niej przygotowane widowisko. W swojej białej koszuli góruje nad wszystkim, na co patrzy, naciskając jednocześnie

252

palcami pełną pierś; zaczyna płynąć z niej mleko, plamiąc białe płótno powoli rozchodzącym się ciepłem.

Cały przód koszuli wilgotnieje i w powiewie od okna ziębi skórę. Od stania bolą żylaki. Idzie i siada w brązowym, stęchłym fotelu i rzuciwszy okiem w górę, tam gdzie marmurkowa ściana pod ostrym kątem łączy się z ziemistym sufitem, czuje mdłości i zawrót głowy. Sufit wali się na nią. Wzór na tapecie mrowi się w oczach. Kwiaty - brązowe cętki - pływają w półmroku, polują na siebie, żarłocznie pochłaniają się nawzajem. Ohyda. Janice odwraca twarz i bada wzrokiem chłodną, zieloną wypukłość martwego telewizora. Przód nocnej koszuli wysycha, zastygła skorupa drapie ciało. W podręczniku dla młodych matek było: Utrzymuj brodawki w czystości. Namydlaj delikatnie, bakterie atakują zadrażnienia na skórze. Janice odstawia szklanke na obłą poręcz fotela, wstaje, ściąga koszulę przez głowę i siada z powrotem. Nagie ciało czuje się w fotelu jak w objęciach mchu. Janice kładzie zwiniętą koszulę na podołku opasanym pociążowym bandażem, czubkami palców sprytnie przysuwa sobie podnózek, opiera na nim pięty i podziwia swoje nogi. Zawsze była zdania, że ma dobre nogi. Smukłe, szczupłe, przyjemne, gładkie uda. Naprawdę dobre nogi. Białe toczony kształty drżą n? tle ciemnego dywanu. W nikłym świetle widać wyraźnie błękitne żyły - to po ciąży z Becky. Czy będzie miała tak okropne nogi jak matka? Próbuje wyobrazić sobie kostki grube jak kolana i z pewną obawą, czy już nie nabrzmiały, sięga ręką, żeby sprawdzić. Stwierdza, że ma

elastyczne i cienkie pęciny i ramieniem strąca z poręczy fotela szklanę z whisky. Zrywa się z miejsca i zaskakuje ją dotyk chłodnego powietrza na gołej skórze. Chłodna przestrzeń wiruje dokoła jej chwiejnego ciała i jego wypukłości. Janice chichocze. Gdyby ją Harry teraz zobaczył! Na szczęście w szklance zostało już niewiele. Próbuje śfinałym krokiem przejść do kuchni bez ubrania, jak kurwa, ale wydaje jej się, że ktoś ją podpatruje i to od chwili, kiedy stała przy oknie i z piersi pociekło mleko. Tak, na pewno; wpada więc do sypialni i otula się niebieskim szlafrokiem kąpielowym, a potem przyrządza sobie drinka. Pozostała jej jeszcze jedna trzecia butelki. Cj

253

piasek pod powiekami, ale nie ma ochoty wrócić do łóżka. Boi się, bo tam powinien być Harry. Jego nieobecność jest jak powiększająca się dziura, trzeba więc nalać do tej dziury odrobinę whisky, ale to nie wystarcza, i kiedy podchodzi do okna po raz trzeci, jest już na tyle jasno, że widać, jaki świat jest szary. Ktoś rozbił butelkę na jednym z krytych papą dachów. Rynsztoki ulicy Wilbura pełne są błota spływającego z nowego osiedla. Na jej oczach sznury ulicznych lamp po kolei gasną. Wyobraża sobie, jak w elektrowni przekreśla ktoś kontakty, ktoś mały, stary i garbaty, i bardzo śpiący. Janice podchodzi do telewizora i smuga światła, która nagle zapala się w zielonym prostokącie, budzi iskrę radości w jej piersi, ale wciąż jest za wcześnie - to światło jest tylko migotliwą, pozbawioną sensu jasnością, słychać wyłącznie trzaski. Gdy tak siedzi wpatrzona w puste promieniowanie, doznaje uczucia, że ktoś za nią stoi, i z tego powodu kilkakrotnie bardzo szybko odwraca głowę. Ale za każdym razem pozostaje kawałek przestrzeni, którego nie może objąć wzrokiem, a ten ktoś mógłby się tam wcisnąć, jeśli w ogóle ktoś tam jest. Znęciła go tu telewizja. Wyłączywszy telewizor Janice natychmiast wybucha płaczem. Siedzi z twarzą w dłoniach, łzy przeciekają przez palce, szloch jej słychać w całym mieszkaniu. Nie tłumi łkania, ponieważ chce czegoś obudzić, kogokolwiek - ma dość samotności. W coraz jaśniejszym świetle wyraźnie widać ściany i meble, odzyskują swoje barwy, a brązowe cętki, które pochłaniały się nawzajem, schowały się w niej samej. Idzie zajrzeć do malej. Biedactwo leży i sapie w prześcieradełko, maleńkie rączki

zaciskają się przy uszach; Janice wyciąga rękę i gładzi rozgrzaną miękką jak błona główkę, unosi dziecko - nóżki całe mokre - i zabiera je na fotel zwrócony do okna, żeby nakarmić małą. Niebo za oknem jest bladym, gładkim błękitem wymalowanym na szybach. Z fotela nie widać nic prócz tego nieba, jakby obydwie byty setki kilometrów w górze w koszu jakiegoś wielkiego balonu. Ktoś trzaska drzwiami po drugiej stronie korytarza, a w niej serce skacze, ale to oczywiście nie on, pewnie inny lokator, pan Capello, który nigdy nie odezwie się jak człowiek, choćby

254

jednym słowem, wychodzi teraz do pracy; schody pod nim trzeszczą opornie. Hałas budzi Nelsona, więc przez pewien czas Janice ma pełne ręce roboty. Przygotowując śniadanie, tłucze szklanekę z sokiem pomarańczowym, po prostu wysunęła się jej spod wielkiego palca prosto do zlewu, winien zlew, że się rozbiła. Kiedy pochyła się nad Nelsonem, podając mu płatki ryżowe, chłopczyk podnosi na nią wzrok i marszczy nos; wyczuwa smutek i ten znajomy zapach sprawia, że nieśmiało odzywa się do matki:

- Tatuś poszedł?

Miłe dziecko, to, że pyta o ojca, ułatwia jej sytuację, wystarczy odpowiedzieć: tak.

- Nie - odpowiada. - Tatuś poszedł do pracy wcześniej rano, zanim się obudziłeś.

Wróci na kolację jak zawsze.

Dziecko marszczy czoło, patrząc na nią, i jak papuga powtarza z ostrą nutą nadziei:

- Jak zawsze?

Niepokój każe unieść mu głowę wysoko i szyja chłopca wydaje się zbyt cienką łodygą dla okrągłej czaszki z szerokim wieńcem zmierzwionych we śnie włosów.

- Tatuś wróci do domu - powtarza Janice. Wziąwszy na siebie ciężar kłamstwa, potrzebuje trochę

whisky dla dodania sił. Jest w niej mrok, który musi zabarwić jakimś jasnym kolorem, bo inaczej się załamie. Znosi naczynia do kuchni, ale takie są śliskie w jej palcach, że nie próbuje ich umyć. Uważa, że powinna zrzucić szlafrok i ubrać się, ale po drodze do sypialni zapomina o tym zamiarze i zaczyna słać łóżko. Lecz na zmiętej pościeli czuje obecność czegoś, co ją przeraża, więc cofa się, idzie do drugiego

pokoju, żeby być z dziećmi. Jest tak, jakby mówiąc im, że Harry wróci jak zwykle, wpuściła jakiegoś ducha do mieszkania. Lecz ten duch to chyba nie Harry, to raczej włamywacz, dziwny jakiś włamywacz, który tańcząc przed nią wodzi ją z pokoju do pokoju.

Kiedy Janice bierze małą Becky na ręce, czuje znów jej mokre nóżki i myśli o zmianie pieluszek, ale na szczęście zdaje sobie sprawę, że jest pijana i mogłaby pokłuć dziecko agrafkami. Jest bardzo dumna z własnej przezor-

255

ności i przyrzeka sobie nie tknąć więcej butelki, wtedy za godzinę będzie mogła dziecko przewinąć. Kładzie grzeczną Becky do łóżeczka i jakimś cudem ani razu nie słyszy jej płaczu. Potem każe Nelsonowi usiąść i razem z nią oglądać zakończenie przygód Dave'a Garrowaya, a następnie program o Elizabeth i jej mężu, którego przyjaciel, kawaler wprawiony w gotowaniu na campingach, okazuje się lepszym kucharzem niż Elizabeth. Z jakiegoś powodu oglądanie telewizji tak ją denerwuje, że starym zwyczajem idzie do kuchni i robi sobie małego drinka, prawie same kostki lodu, byle ta wielka dziura w środku, grożąca ponownym otwarciem, pozostała zamknięta na mur. Jeden łyk whisky - i jakby połknęła niebieskie światło, które wszystko rozjaśnia. Byle tylko przebrnąć przez ten krótki wyłom w czasie - skończy się dzień pracy, Harry wróci i nikt się nigdy nie dowie, nikt nie będzie się śmiał z jej matki. Janice czuje się łukiem tęczy opiekuńczo rozciągniętym nad Harrym, który jest daleki i maleńki jak dziecinna zabawka. Dobrze byłoby pobawić się z Nelsonem, niech dziecko nie sterczy cały ranek przed telewizorem. Wyłącza go, odnajduje książeczkę z obrazkami do kolorowania, siadają na dywanie i kredkami kolorują nie pomalowane strony.

Janice raz po raz ściska i przytula synka i próbuje go rozśmieszyć, z prawdziwą przyjemnością maluje obrazek kolorowymi kredkami. Jedynym przedmiotem, którego nie bała się w szkole, były rysunki i zawsze dostawała dobry stopień.

Rozkoszując się tym zajęciem, uśmiechnięta, koloruje zręcznie obrazek wiejskiego podwórka. Jakie staranne, równoległe kreski robią te małe barwne pałeczki, które trzyma w palcach; przy boku czuje drobne ciało synka, napięte, prężne. Poły

szlafroka rozkładają się na podłodze wachlarzem i własne ciało wydaje się jej takie piękne - rozłożyste. Odsuwa się, żeby cieniem nie zasłaniać obrazka, i widzi, że pokolorowała jedno kurczę na zielono, a do tego niezbyt dokładnie i jej strona książeczki wygląda brzydko. Wybuchła płaczem. Jakież to niegodziwe, żeby ten ktoś, stojący za jej plecami, niczego nie rozumiejąc mówił, że źle to zrobiła. Nelson podnosi na nią wzrok i jego twarzyczka natychmiast rozciąga się w krzyku:

256

- Mamo, nie płacz! Nie płacz, mamusiu!

Janice sądzi, że chłopczyk rzuci się jej w objęcia, ale zamiast tego Nelson zrywa się i na wpół zgięty biegnie jakoś ukosem, kulejąc, jakby był kaleką, do sypialni, pada na podłogę i zaczyna wierzgać nogami.

Ze spokojnym uśmiechem Janice dźwiga się z kolan i idzie do kuchni, myśli, że zostawiła tam szklanek whisky. Ważną rzeczą jest utrzymać ten łuk tęczy do końca dnia, wesprzeć Harry'ego; głupio byłoby odmówić sobie jeszcze jednego łyku, od którego tyle zależy. Wraca z kuchni i mówi do Nelsona:

- Kochanie, mama przestała płakać. To był żart. Mama nie płacze. Mama jest szczęśliwa. Mama bardzo cię kocha.

Jego umorusana buzia przygląda się jej uważnie. Jak cios w plecy - dzwonek telefonu. Nie tracąc spokoju, podnosi słuchawkę:

- Halo?

- Kochanie? Tu tatuś.

- Och, tatuś! - Nie posiada się z radości. On milczy chwilę.

- Dziecino, czy Harry jest chory? Już po jedenastej, a jego jeszcze nie ma w pracy.

- Nie, czuje się świetnie. Wszyscy czujemy się świetnie.

Nowa pauza. Jej miłość dla ojca płynie ku niemu po milczącym drucie.

- No to gdzie on jest? W domu? Daj mi go na chwilę, Janice.

- Tutaj go nie ma, tatusiu, Wyszedł wcześniej rano.

- Dokąd? Nie ma go w interesie.

Słowo "interes" słyszała w ustach ojca chyba z milion razy; wymawia je jak nikt inny. Słowo to w jego ustach staje się gęste i głębokie, jakby obejmowało cały świat.

Wszystkie dobre rzeczy, jakich doświadczyła przy rodzicach, jej ubrania, zabawki, ich dom, wszystko brało się z "interesu".

Doznaje przyływu natchnienia: zna język transakcji samochodowych.

- Wyszedł wcześniej, tatusiu, żeby pokazać to kombi klientowi, który śpieszył się do pracy czy coś takiego.

257

Czekaj. Niech sobie przypomnę. Powiedział mi, że ten człowiek musi dziś pojechać rano do Allentown. Tamten musiał jechać do Allentown, a Harry musiał mu pokazać kombi. Wszystko jest w porządku, tatusiu. Harry uwielbia swoją pracę. Trzecia pauza jest najdłuższa.

- Kochanie, jesteś pewna, że nie ma go w domu?

- Śmieszny jesteś, tatusiu. Nie ma go tu. Sam zobacz. Jak gdyby słuchawka miała oczy, Janice obraca ją w

powietrzu na wszystkie strony w pustym pokoju. Miał to być żarcik ze strony córki, ale samo wyciągnięcie ramienia nieoczekiwanie przyprawia ją o mdłości. Kiedy z powrotem przykłada słuchawkę do ucha, daleki głos mówi sucho:

- ...kochanie. W porządku. O nic się nie martw. Czy dzieci są z tobą?

Janice odwiesza słuchawkę czując zawrót głowy. Nie udało się, ale zasadniczo chyba była dość sprytna. Uważa, że zasłużyła na drinka. Brunatny płyn oblewa dymiące kostki lodu i leje się, póki ona nie każe mu przestać. Ze złością odrywa butelkę i krople jak kleksy spadają do zlewu. Idzie do łazienki ze szklanką i wychodzi z pustymi rękoma, ze smakiem pasty do zębów w ustach. Pamięta, jak patrzyła w lustro i gładziła włosy, i potem czyściła zęby. Szczoteczką Harry'ego.

Stwierdza w pewnej chwili, że przygotowuje lunch i jest to podobne do oglądania reklam żywności w sklepie: plasterki bekonu syczą na patelni daleko, przy końcu ogromnego niebieskiego ramienia. Widzi w powietrzu tłuszcz pryskający łukami, jak śliczna fontanna w parku, i dziwi ją, że tak bardzo pryska. Parzy jej rękę trzymającą uchwyt patelni, więc przykręca gaz. Nalewa do szklanki mleko dla Nelsona, odrywa parę listków z dużej główki sałaty i kładzie je na żółty plastikowy talerz, i sama zjada garść sałaty. Nie zamierza nakrywać dla siebie, ale potem myśli, że jednak

nakryje, bo to ściskanie w żołądku może być z głodu, więc bierze jeszcze jeden talerz i trzymając go oburącz przed sobą, zastanawia się, dlaczego tatuś był taki pewien, że Harry tu jest. Owszem, jest ktoś w mieszkaniu, ona wie o tym, ale to nie Harry; ta osoba nie ma tu nic do roboty i Janice będzie ignorować jej

258

obecność, nakrywa więc dalej do stołu, czując lekkie zeszywnienie całego ciała.

Mocno trzyma każdą rzecz, zanim postawi ją bezpiecznie na stole.

Nelson mówi, że bekon jest tłusty i ponownie pyta, czy tatuś odszedł; jego narzekanie na bekon, którego przyrządzanie wymagało od niej tyle sprytu i odwagi, tak ją irytuje, że kiedy chłopczyk po raz dwudziesty odmawia zjedzenia nawet odrobiny sałaty, wyciąga rękę przez stół i daje mu po buzi. Bezczelne głupie dziecko nawet nie potrafi się rozplakać, tylko siedzi i wytrzeszcza na nią oczy, i wciąga oddech raz i drugi, i trzeci, i dopiero wtedy ryczy. Ale na szczęście ona z całym spokojem panuje nad sytuacją, widzi, do czego on zmierza, i nie pozwoli się tyranizować. Sprawnie, za jednym zamachem, przyrządza pokarm w butelce, bierze Nelsona za rękę, pilnuje, żeby dziecko się wysiusiało, i kładzie je do łóżka. Nelson wciąż wstrząsany tłumionym łkaniem mocno obejmuje smoczek wargami, a szklistość jego czujnych oczu upewnia ją, że chłopiec jest już w tunelu snu. Stoi przy łóżku zaskoczona swoją surowością i siłą.

Dzwoni znów telefon, z większą złością niż za pierwszym razem. Biegając do telefonu - biegając, ponieważ nie chce, żeby rozbudził Nelsona - czuje odpływ sił i jakąś brutalną czczość w gardle.

- Halo!

- Janice. - Głos matki jest opanowany i szorstki. - Właśnie wróciłam z zakupów w Brewer, twój ojciec szukał mnie przez cały ranek. Myśli, że Harry znów się urwał. To prawda?

Janice przymyka oczy i mówi:

- Pojechał do Allentown.

- Co on tam ma do roboty?

- Sprzedaje samochód.

- Nie gadaj głupstw, Janice. Nic ci nie jest?
- Co masz na myśli?
- Pijesz?
- Czy co piję?
- Nie przejmuj się niczym, zaraz będę u ciebie.
- Nie, mammo, nie chcę. Wszystko jest w porządku. Właśnie położyłam Nelsona, żeby się przespał.

259

- Przełknę coś na poczekaniu i zaraz będę u ciebie. Połóż się.
 - Mammo, błagam cię, nie przyjeżdżaj.
 - Janice, nie kłóć się ze mną. Kiedy on wyszedł?
 - Mammo, nie wtrącaj się. On wróci wieczorem. - Janice słucha przez chwilę i dodaje: - i przestań płakać.
 - Tak. Mówisz, przestań - odpowiada matka. - A sama nie przestajesz przynosić nam wstydu. Za pierwszym razem myślałam, że to wszystko jego wina, ale już teraz nie jestem pewna. Słyszysz? Wcale nie jestem pewna.
- Słuchanie tego wszystkiego tak dalece potęguje uczucie mdłości, że Janice nie wie, czy utrzyma słuchawkę.
- Nie przyjeżdżaj, mammo - błaga. - Proszę cię!
 - Tylko coś przełknę i będę u ciebie za dwadzieścia minut. Połóż się do łóżka.
- Janice odwiesza słuchawkę i rozgląda się dokoła z przerażeniem. Mieszkanie wygląda okropnie. Książki i kredki na podłodze, szklanki, nie posłane łóżko, wszędzie brudne naczynia. Podbiega tam, gdzie razem z Nelsonem kolorowali obrazki, i nachyla się, żeby je przejrzeć. Opada na kolana. Niemowlę zaczyna płakać. Gnana podwójnym pragnieniem, żeby nie obudzić Nelsona i ukryć nieobecność Harry'ego podbiega do łóżeczka i stwierdza, że jest koszmarnie upačkane pomarańczową mazią.
- Niech to diabli wezmą, niech to diabli -jęczy nad Rebeką. Wyjmuje zabrudzone maleństwo z łóżeczka i zastanawia się, gdzie je zanieść. Kładzie niemowlę na fotelu i zagryzając wargi, odpina pieluszkę. - Och, ty mała srajdo - szepcze czując, że dźwięk

jej głosu powstrzymuje tego kogoś, kto wlaź do pokoju.

Zabiera zabrudzoną i moką pieluszkę do łazienki, wrzucają do muszli klozetowej i opadając na kolana, na oślep zatyka otwór wanny. Otwiera oba krany aż do oporu, wiedząc z doświadczenia, że w ten sposób woda uzyska właściwą letnią temperaturę. Strumień wody bijący z kranów ma siłę pieści. Janice dostrzega pozostawioną tu szklankę rozwodnionej whisky, pije jeden łyk i zastanawia się, jak pozbyć się szklanki. Rebeka wrzeszczy bez przerwy, jakby zdawała sobie sprawę, że jest brudna. Janice zabiera ze sobą szklankę, ale przy ściąganiu z dziecka koszulki i kaftanika potracają kolanem i wylewa

260

zawartość na dywan. Mokre rzeczy kładzie na telewizorze, jednocześnie osuwa się na kolana i próbuje pozbierać kredki do pudełka. Od tego schylania się i podnoszenia boli ją głowa. Zabiera kredki na kuchenny stół, nie zjedzony bekon i sałatę wrzuca do papierowej torby pod zlewem; torba jest tylko na wpół otwarta i sałata spada w ciemność za wiadrem, więc Janice schyla się i klęcząc wtyka tam głowę, żeby zobaczyć albo wyciągnąć sałatę palcami - na próżno, kolana ją bolą od ustawicznego klękania. Daje za wygraną i nagle, ku własnemu zdumieniu, stwierdza, że siedzi na kuchennym krześle i patrzy na gładkie, kolorowe czubki kredek sterczące z pudełka. Schować whisky. Ciało jej pozostaje przez sekundę w bezruchu, ale kiedy się rusza, Janice widzi własne ręce, z ciemnymi obwódkami brudu za paznokciami, zajęte chowaniem butelki whisky do dolnej szafki, w której są stare koszule Harry'ego przeznaczone na szmaty; Harry za nic nie włoży połatanej koszuli, zresztą ona nie umie łątać. Z trzaskiem zamyka drzwiczki, ale zamek nie zaskakuje, a ze skraju linoleum obok zlewu zerka na nią korek od butelki, jak mały cylinderek. Wrzuca go do torby ze śmieciami. Teraz w kuchni jest wystarczająco czysto. W saloniku naga Rebeka leży na włóchatym fotelu, jej brzusek wydyma się bokami od krzyku, niezdarne krzywe nóżki szczepiły się - są czerwone. Pierwsze dziecko Janice było chłopcem i wciąż jej się wydaje nienaturalne, że pomiędzy nóżkami dziewczynki są dwa małe rogaliki tłuszczu zamiast tego potrójnego męskiego interesu (kiedy doktor obrzezał Nelsona, na co Harry nie chciał się zgodzić, sam nie był obrzezany i uważał

to za sprzeczne z naturą, to ona śmiała się z niego, a on się wściekał). Twarz niemowlęcia czerwienieje z każdym kolejnym wrzaskiem. Janice przymyka oczy i myśli: to naprawdę okropne, że matka przyjdzie tu i zepsuje jej cały dzień tylko po to, żeby się upewnić, że ona znów utraciła Harry'ego. Tak matce się spieszy do tego odkrycia, temu maleństwu też się śpieszy, a tu jego ubranka leżą na telewizorze. Janice zabiera je do łazienki i rzuca' na pieluszkę leżącą w muszli klozetowej, zakręca kurki nad wanną. Szara falująca linia wody sięga prawie do brzegów wanny. Na powierzchni wody robią się

261

drobne ruchliwe zmarszczki, ukryta pod nimi bezbarwna masa czeka. Chętnie wzięłaby kąpiel. Rozpierają świadomość panowania nad sobą, gdy wraca do saloniku. Zbyt mocno chwieje się na nogach, żeby wydobyć z fotela to maleńkie giętkie maleństwo, więc opada na kolana, zgarnia dziecko w ramiona i przyciśnięte bokiem do piersi niesie do łazienki. Dumna jest, że doprowadza wszystko do końca; przynajmniej dziecko będzie czyste, kiedy przyjdzie matka. Nie dbając, że zamoczy rękawy, łagodnie osuwa się na kolana przy wannie, dużej, spokojnej. Woda obejmuje jej przedramiona jakby dwiema dużymi rękami. Na oczach Janice różowe niemowlę opada na dno jak szary kamień.

Janice protestuje szlochem i sięga po dziecko, ale woda odpycha jej ręce, rękawy szlafroka unoszą się na powierzchni, a ten śliski przedmiot wije się na dnie, gdzie nagle wszystko zmętniało. Chwyta go w dłonie, wyczuwa kciukiem bicie serca, a potem gubi, i na powierzchni wody skaczą blade, podłużne odbicia, wymykające się jej palcom; to tylko chwila, ale chwila wydłużona w jakimś innym, gęstszym czasie. Potem już czuje Becky w uścisku swoich dłoni i wszystko jest w porządku.

Unosi to żyjące stworzenie i przytula do piersi. Woda leje się z niej i z dziecka na kafle posadzki. Małe, prawie pozbawione wagi ciało bezwładnie opada na jej szyję; jedno szybkie, pełne ulgi spojrzenie na twarz niemowlęcia i nagle w piersi wyrasta jakiś fantastyczny skrzep. Zmącona pamięć podpowiada sztuczne oddychanie, wprawia w ruch mokre, zimne ramiona, które gorączkowo, rytmicznie powtarzają ucisk, a pod zaciśniętymi powiekami jawią się wielkie szkarłatne modlitwy,

monotonne, bez słów, i wydaje się, że ściska kolana jakiejś trzeciej ogromnej osoby, której imię Ojczy, Ojczy tłucze się w głowie z siłą fizycznych ciosów. Chociaż jej oszalałe serce zalewa wszechświat czerwienią, żadna iskra nie zapala się w przestrzeni pomiędzy jej ramionami. Mimo potoku modlitw nie czuje w odpowiedzi najmniejszego drgnienia w tym mroku, który na nią napiera. Poczucie obecności trzeciej osoby rośnie przeogromnie i Janice już wie - podczas gdy słysząc stukanie do drzwi - że najgorsza rzecz na świecie, jaka może spotkać kobietę, ją spotkała. Jack wraca od telefonu z twarzą okropnie zmienioną.

- Janice Angstrom utopiła swoje dziecko. Wypadek. Lucy pyta:

- Jak to się mogło stać?

- Nie wiem. Obawiam się, że była pijana. Jest teraz nieprzytomna.

- A gdzie był o n?

- Nikt nie wie. Mam go odnaleźć. Dzwoniła pani Springer.

Jack siada w dużym fotelu o poręczach z włoskiego orzecha, należącym kiedyś do jego ojca, a Lucy stwierdza z niechęcią, że ma męża w średnim wieku. Włosy mu rzadną, na twarzy ma zmarszczki, wygląda na wyczerpanego.

- Czy przez całe życie - krzyczy - będziesz latał za tym nicponiem?

- Nie jest nicponiem. Kocham go.

- Kochasz go. Niedobrze mi się robi. Wierz mi, Jack, od tego może się zrobić niedobrze. Dlaczego nie spróbujesz kochać mnie albo swoich dzieci?

- Kocham.

- Nic podobnego, Jack. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie kochasz. Nie zniósłbyś kochania kogoś, kto ci to uczucie odwzajemnia. Boisz się tego, prawda? Prawda, że się boisz?

Pili herbatę w bibliotece, kiedy zadzwonił telefon, i

263

teraz Jack podnosi z podłogi postawioną między nogami pustą filiżankę, i zagląda do jej środka.

- Nie bądź śmieszna, Lucy - mówi. - Nie mam sił.

- Tobie z tym źle i mnie też. Czuję się okropnie, odkąd zadajesz się z tym

podrywaczem. Nie należy nawet do twojego Kościoła.

- Każdy chrześcijanin należy.

- Chrześcijanin! Jeżeli to jest chrześcijanin, to dziękuję Bogu, że ja nie jestem.

Chrześcijanin. Zabija swoje dziecko i tak go nazywasz.

- Nie zabił tego dziecka. Nie było go tam. To był wypadek.

- Na jedno wychodzi. Ucieka i pozwala urznąć się tej idiotce, swojej żonie. Nigdy nie powinieś był doprowadzić do zgody między nimi. Dziewczyna zdażyła się już oswoić. Coś takiego nigdy by się nie zdarzyło.

Eccles mruga oczami. Doznany wstrząs zmusza go do zastanowienia się nad własnym stosunkiem do świata. Robi na nim wrażenie sposób, w jaki jego żona zrekonstruowała nieunikniony bieg wydarzeń. Zastanawia się przez chwilę, dlaczego odezwała się z taką mściwością i dlaczego nazwała Harryego podrywaczem.

- A więc twierdzisz, że to ja zabiłem to dziecko.

- Nic podobnego. Tego nie powiedziałam.

- Nie. Myślę, że prawdopodobnie masz rację - mówi Eccles i dźwiga się z fotela.

Idzie do hallu, gdzie jest telefon, i znowu wyciąga z portfela numer zapisany ołówkiem pod ledwo widocznym nazwiskiem Ruth Leonard. Poprzednio mu się udało dodzwonić, ale tym razem mysz elektryczności obgryza daleką metalową płytkę na próżno. Odczekuje dwanaście sygnałów, rozłącza się, nakręca numer ponownie i wiesza słuchawkę po siedmiu sygnałach. Wraca do biblioteki, gdzie Lucy czeka na niego.

- Jack, tak mi przykro, przepraszam. Nie miałam na myśli, że jesteś odpowiedzialny.

Oczywiście nie jesteś. Nie wygłupiaj się.

- W porządku, Lucy. Prawda nie powinna nas ranić. - Słowa te oddają jego przekonanie, że jeśli wiara jest prawdziwa, to nic, co jest prawdziwe, nie jest w konflikcie z wiarą.

264

- Och, zlituj się, ty męczenniku. Trudno, widzę, że wbiłeś sobie do głowy, że to twoja wina, i cokolwiek powiem, nie zmienisz swojego przekonania. Nie będę strzepić języka na próżno.

Chcąc jej w tym dopomóc, milczy, lecz po chwili Lucy pyta głosem łagodniejszym:

- Jack?

- Co?

- Dlaczego tak ci zależało, żeby ich pogodzić? Eccles bierze ze spodeczka filiżanki plasterki cytryny i

zerkając przez ten plasterki na pokój mówi:

- Małżeństwo to sakrament.

Jest niemal pewien, że Lucy wybuchnie śmiechem, ale zamiast tego ona pyta poważnie.

- Nawet złe małżeństwo?

- Tak.

- Ależ to śmieszne. Sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem.

- Nie wierzę w zdrowy rozsądek - odpowiada jej. - Może cię to ucieszy, ale ja w nic nie wierzę.

- Wcale mnie to nie cieszy - mówi Lucy. - Miewasz odruchy psychopaty. Ale przykro mi, że to się stało. Naprawdę przykro. - Zabiera filiżanki i zostawia go samego.

Cienie popołudnia gęstnieją jak pajęczyny na ścianach pełnych książek, których większość nie jest własnością Ecclesa, lecz jego poprzednika na plebanii, ogólnie uwielbianego Josepha Langhornea, kawalera. Siedzi czekając w odrętwieniu, ale niezbyt długo. Dzwoni telefon. Biegnie, żeby uprzedzić Lucy. Ponad parapetem, na którym stoi telefon, widzi przez okno sąsiadkę zdejmującą pranie ze sznura.

- Halo?

- Cześć, czy to Jack? Tu Harry Angstrom. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Nie.

- Nie ma u pastora starszych pań z robótkami czy kogoś takiego?

- Nie.

- Bo próbuję się dodzwonić do mojego mieszkania i nikt nie odpowiada, i to mnie trochę wkurza. Spędziłem

265

noc poza domem i gryzie mnie sumienie. Chcę wrócić, ale chcę wiedzieć, czy Janice

przypadkiem nie wezwała policji albo coś w tym rodzaju. Nie wiesz.

- Harry, gdzie jesteś?

- Och, w jakimś drugstorze w Brewer.

Sąsiadka dodała ostatnie prześcieradło do trzymanej w ramionach bielizny i wzrok Jacka spoczywa na białym gołym sznurze. Jedną z usług, których społeczeństwo zdaje się od niego oczekiwać, to przekazywanie tragicznych wiadomości, i czując suchość w ustach zbiera siły do wypełnienia znanego mu obowiązku. Nikt, kto rękę przykłada do pługa... Otwiera szeroko oczy, żeby stworzyć większy dystans między sobą i tym, który tam wisi przy słuchawce.

- Myślę, że dla oszczędzenia czasu powiem ci to przez telefon - zaczyna. - Harry.

Straszna rzecz nas spotkała.

Kiedy człowiek kręci sznurem i coraz dłużej kręci, to sznur zaczyna zmieniać swój prosty kształt i nagle pojawia się na nim supeł, pętla. Po wysłuchaniu Ecclesa Harry czuje taką pętlę w sobie. Nie wie, co mówił do pastora, zdaje sobie sprawę jedynie z tego, że przez oszklone drzwi budki telefonicznej widzi stos bezładnie rzuconych paczek z towarami. Na ścianie drugstoru wisi rozpięty napis

PARADICHLOROBENZEN. Próbuje zrozumieć, co Eccles do niego mówi, i jednocześnie odczytuje to słowo, zastanawiając się, jak się dzieli, czy da się całe wymówić. W momencie, kiedy wreszcie rozumie słowa pastora, kiedy dotyka dna swego życia, jakaś gruba baba podchodzi do lady i płaci za dwa pudełka Kleenexu. Wychodząc ze sklepu na światło słoneczne, Harry przetyka ślinę, żeby ta pętla nie podeszła wyżej i nie udusiła go. Dzień jest gorący, pierwszy dzień lata. Żar bije od lśniącego chodnika prosto w twarze przechodniów, uderza z boku od okien wystawowych i gorących kamiennych fasad domów. W białym świetle twarze mają ten typowo amerykański wyraz - przymrużone oczy i wargi obwisłe w takim grymasie, jakby zaraz miały z nich paść słowa okrutne i groźne. W korku na jezdni prażą się kierowcy pod oślepiąco rozjarzonymi dachami samochodów. W górze mleko - niebo jakby nie miało sił nabrać pełnego blasku. Harry, wraz z garstką wracających z zakupów,

czerwonych, spoconych ludzi, czeka na jakimś rogu na autobus do Sędziowskiej Góry, numer 16A. Gdy wóz zatrzymuje się z piskiem opon, jest już przepełniony. Uczepiony metalowego uchwytu w tyle autobusu, Harry walczy z sobą, by się nie poddać temu czemuś, co go dusi w środku. Afisze o podwiniętych rogach reklamują papierosy z filtrem i płyn do opalania, i CARE.

Jednym z tych autobusów pojechał wczoraj wieczorem do Brewer i poszedł do Ruth, ale jej okna były ciemne i nikt nie odpowiadał na dzwonek, chociaż widać było przyćmione światło za matowym szkłem z napisem F. X. PELLIGRINI. Usiadł na stopniach patrząc na sklep spożywczy, póki nie pogasły światła, a potem - na kolorowe okno kościoła. Kiedy i tam zgasło światło, poczuł się zdrętwiały i bezradny i pomyślał o powrocie do domu. Zaszedł aż na ulicę Weisera, popatrzał na jej światła i na wielki słonecznik, nie widząc autobusu, chodził po chodniku, ale się zląkł, że dostanie nożem albo że go obrabują. Wszedł więc do jakiegoś podrzędnego hoteliku i zapłacił za pokój. Źle spał, rurka neonu brzęczała za oknem, śmiała się jakaś kobieta. Wstał na tyle wcześnie, żeby pojechać z powrotem do Sędziowskiej Góry, przebrać się i pójść do pracy, ale coś go powstrzymało. Coś go powstrzymywało przez cały dzień. Próbuje zastanowić się, co to mogło być, ponieważ cokolwiek to było, właśnie to zamordowało jego córkę. Częściowo była tym chęć zobaczenia się znowu z Ruth, ale kiedy poszedł do niej rano, przekonał się, że na pewno jej nie ma, prawdopodobnie pojechała do Atlantic City z jakimś wariatem, lecz mimo to dalej wałęsał się po mieście, wchodził i wychodził z domów towarowych, których ściany rozsadzała muzyka, zjadł hot doga w tanim barze i wahał się, czy wejść do kina, ale nie wszedł i wszędzie wypatrywał Ruth. Nie tracił nadziei, że zobaczy jej wyróżniające się w tłumie ramiona, które całował, że jej CARE - skrót nazwy założonej w roku 1945 organizacji charytatywnej, która się początkowo nazywała Cooperative for American Remiuances to Europe (Spółdzielnia Przesyłek Amerykańskich do Europy), a w roku 1952 zmieniła nazwę na Cooperative for American Relief Everywhere (Spółdzielnia Pomocy Amerykańskiej Wszędzie). Powołana do przesyłania i rozdziału paczek żywnościowych i odzieżowych dla Europy po II wojnie światowej, rozszerzyła

następnie swą działalność na cały świat. (Przyp. tłum.)

267

rudawe włosy - prosił kiedyś, żeby je rozpuściła - załsniał za stoiskiem z kartami urodzinowymi. Ale to miasto liczy ponad sto tysięcy mieszkańców i nie miał żadnej szansy, zresztą może odnaleźć Ruth każdego innego dnia, czasu na to miał mnóstwo. Nie, to, co trzymało go w mieście, mimo gnębiącego coraz mocniej przecucia, że w domu jest niedobrze, co kazało błądzić po ulicach - tam i na powrót - od kin nęcących podmuchem zimnego powietrza do kontuarów z perfumowaną bielizną i taną imitacją biżuterii, od solonych orzeszków (biedna mała Jan) do parku, do ścieżek, którymi chodził kiedyś z Ruth i patrzył spod kasztanowca na piątkę obdartych dzieci grających w baseball tenisową piłką i miotłą, i na koniec z powrotem na ulicę Weisera do tego drugostoru, z którego zadzwonił, to, co kazało mu chodzić, to była myśl, że w końcu znajdzie jakieś wyjście z sytuacji. Bo wściekł się na Janice nie tyle dlatego, że ten jeden raz miała rację, a on nie miał i wyglupił się, ile o to uczucie zamknięcia, o to, że dał się zamknąć. Poszedł do kościoła i przyniósł stamtąd ten mały płomyczek, i nie miał co z nim zrobić wśród ciemnych, wilgotnych ścian swojego mieszkania, więc płomyczek zamigotał i zgasł. Zdał sobie sprawę, że nie zawsze będzie zdolny do rozpalenia tego płomyka. Przez cały dzień trzymało go z dala od domu przekonanie, że gdzieś czeka na niego coś lepszego niż słuchanie niemowłęcego krzyku i oszukiwanie ludzi na używanych samochodach, i właśnie to przekonanie próbuje w sobie zabić od razu w autobusie, uczepiony chromowanego uchwyty, nisko pochylony nad dwiema kobietami w plisowanych białych bluzkach, ze stosem paczek na podolku; zamyka oczy i próbuje to zabić. Kurcz żołądka zaczyna zamieniać się w mdłości, Królik z goryczą ściska lodowaty uchwyt, kiedy autobus objeżdżający górę przechyla się na zakręcie. Wysiada o wiele za wcześnie, spocony. Tutaj, w Sędziowskiej Górze, cienie się już pogłębiają, słońce, które piekło w całym Brewer, chyli się za grzbiet góry i pot stygnie na Króliku, ciało ziębnie, zaczyna biec, żeby się czymś zająć, pozbyć się wszystkich myśli. Mija pralnię chemiczną ze sterczącą ze ściany rurą, z której z sykiem ulatnia się para. Mija zapachy benzyny i gumy, unoszące się obłokiem nad

asfaltową zatoką i czerwonymi pompami stacji benzynowej Esso. Mija trawnik przed ratuszem w Sędziowskiej Górze i tablicę ku czci poległych w drugiej wojnie światowej; umocowane na niej plakietki z nazwiskami pokryte są śniegami. Czuje ból w piersiach i przestaje biec, idzie.

U Springerów otwiera teściowa i zatrzasuje mu drzwi prosto przed nosem. Ale na ulicy stoi oliwkowy buick, więc w domu jest Eccles, i po krótkiej chwili wpuszcza go do środka. Mówi cicho w mrocznym hallu.

- Twoja żona dostała coś na uspokojenie i śpi.

- Dziecko...

- Jest w zakładzie pogrzebowym.

Królik chce krzyknąć - to nieprzyzwoite, że przedsiębiorca pogrzebowy zabiera takie małe ciało, powinno się je pogrzebać z odpowiadającą mu prostotą, jak ciało ptaszka, w małym dołku wykopanym w trawie. Ale potakuje głową. Chyba już nigdy niczemu się nie sprzeciwi.

Eccles idzie na górę, Harry siada na krześle i obserwuje grę światła padającego z okna na liście paproci, na fiołki afrykańskie i maleńkie kaktusy stojące na żelaznym stolyczku ze szklanym blatem. Tam, gdzie pada słońce, liście są jasno-żółte, te w cieniu wyglądają jak czarnozielone dziury, wycięte w tej złocistości. Ktoś schodzi ze schodów niepewnym krokiem. Królik nie odwraca głowy, żeby zobaczyć, kto to. Nie chce ryzykować spojrzenia komukolwiek w twarz. Czuje na przedramieniu dotknięcie lekkie jak puch i napotyka oczy Nelsona. Twarz dziecka błyszczy napiętą ciekawością.

- Mama śpi - mówi niskim głosem, naśladując tragiczne głosy, które słyszy dookoła siebie.

Królik podnosi go i sadza sobie na kolana. Jest ciężki i dłuższy, niż był. Ciało dziecka służy za osłonę: ojciec przyciska jego główkę do piersi. Nelson pyta:

- Dzidzia chora?

- Dzidzia chora.

- Dużo, dużo wody w wannie - mówi Nelson i stara się tak usiąść, żeby mógł pokazać

rączkami, jak dużo. - Wiele, wiele wody - powtarza.

Musiał to widzieć. Chce zejść z kolan ojca, ale Harry

269

trzyma go mocno, jakby się bał, że chłopcu zagrozi żałoba, która ogarnęła dom. Z kolei chłopiec wyrywa się z jego objęć z taką siłą, że mógłby zagrozić żałobie, zniszczyć ten nastrój, a wtedy cały dom runąłby na nich. To siebie broni Królik, zniewalając dziecko.

Eccles schodzi na dół, przystaje i przygląda im się.

Może wyszedłbyś z nim na dwór? - proponuje. - Miał koszmarne dzień.

Wychodzą wszyscy trzej. Eccles ściska dłoń Harryego długo, ze spokojem i mówi:

- Zostań tu. Jesteś potrzebny, nawet jeśli ci tego nikt nie powie.

Gdy odjeżdża swoim buickiem, Królik i Nelson siedzą na trawniku przy podjeździe i rzucają kamyczki w stronę chodnika. Chłopczyk śmieje się i gada podniecony, ale na dworze śmiech jego nie brzmi tak głośno. Harry czuje się poniekąd chroniony przez fakt, że robi to, co kazał mu pastor. Chodnikiem idą mężczyźni, wracają z pracy do domu. Nelson o mało nie trafia w nogi jednego z nich. Mężczyzna podnosi na nich wzrok. Ta nieznajoma twarz zdaje się patrzeć na Harryego z głębi jakiegoś innego świata, świata ludzi nienagannych. Zmieniają cel, jest nim zielony siewnik oparty o ścianę garażu. Harry trafia cztery razy pod rząd. Chociaż wciąż jest jasno, światło słoneczne skurczyło się do kilku smug na szczytach drzew. Trawa wilgotnieje i Królik zastanawia się, czyby nie wepchnąć Nelsona cichaczem do domu i odejść.

W drzwiach staje pan Springer i woła:

Harry! Harry podchodzi do niego razem z Nelsonem. - Becky zrobiła parę kanapek zamiast kolacji - mówi pan Springer. - Chodźcie do domu.

Wchodzą do kuchni i Nelson je. Harry odmawia wszystkiego z wyjątkiem szklanki wody. Pani Springer nie ma w kuchni. Harry jest jej wdzięczny za tę nieobecność.

- Harry - odzywa się pan Springer i wstaje, gładząc wąsy dwoma palcami, jakby gotów był do ustępstwa w jakiejś finansowej transakcji. - Wielebny pastor Eccles, Becky i ja przeprowadziliśmy rozmowę. Nie chcę powiedzieć, że cię nie obwiniam, bo oczywiście tak nie jest. Ale nie tylko ty jesteś winien. Jej matka i ja w jakiś

dziwny

270

sposób nigdy nie zapewnialiśmy jej uczucia bezpieczeństwa, być może mógłbyś powiedzieć, że nie zawsze chętnie ją widzieliśmy, nie wiem. - Jego różowe, chytre oczka nie są teraz chytre, tylko zamglone i poirytowane. - Staraliśmy się, tak mi się zdaje. W każdym razie - tu jego głos chrypie i łamie się; pan Springer milknie, aby zapanować nad sobą - życie musi iść dalej. Czy rozumiesz coś z tego?

- Tak, proszę pana.

- Życie musi się toczyć dalej. Musimy sobie radzić z tym, co nam pozostało. Becky zgadza się ze mną, chociaż jest zbyt przygnębiona, żeby cię teraz widzieć.

Mówiliśmy

o tym i ona zgadza się, że to jedyne wyjście. To znaczy, chcę powiedzieć - widzę, że jesteś zaskoczony - chcę ci powiedzieć, Harry, że należysz nadal do rodziny, pomimo - nieokreślonym ruchem ręki wskazuje schody - pomimo tego... - Springer opuszcza bezwładnie ramię i dodaje słowo: - wypadku.

Harry zasłania dłonią oczy. Pieką go, światło razi.

- Dziękuję panu - mówi niemal uniesiony wdzięcznością za przemówienie tak wielkoduszne, choć tym człowiekiem zawsze pogardzał. Usiłuje ułożyć stosowną odpowiedź zgodnie z etykietą, która mimo ciężkiej żałoby działa bez przerwy, jakby pod powierzchnią wody. - Ze swojej strony obiecuję, dotrzymam umowy. -

Wydobywszy to z siebie, milknie powstrzymany odpychającym dźwiękiem własnego głosu. Jak to się stało, że powiedział "umowy".

- Wiem, że dotrzymasz - mówi Springer. - Wielebny pastor Eccles zapewnia nas o tym.

- Deser - dopomina się bardzo wyraźnie Nelson.

- Nelly, a może byś zabrał swoje ciasteczko do łóżka?

- Springer mówi to z pogodną zażyłością, która, choć wymuszona, przypomina Królikowi, że dziecko mieszkało tu przez kilka miesięcy. - Przecież to już pora spać. Czy babcia zabierze cię na górę?

- Tatuś - mówi Nelson, który ześlizguje się z krzesła

i podchodzi do ojca.

Obydwaj mężczyźni są zakłopotani.

- W porządku - mówi Królik. - Pokaż mi swój pokój.

Springer wyjmując ze spiżarni dwa ciasteczka i Nelson

271

nieoczekiwanie podbiega, żeby uściskać dziadka. Springer schyla się i jego zwiędła twarz dandysa wydaje się bezbarwna przy policzku chłopca. Rozgniewany wzrok zatrzymuje się na butach Królika, duże czarne kwadratowe spinki ze złotymi inicjałami S w cienkich złotych obwódkach wysuwają się z rękawów marynarki, gdy mocno ściska wnuka. Nelson prowadzi ojca na górę: mijając pokój, w którym siedzi pani Springer, Królik widzi przez chwilę napuchniętą twarz, błyszczącą od łez, odwraca od niej oczy - przypomina jakiś wewnętrzny organ ciała odsłonięty przez chirurga. Szepcze do Nelsona, żeby wszedł i pocałował babcię na dobranoc. Kiedy chłopczyk wraca, idą na piętro, a potem pustym korytarzem - o tapecie w staroświeckie samochodziki - do pokoiku, gdzie białe firanki mają odcień zielony od rosnącego za oknem drzewa. Po dwóch stronach okna symetryczne obrazki - na jednym małe kotki, na drugim szczenięta. Ciekaw jest, czy tu mieszkała Janice, kiedy była małą dziewczynką. Czuje się tu stęchłą niewinność i nastrój jakiegoś oczekiwania, jak gdyby pokój stał pusty przez całe lata. Stary niedźwiadek, z wytartym futerkiem i bez jednego oka, siedzi na połamanym dziecięcym foteliku na biegunach. Czy należał do Janice? Kto wydlubał mu oko? Nelson staje się dziwnie bierny w tym pokoju. Harry rozbiera senne ciało, opalone z wyjątkiem wąskiego tyłeczka, wsuwa je do piżamy, potem do łóżka i okrywa kołderką.

- Jesteś grzecznym chłopcem - mówi.

- Tak.

- Muszę już teraz iść. Nie bój się.

- Tatuś odchodzi?

- Żebyś mógł zasnąć. Wrócę.

- Dobrze. Tatusiu?

- Co takiego?

- Czy dzidzia Becky umarła?
- Tak.
- Czy się bała?
- O, nie. Nie. Nie bała się.
- Czy jej jest dobrze?
- Jest jej teraz bardzo dobrze.
- To dobrze.

272

- Nie martw się o to.
- Nie.
- Nos w poduszkę.
- Tak.
- Pomyśl o rzucaniu kamyczkami.
- Kiedy urosnę, to będę rzucał bardzo daleko.
- Na pewno. Już teraz potrafisz rzucić daleko.
- Wiem.
- No to w porządku. Śpij.

Na dole Harry pyta Springera, zmywającego w kuchni naczynia.

- Czy chce pan, żebym tu został na noc?
- Nie dziś, Harry. Przepraszam cię. Myślę, że dziś lepiej nie.
- Zgoda. W porządku. Pójdę do domu. Czy mam przyjść rano?
- Tak, proszę cię. Zjesz z nami śniadanie.
- Nie, nie chcę. To znaczy... chcę zobaczyć Janice, kiedy się obudzi.
- Tak, oczywiście.
- Myśli pan, że będzie spała przez całą noc?
- Myślę, że tak.
- Hm... przepraszam, że nie przyszedłem dziś do pracy.
- Och, głupstwo. Bez znaczenia.
- Czy mam jutro pracować? Chyba nie?
- Oczywiście, że nie.

- Nie wyrzuca mnie pan?

- Oczywiście, że nie - Springer mówi to wszystko ostrożnie, oczy mu biegają. Czuje, że żona wszystko słyszy.

- Jest pan dla mnie strasznie dobry.

Springer nie odpowiada. Harry wychodzi przez werandę, żeby nie widzieć twarzy pani Springer. Okrąża dom i idzie do własnego mieszkania w gęstym letnim mroku, dzwoniącym zmywanymi po kolacji naczyniami. Idzie w górę ulicą Wilbura, wchodzi w drzwi swojego starego domu i na piętro po schodach; pachnie jak zwykle gotowaną u kogoś kapustą. Otwiera kluczem drzwi, wchodzi i natychmiast zapala wszystkie światła. Idzie do łazienki. Wanna jest jeszcze pełna wody. Trochę jej się

273
ulało, sięga parę centymetrów poniżej nikłej szarej linii na porcelanie, ale jest jej więcej niż pół wanny. Ciężka, spokojna masa - bezwonna, bez smaku, bez koloru - działa na niego jak obecność jakiejś milczącej osoby. Cisza tworzy rodzaj martwej skóry na nieruchomej powierzchni tej masy. Jest nawet na niej coś w rodzaju kurzu. Królik zawija rękawy koszuli, schyla się, wyciąga korek - masa wodna kołysze się, rura odpływowa ciężko sapie. Królik obserwuje na ścianie wanny poziom wody, powoli opadającej aż po resztkę wessaną z obłąkańczym sykiem wiru. Myśli, jakie to było łatwe, a jednak Bóg mimo całej swojej mocy nic nie zrobił. Wystarczyło unieść ten gumowy korek.

W łóżku stwierdza, że bolą go nogi od chodzenia po mieście przez cały dzień. W goleniach czuje drzazgi, porusza nogami, ale ból, po chwili ulgi uzyskanej przez ruch, wraca w każdej pozycji. Dla odprężenia próbuje się modlić, ale to nie pomaga. Brak związku. Otwiera oczy, żeby patrzeć w sufit - ciemność upstrzona jest migocącą siecią żył, podobną do tej żółtoniebieskiej siatki, która znaczyła cętkami skórę jego malutkiego dziecka. Pamięta czysty czerwony profil Becky widziany w szpitalu przez szybę. Ogarnia go wielka fala przerażenia; gwałtownie zrywa się z łóżka i zapala światło. Blask światła wydaje mu się jakby rozrzedzony. Ciśnienie w pęcherzu przyprawia go niemal o łzy. Boi się nawet rękę wetknąć do łazienki. Boi się, że jak zapali tam światło, to zobaczy małego, pomarszczonego, niebieskiego trupka,

leżącego twarzą do góry na dnie pustej wanny. Strach naciska na nerki i w końcu zmusza do zebrania odwagi - ciemne dno wanny okazuje się białe i puste.

Jest przygotowany na to, że nigdy nie zaśnie, i obudzony pierwszymi promieniami słońca i trząśnięciem jakichś drzwi na dole, ma uczucie, że ciałem zdradził duszę.

Ubiera się pośpiesznie, w większej teraz panice niż o jakiegokolwiek porze poprzedniego dnia. Wydarzenie stało się prawdziwsze. Czuje, że coś dławi go w gardle, jakieś niewidzialne poduszki krępują ruchy nóg i rąk; pętla zaciskająca pierś stała się ciężka, chropowata. Przebac mi, przebac mi, powtarza Królik w duchu, zwracając się nie wiadomo do kogo.

274

Idzie do Springerów, gdzie atmosfera domu się zmieniła. Czuje, że wszystko zostało ustawione w taki sposób, żeby zrobić miejsce, w którym on się zmieści, jeśli się pomniejszy. Pani Springer podaje mu sok pomarańczowy i kawę i nawet odzywa się ostrożnie, z rezerwą.

- Chcesz śmietanki?

- Nie, nie. Wypiję czarną.

- Bo jest śmietanka, jeśli chcesz.

- Nie, naprawdę. Jest doskonała.

Janice obudziła się. Harry idzie na górę i kładzie się obok niej na łóżku. Lgnie do niego i płacze w szczelinę pomiędzy jego szyją, brodą i prześcieradłem. Twarz jej skurczyła się, ciało wydaje się małe jak u dziecka, rozpalone i twarde.

- Nie mogę patrzeć na nikogo więcej, tylko na ciebie

- mówi mu. - Nie mogę spojrzeć ludziom w twarz.

- To nie była twoja wina - mówi jej. - To ja zawiniłem.

- Znow mam pokarm i kiedy mnie kłuje w piersi, to mi się zdaje, że ona jest w drugim pokoju.

Tulą się jedno do drugiego we wspólnej ciemności, w zalewie czerni; Harry ma uczucie, że rozpuszczają się dzielące ich ściany. Lecz ciężka pętla złych przeczuć uwiera tylko jego pierś.

Pozostaje w tym domu przez cały dzień. Przychodzą goście - kobiety drepczą na

palcach. Ich zachowanie sugeruje, że Janice, na górze, jest bardzo chora. Siedzą w kuchni nad kawą z panią Springer, której afektowany, starannie modulowany głos - dziwnie dziewczęcy w oderwaniu od widoku jej ciała - wznosi się i opada z westchnieniem, jakby zawodziła jakąś pieśń. Zjawia się Peggy Fosnacht bez słonecznych okularów; wybałusza na świat swoje zezowate oczy i idzie na górę. Jej syn Billy bawi się z Nelsonem na podwórku za domem i nikt się nie rusza, żeby powstrzymać ich okrzyki złości i bólu, które

- lekceważone - po jakimś czasie zamierają, by po przerwie ożyć w postaci śmiechu.

Nawet Harry ma gościa. Słychać dzwonek; pani Springer zjawia się w zaciemnionym pokoju, gdzie Harry siedzi przeglądając ilustrowane czasopisma.

275

- Jakiś człowiek do ciebie - mówi głosem zdziwionym i urażonym.

Zostawia drzwi otwarte. Harry wstaje i robi parę kroków, żeby przywitać wchodzącego do pokoju. Jest nim Tothero o lasce, z twarzą na wpół sparaliżowaną, ale mówi, chodzi, żyje. A dziecko umarło.

- Cześć! Witam! Co słychać?

- Harry. - Ręką, tą drugą, wolną od laski, Tothero chwyta Harryego za ramię. Długim spojrzeniem bada jego twarz. Trener ma jeden kącik ust opadnięty, z fałdą skóry nad okiem po tej samej stronie twarzy ukośnie obwisłą do tego stopnia, że niemal zakrywa gałkę oka. Palce, które wpiły się w ramię Królika, drżą.

- Usiądźmy - mówi Królik i pomaga mu zająć miejsce w fotelu.

Opierając łokieć na poręczy, Tothero zrzuca ozdobną serwetkę. Królik przynosi sobie krzesło i siada blisko trenera, żeby nie musiał podnosić głosu.

- Czy wolno już panu chodzić po mieście? - pyta milczącego Tothera.

- Żona mnie tu przywiozła, Harry. Samochodem. Stoi przed domem. Dowiedzieliśmy się o twoim nieszczęściu. Czy nie ostrzegałem cię? - Jego oczy już są pełne łez.

- Kiedy?

- Kiedy? - Tothero odwrócił zniekształconą połowę twarzy w cień, być może celowo, i jego uśmiech wydaje się w pełni żywy, mądry i pewny siebie. - Tego pierwszego wieczoru. Mówiłem ci, żebyś wracał. Błagałem.

- Chyba tak. Zapomniałem.

- Nie, nie zapomniałeś. Nie zapomniałeś, Harry. - To "H" wymawia ze świszczącym przydechem. - Pozwól, że ci coś powiem. Mogę?

- Jasne.

- Dobre i złe - mówi Tothero i milknie. Jego duża głowa wykonuje nieznaczny ruch i znów widać obwisły, zeszywniały kąt ust i martwą powiekę. - Dobre i złe nie spada z nieba. To my czynimy jedno i drugie. Wbrew nieszczęściu. Niezmiennie, Harry, niezmiennie... - głos starego trenera staje się coraz pewniejszy - nieszczęście idzie w ślad za nieposłuszeństwem. Niekoniecznie nasze, nawet z początku często nie nasze. Masz teraz przykład w

276

swoim własnym życiu. - Królik zastanawia się, w jakim momencie na policzkach Tothera pojawiły się ślady łez; ciągną się jak ślady po ślimaku. - Czy wierzysz mi?

- Tak, na pewno. Na pewno. Wiem, to moja wina. Odkąd to się stało, czuję się jak... jak robak.

Niezmacony uśmiech Tothera pogłębia się, z jego ust wydobywa się ciche, chrapliwe mruczenie.

- Ostrzegałem cię - mówi - ostrzegałem cię, ale młodość jest głucha. Młodość o nic nie dba.

Harryemu wyrywa się pytanie:

- Ale co mogę zrobić? Tothero zdaje się nie słyszeć.

- Pamiętasz? Jak cię prosiłem, żebyś wrócił?

- Nie wiem. Chyba tak.

- Dobrze. Ach! Jesteś wciąż wspaniałym mężczyzną, Harry. Masz zdrowe ciało.

Kiedy umrę i już mnie nie będzie, pamiętaj, co ci mówił twój stary trener: unikaj cierpienia. Pamiętaj. - Ostatnie słowo brzmi nieśmiało, wymówione z lekkim kiwnięciem głową.

Ten niespodziewany przejaw żywotności jakby podrywa go z krzesła, Tothero wstaje i laską ratuje się przed upadkiem na nos. Jednym skokiem Harry jest przy nim, przez moment obydwaj stoją bardzo blisko siebie. Z ust starszego mężczyzny bije niemły

zapaszek, nie tyle woń lekarstw, ile słodkawa jarzynowa stęchlizna.

- Wy, młodzi - mówi Tothero coraz dobitniej, z belferską, lecz poufałą przyganą - macie skłonność do zapominania. Prawda? Przyznaj. Prawda?

Dziwnie zależy mu na potwierdzeniu.

- Oczywiście - zapewnia go Królik, modląc się w duchu, żeby stary sobie poszedł. Harry pomaga mu wsiąść do samochodu, niebieskokremowego dodgea, rocznik 1957, oczekującego przed pomarańczowym hydrantem pożarniczym. Pani Tothero wyraża, w sposób raczej chłodny, swoje współczucie z powodu śmierci córki Harryego. Wygląd ma udręczony i szlachetny. Siwe włosy opadają na jej delikatnie pomarszczoną, srebrną skroń. Pani Tothero pragnie uciec od niego, uciec ze swoją zdobyczą. Na przednim siedzeniu obok niej Tothero wygląda jak głupkowato uśmiechnięty gnom, bezmyślnie gładzący zakrzywioną

277

rażkę laski. Królik wraca do domu przybity, poniżony tą wizytą. Prawda objawiona mu przez Tothera podziałała jak kubek zimnej wody. Pragnie wierzyć, że źródłem wszystkiego jest niebo.

Późnym popołudniem przychodzi Eccles, żeby dokończyć przygotowań do pogrzebu, który odbędzie się nazajutrz po południu, w środę. Wychodzącego pastora Królik zatrzymuje w hallu na chwilę rozmowy.

- Co pastor myśli? - pyta.

- O czym?

- Co powinienem zrobić?

Eccles zerka na niego nerwowo. Na twarzy ma ten rodzaj dziecinnej bladości, jak ktoś, kto się nie wyspał. Rób to, co robisz - mówi. - Bądź dobrym mężem. Dobrym ojcem. Kochaj to, co ci pozostało.

- I to wystarczy?

Żeby uzyskać przebaczenie, o to ci chodzi? Jestem pewien, że wystarczy, jeśli będziesz tak postępował do końca życia.

Mam na myśli... - pierwszy raz broni swej sprawy przed pastorem - ...pamięta pastor, o czym zwykle rozmawialiśmy? O tym, co jest poza wszystkim?

Harry, wiesz przecież. Nie sędzę, żeby to istniało w taki sposób, jak sobie wyobrażasz.

W porządku. - Harry rozumie, że Eccles także chce odejść, że niemiły mu jest jego widok.

Eccles musi się domyślać, co Królik czuje, bo bezzwłocznie wzywa na pomoc litość. Harry - próbuje wyjaśnić - to nie ja mam ci wybaczyć. Przecież mnie nic takiego nie zrobiłeś, co bym musiał ci wybaczyć. Jeśli chodzi o winę, zawiniliśmy jednakowo.

Musimy zapracować na przebaczenie; musimy zasłużyć na prawo ujrzenia tej rzeczy, która jest poza wszystkim. Harry, ja wiem, że ludzie odnajdują Chrystusa. Widziały to moje oczy, wyczuły moje usta. I myślę tak: myślę, że małżeństwo to sakrament i że ta tragedia, chociaż taka straszna, wreszcie złączyła was w sposób uświęcony.

Przez następne godziny Królik trzyma się tej wiary, chociaż wydaje się nie mieć żadnego związku z dźwiękami i barwami wielkiego, pogrążonego w żałobie domu, z 278

plamami i łukami światła późnego słońca w małej dżungli roślin na szklanym stoliku albo z kolacją, którą prawie bez słowa jedzą we dwoje z Janice w jej sypialni.

Noc spędza w domu Springerów razem z Janice. Jak mocno ona śpi. Cienkie chrapanie, wydobywające się z jej czarnych ust, wzmacnia efekt księżycowej poświaty i nie daje mu zasnąć. Oparty na łokciu przygląda się jej twarzy. W świetle księżyca jest przerażająca - drobna, cała w czarnych plamach jak w łąkach z jakiegoś miękkiego materiału, który nie ma żadnego związku z istotą ludzką. Jej sen napęnia go odrazą. Kiedy w brzasku dnia czuje, że rusza się i wstaje z łóżka, zanurza głębiej twarz w poduszce, naciąga kołdrę po uszy i na przekór wszystkim zasypia. Myśl, że dziś dzień pogrzebu, w jakiś sposób to umożliwia.

W czasie tej skradzionej chwili śni mu się bardzo wyraźnie, że jest sam na dużym boisku czy na jakimś pustym placu, wysypanym żwirem. Na niebie idealnie okrągłe tarcze identycznej wielkości, jedna mlecznobiała, druga lekko przezroczysta, zmierzają powoli ku sobie. Ta biała znajduje się dokładnie ponad tą mleczną. W momencie kiedy się stykają, Królik czuje lęk i głos-jak z głośnika podczas zawodów lekkoatletycznych - ogłasza: Pierwiosnek połyka czarny bez. Górna tarcza opada w

dół tak długo, póki ta druga, chociaż mocniejsza, nie zostanie całkowicie zaćmiona, i widać tylko jeden krąg blady i czysty. Królik domyśla się, że "pierwiosnek" to księżyc, a "czarny bez" to słońce i że zjawisko, którego jest świadkiem, wyjaśnia śmierć: przyjemne życie usunięte w cień przez przyjemną śmierć. Królik doznaje ogromnej ulgi; podnieca go świadomość, że musi odejść z tego boiska iść dalej i założyć nową religię. Jeszcze ma w oczach te dwie tarcze, jeszcze natrętnie wisi nad nim echo tego głosu, gdy otwiera oczy. Przy łóżku stoi Janice w jakiejś brązowej spódniczce i różowej bluzce bez rękawów. Ma brzydki tłusty podbródek, którego nigdy u niej nie zauważył. Królik dziwi się, że leży na plecach; prawie zawsze śpi na brzuchu. Więc to był tylko sen. Nie ma nic do powiedzenia światu. Pętla w

279

jego piersi zaciska się na powrót. Wstaje z łóżka, całuje Janice w rękę, szorstką, zwieszoną bezradnie.

Janice robi mu śniadanie w swoim stylu - płatki kukurydziane toną w mleku, kawa zimna. Idą z Nelsonem do własnego mieszkania, żeby się przebrać na pogrzeb.

Królik jest niezadowolony, że Janice może chodzić - wolał ją, kiedy leżała oszołomiona eterem. Cóż to za nędzny rodzaj żałoby, że pozwala na chodzenie.

Złości go myśl, że ich masywne ciała tak zwyczajnie sobie idą i swoją tępotą i błąhymi potrzebami krepują serca. Idą ze swoim dzieckiem przez ulice, po których chodzili sami jako dzieci. Rynsztok w alei Pottera, gdzie w otoczce śluzu płynęła woda z fabryki lodu, jest teraz suchy. Domy - a w wielu z nich nie ma już ludzi, których twarze Królik znał - są jak domy w mieście widzianym z pociągu. Ich ceglane oblicza pozbawione wyrazu zdają się pytać, dlaczego się tu mieszka.

Dlaczego on się znalazł właśnie tu, na szarym przedmieściu trzeciorzędного miasta, stanowiącego dla niego centrum i wykładnik całego świata, na który przecież składają się przeogromne prerie, góry, pustynie, puszcze, wielkie metropolie, morza? Tajemnica fascynująca dzieci: "co to za miejsce?", wstęp do owego zasadniczego pytania: "dlaczego ja jestem ja?" - wzbudza panikę w jego sercu. Wraz z chłodem przenikającym całe ciało Królik doznaje uczucia oderwania, jak gdyby - czego się zawsze obawiał - nareszcie stapał w powietrzu. Szczegóły otoczenia - postrzępiona

krawędź ulicy, na której bruk walczy z trawą, pokryte bliznami smołowane pnie słupów telefonicznych - wszystko to już do niego nie przemawia. Jest nikim. Tak jakby na chwilę wyszedł z siebie, z ciała i umysłu, żeby się przyjrzeć, jak cała ta maszyna gra, i wstąpił w nicość, bo ten "on" był jedynie odbiciem, wibracją w tej maszynie i teraz nie może do niej powrócić. Wydaje mu się, że przez okna mijanych domów obserwuje tę trójosobową rodzinę statecznie idącą po ulicy, niczym nie zdradzającą, że jej wszechświat doznał wstrząsu - gdyby nie ciche łyzy Janice. Jej łyzy zjawiają się niepostrzeżenie - jak rosa. Mogłoby się zdawać, że wywołała je świeżość tych ulic o poranku.

Kiedy wchodzi do mieszkania, Janice z nagłym westchnieniem osuwa się na niego.

Może nie spodziewała

280

się, że będzie tu tyle słońca. Słupy kurzu unoszą się w mlecznym świetle skosem, od środka podłogi aż po szczyty okien, malując wszystko w niewinne paski. Drzwi od jego szafy znajdują się blisko wejścia, więc nie muszą od razu wchodzić dalej.

Otwiera drzwi szafy tak szeroko, jak może, bez uderzenia w telewizor, sięga w głąb i pociągnawszy za zamek błyskawiczny wyjmuje z plastikowej torby granatowy garnitur, zimowy, wełniany, jedyny ciemny, jaki posiada. Nelson szczęśliwy, że jest w domu, hasa po mieszkaniu, wbiega do łazienki, w swoim pokoju znajduje starego gumowego niedźwiadka, którego chce zabrać ze sobą. Jego bieganina na tyle uwalnia mieszkanie od grozy, że mogą wreszcie wejść do swojej sypialni, gdzie wiszą ubrania Janice. Po drodze Janice wskazuje na krzesło.

- Tu siedziałam wczoraj rano - mówi do Królika - i patrzyłam, jak wstaje słońce.

Głos ma bez życia. Nie wiedząc, co chce od niego usłyszeć, Królik milczy.

Wstrzymuje oddech.

Ale w sypialni przeżywają coś ładnego. Janice zdejmuje spódniczkę i bluzkę, żeby przymierzyć stary czarny kostium, i kiedy w haleczce stąpa boso po dywanie, jej mała, nieśmiała główka i cienkie kostki rąk i nóg przypominają mu ową dziewczynę, którą znał. Czarny kostium, kupiony, kiedy Janice była w szkole średniej, jest za ciasny. Po przebytej ciąży brzuch ma wciąż duży. Może zaczyna tyć jak jej matka.

Janice stoi i próbuje zapiąć spódnicę w talii; wezbrane mlekiem piersi rozsadzają staniczek i dodają ciału pulchności, tej obfitości, tak zawsze działającej na niego. Królik myśli: Jest moja, to moja kobieta, ale wtedy ona odwraca się i widok jej umalowanej wzburzonej twarzy niszczy w nim dumę posiadacza. Jest za nią odpowiedzialny i świadomość tego jeszcze mocniej zaciska uwierającą go w środku pętlę. Oto ta niepoczytalna kobieta, którą musi ostrożnie kierować na drodze życia, trzymać z dala od tego, co było.

- Do niczego! - krzyczy Janice, wyskakuje ze spódnicy i rzuca ją - dużego wirującego nietoperza - w kąt pokoju.

- Nie masz nic innego?

- Co ja zrobię?

281

- Zbieraj się. Chodźmy stąd, pójdziemy do twojego domu. To miejsce działa ci na nerwy.

- Ale przecież musimy tu mieszkać!

- Owszem. Ale nie dzisiaj. Chodźmy.

- Nie możemy tu mieszkać - mówi Janice.

- Wiem, że nie możemy,

- A gdzie możemy mieszkać?

- Zastanowimy się nad tym. Chodź.

Chwiejąc się, wciąga spódnicę, nakłada bluzkę przez głowę i odwraca się do niego potulnie.

- Zapnij z tyłu - prosi.

Zapinanie różowego płócienka na jej spokojnych plecach pobudza go do płaczu.

Pieczenie w oczach zamienia się w klucie i maleńkie niemowlęce guziczki, widziane przez wirujące koła wodnistego światła, wydają mu się płatkami kwiatu jabłoni. Łzy wiszą przez moment na powiekach i spływają na policzki - rozkoszna wilgoć.

Chciałby móc płakać godzinami, taką ulgę przynosi mu ta odrobina wylanych łez.

Lecz łzy mężczyzny to rzadkość i jego płacz ustaje przed wyjściem. Zamyka drzwi z uczuciem, że spędził całe swoje jałowe życie na otwieraniu i zamykaniu tych drzwi.

Nelson zabiera ze sobą gumowego niedźwiadka i za każdym razem, gdy niedźwiadek piszczy, Królik czuje skurcz w żołądku. Miasto jest teraz wybielone słońcem, które zbliża się do zenitu.

Następne godziny tak się dłużą, jakby te same wydarzenia powtarzały się bez końca. Po powrocie do domu Janice i jej matka podejmują i przerywają co chwila przyciszone rozmowy, które każą im przenosić się z pokoju do pokoju. Zdaje się, że są zatroskane ubraniem Janice. Idą obydwie na górę i po pół godzinie Janice schodzi na dół w upiętej szpilkami matczynej sukni, w której wygląda jak własna matka.

- Harry. Czy to dobrze wygląda?

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz? Że idziesz na rewię mody? - I dodaje ze skruchą: - Wyglądasz dobrze.

Ale szkoda została wyrządzona. Janice zanosi się

282

nagłym przeciągłym skowytem i idzie na górę, gdzie pada w ramiona matki. Pani Springer cofa przyznaną mu skromną dozę przebaczenia. Dom ogarnia na nowo przez nikogo nie wypowiedziane przekonanie, że jest mordercą. Przyjmuje to z wdzięcznością. Owszem, jest mordercą i nienawiść bardziej mu odpowiada niż przebaczenie. Otoczony nienawiścią nie musi nic robić, ma prawo być sparaliżowany, a rygor nienawiści zapewnia mu poniekąd rodzaj ochrony.

Jest już godzina pierwsza. Pani Springer wchodzi do pokoju, gdzie siedzi Królik, i pyta:

- Chcesz kanapkę?

- Dziękuję, nie mogę nic jeść.

- Lepiej zjedz.

Jej naleganie wydaje mu się tak dziwne, że idzie do kuchni, by przekonać się, o co chodzi. Nelson sam jeden przy stole je swoją zupkę, surową marchewkę i kanapkę z salami. Nie jest pewny, czy ma powitać ojca uśmiechem, czy nie. Pani Springer jest odwrócona tyłem.

- Czy dziecko spało? - pyta Harry.

- Możesz zabrać go na górę - odpowiada pani Springer, nie odwracając się.

Na górze, w pokoju z jednookim niedźwiadkiem, Harry czyta chłopcu o małej lokomotywie (seria Złotej Książeczki), która bała się tuneli. Zanim lokomotywka zdążyła udowodnić, że już się nie boi, Nelson zasypia objęty ramieniem ojca. Harry schodzi znowu na dół. Janice odpoczywa "w swoim pokoju. Odgłos maszyny do szycia, na której pani Springer zwięza dla niej suknię, wplata się w śpiew ptaków i szmery wczesnego popołudnia.

Słychać trzaśnięcie drzwi wejściowych i do saloniku wchodzi Springer. Jest zaskoczony widokiem Harryego w fotelu.

- Jak się masz, Harry!

- Cześć!

- Harry, byłem w magistracie i mówiłem z Al Horstem. On jest koronerem. Obiecał mi, że nie będzie sprawy o zabójstwo. Zadawała ich orzeczenie, że to wypadek. Rozmawiał niemal ze wszystkimi i chciałby kiedyś pogadać z tobą. Nieoficjalnie.

283

- W porządku. - Springer stoi jakby oczekując gratulacji, lecz Harry pyta tylko: - Dlaczego oni mnie po prostu nie zamkną?

- Harry, myślisz w sposób bardzo niewłaściwy. Pytanie jest: jak będziesz odtąd nadrabiać straty?

- Ma pan rację. Przepraszam. - Obrzydliwe uczucie, że wymknął się z sieci prawa. Po prostu nie chcą mu wymierzyć sprawiedliwości, nie chcą mu ulżyć.

Springer drepcze na górę do swoich kobiet. Nad salonikiem słychać kroki. Drżą ozdobne naczynia w oszklonym kredensie za plecami Harryego. Zegar ze srebrną tarczą, stojący na gzymsie sztucznego kominka, wskazuje, że nie ma jeszcze godziny drugiej.

Harry zastanawia się, czy nie dlatego czuje ból w żołądku, że tak mało jadł w ciągu ostatnich dwóch dni, idzie więc do kuchni i zjada dwa krakersy. Każdy kęs drażni go w środku. Ból rośnie. Jasne kafelki, stalowe drzwi, wszystko jakby naładowane ujemnym magnetyzmem napiera na niego i daje mu odczuć jego własną kruchość.

Harry wraca do pogrążonego w cieniu saloniku, podciąga roletę i przez frontowe okno patrzy na dwa podlotki w zgrabnych szortach sunące po słonecznym chodniku.

Ciała mają już kształtne, ale twarze jeszcze szczenięce. Śmieszne są takie czternastoletnie dziewczęta o pucołowatych buziach spragnionych życia. Za dużo jedzą cukierków, co psuje im cerę. Wloką się tak samo powoli, jak czas dzielący go od pogrzebu. Jakby za rogiem miała je spotkać cudowna przemiana, jeśli nie będą się spieszyć. To córki, są córkami, czy June byłaby?... Harry tłumi w sobie tę myśl. Przechodzące dziewczynki, dwa podlotki z wypiętymi zadkami i obudzoną płcią, wydają mu się obrzydliwe i nierzeczywiste. On sam, przyglądający się im przez okno, wydaje się sobie brudną smugą na szkle. Dziwi się, że coś tak brudnego i nic nie znaczącego nie zostaje wymazane z tego świata. Patrzy na swoje ręce: wydają mu się niesamowicie brzydkie.

Idzie na górę i bardzo starannie myje ręce, twarz i szyję. Nie odważa się użyć któregoś z ozdobnych ręczników. Wychodząc z mokrymi rękami, natyka się w ciemnym korytarzu na Springera i mówi:

- Nie mam czystej koszuli.

284

- Poczekaj - szepcze Springer i przynosi mu koszulę i czarne spinki.

Harry przebiera się w pokoju, w którym śpi Nelson. Słońce wciska się pod spuszczone rolety, które kołyszą się bezgłośnie niemal w takt ciężkiego oddechu chłopca. Harry rozmyślnie zwleka z ubieraniem i parę minut wojuje ze spinkami, do których nie przywykł, ale wszystko to zabiera mu mniej czasu, niż się spodziewał. Wełniany garnitur nieprzyjemnie grzeje i wcale nie leży na nim tak dobrze, jak mu się zdawało. Nie chce jednak zdjąć marynarki, nie chce, żeby ktoś - sam nie wie kto - doznał satysfakcji. Schodzi na palcach do saloniku i nieskazitelnie ubrany, w zbyt ciasnej koszuli, siada i przygląda się egzotycznym roślinom na szklanym stoliku. Porusza głową tak, żeby jeden liść zasłonił drugi, a potem na odwrót; zastanawia się, czy będzie wymiotował. Dzieje się z nim coś strasznego, wnętrzości ma jak rozdęty balon, którego nie można przekłuć. Zegar wskazuje zaledwie dwadzieścia pięć minut po drugiej.

Najwięcej ze wszystkiego boi się spotkania z rodzicami. Nie miał odwagi zadzwonić ani pójść do nich po tym wydarzeniu. W poniedziałek wieczorem pani Springer

telefonicznie zawiadomiła jego matkę o pogrzebie. Od tego czasu jest przerażony milczeniem ze strony swoich rodziców. Co innego, kiedy człowiekowi nawymyślają obcy ludzie, a zupełnie co innego rodzice. Od powrotu z wojska ojciec miał do niego urazę o to, że nie chciał pracować w drukarni, i niejako sam był winien temu, że przestał istnieć w sercu syna. Cała łagodność i dobroć jaką mu ten stary człowiek kiedykolwiek okazał, straciła znaczenie. Ale matka to co innego. Ona wciąż była ważna i wciąż związana z pępowiną jego życia. Jeśli tu przyjdzie i nawymyśla mu, to on prędzej umrze, niż tego wysłucha. A przecież nic innego mu się nie należy, to jasne. Słowa pani Springer, cokolwiek powie, spłyną z niego jak woda z kaczki, ponieważ czuje, że teściowa musi z nim trzymać i nawet pragnie go lubić. Ale z matką nie chodziło o to, czy chce go lubić; poniekąd nie są nawet odrębnymi osobami, począł się w jej łonie i może mu zabrać życie, skoro je dała, lecz jeśli ma się okazać, że tego żałuje, to raczej wolałby umrzeć. Ze wszystkich ludzi na świecie najmniej chce

285

zobaczyć własną matkę. Siedząc samotnie w saloniku dochodzi do wniosku, że albo on, albo matka muszą umrzeć. Dziwaczny, niesamowity wniosek, ale wciąż do niego wraca, aż wreszcie z góry docierają odgłosy świadczące, że Springerowie się ubrali, i to kieruje jego myśli w nieco inną stronę.

Zastanawia się, czy powinien pójść na górę, ale nie chciałby zaskoczyć kogoś w niekompletnym stroju. Schodzą kolejno, przebrani, pan Springer w modnym, letnim, nie wymagającym prasowania garniturze w kolorze stalowoszarym, Nelson w sztruksowym ubranku z szelkami, a pani Springer w czarnym filcowym kapeluszu z welonem i sterczącą sztywno gałązką jakichś sztucznych jagód; Janice - bezkształtna - tonie w zwężonej sukni swojej matki.

- Wyglądasz doskonale - zapewnia ją ponownie.

- A gdzie ten duży czarny samochód? - pyta głośno Nelson.

Jest coś niegodnego w czekaniu i kiedy kręcą się, po saloniku patrząc, jak upływają minuty na zegarze ze srebrną tarczą, są jak dzieci w krepujących kostiumach z niecierpliwością czekające na początek zabawy. Cisną się do okna, gdy przed wejście

do domu zajeżdża cadillac z przedsiębiorstwa pogrzebowego. Ale zanim ten człowiek zdążył podejść do drzwi i nacisnąć dzwonek, rozpierzchli się wszyscy po kątach, jakby ktoś rzucił między nich bombę z ładunkiem zarazków.

Zakład pogrzebowy był kiedyś domem mieszkalnym, lecz teraz jest tak umeblowany, jak nie mebluje się żadnego mieszkania. Nowiutkie dywany w kolorze bardzo bladej zieleni tłumią ich kroki. Małe srebrne rurki na ścianach osłaniają blade światło.

Barwy zasłon i ścian to kłójące się ze sobą półtony, których nikt nie mógłby wytrzymać w mieszkaniu: łososiowy, zielononiebieski i fiolet - jak fiolet, którym dezynfekuje się toalety na stacjach benzynowych. Wprowadzają ich do małego różowego saloniku. Harry zerka stamtąd do głównego pokoju. W pięciu rzędach krzeseł siedzi tam jakieś sześć osób, pięć z nich to kobiety. Zna tylko Peggy Gring.

Jej

286

mały synek, który wierci się przy niej, jest siódmy. Z początku nie chciano widzieć na pogrzebie nikogo prócz rodziny, ale potem Springerowie zaprosili paru najbliższych przyjaciół. Jego rodziców nie ma. Czyjeś niewidoczne, jakby bezkostne ręce wędrują po klawiaturze elektrycznych organów. Nienaturalna kolorystyka tego wnętrza urywa się na kępie cieplarnianych kwiatów ustawionych dokoła małej białej trumienki. Trumna o malowanych złotych uchwytach spoczywa na podwyższeniu udrapowanym ciemnopurpurową tkaniną. Harryemu przychodzi do głowy, że tkanina może się rozsunąć i - jak w magicznej sztuczce - odsłonić żyjące dziecko. Janice zagląda do salki i wybucha szlochom, na co pomocnik przedsiębiorcy, młody blondyn z nienaturalną czerwoną twarzą, wyczarowuje z bocznej kieszeni marynarki butelkę z amoniakiem. Matka podsuwa ją pod nos córce. Janice opanowuje grymas obrzydzenia i unosi brwi, co podkreśla wypukłość jej oka zasłoniętego cienką powieką. Harry bierze żonę pod rękę i tak odwraca, by nie mogła zaglądać do tego drugiego pokoju.

Różowy salonik ma okno, przez które widać ulicę, a na niej biegnące dzieci, przejeżdżające samochody.

- Mam nadzieję, że pastor nie zapomniał - mówi ten młody człowiek o czerwonej

twarzy i ku swemu zakłopotaniu chichocze. Cóż może poradzić na to, że czuje się tutaj całkiem swobodnie. Twarz jego sprawia wrażenie lekko uróżowanej.

- A często się to zdarza? - pyta pan Springer. Stoi za plecami żony i wysuwa do przodu zaciekawioną

twarz - pod bladym wąsem ptasie, czarne rozcięcie ust. Pani Springer usiadła na krześle i przez welon przyciska dłonie do twarzy. Purpurowe jagody drżą na swojej gałązce z drutu.

- Mniej więcej dwa razy do roku - brzmi odpowiedź.

Znajoma sylwetka starego plymoutha zatrzymuje się przy krawężniku. Wsiadła matka Królika i gniewnie lustruje wzrokiem chodnik aż do wejścia. Serce skacze mu do gardła, z ust wrywa się:

- Są moi rodzice.

Wszyscy sztywnieją. Pani Springer wstaje, Harry zaj-

287

muje miejsce pomiędzy nią a Janice. Stojąc w jednym rzędzie ze Springerami, może przynajmniej pokazać swojej matce, że się poprawił, że ich zaakceptował i sam też został zaakceptowany. Pomocnik przedsiębiorcy wychodzi, żeby ich wprowadzić.

Harry widzi, jak stoją na jasnym chodniku i dyskutują, którymi drzwiami wejść. Mim trzyma się trochę z boku. Ubrana w odświętną, ale skromną sukienkę i bez szminki przypomina mu dawną siostrzyczkę. Widok rodziców każe mu się zastanowić, skąd ten strach przed nimi.

Pierwsza staje w drzwiach matka. Obejmuje oczami ich wszystkich i podchodzi do niego, wyciąga ręce i bierze go w objęcia.

- Hassy, co oni ci zrobili? - pyta głośno, obejmuje go i tuli do siebie, jakby go chciała zabrać z powrotem do tego nieba, które opuścili.

Na sekundę coś się otwiera i zaraz znów zamyka na wszystkie spusty. W chłopięcym odruchu zakłopotania Harry odpycha matkę i cały się prostuje. Jakby nieświadoma tego, co powiedziała, matka odwraca się i obejmuje Janice. Ojciec, szepcząc coś pod nosem, ściska dłoń Springera. Mim podchodzi i dotyka ramienia Harryego, a potem przyklęka i po cichu zwraca się do Nelsona; oboje są tu najmłodszy. Górując nad

wszystkimi, Harry czuje ich wzajemne zespolenie. Jego żona i jego matka lgną do siebie. Matka objęła Janice odruchowo, ale wyraża tym prawdziwie dojmujący żal. Twarz jej wykrzywia się z bólu, Janice, choć zmięta i zduszona w uścisku, wyciąga wątłe czarne ramiona i próbuje objąć dużą postać pani Angstrom, która wydobywa z siebie dwa słowa. Reszta obecnych jest zaskoczona i tylko Harry, chłodny i wyniosły, rozumie. Jego matkę popchnął instynkt, co każe nam obejmować tych, których ranimy; potem czując tę dziewczynę w swoich ramionach pojęła, że należą obie do prastarej rasy wiecznie upokarzanych niewolnic; na koniec zdała sobie sprawę, że odzyskawszy syna, też musi być przez niego opuszczona.

Czuł w sobie wszystkie stadia tego żalu, przez które przeszła matka obejmując Janice. Teraz ją uwalnia z objęć i ze smutkiem kieruje właściwe słowa do Springerów.

288

Pominęli milczeniem jej pierwszy okrzyk - odruch szaleństwa. Oczywiście nic nie zrobili Harryemu, to on ściągnął na wszystkich nieszczęście. Że matka go rozgrzeszyła, tego nie dostrzegli. Tkwią przy nim, ale stają się coraz dalsi. Słowa, które matka powiedziała do Janice "moja córko", tracą na znaczeniu. Mim, przykucnięta przy Nelsonie, wstaje, ojciec bierze wnuka na rękę. Łagodnie kołysze go w ramionach.

A tymczasem serce Królika kończy swój obrót i zaczyna następny, jakby o dłuższym promieniu, jakby w wymiarze mniej cielesnym, mającym coraz mniejszy związek ze światem zewnętrznym.

Eccles wszedł innym wejściem i stojąc w drzwiach, z daleka kiwa na nich palcem. Wchodzą całą siódmką, jedno za drugim, razem z Nelsonem, do pokoju, w którym czekają kwiaty, i zajmują miejsce w pierwszym rzędzie. Czarny Eccles czyta przed białą trumienką. Razi Królika fakt, że pastor stanął pomiędzy nim a jego córką. Przychodzi mu na myśl - o czym nikt nie wspomniał - że dziecko nie było ochrzczone. Eccles czyta:

- "...Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem. Kto we mnie wierzy, choćby umarł, żyć będzie. A każdy, kto żyje i wierzy we mnie, nie umrze na wieki."

Suche słowa, jedno po drugim, wchodzą do głowy Harryemu w rytmie niezdarnie drepczących úkosów. Czuje zawarte w tych słowach pociechę i nadzieję. Eccles tego nie czuje. Ma twarz napiętą i pochmurną. W głosie pastora brzmi fałsz. Wszyscy tu są fałszywi, z wyjątkiem jego zmarłej córeczki, tego białego pudła zdobionego złotem.

- "Podobnie pasterz pasie swą trzodę, gromadzi ją ramieniem swoim, jagnięta nosi na swej piersi."

Pasterz, jagnięta, ramiona - oczy Harryego napelniają się łzami. Jest tak, jakby najpierw wszędzie dokoła niego płynęły łzy, całe morze łez, i stąd słona woda dostaje mu się do oczu. Jego córka nie żyje, June go opuściła. Żal, początkowo wzbierający tylko na powierzchni, zalewa teraz serce, które coraz głębiej i głębiej pogrąża się w nieograniczonym wymiarze straty. Nigdy więcej nie usłyszy jej płaczu, nie zobaczy marmurkowej skóry, nie poczuje jej znikomego ciężaru w swoich ramionach i nie

289

zobaczy błękitu tych oczu wędrujących za źródłem jego głosu. Nigdy - słowo, które nigdy się nie kończy, w którym nigdy nie ma najmniejszej szczeliny.

Jadą na cmentarz. On, jego ojciec, ojciec Janice i pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego niosą białe pudło na karawan. Ma ono swój ciężar, ale to tylko drzewo waży. Wsiadają do własnych samochodów i jadą ulicami wiodącymi pod górę. Miasto dokoła nich przycicha; jakaś kobieta wychodzi na werandę z koszykiem pełnym prania i staje jak wryta, jakiś mały chłopiec chce rzucić piłkę i zamiera w tym geście, żeby popatrzeć, jak przejeżdżają. Mijają dwa granitowe słupy złączone łukiem z kutego żelaza. Pięknie jest na cmentarzu o czwartej po południu. Puszysty dywan pielęgnowanej zieleni cmentarnej leży na stoku niemal równolegle do promieni słońca. Tablice nagrobne rzucają długie ciemnoszare cienie. Samochody suną na drugim biegu przez niebieską, trzeszczącą żwirem aleję, celem procesji jest skromny zielony baldachim pachnący ziemią i paprocią. Samochody stają, ludzie wysiadają. Za nimi w pewnej odległości rośnie półkolem czarny las. Cmentarz jest wysoko na wzgórzu, pomiędzy miastem a lasem. W dole dymią kominy. Przy odległym żywopłocie cmentarnym jedzie jakiś człowiek na kosiarce pomiędzy zniszczonymi zrębami tablic nagrobnych. Jaskółki śmigają w niskim locie i wzlatają

ponad jakiś kamienny pawilon, kryptę. Biała trumienka zostaje zręcznie przewieziona na wózku z głębi karawanu na purpurowe pasy, na których zawisa nad małym, prawie kwadratowym, ale głębokim grobem. Szmery i zgrzyty, wzmożone oddechy grabarzy są jak draśnięcia na szybie ciszy. Cisza. Czyjś kaszel. Kwiaty podążyły za ludźmi i oto są, ułożone ciasno pod baldachimem. Za nogami Harryego schludna kupka ziemi, z kwadratami darni na wierzchu, czeka, by wrócić na miejsce, a tymczasem tchnie głęboką treścią ziemi. Grabarze wyglądają na zadowolonych, wykonali swoją robotę porządnie i składają różowe dłonie na podołkach. Cisza.

- "Pasterzem moim jest Pan: nie brak mi niczego."

Głos pastora brzmi wątko na powietrzu. Daleki szum kosiarki milknie z respektem. W piersi Królika wzbiera ufność i uniesienie. Jest zupełnie pewny, że jego córka

290

wstąpiła do nieba. Ta wiara przylega do słów, które recytuje pastor, jak skóra do żywego ciała.

- O Boże, którego Syn ukochany brał w ramiona małe dzieci i błogosławił je, okaż nam łaskę, błagamy Cię, abyśmy mogli powierzyć to dziecię Twjej nigdy nie słabnącej opiece i miłości, i zabierz nas wszystkich do Królestwa Niebieskiego; przez Syna Twego Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Amen.

- Amen - szepcze Springer.

Tak. Tak właśnie jest. Królik czuje, że wszyscy dokoła niego, z głowami nieruchomymi jak nagrobki, wszyscy, nawet trawa i kwiaty z cieplarni, i grabarze, i ten człowiek, którego nie widać, ale który zatrzymał swoją kosiarkę, jednoczą się dla dodania jego nie chrzczoneму dziecku sił, by weszło do nieba.

Przekreślono jakiś kontakt elektryczny, pasy zaczynają się opuszczać wraz z trumną do grobu i zatrzymują się. Eccles piaskiem czyni znak krzyża na wieku trumny.

Pojedyncze ziarenka, jedno po drugim, staczają się z wypukłego wieka do dołu.

Czyjaś różowa dłoń rzuca garść pomiętych płatków.

- Udziel łaski swej, prosimy Cię, Panie, wraz ze wszystkimi, którzy zostali w żałobie, otocz ich opieką... - Znów jęczą pasy, Janice ślania się u jego boku. Trzyma jej ramię

i nawet przez suknię czuje, jakie jest gorące. Lekki powiew wiatru wydyma baldachim jak żagiel. Dosięga ich zapach kwiatów - ...i niech cię błogosławi Duch Święty i ma w swojej opiece teraz i zawsze i na wieki wieków, amen.

Eccles zamyka modlitewnik. Ojciec Harryego i ojciec Janice, stojący obok siebie, patrzą w górę i mrugają powiekami. Grabarze zajmują się swoim ekwipunkiem, wyciągają pasy z grobu. Żałobnicy spod baldachimu przesuwają się na słońce. Otocz ich opieką. Dziwna siła wstępuje w Królika, niebo go pozdrawia. Jest tak, jakby po czołganiu się w jaskini ujrzał wreszcie, za czarną masą spiętrzonych skał, plamę światła. Odwraca się, twarz Janice, otepiała z bólu, zasłania to światło.

- Nie patrz na mnie - mówi - ja jej nie zabiłem. Mówi to wyraźnie i z prostotą, bo czuje teraz we

wszystkim naturalność. Głowy obecnych, zajętych przy-

291

ciszoną rozmową, odwracają się nagle na dźwięk głosu, który odezwał się tak niespodziewanie i tak okrutnie.

Źle go rozumieją. On chce po prostu wyjaśnić sprawę. Mówi do tych głów:

- Wszyscy się tak zachowujecie, jak gdybym ja to zrobił. Nie byłem tam. To ona - i odwraca się do Janice, której twarz zapada się nagle jak spoliczkowana; wydaje mu się beznadziejnie daleka i obca. - Słuchaj, wszystko jest w porządku - mówi. - Nie chciałaś tego. - Próbuje wziąć ją za rękę, ale ona mu ją wyrywa, jak z pułapki, i posyła spojrzenie rodzicom. Przysuwają się do niej.

Twarz mu pała. Jest dziko zakłopotany. Serce miał pełne przebaczenia, teraz jest pełne nienawiści. Nienawidzi twarzy swojej żony. Ona niczego nie widzi. Była szansa, żeby prawda ich złączyła, najprostszą prawdą faktów, i Janice ją odrzuciła. Widzi, że wśród otaczających go twarzy nawet jego matka ma twarz przerażoną, oniemiała z oburzenia, staje się dla niego jak ściana. Najpierw go pyta, co oni mu zrobili, a potem robi to samo. Dławi go poczucie niesprawiedliwości, w oczach robi mu się czarno. Królik zawraca na pięcie i ucieka.

Biegnie pod górę z radością. Wymija tablice nagrobne. Pomiedzy grobami kwitną mlecz jasne jak masło. Ktoś krzyczy za nim, woła go po imieniu. To głos pastora:

- Harry! Harry!

Czuje, że Eccles goni go, ale Królik nie ogląda się za siebie. Biegnie skrótem ukośnie po trawie, przez groby, do lasu. Do ciemnego półkola drzew jest dalej, niż się wydawało od strony grobu. Zmęczone ciało zwalnia bieg, nachylenie stoku rośnie. Ale cmentarna ziemia ma jakąś miękkość ułatwiającą ucieczkę, umiarkowaną, równomierną wyboistość, która dodaje otuchy, budząc wspomnienie nagłych zrywów i uników na zatłoczonym boisku. Królik osiąga wysuniętych ramion lasu i zmierza w sam środek półksiężyca. Jednak jest tam mniej osłonięty, niż się spodziewał. Odwróciwszy się, widzi poprzez liście cmentarz w dole i obok małego zielonego baldachimu postacie ludzi, których opuścił, zbite w gromadkę. Eccles jest w połowie drogi pomiędzy nim a tamtymi. Przestał biec. Jego czarna pierś unosi się ciężko, spojrzenie

292

szeroko rozstawionych oczu koncentruje się na lesie. Wśród tych, co pozostali na dole - kępa badyli w ciemnych ubraniach - poruszenie; zmawiają się, układają, mierzą swoje siły, wspierają się nawzajem, ich blade twarze wysyłają w stronę lasu jakieś nieme sygnały, odwracają się - z obrzydzeniem albo z rozpaczą - i znów jaśnieją w zachodzącym słońcu, zafascynowane. Tylko spojrzenie Ecclesa jest spokojne. Być może zbiera siły do dalszej pogoni.

Królik biegnie pochylony, klucząc. Przedziera się przez krzaki i młodnik otaczający las po brzegach; gałęzie drapią mu ręce i twarz. W głębi lasu jest przestronniej. Pod sosnami nic nie rośnie. Brązowe igliwie otula surową ziemię śliską koldrą. Przez ukośne szpary wdziera się blask słońca i pada na to martwe klepisko. Jest mroczno i duszno jak na poddaszu. Niewidoczne tutaj popołudniowe słońce przypieka ciemne sklepienie zieleni nad głową Królika. Niższe, martwe gałęzie sterczą na poziomie jego oczu. Pieką zadrapania na twarzy i rękach. Odwraca się, żeby zobaczyć, czy zostawił ludzi za sobą. Nikt go nie ściga. Daleko w dole, na końcu sosnowej nawy, w której się znajduje, lśni zieleń, która prawdopodobnie jest zielenią cmentarza, ale wydaje się tak samo daleka jak skrawki nieba lśniące wśród szczytów drzew. Odwracając się za siebie Królik traci poczucie kierunku. Lecz pnie drzew, rosnących

z początku w schludnych rzędach, jakby prowadzą go przed siebie. Idzie wciąż pod górę. Jeśli będzie tak szedł bez przerwy, to dojdzie po pewnym czasie do tej malowniczej drogi, która biegnie granią. Tylko schodząc w dół, może powrócić do tych, których zostawił.

Drzewa przestają maszerować szeregami, rosną w większym skupieniu. Są to starsze drzewa. Ciemność pod nimi jest gęstsza i teren bardziej stromy. Spod iglastej kołdry sterczą skały z naciekami porostów, powalone pnie splątanymi szponami zagradzają ścieżkę. Tam gdzie w dachu wiecznej zieleni widnieje otwór, rośnie słodkawo pachnący gąszcz jakichś krzewów z jagodami i żółtych traw; nad nimi chmary muszek. Takie odcinki, niekiedy dostatecznie szerokie, by złapać odrobinę słońca ukośnie padającego na stok, sprawiają, że otaczająca ciemność

293

wyduje się jeszcze ciemniejsza; ilekroć Królik w takim miejscu przystaje, to słyszy, że we wszystkich brunatnych tunelach dokoła coś bez przerwy szepcze. Otaczające go drzewa są za wysokie, żeby mógł wypatrzeć choćby daleki skrawek otwartego krajobrazu, jakiś ślad cywilizacji. Na takiej wyspie światła zaczyna się bać. Zwraca na siebie uwagę. Niedźwiedzi i tego czegoś groźnego bez nazwy, co szepcze po całym lesie. Może wpaść w oczy. Więc zamiast sterczeć tam bezbronne, wystawiony na widok, idzie temu niebezpieczeństwu naprzeciw, pokonując skały, gnijące pnie i śliskość sosnowych igieł. Owady opuszczają słoneczne plamy i lecą za nim, jego pot ma silną woń. Boli go w boku i bolą golenie od gorączkowego przedzierania się przez zdradzieckie zapadliny i płaskie występy skalne ukryte pod igliwem. Zdejmuje krepującą ruchy granatową marynarkę i niesie ją zwiniętą w kłębek. Walczy z pokusą odwracania głowy, by zobaczyć, co jest za nim. Niczego tam nie ma, jest tylko stłumione, grobowe życie lasu. To jego strach wypełnia krętą przestrzeń pomiędzy pniami - groźnymi zwidami, które Królik dostrzega kątem oka, gdy szybko odwraca głowę. Musi trzymać głowę prosto. Sam sobie napędza strachu. Będąc dzieckiem, często chodził po tych lasach. Ale może chodził jako dziecko pod opieką, której teraz nie ma. Nie chce mu się wierzyć, że w tych lasach było wtedy aż tak ciemno. One też urosły. Jakaż nienaturalna ciemność, przetykana cienkimi niby pajęczyna gałązkami,

które jak palce wciąż muskają mu twarz, jakież mrok na przekór jasności dnia, na przekór niebu, którego porwane strzępy nad jego głową skaczą jak milcząca małpa z jednego szczytu drzewa na drugi.

Od schylania głowy boli go w krzyżach. Zaczyna wątpić w to, co robi. W dzieciństwie nigdy nie szedł przez las od strony cmentarza. Może wspinanie się na górę od strony najbardziej stromej jest głupie, gdy o parę metrów na lewo biegnie droga. Kieruje się zatem w lewo, usiłując nigdzie nie zbaczać. Szept lasu zdaje się brzmieć głośniej i w jego sercu wzbiera nadzieja: miał rację, jest blisko jakiejś drogi. Spieszy się, przedziera się na czworakach przez bezlitosny gąszcz, pewny, że lada chwila ukaże mu się droga z białymi słupkami i załśni przejeżdżający

294

samochód. Niepostrzeżenie grunt pod jego nogami przestaje się wznosić. I Królik, zdumiony, zatrzymuje się na stromej krawędzi kotliny. Bliższy jej brzeg zarzucony jest kosmatymi korpusami powalonych drzew - leżą wśród tych, co się utrzymały na stromym zboczu i rzucają w dół cień tak gęsty jak ostatnie stadium mroku. Mąci ten mrok zarys czegoś kanciastego. Królikowi świta w głowie, że tam, na dnie, widać otwór do piwnicy i rozwalone piaskowe ściany jakiegoś zapomnianego domu. Jest wściekły, że zgubił drogę i znów zszedł w dół, do tego dołącza się strach, jak gdyby te ruiny, świadczące o wtargnięciu ludzi w królestwo ślepego żywiołu, były na alarm aż po granice wszechświata. Na myśl, że to miejsce miało kiedyś swoje oblicze, że ten kawałek ziemi był zaludniony, zadbany, komuś znany, czuje, że powietrze roi się od duchów, które wspinają się do Królika po zarośniętym paprociami zboczu, niby dzieci wstające z grobu. Może były tu jakieś dzieci, grube dziewczynki w perkalikach, które nosiły wodę ze źródła, wycinały znaki na drzewach dla zabawy, dorastały na deskach podłogi wzniesionej nad dołem tej piwnicy, umierały rzucając ostatnie spojrzenie przez okno na skarpe, tam gdzie stoi Harry. Wydaje mu się, że bardziej rzuca się w oczy, bardziej jest tu bezbronny niż na małych słonecznych polankach. Czuje bezwiednie, że pada na niego światło jakiejś ogromnej iskry, dzięki której ślepy chaos materii zyskał świadomość, iskry skrzęsanej w starciu dwóch przeciwstawnych sobie światów - potyczce z woli okrutnego Boga. Serce w nim

zamiera. Uszom wydaje się nagle, że słyszą jakieś głosy. Wspina się z powrotem, w pogłębiającej się ciemności depta gałęzie z hałasem, żeby zagłuszyć ten głos, który chce mu coś krzyknąć zza pnia, ale przesuwa się od drzewa do drzewa wśród cieni. W zdradliwym świetle pochyły grzbiet góry robi wrażenie jakiegoś stworzenia, które wijąc się ucieka.

Światła przybywa na tyle, że Królik może wypatrzeć po lewej stronie siedlisko starych puszek i butelek, zanurzone w leśnym igliwiu. Nic mu nie grozi. Dobił do drogi. Przekłada długie nogi przez barierkę i prostuje się. Żółte punkciki migają mu w kącikach oczu. Asfaltowa powierzchnia skrzypi pod butami i wydaje mu się, że mając

295

w sobie cudownie rezonującą pustkę wyczerpania, wkroczył w nowe życie. Chłodne powietrze liże go po łopatkach, gdzieś tam jest dziura - koszula starego Springera pękła na plecach. Wyszedł z lasu mniej więcej kilkaset metrów poniżej hotelu "Pod Szczytami". Gdy tak kroczy drogą, trzymając marynarkę na jednym palcu, zawiadaczają przez ramię. Janice i Eccles, jego matka i jego grzechy zdają się odległe o tysiące kilometrów. Postanawia zadzwonić do pastora, będzie to jak pocztówka z pozdrowieniami. Eccles go lubi, okazał mu dużo zaufania i zasługuje co najmniej na telefon. Królik powtarza w duchu, co mu powie. Wszystko w porządku, powie mu, jestem w drodze. To znaczy, sądzę, że jest kilka dróg. Proszę się nie martwić. Dziękuję za wszystko. Jedno chce osiągnąć - żeby Eccles nie upadł na duchu. Na szczycie góry panuje jeszcze jasny dzień. Przewód nieba jest ogromny jak morze, a w nim jezioro pełne drobnych chmur, które suną zgodnie jak ławica ryb. Przed hotelem stoi tylko kilka samochodów, jakiś pontiac, rocznik 1952, i mercedes, rocznik 1951, stare gruchoty, jakie firma Springera, Springer Motors, sprzedaje przyszczytym smarkaczom z prezerwatywą w portfelu i setką dolarów w banku. Kilku z nich tkwi w kawiarence przy elektrycznym bilardzie "Wesoła Betsy". Patrzą na niego i robią wymowne miny, i nawet jeden z tych chłopców woła do niego:

- Rozerwała ci koszulę?

Ale, dziwna rzecz, niczego o nim naprawdę nie wiedzą, tyle tylko, że wygląda niechlujnie. Człowiek robi różne rzeczy, najróżniejsze, a nikt nie zna prawdy. Na zegarze jest dwadzieścia po szóstej. Królik podchodzi do automatu wiszącego na ścianie w kolorze toffi i szuka numeru Ecclesa w książce.

Telefon przyjmuje jego żona.

- Halo? - odzywa się oschle.

Królik przymyka oczy i pod czerwonymi powiekami widzi jej tańczące piegi.

- Cześć. Czy mogę mówić z pastorem Ecclesem?

- A kto mówi? - głos jej brzmi wyniośle. Doskonale wie, kto mówi.

296

- Harry Angstrom. Dzień dobry. Czy Jack jest w domu?

Słuchawka na drugim końcu zostaje odłożona. A to dziwka. Biedny Eccles, prawdopodobnie siedzi tam ze zranionym sercem i czeka na jakiś mój znak, a ona wraca i mówi: "pomyłka"; biedaczyna, z taką dziwką się ożenić. Królik też odwiesza słuchawkę, słyszy jak dziesięć centów spada z grzechotem, i wydaje mu się, że to niepowodzenie jakby coś uprościło. Wychodzi z lokalu i idzie przez parking.

Czuje, że zostawił za sobą w tej kawiarence całą truciznę, którą ta baba musi sączyć w ucho biednemu, zmęczonemu człowiekowi. Wyobraża sobie, jak opowiada mężowi, że dał jej klapsa w tyłek, i wydaje mu się, że słyszy śmiech Ecclesa, i sam się uśmiecha. Będzie pamiętał pastora jako człowieka śmiejącego się; było w nim coś odpychającego, coś niedostępnego, może wskutek mówienia przez nos, ale śmiechem można było do niego trafić. Jakby zająć go od tyłu, obejść chyłkiem tę jego przygnębiającą facjatę, wiecznie wilgotną, czepiającą się człowieka, natrętą.

Irytujące było w nim to, że miał wątpliwości, ale nie chciał się do tego przyznać, i tylko podnosił te swoje brwi, i każde słowo wymawiał innym tonem. W sumie biorąc - raczej ulga, że się od niego uwolnił.

Ze skraju parkingu widać Brewer rozciągnięte w dole jak dywan, jego ceglasta czerwień zasnuwa dym. Tu i ówdzie zapalają się już światła. Wielki neonowy słonecznik w centrum miasta wygląda jak mała stokrotka. Nisko wiszące obłoki poróżwiały, ale wysoko nad nimi, pod kopułą nieba, ogony pierzastych chmur wciąż

są blade i czyste. Ruszając w dół Królik zastanawia się, czy ona przespałaby się z nim. Lucy. Czy żony pastorów to frygidy?

Schodzi z góry po stopniach z drewnianych bierwion i idzie przez park, gdzie ludzie grają jeszcze w tenisa, i wreszcie w dół ulicą Weisera. Wkłada na powrót marynarkę, już jest na ulicy Letniej. W sercu szemrze niepewność, ale to się dzieje w głębi piersi. Ten ucisk w boku z powodu Becky zniknął - Becky jest już w niebie, czuł, jak tam szła. Gdyby Janice czuła to samo, byłby został. Czy

297

na pewno? Drzwi wejściowe są otwarte i jakaś stara kobieta w polskiej chłopskiej chustce na głowie, mrużąc coś pod nosem, wychodzi z mieszkania F. X.

Pelligriniego. Królik naciska dzwonek przy nazwisku Ruth. Odpowiada mu brzęczyk. Szybko otwiera wewnętrzne drzwi i wchodzi po schodach. Ruth stoi przy balustradzie, spogląda w dół i mówi:

- Idź sobie.
- Ooo! Skąd wiedziałaś, że to ja?
- Wracaj do swojej żony.
- Nie mogę. Właśnie ją rzuciłem.

Ruth śmieje się. Wszedł na przedostatni stopień schodów i twarze ich są na tej samej wysokości.

- Zawsze ją rzucasz - odpowiada.
- Nie, tym razem jest inaczej. Jest naprawdę źle.
- Sam jesteś zły. Ze mną też źle postąpiłeś.
- Dlaczego?

Wszedł na najwyższy stopień i stoi przed nią w odległości metra, podniecony i bezradny. Gdy ją zobaczył, pomyślał sobie, że instynkt podpowie mu, co robić, ale wszystko jest jakieś nowe, chociaż minęło tylko parę tygodni. Ruth jest inna, cięższa w ruchach i grubsza w talii. Jej oczy nie są już pozbawione wyrazu. Patrzy na niego z pogardą też zupełnie nową.

- Dlaczego? - powtarza za nim głosem niewiarygodnie ostrym.
- Pozwól, że zgadnę - mówi Królik. - Jesteś w ciąży.

Zaskoczona tłumi na chwilę gniew.

- To wspaniale - oświadcza Królik i wykorzystując jej zaskoczenie, wpycha Ruth przed sobą do pokoju. Sam ruch popychania przypomina mu, jak ją czuł w swoich ramionach. - Wspaniale - powtarza zamykając za sobą drzwi.

Próbuje ją objąć, ale ona skutecznie wyrywa mu się i cofa za krzesło. Broni się serio, drapie mu kark.

- Idź sobie - mówi - idź stąd.

- Nie jestem ci potrzebny?

- Potrzebny! Ty? - brzmi to jak okrzyk bólu. Na dźwięk jej histerycznie uniesionego głosu Królik

zżyma się. Tyle razy musiała wyobrażać sobie to spotka-

298

nie, że zamierza teraz wszystko mu wygarnąć, a tego już za dużo. Siada w fotelu.

Bolą go nogi.

- Potrzebowałam cię tej nocy, kiedyś mnie zostawił - mówi Ruth. - Pamiętasz, jak cię potrzebowałam? Pamiętasz, coś mi zrobił?

- Ona była w szpitalu - odpowiada Królik. - Musiałem pójść.

- Patrzcie, jaki milutki! O Boże! Ty naprawdę jesteś święty! Musiałeś iść. Musiałeś też zostać, prawda? A ja, głupia, myślałam, że przynajmniej zadzwonisz.

- Chciałem. Ale chciałem też zacząć żyć uczciwie. Nie wiedziałem, że jesteś w ciąży.

- Nie wiedziałeś? Naprawdę? Każdy inny mógł się domyślić. Wciąż miałam mdłości.

- Kiedy? Przy mnie?

- O rany, a przy kim? Choć raz mógłbyś spojrzeć dalej niż na koniec własnego pięknego nosa.

- Ale dlaczego mi nie powiedziałaś?

- A dlaczego miałam mówić? Co by to zmieniło? Ty mi nie pomożesz. Jesteś zero.

Wiesz, dlaczego ci nie powiedziałam? Uśmiejesz się. Nie powiedziałam, bo myślałam, że mnie rzucisz, jak się dowiesz. Nigdy byś mi nie pozwolił pozbyć się tej ciąży, ale później rzuciłbyś mnie. I bez tego to zrobiłeś, więc masz. Czemu nie wychodzisz? Proszę cię, idź sobie. Od początku prosiłam. Od samego początku! Po

cholere znowu tu jesteś?

- Bo chcę być tutaj. Tak należy. Jestem szczęśliwy, że będziesz miała dziecko.

- Za późno jest na jakieś szczęście.

- Dlaczego? Dlaczego za późno?

Jest pełen obaw - przypomina sobie, że nie zastał jej, kiedy tu był poprzednim razem. Teraz jest, wtedy jej nie było. Kobiety wyjeżdżają, żeby się pozbyć ciąży, wiedział o tym. Było jakieś takie miejsce w Filadelfii.

- Jak możesz tutaj siedzieć? - pyta go Ruth. - Nie rozumiem, jak możesz tutaj siedzieć. Tylko co zabiłeś swoje dziecko, a teraz tu siedzisz.

- Kto ci to powiedział?

- Twój przyjaciel pastor. Drugi taki sam święty. Dzwonił tu jakieś pół godziny temu.

- O Boże, on wciąż próbuje.

299

- Powiedziałam, że ciebie tu nie ma. Powiedziałam, że nigdy nie przyjdiesz.

- Nie zabiłem tego biednego maleństwa. Nie ja. To Janice. Wściekłem się na nią jednej nocy i przyszedłem tutaj, szukałem ciebie, wtedy ona się upiła i utopiła to biedne maleństwo w wannie. Nie każ mi o tym mówić. Powiedz, gdzie ty byłaś? Ruth patrzy na niego w osłupieniu i cicho mówi:

- Jezu drogi, za tobą naprawdę chodzi śmierć.

- Powiedz: zrobiłaś coś?

- Cicho bądź. Siedź cicho. Teraz widzę nagle, jaki ty jesteś. Jesteś samą śmiercią.

Wcale nie jesteś zerem, o nie, jesteś czymś gorszym. Nie jesteś nawet szczurem, nie śmierdzisz, nie potrafisz nawet śmierdzieć.

- Słuchaj no, nie zrobiłem nic złego. Przyszedłem zobaczyć się z tobą, kiedy to się stało.

- Jasne! Nigdy nic złego nie robisz. Tylko roznosisz wszędzie pocałunek śmierci.

Wynoś się! Jak Boga kocham, Króliku, od samego twojego widoku robi mi się niedobrze. - Ruth mówi to ze szczerością, która ją samą tak osłabia, że musi chwycić oparcie krzesła, żeby nie upaść - jednego z tych krzesel, na których siadali do posiłku - i przechylona przez nie, z otwartymi ustami, wbija w niego wzrok.

On, który zawsze przykładął tyle wagi do ubrania, który zawsze skłonny był wyobrazić sobie, że przyjemnie na niego spojrzeć, rumieni się, czując jej szczerłość. Nie zjawia się to, na co liczył, to przekonanie, że jest jej panem, że z natury nad nią góruje. Ogląda swoje paznokcie z dużymi białymi półksiężycami. Ręce i nogi ogarnia paraliżujące poczucie rzeczywistości. Jego dziecko naprawdę nie żyje, on sam naprawdę jest skończony, ta kobieta naprawdę ma go dosyć. Zdając sobie sprawę z tego wszystkiego, pragnie pójść jeszcze dalej, poznać całą prawdę do dna. Pyta ją otwarcie.

- Zrobiłaś sobie skrobankę? Ruth uśmiecha się cynicznie.

- A jak myślisz? - odpowiada ochryłym głosem. Królik zamyka oczy i macając opuszkami palców

szorstkie, włochate sukno na oparciu fotela, modli się: Boże, święty Boże, byle nie to drugie:

300

zabrałaś jedno, zostaw to drugie. Jakiś brudny nóż obraca się w ciemnym wnętrzu jego brzucha i tnie. Kiedy otwiera oczy, Ruth stoi nad nim przyczojona, zuchwała. Królik domyśla się, że zamierza go dręczyć.

- Zrobiłaś? - pyta ożywiony nagłą nadzieją. Kruszy się cień niechęci na jej twarzy.

- Nie - odpowiada. - Nie. Powinnam, ale wciąż nic nie robię. Nie chcę tego zrobić.

Na to on wstaje i otacza ją ramieniem, nie przyciskając do siebie, tylko jakby zamykając w magicznym pierścieniu, i chociaż za jego dotknięciem ona sztywnieje i głowa odwraca się na jej muskularnej białej szyi, Królik odzyskuje poczucie swojej przewagi.

- Och - mówi - dobrze. Jak to dobrze.

- To jest takie ohydne - wyznaje Ruth. - Margaret wszystko mi załatwiła, aleja... kiedy o tym pomyślałam...

- Tak - przerywa Królik. - Tak. Jesteś wspaniała. Jak ja się cieszę - i nosem pociera jej policzek. Nos trafia na coś mokrego.

- Masz dziecko - mówi czule. - Masz.

Ona przez chwilę stoi cicho, pogrążona w myślach, a potem wyrывa mu się z objęć.

- Nie dotykaj mnie! - mówi z twarzą płonąca, cała pochylona do przodu jak zagrożone zwierzę. Jak gdyby jego dotknięcie naprawdę sprawdzało śmierć.

- Kocham cię - mówi Królik.

- U ciebie to nic nie znaczy. Miej to dziecko, mówisz, miej. Ale jak? Czy ożenisz się ze mną?

- Bardzo bym chciał.

- Bardzo byś chciał. Ty wszystkiego bardzo byś chciał. A co z twoją żoną? Co z tym chłopcem, którego już masz?

- Nie wiem.

- Rozwiedziesz się z nią? Nie. To małżeństwo też ci odpowiada. Chętnie ożeniłbyś się z każdą. Dlaczego nie potrafisz się zdecydować?

- Dlaczego? Nie wiem.

- Jak ty mnie utrzymasz? Ile żon możesz mieć na utrzymaniu? Przecież ty zarabiasz grosze. Nikt ci w ogóle nie da pracy. Może kiedyś umiałeś grać w koszykówkę, ale teraz nic nie umiesz. Co ty sobie wyobrażasz, że jaki jest świat?

301

- Proszę cię, miej to dziecko - mówi Królik. - Musisz je mieć.

- Dlaczego? Dlaczego ci na nim zależy!

- Nie wiem. Nie umiem ci odpowiedzieć na żadne pytanie. Wiem tylko, co jest słuszne. Twoje słowa, ty cała, tak, wydajesz mi się prawdziwa. Czasami też Janice. A czasami w ogóle nic nie wydaje mi się szczere i prawdziwe.

- A kto się będzie tym przejmował? O to chodzi. Kto się przejmuje tym, co ty czujesz?

- Nie wiem - odpowiada znowu.

Ona jęczy - wyraz twarzy ma taki, jakby chciała na niego napluć - odwraca się i patrzy na ścianę pokrytą bąblami od wielokrotnego kładzenia farby na farbę.

- Jestem głodny - oświadcza Królik. - Może skoczyłbym do sklepu i coś przyniosł. Potem możemy się zastanowić.

- Zastanawiam się przez cały czas - mówi Ruth. - Wiesz, gdzie byłam, kiedy przyszedłeś tu parę dni temu? Byłam u moich rodziców. Wiesz, że ich mam. Kiepscy

z nich rodzice, ale zawsze rodzice. Mieszkają w Zachodnim Brewer. Oni wiedzą o mnie. To znaczy, wiedzą to i owo. Wiedzą, że jestem w ciąży. To ładne słowo - ciąża. Może się zdarzyć każdej dziewczynie; wiadomo, jak to jest. Teraz posłuchaj, chcę, żebyś się ze mną ożenił. Chcę. Nagadałam ci różnych rzeczy, ale jeżeli się pobierzemy, wszystko będzie w porządku. Musisz to jakoś załatwić. Rozwódź się z twoją żoną, o którą martwisz się raz na miesiąc. Albo się z nią rozwiedziesz, albo zapomnij o mnie. Jeżeli nie możesz tego załatwić, to nie istnieję dla ciebie; nie istnieję ani ja, ani moje dziecko. A teraz idź stąd, jeśli chcesz. - Poruszyło ją wypowiedzenie tego wszystkiego, zaczyna płakać, ale udaje, że się trzyma. Wpija się palcami w oparcie krzesła, nie zważając, że łzy ciekną po nosie, i patrzy na niego, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć. A tymczasem jego odpycha fakt, że ona tak bardzo chce panować nad sobą; nie lubi ludzi, którzy na zimno kalkulują. Lubi, żeby wszystko układało się samo.

Czuł, zmieszany, że Ruth przygląda mu się, czekając na jakieś oznaki decyzji, do której miała go natchnąć swoim przemówieniem. W rzeczywistości ledwie jej słuchał.

302

Wszystko to jest zbyt skomplikowane i w porównaniu z wizją jakiejś kanapki - nierealne. Królik wstaje z krzesła, ma nadzieję, że wypadło to po żołniersku, i mówi:

- Racja. Jakoś to załatwię. Co mam kupić w sklepie?

Kanapka, szklanka mleka, a potem rozebrać ją, wygarnąć z tej bawełnianej sukienki, znoszonej i pomiętej, i zobaczyć zgrubiałą talię o chłodnej bladej skórze, pełną spokoju. Uwielbia kobiety, kiedy spodziewają się pierwszego dziecka. Jakby nad ich ciałem wstawał świt. Gdyby mógł choć raz jeszcze schować się w niej cały, wie, że znalazłby ukojenie dla swoich nerwów.

- Ja nic nie chcę - mówi ona.

- Przecież musisz jeść.

- Już jadłam.

Królik próbuje ją pocałować, ale ona mówi: - Nie - i nie wygląda ponętnie, otyła, zgrzana i rozczochrana, jej różnokolorowe włosy zwilgotniały.

- Zaraz wrócę - mówi Królik.

Gdy schodzi ze schodów, problemy -jeden po drugim

- osaczają go z szybkością jego własnych kroków. Janice, pieniądze, telefon Ecclesa, wyraz twarzy jego matki - wszystko to uderza w niego jak gwałtowne, ciemne fale. Wina i odpowiedzialność uciskają mu pierś jak dwie straszne zmory. Samo załatwienie sprawy - rozmów, telefonów, adwokata, finansów - zdaje się gmatwać i urastać do czegoś, co niemal fizycznie przeszkadza w oddychaniu, a każdy ruch, nawet wyciągnięcie ręki do drzwi, zamienia się w groźne przedłużenie łańcucha wydarzeń luźno związanych z jego sercem. Masywność klamki, gdy ją czuje w dłoni, sprawia mu przyjemność.

Na dworze jego obawy rosną. Napięte nerwy stwarzają złudzenie, że masa powietrza krępuje mu nogi. Że otwarta przestrzeń dusi. Stojąc na stopniu próbuje uporządkować swoje problemy, zastanowić się nad mechanizmem tego, co usłyszał przed chwilą, zrozumieć, dlaczego był to krzyk. Pocieszają go dwie myśli jak światło w gąszczu niemożliwych alternatyw. Ruth ma rodziców i pozwoli swemu dziecku żyć. Dwie myśli, które są być może jedną myślą, wynikającą z pionowego porządku rodzicielstwa

- rodzaj cienkiej pionowej rurki w czasie, w której nasza

303

samotność jakby się trochę rozrzedza. Ruth i Janice obie mają rodziców; to stwierdzenie likwiduje problem jednej i drugiej kobiety. Pozostaje Nelson: ten ciężar musi dźwigać w sobie. Ale jest on jednocześnie podparciem wagi, na której Królik próbuje zważyć przeciwieństwa: Janice i Ruth, Ecclesa i swoją matkę, drogę właściwą, słuszną, drogę do sklepu ze stosami owoców pod gołą żarówką - i inną drogę, przez ulicę Letnią aż tam, gdzie kończy się miasto. Próbuje wyobrazić sobie, jak wygląda koniec miasta - puste boisko, ciemna fabryka, a potem za rzeczką polna droga, której nie zna. Wyobraża sobie ogromne, niczyje pole - wysypisko żużlu i popiołu - i czuje pustkę w sercu.

Przestraszony, prawdziwie przestraszony, przypomina sobie, że kiedyś pocieszyło go coś, co miało wygląd ciemnej dziury, lecz zajrzawszy tam ujrzał jasność, więc

podnosi teraz oczy na okno kościoła. Z powodu ubóstwa kościoła albo długich letnich dni, albo po prostu niedbalstwa okno nie jest oświetlone - ciemny krąg w kamiennej fasadzie.

Ale świecą się uliczne lampy. Krzyżujące się stożki ich światła, otulone cieniem, nikną gdzieś aż na końcu ulicy Letniej. Opodal, na lewo, dokładnie pod jedną z lamp, nierówny asfalt wygląda jak wydeptany śnieg. Królik postanawia skrócić w przecznicy i obejść blok domów, żeby uporządkować myśli i zastanowić się, jaką wybrać drogę. Dziwne, że to!, co kieruje naszymi ruchami, jest tak proste, a boisko, na które masz wejść, takie zatłoczone. Ten kontrast dodał sił nogom, maszerują równym krokiem. Dobroć jest sednem wszystkiego, poza nią nic nie istnieje, to, co on chciał zważyć, nie ma żadnego ciężaru. Czuje nagle własne wnętrze jako coś niesłychanie realnego, całkowitą pustkę w środku gęstej sieci. Nie wiem, mówił do Ruth, teraz też nie wie, co robić, dokąd iść, co będzie; myśli, że nie wiedząc, stanie się nieskończenie mały, nie do złapania. Myśl o takiej małości przepelnia go jak coś wielkiego. Podobnie było, kiedy mówili o tobie, że jesteś mocny, i byłeś kryty dwójką zawodników, i gdziekolwiek się ruszyłeś, zawsze się potykałeś o któregoś z nich, i pozostawało tylko jedno: podać piłkę. Więc podawałeś piłkę i należała do innych, i zostawałeś z

304

pustymi rękami, a tamci, co pilnowali ciebie, mieli głupie miny, bo w rezultacie nie było kogo pilnować.

Królik jest już na rogu ulicy, lecz zamiast skrócić w prawo i okrążyć blok domów, wchodzi na jezdnię z tak podniosłym uczuciem, jakby ta mała przecznica była szeroką rzeką; przechodzi na drugą stronę. Chce dotrzeć do następnej płachty śniegu. Chociaż te dwupiętrowe domy z cegły są takie same jak dom, który opuścił, to przecież mają w sobie coś uszczęśliwiającego. Stopnie i parapety okienne, które widzi kątem oka, zdają się kurczyć i przesuwać jak żywe. To złudzenie podrywa go z miejsca. Ręce same z siebie unoszą się i jeszcze zanim zacznie biec, czuje wiatr muskający uszy, obcasy butów z początku ciężko uderzają o chodnik, potem nogi - jakby w rozkosznej panice - nabierają rozpędu, kroki stają się lżejsze, szybsze i

cichsze i Królik biegnie. Ucieka. Ach, jak ucieka, ucieka.